

11

PROZA
POEZJA
ESEJE
KRONIKA

ZAPIS

lipiec 1979 /

w numerze:

Tadeusz MAZOWIECKI

Kazimierz BRANDYS

Hans Magnus ENZENSBERGER

Czesław MIŁOSZ

Witold WIRPSZA

Andrzej MICEWSKI

Jan PROKOP

Anna FREY

Jerzy KRECZMAR

Paweł BODNAR

Tomasz BUREK

Stefan KISIELEWSKI

Adam ZAGAJEWSKI

Stanisław BARAŃCZAK

niezależna
oficyna
wydawnicza



ZAPIS 11

POEZJA - PROZA - ESEJE - KRONIKA

ZAPIS 11 przygotowali:

Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Tomasz Burek, Anna Chmielewska, Jerzy Ficowski, Ryszard Krynicki, Adam Michnik, Kazimierz Orłoś, Wiktor Woroszyński, Adam Zagajewski.

S P I S T R E Ś C I

Tadeusz Mazowiecki: Druga twarz Europy	3
Kazimierz Brandys: Miesiące	8
Hans Magnus Enzensberger: Wiersze	53
Czesław Miłosz: Szestow albo czystość rozpaczy	57
Witold Wirpsza: Wiersze	68
Andrzej Micewski: Narodowy i uniwersalny wymiar polskiej niepodległości	71
Jan Prokop: Wiersze	77
Anna Frey: O stanie oświaty raport intymny	79
Jerzy Kreczmar: Od nieporządku do rutyny	86

R e c e n z j e

Paweł Bodnar: Drugi tom 'Głównych nurtów marksizmu'	90
Tomasz Burek: Zanim dzieła zebrane ukażą się w Warszawie Stefana Kisielewskiego przymiarka do historii	94
Stefan Kisielewski: Jędrzejewicz o Piłsudskim	97
Adam Zagajewski: Jak smakuje Nowakowski	98
Stanisław Barańczak: Donkiszoteria i solidarność	100

D o k u m e n t y

Nie spotykamy się tu dla rozrywki	104
Do komedii trzeba mieć żelazne zdrowie i nerwy	110
A.B.: Res Publica	113

K r o n i k a

Z życia TKN /114/, Ankieta 'Więzi' /115/, Leszek Kołakowski o chrześ- cijańskim 'integryzmie' i 'progresiźmie' /115/, Zebranie ogólne PEN- -Clubu /116/, Pamięci Arnolda Słuckiego /117/, Czy jeszcze jedno 'wo- żanie na puszczy' /117/, 'Strefa milczenia' /118/, Zmarli na cenzuro- wanym /118/, Psalmi dozwolone i zakazane /118/, Dyskusja z 'Bratnia- kiem' /118/, Dni teatru i filmu RFN /119/, List Jana Walca do Jarosła- wa Iwaszkiewicza /120/, Jeszcze jedna instytucja /120/, 'Jeśli nie nauczymy dzieci czytać ...' /121/, Nagrody Jurzykowskiego /121/, Nagroda 'Wiadomości dla Barańczaka' /122/, Nowa książka Barańczaka /122/ Nowa książka Madeja /122/, Zmiany w redakcji 'Kina' /122/, Kto się boi STS-u /122/, Dlaczego profesor Burda wystąpił z partii /123/, Kolejne 'Spotkania' /124/, Podwójny 'Puls' /125/, Zapowiedź jeszcze jednego pis- ma literackiego /125/, Czy moskiwski 'Zapis' /125/, 'Uniwersytet wy- prowadzony w pole' /126/, Dlaczego nie będzie symposium biologii mole- kularnej w Warszawie /126/, Z paszportami i bez /127/, V Tydzień Kultury Chrześcijańskiej w Warszawie /127/, Polonica w 'Kontynencie' /128/, Wielki dziennik szwajcarski o 'Zapisie' /128/	
--	--

Podziękowanie dla Saula Bellowa	129
Książki i czasopisma nadesłane	129
Noty o autorach	130

DRUGA TWARZ EUROPY

W liście pisany bezpośrednio po wyborze Jana Pawła II, jaki otrzymałem od Paula Thibaud¹⁾, znalazłem miłe uchu Polaka stwierdzenie: to był akt sprawiedliwości. Rządka to rzecz, by ktoś z zewnątrz mówił do nas niemalże językiem polskich uczuć i dzielił z nami przeświadczenie o naszym prawie do rekompensaty historycznej.

Nawiązuję do tego stwierdzenia Thibaud, ale nie chcę tej myśli nadużywać. Arcybiskup krakowski Karol Wojtyła został przez zgromadzonych na conclave kardynałów obrany papieżem, ponieważ zwróciły ich uwagę jego walory jako człowieka i duszpasterza, a nie dlatego, że jest Polakiem. Także Polskę obiegł żart angielskiego kardynała Hume'a o wyborze Papieża Wojtyły: wybralibyśmy go nawet gdyby był Włochem. Słowem: wybrany został On, a nie jego naród. Ale Polacy - a sądzę, że nie tylko Polacy - odczuli w tym wyborze nie tylko akt odwagi przełamującej dotychczasową, cztery i pół wieku trwającą tradycję wybierania papieżem Włocha, nie tylko akt śmiałości sięgającej w przyszłość coraz bardziej uniwersalnego Kościoła, lecz - to prawda - także akt zadośćuczynienia, czy, lepiej powiedzieć, najwyższego w skali moralnej wyrównania czegoś, co na wyrównanie czekało. Wyrównanie dla Polski i dla całego "drugiego świata".

Zatem będzie na miejscu, jeśli spróbuję ukazać głębsze motywy tego uczucia, zwłaszcza polskiego. Wydarzenie, jakim jest ten wybór, niesie wszakże w sobie szansę zrozumienia, której wszyscy nie powinniśmy zaprzepaścić. Zrozumienia o uniwersalnym znaczeniu, o czym przyjdzie mi mówić później.

Mówić chcę zresztą za siebie. Ale sądzę, że nie tylko. Tak więc tego wieczoru, 16 października 1978 roku, kiedy w ekranie telewizyjnym zobaczyliśmy kardynała Wojtyłę po raz pierwszy w białej sutannie papieskiej na balkonie bazyliki św. Piotra - stanęło nam przed oczami wszystko: nasza przeszłość i nasza teraźniejszość.

Nasza przeszłość - to znaczy to, co jest żywe w zbiorowym doświadczeniu narodu, w jego kulturze i świadomości historycznej. Czy może sobie ktoś wyobrazić, do jakich warstw świadomości sięgała ta wiadomość w kraju, w którego wielkiej romantycznej spuściźnie literackiej bodaj największym dziełem jest spór z Bogiem o los Polski? W "Wielkiej improwizacji" Mickiewicz, który śmiał mówić "ja i ojczyzna to jedno, nazywam się milion, bo za miliony oierpie", żądał, by sam Bóg podzielił się z nim częścią swojej mocy, aby naród ten ocalić i dźwignąć. Rzucił Bogu słowa straszne, szalone i - na poły od siebie, na poły wkładając je w szept diabła - groził: "Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale... Carem!"

Pisał te słowa, należące do III części "Dziadów", w Dreźnie, gdzie sam pozbawiony ojczyzny, zetknął się z falami uchodzących z Polski do Francji żołnierzy po zdławieniu przez wojska carskie powstania listopadowego 1830 i 31 roku. Powstanie to związało armie "świętego przymierza" na sprawie polskiej, dało oddech Francji po rewolucji lipcowej, ułatwiło narodzenie się niepodległej Belgii. Ale Polska, wykreślona z mapy politycznej, w Europie świętego przymierza została w rejonie, w którym nic zmienić się nie mogło, w którym każda pomoc i każda sympatia była dobrą, ale w którym liczyć można było tylko na siebie i na przyszłą wojnę ludów. Pozostała chorą Europą, jej wyrzutem sumienia, podziwiana i...nie rozumiana. Nie tylko w swych nadziejach politycznych, lecz i w swej rzeczywistości duchowej. Ten sam Mickiewicz, emigrant, mógł spotykać się z Wiktorem Hugo czy z Balzakiem w salonach Paryża, przedstawiani byli sobie wzajemnie jako wielcy, ale nie było zrozumienia między nimi, nie tylko dlatego, że różniły ich charaktery i sama sztuka - przywiązanie do poematu i fascynacja nową prozą powieściową - lecz dlatego, że dzieliła ich odmienność całej, perspektywy życia. Rzeczywistość społeczeństwa bogacącego się, owszem, z nowymi i ostrymi konfliktami socjalnymi, ale rzeczywistość bujna i własna, określała inną atmosferę ducha, niż ta, którą żył poeta kraju ujarzmionego, tak jak imna

1) Redaktor naczelny paryskiego "Esprit", z którego inicjatywy napisany został ten artykuł.

jest atmosfera tych, którzy są zajęci twarzeniem i rozwijaniem życia, i tych, którzy dobijają się samego prawa do istnienia.

I dziwne, niezwykle i niezachwiane były też wtedy drogi wierności Rzeczywoli. Polacy czekali startu protestu i potępienia, otrzymywali słowa zachęty do wytrwania w wierze ojców, ale także i zalecenia uległości wobec tego, co zrzędzeniem losu się stało. Polonia semper fidelis pozostała wierną córką Kościoła, dławiała w sobie bóle niezrozumienia, a Kościół polski i katolicyzm - obok języka, podstawowa więź narodu rozdzielonego na trzy zabory - podtrzymywała jego wiarę religijną, i jego poczucie tożsamości własnej. Z czasem Kościół, jak żaden inny czynnik, wprowadzał to poczucie w świadomość ludu zwłaszcza wiejskiego, i stąd jego mocną, nigdy nie zerwane związki z tym ludem.

Sięgając do tych spraw odległej już, wydawałoby się, historii, bowiem są one ważne dla zrozumienia tego, co pozostaje żywe w naszej kulturze, świadomości, sposobie odczuwania. Są wydarzenia, które swymi konsekwencjami odciskają się w życiu narodów na całe epoki, formują sposoby myślenia i odczuwania, kształtują świadomość i kulturę. W historii Niemiec była to reformacja; w historii Francji - wielka rewolucja. W historii Polski wydarzeniem o tym wymiarze konsekwencji były zabory, utrata własnej niepodległości, a potem całe pasmo starań o przetrwanie narodu i walk o przywrócenie Polsce niepodległego bytu.

W zestawieniu tym - zawiera się - poza wązłkami innymi, oczywistymi różnicami - także istotna różnica akali. Bowiem i reformacja, i rewolucja francuska wylały się poza kraje, które je zrodziły, były - w każdym razie w swej warstwie ideowej - zjawiskiem uniwersalnym, a nie tylko sprawą narodową. Jednakże z tej dramatycznej historii narodowej, trwającej 123 lata, a potem odnowionej już współczesnymi wydarzeniami, Polacy w swojej kulturze i świadomości historycznej wysnuli rzecz uniwersalną, przynajmniej za taką ją uważają. Ale rzecz tę trudno nazwać: jest to pewien typ duchowości, pewien rodzaj wytrwania i ludzkiej nadziei, który opiera się zniszczeniu; niepodległość ducha, która wymaga wolności i która podtrzymuje wartość niezależności, gdy jest osaczona zniewoleniem.

Nie chcę przez to powiedzieć, że jest to recepta na życie w ucisku, którą my właśnie mamy w ręku. Smak tych doświadczeń był zawsze gorzki, a jeśli zdarzyło się - a zdarzało się to nieraz - że Polacy swoją bolesną i pełną zawodów historię obracali w rodzaj kompleksu nieoceniania przez innych, to trzeba powiedzieć, że sami też swoje rany szarpali, a nurt ponawianej ciągle krytyki i autoironii stanowił antidotum na bezmyślne popadanie w ten kompleks.

Poruszając te sprawy chcę zresztą nie tyle mówić o nas, co rzucić światło na sprawę w kulturze europejskiej obecna, ale nie zasymilowana. Pozostawić trzeba jako pytanie otwarte, czym jest w tej kulturze to doświadczenie, ten typ odczuwania. Czy stanowi jedynie własną sprawę narodową tych, którzy w tym doświadczeniu zostali ukształtowani, czy także jakąś wersję uniwersalnej prawdy o ludzkim losie, o ludzkiej kondycji, na której tak się odcisnęła historia? Bowiem czyż nie można w tej historii odczytać tego, co we współczesnych kategoriach określamy jako walkę o prawa człowieka, do których należy możliwość stanowienia swego zbiorowego losu? I czy duchowe wartości w tym doświadczeniu nabyte nie należą do wartości szerszych, uniwersalnych, nie stanowią akładnika, a nawet czegoś w rodzaju drugiej strony wspólnej europejskiej kultury, która o tyle zachowuje swój duchowy wymiar, o ile w doświadczeniach narodów i człowieka w historii odczytuje to, co jest wartością ogólną, wartością człowieka po prostu.

Dla nas stało się tak, że odczuwanie tych doświadczeń i tych wartości sięgnęło, choć w inny sposób, dnia dzisiejszego.

Z zewnątrz trudno rozpoznać się w całym tym tyglu, w jakim nasza świadomość się kształtowała: od bezpośrednio powojennego smaku gorzkości, jaką odczuwać musiał naród, który pierwszy stawiał opór agresji Hitlera, a który z wojny wychodził - i to po samotnym dramacie powstania warszawskiego - z poczuciem, że jego los został zdeterminowany podziałem Europy i świata - po całą tę dialektykę nadziei i zawodów, obecności i protestu, zaangażowania i oporu, w jakiej żyliśmy i jakiej podlegaliśmy.

Zmieszanie złego i dobrego jest ponadczasowa sprawa ludzka, ale czym innym jest ono jako prawda ogólna, z którą człowiek i kultura się boryka, a czym innym jako struktura polityczna życia. Sytuacja, w której podjęto prawdziwe, rzeczywiste istniejące problemy społeczne, ale w której wtłoczono je w gorset mechanizmów podporządkowanych społeczeństwo totalitarnej wizji, stanowi o istocie tego zmieszania,

z jakim mieliśmy do czynienia. Totalizm dosięga i człowieka, i społeczeństwa w ich godności i rozwoju przez wypaczenie i odbieranie mu dwóch zwłaszcza wartości: współuczestnictwa i nadziei. Współuczestnictwa - przez sięgającą każdej tkanki życia społecznego reglamentację, która niszczy autentyczność tego życia, a wszelką autonomię traktuje nie jako wartość lecz jako niebezpieczeństwo. Nadziei - przez ciągłe zamienianie współuczestnictwa prawdziwego w pozorne i przez odbieranie społeczeństwu perspektywy zmian, gdy świadomość zbiorowa się ich domaga, a przeciwdziała temu nienaruszalna bariera struktur politycznych, mająca swoje ostateczne oparcie w sytuacji geopolitycznej.

Człowiek ma w tej sytuacji dwa wcielenia: jest częścią sił wytwórczych i istotą prywatną; jako obywatel przywoływany bywa tylko do afirmacji i to jest urzędową miarą jego zaangażowania i patriotyzmu. Społeczeństwo, nawet w samym jego pojmowaniu ma inny sens, niż ten, jaki mu tu cały czas nadaje - jest oznaczeniem zbiorowości, synonimem masy, a nie więzią zbiorową; jest tym, na kogo się oddziałuje i kogo się konstruuje, a nie tym kogo się słucha i czyja kontrola i legitymacje są uznane i konieczne.

To wszystko jest składnikiem istotnym naszego doświadczenia i naszej życiowej wiedzy. Ale wewnętrzna prawda naszej świadomości jest znacznie bogatsza. Przechodziliśmy przez zawiłą drogę zmian społecznych i przez ogromny proces zachowania własnej duszy. I jedno, i drugie jest rzeczą ważną; i jedno, i drugie nie z samych plusów i nie z samych minusów się składa. Nasza prawda wewnętrzna jest prawdą o obu tych procesach.

W tej prawdzie wewnętrznej odbija się także rola chrześcijaństwa. Zespolenie Kościoła polskiego z narodem i jego tradycją, jego masowy zasięg i społeczna siła, przeobrażenia intelektualne, jakie katolicyzm przeszedł - wszystko to składa się na tę rolę. Ale aby zobaczyć uniwersalny wymiar tego doświadczenia chrześcijańskiego, trzeba dostrzec w nim rzecz fundamentalną: obronę wartości osobowych człowieka. Zrozumiana ona została jako sprawa własna chrześcijaństwa i jako powinność ogólnoludzka, którą chrześcijaństwo w tych warunkach podjęło i podjąć musiało. Czym bowiem, jak nie rzecznikiem tych wartości, jest Kościół jako wspólnota wiary i modlitwy, w której człowiek może czuć się autentyczny, i jako świadek jego udręk i niepokojów, i jako głos niezależności, który musi mówić za społeczeństwo zmuszone do milczenia? I czym jest samo chrześcijaństwo, co mówi ono człowiekowi w sytuacjach, kiedy słowa przestają znaczyć i kiedy usuwa mu się spod nóg twarde grunty, przestaje istnieć nieprzekraczalna granica, broniąca jego niezależności i wartości? W doświadczeniu naszym znaczy to, że Bóg sam staje się ostoją osobowości człowieka, wymiarem jego siły i jego powinności. I znaczy równocześnie też, że na tej drodze dokonuje się zespolenie wartości chrześcijańskich i ludzkich, pokonywanie tego starego rozdziału, który był klęską chrześcijaństwa, jego obcością wobec myśli i kultury współczesnej. Toteż składnikiem tego doświadczenia jest również prawda, której nie można znaleźć na drogach oficjalnych, ale która istnieje we współczesnych biografiach, prawda spotkania ludzi myśli, kultury i wrażliwości społecznej, która staje się autentyczną wartością o ważnym znaczeniu.

Niepojęte to wszystko zwłaszcza dla tych obserwatorów zewnętrznych, którzy albo naiwnie uwierzyli, że wszystko sprowadza się tu do walki sił postępu z siłami reakcji, albo z kolei bez żadnej wątpliwości orzekali, że nic tu już autentycznie społecznego żyć nie może i nigdy żyć nie będzie. Konstatuję to, przypominając owe sądy i pouczenia i z lewa, i z prawa; nie po to, aby spisywać rejestr pretensji, lecz dlatego, by drążyć ciągle to, co tkwi głębiej, co sięga źródeł tej trudności zrozumienia. Na początku tego wieku Stanisław Brzozowski, jeden z wielkich polskich "niepokornych", myśliciel przenikliwy, choć bardzo powikłany, w innej sytuacji zadawał pytanie: "Czy tak zwana opinia europejska jest w stanie zrozumieć - że samo życie wytwarza przeciwko sobie bunt". I dodawał gorzko, a nawet oskarżycielsko: "Europejczyk oświecony rozumie doskonale więzienie, dom rozpuszty, nie pojmie nigdy, jak można po prostu nie godzić się na istniejące życie".

"Zrozumieć, że samo życie wytwarza przeciwko sobie bunt" - to zrozumieć, i czym jest to życie, i czym - z nim niepoogodzenie. To zrozumieć, czym jest obcowanie ze zdeteterminowaniem historii, poznane nie jako teza teoretyczna, lecz jako rzeczywistość, która nie tylko określa los zewnętrzny kraju i jego kształt polityczny na wewnątrz, lecz i odciska się ciągle na życiu społeczeństwa. To zrozumieć równocześnie, czym jest nieustanna, nigdy nie przerwana walka o to, by społeczeństwo zachowało w sobie siłę podmiotu, a nie tylko przedmiotu historii.

Przyznaję, z zewnątrz nie łatwo zrozumieć to wszystko. Trudno na przykład objąć jednym zrozumieniem i znaczenie przeobrażeń cywilizacyjnych i społecznych, i zwichnięcie ich sensu. Pojąć tę prawdę, której wraz z innymi krajami "drugiego świata" Polska na sobie doświadcza, że rozdzielenie u samych podstaw tych zmian sprawiedliwości i wolności, tkłami i wypacza jedno, i drugie a zarazem nie zignorować tego, że poruszone zmianami cywilizacyjnymi siły społeczne tworzą już inny kształt społeczeństwa. W dziedzinie diagnozy ta prawda ważna nie tylko dlatego, że obrazuje złożoność tego, co tu się stało, lecz i dlatego, że w tym nowym krajobrazie społecznym zawiera się i szansa i groźba: szansa - że aspiracja dowolności i współstanowienia społecznego z tym mocniejszą siłą dochodzić będzie do głosu; groźba - że uda się wytworzyć społeczeństwo masowe pozbawione tej aspiracji, w którym nie funkcjonuje opinia publiczna i którym można manipulować.

Jest to jakby wielki wyścig historii, w którym rozstrzyga się los i przyszłość "drugiego świata", tu bardziej ukryty, niż gdzie indziej, lecz i przez to bardziej dramatyczny, dokonujący się głęboko, nieustannie obecny w samym środku prawdziwego życia społecznego, choć nie zawsze dość wyraźnie uświadamiany; wyścig między tym, co stawia na jej rozszerzanie się, a tym, co zakłada możliwość zbudowania społeczeństwa odzwyczajonego od samego jej istnienia. Są to dwie przeciwstawne postawy i dwie przeciwstawne filozofie polityczne, które określają najistotniejsze linie podziału.

W tym wymiarze ująć można i to wszystko, co sprawia, że trwa i odradza się to uparte dążenie do zachowania własnej tożsamości, do rozszerzania sfery wolności, społeczeństwa do bycia podmiotem, narodu do suwerenności. Ta zasadnicza aspiracja nie przestała nigdy istnieć, a dziś jest silniejsza niż wczoraj. Podtrzymała ją kultura i Kościół. Wyrażała się ona w postawie młodzieży i robotników, w rewindykacjach odnoszących się do spraw ekonomicznych czy religijnych; w warunkach w których żyjemy, nie ma bowiem rewindykacji społecznych, u źródeł których nie leżałaby sprawa respektu dla praw społeczeństwa i człowieka.

I żyje w tym także przeszłość; żyje w wartościach, których wymagają nowe sytuacje. Dzieje ostatnich 200 lat, które tak wpłynęły na kształt polskiej świadomości, zostawiły nam silnie zakorzenione poczucie, że historia podlega osądowi moralnemu, że bez tej świadomości wszystko się zawala, bo wszystko może być usprawiedliwione, że zatem zmysł etyczny społeczeństwa należy do jego wartości podstawowych, stanowi jego siłę i ochronną, i twórczą, którą musi ono umieć w sobie zachować.

Odnowiło się pytanie, co to są konieczności historii i ile znaczą w nich ten zmysł etyczny społeczeństwa; jaką wagę mają imponderabilia w społeczeństwie, które nie chce się wyzbyć wpływu na swój los zbiorowy; jakie znaczenie ma ocalenie wewnętrznej wolności człowieka nie tylko w ciszy jego prywatności; ale jako wartość społeczna. I czym jest ta wartość w życiu społeczeństw? Czym jest historia wolności, czym jest wolność? Uświadomioną koniecznością? Czy może podtrzymywaniem nadziei wbrew nadziei? Ocalaniem czegoś istotnego w sobie i w społeczeństwie. Upartym przetwarzaniem tego w kreatywną siłę historii, pokonującą jej przedtem nieprzekraczalny determinizm.

Spółeczeństwo, które pozwoli zniszczyć w sobie do końca zdolność uruchamiania tej siły, płynącej z jego największych wewnętrznych zasobów, zbliża się niebezpiecznie do granicy zatraty swej tożsamości. Taki jest z naszych dziejów płynący niepokój. A już całkiem współcześnie nabyliśmy wiedzy, że nic nie zostanie nam dane z góry, że absolutyzm oświecony socjalizmu jest złudnym ognikiem; wszystko lub prawie wszystko zależy od siły społeczeństwa, od jego wartości duchowej, od jego mądrości i w rewindykowaniu praw człowieka i praw narodu.

A obok tych wielkich spraw i pytań są także pytania konkretyzujące się w zwykłych, codziennych sytuacjach życiowych, pytania odnoszące się do wyboru między godnością a karierą, między uczciwością a konformizmem, między prawdą rzeczywistą a prawdą oficjalną, między solidarnością z innymi a wygodą i poczuciem osobistego bezpieczeństwa, między odpowiedzialnością za spokój swego dziecka i odpowiedzialnością za to, by i ono umiało się narazić za prawdę, solidarność i godność. Czasem są to wielkie ryzyka, czasem nieznaczne; zawsze uciążliwe i w sumie nаноszące na całe życie społeczne jakby mól, z którego biorą się schorzenia, niepokoje, stressy i który - nawet nam Polakom, przyzwyczajonym do odgrywania się za to w mówieniu - dolega i ciąży jak oś, co pęta nogi, nie pozwala swobodnie się poruszać, daje poczucie nijakości, skrępowania, wymierzania z łaski rzeczy, o których Qobrze wiemy, że się nam należą.

I są także pytanie szczególne chrześcijanina: o świadectwo swojej wiary, o jego cenę; o sposób wyjścia poza mistyfikację swoistego pojmowania religii jako sprawy prywatnej, które pod pozorem, iż wiara jest sprawą osobistej decyzji człowieka, spycha ją do zakrystii, ruguje z obszarów upowszechnianej masowo kultury; pytania także o miejsce, jakie w historii ludzkiej wolności ma wolność religijna; o to też, czym jest dziś solidarność ludzka i chrześcijańska zarazem.

Wszystkie te pytania, zarówno należące do wielkiej historii, jak i pytania historii małej, rozstrzygające się w czterech ścianach ludzkich mieszkań, są pytaniami dręczącymi. Dręczące są nie tylko wielkie uciski, lecz i tępa, skazana na bezsilność szarzyzna.

I jedno i drugie są pytaniami teraźniejszości. Pytaniami naszymi i nie tylko naszymi; pytaniami ludzkiego losu w "drugim świecie".

Nie sądzimy, żeby z wyborem Polaka na papieża, z wyborem człowieka, który ten "drugi świat" zna i który sam dzielił jego udreki i nadzieje - ciężar tych pytań stał się dla nas od razu lżejszy, ani tym bardziej, aby pytania te przestały istnieć. Ale zaczęliśmy wierzyć, że zostaną one usłyszane; że wejdą i w zbiorowe doświadczenie chrześcijaństwa, i w obieg uniwersalnej ludzkiej kultury.

Kazimierz Brandys

M I E Ś I A C E

październik 1978

Był to okres jałowy. Nie pusty, bo wiele się w nim działo, lecz pod względem pracy jałowy. Od piętnastu miesięcy nie piszę. Z wyjątkiem opowiadania, które musiałem przerwać, nie napisałem przez ten czas ani jednej linijki. W czerwcu 77 ukończyłem "Rondo", od października do maja byłem za granicą, Paryż: choroba i szpital. Berlin: choroba i szpital. Warszawa: szpital i operacja.

Nie ja byłem pacjentem. Chorował kto inny, ja przez cały ten czas fizycznie czułem się dobrze. Przeżywałem jednak katastrofę zniszczenia wspólnego życia. Tryb dnia i pory nocy, obyczaje codzienności, terminy kalendarza, posiłki i sen, wszystko wyleciało w powietrze od razu, od jednej eksplozji. Choroba jak wybuch wojny, rozwała konstrukcję czasu, porządek rzeczywistości i myśli. Z tą jedynie różnicą, że wojna jest katastrofą powszechną, choroba natomiast wybiera jednostkę niejako przez upatrzenie i robi z nią to samo, ale pokatnie, na boku. Dodajmy obcość, nie swój język i mniej ścisłe związki z otoczeniem. Pokonując codziennie przestrzeń między domem a szpitalem czułem się obiektem wybranym dla zagrożeń. Za każdym razem mogła mnie trafić bomba i nie uwalniała od tego nawet noc, bo telefon mógł mnie także zbombardować. Nie umawiając się, oboje z M. wpadliśmy na to porównanie choroby z wojną. - Wystrzeliło do nas z dużej armaty - powiedziała mi któregoś dnia.

Wszystko to zdawałoby się wystarczająco tłumaczyć długą przerwę w pisaniu. Wiedziałem jednak, że są jeszcze inne okoliczności, które uniemożliwiają mi pracę, i że te inne okoliczności nie prędko ustaną. Podróż, choroba i wynikające z niej obowiązki były dla mnie pretekstem do samousprawiedliwienia, wielomiesięcznym alibi, jakim mogłem przed sobą się wylegitymować. Ale miałem jasną świadomość, że gdy moje alibi się skończy, stan rzeczy przez to się nie zmieni i nadal będę niezdolny do pracy. Zdawałem sobie również sprawę z tego, że dopiero z chwilą odpadnięcia przeszkód znajdę się w prawdziwym zagrożeniu, nie faktami zewnętrznymi, lecz wewnętrzną próżnią.

Byłem na to od dawna przygotowany. Takie okresy przymusowej nieproduktywności następowały zawsze po ukończeniu większej pracy, a nieraz przed jej ukończeniem, w trakcie pisania. Z upływem lat jest mi coraz trudniej znosić tę jałowość i jeśli z początku mnie zaskakiwała, to czasem potrafiłem ją z góry przewidywać, wiedząc, że musi nadejść. Najrozsadniej byłoby się do tego przyzwyczaić. O tym jednakże nie ma mowy, wytrzymuję ją z roku na rok gorzej. Jest to stan psychofizyczny, który można by określić jako subdepresję - gdyby nazwa cokolwiek tu rozwiązywała - albo jako stan nie bycia. Wolę to drugie określenie, ono więcej tłumaczy. Przerwy w pisarskiej egzystencji podobne są do zapaści, przeżywa się je z pustą, jakby wysaną głową. Od normalnego pisarskiego życia one się różnią mniej więcej tak, jak pełzanie od chodzenia. Konieczne czynności i zajęcia wykonuje się żałosną resztą sił, z uczuciem hańbiącej niemocy i poniżeniem galernika. W głowie, w rękach, w nogach ciąży pytańnik: po co? Dopiero po przekroczeniu środka dnia następuje poprawa. Zbliża się noc. Noc przynosi ulgę, za-

pewne dlatego, że sen jest zwalnieniem z przymusu jawy, we śnie znikają obowiązki i cele, śpi się bez odpowiedzialności. W tych złych miesiącach sny bywają ładne, spokojne i nieraz zasypia się z przebkyskiem zaciekawienia tym, co przydarzy się we śnie. Przypominam sobie pewien niedawny sen. Telefonowałem z poczty w jakimśdalekowshodnim miasteczku, był to ubogi, prymitywny budynek z niechlujną izłą, której okno dawało widok na ośnieżone szczyty. Dzwoniłem do Warszawy, do niej. Wokółem z kabiny, żeby się o mnie nie martwiła, bo moje kłopoty minęły, mam już zajęcie: jestem górskim koniem i pracuję dla przemytników, których przenoszę przez granicę na drugą stronę gór. W radosnym wzruszeniu komunikowałem jej o tym, przez telefon.

Ale wyjście ze snu w tych okresach jest szczególnie ciężkie. Już nad ramię w późnie występują zmyry. Nie są to zmyry fantastyczne. Grozą atakuje każde skojarzenie czy obraz. Deseń, stół, epizod sprzed lat, słowo lub figura geometryczna dławia niedorzecznością. Jest w tym coś złowieszczonego. Chciałoby się znów zasnąć, cofnąć się w głąb, w urwaną, lepszą rzeczywistość. Sen staje się wówczas prawdziwym i miłszym życiem, niż to, do którego się wraca i które już od świtu nęka trwożą. A przypuszczalnie wszystkie te straszdyka rodzą się z lęku organizmu. Bardzo możliwe, że nadramne koszmary są symbolami jednej obawy, jednej grozy, od której chroni pisanie, a która dobiega się do mnie w miesiącach bezczynności. Widocznie pozostaje w bliższych stosunkach ze śmiercią, niżby się zdawało.

Dałoby się to potraktować z odrobiną humoru, a co najmniej z dystansem, skoro podobne upadki ducha przeżywa i przeżywało tylu innych ludzi. W dodatku cechuje je zmienność. Wystarczy chwilowy przypływ treści, pomysł, przelotny zarys, aby odzyskać wiarę w siebie i poczucie sensu. I wtedy od razu traci się zrozumienie własnych cierpień, do tego stopnia, że nie sposób ich sobie przypomnieć.

Moja codzienna droga do szpitala prowadziła wzdłuż prawego skrzydła Pałacu Inwalidów. Później, w czasie rekonwalescencji, oboziliśmy na spacerach do Tiergartenu, gdzie w alejach stały posągi z Nibelungów, a wokół nich biegali w gimnastycznych dresach zażywni starsi panowie, którym przymierzałem zielonoszare hełmy. W Warszawie jadąc do szpitala codziennie okrążałem Pomnik Lotnika. Ponieważ nie zawsze mogłem przestrzegać godzin wyznaczonych na odwiedzin pacjentów, pewnego razu zatrzymał mnie woźny w uniformie. Ale byłem od dawna zmobilizowany i, jak to na wojnie, gotów do błyskawicznej obrony. - Doktor Brandys do docenta Szczerbana - rzuciłem mu w przejściu. Wtedy bez słowa mnie przepuścił.

Joanna Schopenhauer, matka filozofa, urodziła się w Gdańsku w roku 1766. Nie dawno przeczytałem jej wspomnienia pisane w starości. Była przyjaciółką Goethego, literatka, jej dom w Weimarze uchodził za salon intelektualny. Opisując swoje dziecięce lata w Gdańsku często mówi o Polsce. Mówi z sentymentem, z przywiązaniem. Pierwszy rozbiór Polski wspomina jak kataklizm. Gdańsk, anektowany przez Prusy, został wówczas odcięty od swych życiodajnych źródeł, od polskiego zboża, którego przywóz spadł do jednej piątej. Pani Schopenhauer nienawidzi Prus jako republikanka i obywatelka Wolnego Miasta, zmilitaryzowany absolutyzm budzi w niej odrazę. Wielokrotnie podkreśla swoją sympatię dla Polaków, podziwiając zarówno szlachecką fantazję, jak naiwność i prostotę ludu. Czyta się te stronicie ze wzruszeniem. Gdańsk był częścią Zachodu powiązaną z Polską realnymi interesami, a jednocześnie okiem Zachodu patrzącym na nią z bliska od kilkuset lat. W rozsypującym się kolosie Rzeczypospolitej musiało coś fascynować gdańskich kupców; po targach i buntach w przeszłości jak gdyby nagle zrozumieli, że wraz z Polską ginie w Europie niedoceniona wartość. Matka Artura Schopenhauera była osobą postępową, oświeconego mieszczaństwa, które przywitało zburzenie Bastylji wybuchem entuzjazmu. Co ją pociągnęło w szlacheckiej Rzeczypospolitej? Najpewniej wyobrażenie egzotycznej demokracji z obieralnym królem, demokracji w barwnych wschodnich strojach (które z upodobaniem opisuje) i o zagodnych obyczajach. Serdecznie, dobrotliwie przedstawia wylanych flisaków płynących szcudami ze zbożem do Gdańska. Są to dla niej istoty niewinne, proste i szczęśliwe. Nazywa ich "Szymkami". Ci nadwiślańscy inżynierzy chodzą po Długim Targu sprzedając gliniane garnki, ufnie, weseli, pijani. Szczęśliwi, bo nieświadomi swej biedy. Pamiętnikarka lituje się nad nimi, mając zarazem pewność, że nic złego jej od nich nie spotka. Królewska republika Sarmatów w tureckich kostiumach wychowała na swojej równinie lud podobny do dzieci. Takie wyobrażenie Rzeczypospolitej przetrwało dość długo na Zachodzie. W niew-

wiele lat później Michelet nazwie Polskę wielkim, spokojnym krajem, gdzie podróżni czuli się bezpiecznie nawet w lasach.

Panią Joannę Schopenhauer, gdyby żyła dzisiaj na Zachodzie, uznalibyśmy za lewicującą intelektualistkę z zamożnej rodziny. Była przekonaną demokratką, jedną z tych, co zasadzały symboliczne drzewa wolności w niemieckich miasteczkach na wieść o rewolucji w Paryżu. Samowola tkuma w początkowym okresie, wieszanie na latarniach, pierwsze ofiary ulicznych samosądów - nowiny te przyjmowano w jej najbliższym otoczeniu ze smutkiem, widząc w nich jednak konieczną cenę, jaką się płaci za wolność. Sama to przyznaje. Opowiada, że szok nastąpił po ścieciu rodziny królewskiej. W 1788 była w Wersalu, oglądała w dniu imienin króla uroczyste przejście orszaku dworskiego przez zamkowe pokoje. Opisuje to po pięćdziesięciu latach jak zjawę na okultystycznym seansie. Twierdzi, że wskutek oszołomienia prawie nic nie zdążyła zobaczyć. Ale zobaczyła i opisała. Ta relacja z jej wspomnień najbardziej zapada w pamięć, tylko polskich Szymków-flisaków umiała tak widzialnie pokazać. Wspomina, iż wschodnie zapachy poprzedzały zbliżający się orszak, blask drogich kamieni i haftów ośniewał oczy. Opisuje króla, jego niezgrabną, tęgą postać i chwiejny, jakby bojaźliwy krok. Bracia królewscy jej zdaniem przedstawiali się znazomie dołgotniej, wszystkich zaś przyćmiewał książę Orleanu swą wysoką, prawdziwie majestatyczną postawą i pięknymi rysami twarzy. Któż mógł w nim wówczas odgadnąć - pisze, jeszcze po latach wstrząśnięta - tego potwora, tego straszliwego Egalité, który zwiąże się z najniższym pospółstwem, a ono gardząc nim i nienawidząc będzie go wlec z jednego więzienia do drugiego i wreszcie pod gilotynę... Najwięcej miejsca poświęca pani Schopenhauer królowej Marii Antoninie. Opowiada, jak wyglądała. Wysmukła i wysoka, o harmonijnej budowie ciała, niesłychanie powabna w spojrzeniu i ruchach, pełna godności. Jasnowłosa, oślepiąco biała o kształtnym owalu twarzy, niebieskich, promienistych oczach i lekko zgiętym orlim nosie. Paryżanie mówili, że ma ryże włosy, trudno to było jednak rozstrzygnąć gdyż brązowy puder a la marechal, jakiego używała, nadawał włosom odcień ryżawy, bez względu na ich barwę - utrzymuje pani Schopenhauer. Poczym kreśli ze współczuciem obrazek dzieci królewskich: "Na wielkim tarasie przed zamkiem siedział w dzieciennym wózku mały, śmiejący się chłopiec, a około ośmiu lat licząca, nieco blada dziewczynka trzymała go za rączkę i patrzyła spokojnymi, przyjaznymi oczyma na barwny, ruchliwy świat, który ich otaczał. Chłopcem tym był Delfin, najniewinniejszy baranek swoich czasów".

Tę część swych wspomnień matka filozofa zamyka poetyzowaną refleksją, którą można by wyłożyć w takich słowach: "Czas skazuje na niebyt całe pokolenia. Być nie mieć przed oczami zmarłych przodków, bogowie usuwają wnuków w cienie zapomnienia".

Tak więc stara kobieta, wspominając swoje dzieciństwo i młodość ogląda je jak korowód duchów unoszących się w zaświatach. Czarno ubrani kaznodzieje i wirne piastunki, patriarchalni, srebrnokrodzi Żydzi w sobolach, polscy wielmoże o podgolonych głowach, weseli flisacy obwieszeni glinianymi wyrobami, surowi menonici - płyną w obłokach jej pamięci wraz z białą Marią Antoniną i niepewnie stąpającym Ludwikiem XVI. W przestworzach czasu, który minął, wszystko jest pomieszane i zrównane, przeszłość sunie pochodem widm.

Takie lektury urzekają. Tajemnica, w którą jesteśmy wpatrzeni, kryje się w czasie, lecz jedyne, co odczuwamy, to bezsilna pewność, że czas zmierza przeciw naszemu istnieniu. Od początku to czułem. Nigdy nie przerażała mnie odległość, ani na lądzie, ani na morzu, zawsze się bałem czasu. Dość szybko spostrzegłem, że to on wszystko unicestwia i że śmierć w nim jest ukryta, w jego złowrogim, cichym dziele przemieniania ciała i uczuć, wszelkiej materii, każdego świata. Agorafobia, choroba lęku przestrzeni, jest powszechnie znana, ale nie zdarzyło mi się usłyszeć o kimś cierpiącym na chronofobię, na lęk czasu. Iluż ludzi ukrywa tę chorobę, ilu przygląda ją w sobie, zagadując grozę przemijania...

Zabijając czas to jedno z najmądrzejszych powiedzeń ludzkości. Zabijając czas odwracam moją uwagę od tego, że czas mnie zabija, jeśli nie mam nic do zabicia czasu, czas mnie zabije wcześniej i okrutniej. Być może dlatego tak wyczerpują mnie ciężkie okresy bezczynności. Zmory i widziadła wydobywające się z pustki są sygnałami nicości, od której nie umiem się zbawić inaczej, jak tylko wysiłkiem pisania. Ten, kto pierwszy powiedział: "piszę dla wieczności", byłby bliższy swej wewnętrznej prawdy mówiąc: "piszę przeciw nicości". Tym słowem, tym pojęciem zastępujemy w sobie wieczność, jak gdyby łatwiej było nam żyć w trwodze niż w nadziei. Co daje się zrozumieć, bo w ludzkim umyśle czas jest skończony, zamyka go niebyt, w czym utwierdza nas wiedza o śmierci. Wieczność natomiast nie znajduje potwierdzeń w bycie do-

czesnym, w znakach natury czy historii. Nie objawia się nam w organizmach, faktach, w języku - w życiu. Za każdym razem, kiedy mówimy nigdy, w istocie mamy na myśli: do końca, do śmierci. Zdawałoby się więc, że gdy mówimy zawsze, powinno to oznaczać: na wieczność, w nieskończoność. Ale tak nie jest. Zawsze również znaczy dla nas to samo: do śmierci, do końca. Koniec i nicosć są bliższe ludzkiemu doświadczeniu niż nieskończoność i wieczność.

Krótko po przeczytaniu książki wspomnień pani Schopenhauer spędziłem pół dnia w Gdańsku. Przyjechaliśmy z Sopotu. Pogoda nie dopisywała, wiatry, deszcze, chodzenie się w swetrach i płaszczach. Poprzedniego dnia zrezygnowałem z dalszej pracy nad opowiadaniem. Czułem się jak oszukany, porzucony człowiek, któremu zostało kino i przechadzki. W Gdańsku kupiliśmy jesionkę (za długą, źle na mnie leżała), a później poszliśmy oglądać dawne centrum miasta.

Wszystkie odbudowane dzielnice zabłykowe mają urodę cudu, jaką potrafi dać tylko rekonstrukcja. Ciągi wąskich kamienic, sporo jasnych tynków odbijających światło (Gdańsk nie był taki ciemny), domy o wytwornym rysunku starych sztychów, jakby od stuleci nietknięte; miedziane rynny o zwierzęcych paszczach wyszczerzały się z kamiennych przedproży, zawieszane kraty, rzeźby, balustrady, insygnia i herby kupieckie, misterna kowalszczyzna baroku, rytm okien i dachów, wszystko nieskazitelnie odtworzone z zachwycającą dbałością o szczegół i całość. Szedłem traktem Joanny Schopenhauer jak przez pustą scenę, na której stoją dekoracje po odegraniu sztuki i zejściu aktorów. W szarym powietrzu mżyło, podrywał się zachodni wiatr. Orszak zmarłych wstałych domów przepuszczał w ciszy nasze kroki. Środkiem ulicy między fasadami prowadzono szkolną wycieczkę. Nie było wielu przechodniów, dwa zwinięte parasole tkwiły samotnie przed czymś, co oznaczało zapewne winiarnię. Mężczyzna o wyglądzie bezrobotnego cyrkowca, z ogromnym podhalańskim owczarkiem w uprzęży, stał wśród przeciągów na turystycznym szlaku. Mogłem się sfotografować z białym górskim psem na przedprożu kamienicy pani Schopenhauer. Mogłem wypić flaszkę piwa pod obwisłym parasolem albo wejść po schodkach i kupić sobie okręcik z bursztynu. Po obu stronach wszędzie okna zamknięte, nie patrzą z nich niczyje oczy. Gdyby tu mieszkały duże woskowe lalki, pomyślałbym, że są na swoim miejscu. Na tej ulicy nie ma ludzkich sąsiedztw, nie faluje w niej wielojęzyczny tłum, nie ma przekupniów, matron, snycerzy, patriarchów i czarnoksiężników. Włóczyły się tylko gromadki zmęczonych, rozchełstanych chłopców w kurtkach i jeansach - chłopców o wiejskich twarzach. Przyszło mi do głowy, że umarły świat gdańskiej młodości pani Schopenhauer, ów szacowny, harmonijny obraz życia, nasycony kształtami i światłem, zostawił tu po sobie ślad pośmiertny, nieco ironiczny. W rysach walęśających się chłopców i dzieci drepczących z wycieczką pani Schopenhauer rozpoznałaby twarze dawnych wiślanych flisaków, beztróskich i ufnych prostaczków, którym lubiła się przyglądać z okien swojego domu. Jakżeby się zdumiała widząc, że ci weseli, poczciwi Szymkowie, którzy nie sadzili nigdzie drzew wolności, że te bydłatka boże, ci dobrzy, pijani półkultury, na bieżąco przez wieki następców, reprodukując się i mnożąc, w końcu opamowali jej stary ojczysty port.

Idąc granitowym chodnikiem, obstawiony z dwóch stron przez polichromowane zjawy przeszłości, poczułem silny napad chrońofobii. Zaczęło mnie coś straszyć. Nagła myśl, że mnie nigdy tak nie odbudują... że moje ciało i kości, podobnie jak cielesność pani Schopenhauer, są niemożliwe do zrekonstruowania i jakiś czas tylko będą się jeszcze unosili w eterze czyjejs pamięci... Chciałem już odejść, zawrócić. I wtedy stała się rzecz taka. Zauważyłem, że przygląda mi się jakiś człowiek. Tknęło mnie wrażenie, że chyba go znam, był trochę podobny do pewnego sympatycznego tłumacza, alpinisty, z którym parę lat temu spędziłem lato w górach. Ale oczywiście nie mógł nim być, przeczyła temu podejrzeniu szklistość cery, żółte sterczące uszy pod zbyt luźnym beretem, a nade wszystko przekamanie sylwetki i wychudłość, trupie obświecenie, podparte laską z gumowym końcem, którą ścisnął w rękę. Nie miałem jednak zupełnej pewności: może to on? Tym bardziej, że mi się przypatrywał, jakos zarazem szczerze i ciekawie. Po czym zwolna ruszył w moją stronę, ciągnąc za sobą nogę, rękę, laskę i zbliżając się ku mnie z niesamowicie znajomym uśmiechem. W ostatniej sekundzie zdążyłem ukryć przerażenie: to był on, jego szczątek, zdrobniak, biedna reszka. Stał już przede mną. - Przepraszam - powiedział - z początku nie mogłem poznać. Pan się bardzo zmienił.

"Przede wszystkim, niemal z każdej stronicy jego dzieł bije przeświadczenie, że filozofia ma do objawienia prawdy niezwyklej wagi. Człowiek ma nie tylko potrzeby fizyczne: do jego właściwości przyrodzonych należy również odczuwanie potrzeby metafizycznej, tj. niepoprzestawanie na wiedzy o relacjach, lecz dążenie do poznania istoty rzeczy. Aby nie zagubić się w otaczającym świecie, człowiek potrzebuje basoli w postaci jakiejś prawdy bezwzględnej, a tymczasem nauki dostarczają mu jedynie wiedzy relatywnej. Tę potrzebę metafizyczną zaspokajała dawniej religia. Ale od czasu gdy Kant wykazał nicosć dotychczasowych dowodów istnienia Boga, ale ponadto jeszcze zasadniczą niemożliwość przeprowadzenia takiego dowodu, religia jako podstawa stosunku do świata jest dla człowieka światłego nie do przyjęcia. Dziedzictwo po niej należy do filozofii. Człowiekowi, któremu odebrano ostatecznie wiarę w Opatrzność czuwającą nad światem, w nadprzyrodzony rozum, posługujący się śmiercią i cierpieniem dla siebie tylko znanych, wyższych celów, filozofia ma odpowiedzieć na pytanie o sens życia. Jeśli nie sprostą temu zadaniu, wszelki porządek moralny rozpadnie się jak domek z kart i człowiek okaże się wobec świata zupełnie bezbrony, skazany na nieustający lęk przed cierpieniem, którego uniknąć nie może, z widmem nieuchronnej śmierci przed oczyma. Wobec bankructwa religii tylko filozofia może go uratować przed rozpaczą".

To pisze Jan Garewicz w swojej książce o Schopenhauerze. Pamiętnik matki wzbudził we mnie sentyment do syna, tak się niekiedy dzieje z lekturami. Moje pętki nie uginają się od dzieł filozoficznych, poszedłem więc do biblioteki i wybrałem z katalogu tom zatytułowany Schopenhauer. Była to właśnie książka Garewicza. Szczerze mówiąc, kierowała mnie nie tyle chęć poznania myśli niemieckiego filozofa, co zaciekawienie jego rodzinnym domem. Jaki wpływ na niego wywarła ta bystra i żywotna kobieta, jak wzrastał i dojrzewał pod jej rozumnym okiem i czy spełniła ważną rolę w jego życiu. Do pani Schopenhauer czułem już przywiązanie, stała mi się sympatyczna i bliska. Zapragnąłem czegoś więcej ponad to, co sama opowiada o sobie. Czym była ta matka dla syna, jak ją widział i utrwalił w pamięci, ile jej zawdzięczał... Otóż spotkało mnie rozczarowanie. Zerwał z nią, uciekł, napisał list i już nigdy nie zobaczyli się. Nie mógł jej darować związku z pewnym mężczyzną. Pani Schopenhauer, radozyni dworu, mieszkała wówczas w Weimarze żyjąc od lat we wdowieństwie.

Lektury także mają swoje losy. Pamiętnik matki czytałem dla uspokojenia, chcąc się oderwać od siebie, od napastujących mnie złych duchów samotności. Po czym, aby przedłużyć lecznicze działanie miłego toku jej narracji, już przynęcony i wciągnięty, trafiłem do syna. A syn raptem przesywa mnie na wylot, wskazując palcem źródło moich wstydliwych klęsk, od których szukałem ucieczki w opowieści matki. I powiada mi tak: "Pana strapienia nie płyną z trwogi biologicznej, którą nazwał pan lekkim czasem, lecz z niewiary w Opatrzność: nie ma pan Boga. Może Go zastąpić filozoficzne poznanie: nie ma pan filozofii. Nie ma w panu nic, co chroni przed rozpaczą i myślą o śmierci. Przewidziałem to sto lat temu".

Na co z kolei ja mógłbym powiedzieć: "O tym, co przewidział pan sto lat temu, dzisiaj piszą dziennikarze. Poczucie bezsensu i rozpacz, utrata wewnętrznej tożsamości, zwątpienie i niewiedza o Istocie Rzeczy weszyły w naszą potoczną świadomość. Mówi się o nich tak często, że brzmią już trochę komicznie. Nie przewidział pan jedynie tego, że filozofia nie spełni pańskich oczekiwań. Odwróciła wzrok od tajemnicy bytu i zajęła się innymi sprawami. Stało się więc najgorsze, przed czym pan ostrzegał. Wszyscy są bezbroni wobec świata, skazani na trwogę i ból. Ale skoro wszyscy o tym wiemy, jeżeli każdy czuje się zatruty własną i międzyludzką świadomością, czy to nie oznacza początku oczyszczenia? Może właśnie aby się odtrucić z wsączonych w moją świadomość spalin tych wyobrażeń i słów, usiłuję je zastąpić innymi - brak nadziei i egzystencjalna rozpacz biologicznym lekiem przemijania. Jest w nich mniej rezygnacji. Bo przede wszystkim nie chcę rezygnować i nie wydaje mi się oczywiste pana założenie, że wiara w Opatrzność jako podstawa stosunku do świata jest niemożliwa do przyjęcia dla człowieka myślącego".

Wiara w Opatrzność? W moim świeckim języku wyraziłbym się innymi słowami. Wewnętrzna pewność, że poza bytem doczesnym istnieje prawo najwyższe i wartość jedyna, w których zawiera się cel ludzkiego życia, uzasadniają cierpienie i śmierć. W owym stanie wewnętrznej pewności żyło miliony ludzi, łączyli się ze sobą tworząc religie i kościoły, modląc się w nich, ginąc za nie, nawracając innych. Używam tu czasu przeszłego. A dzisiaj? Dziś również żyje wielu takich ludzi. Mówiąc jednak

"wiara, religia, kościół", mamy dzisiaj na myśli religie i kościoły, które wiążemy z pojęciem religii i kościoła wytworzonym w nas przez kulturę. Wiara, kościołem jest dla nas to, co tradycja określa jako wiarę i kościół. Religią nazywamy religię "z przeszłością".

Na Boga, dlaczego? Nasza epoka aż huzy od nowych religii, kłębiących się wśród starych kościołów, w tłoku, w namiętej wrzawie, w dyskusjach i ogniu wystrzałów. Są już męczennicy nowych wiar, są całopalenia, kłatwy, apostołaty... są fanatyczni kaznodzieje i okrutni mnisi. Przetrzymajmy oczy: religia jest b l i ż e j. Pomyślmy tylko, kastańomy się; co w naszych czasach jest religią i czy dym z jej płomieni musi być dymem świeczników. Ależ słyszymy, czytamy: schodzą do katakumb, do więzień, rozszarpują się o dogmaty, giną za swoją wiarę lub zabijają się dla niej. Walczą piśmem i słowem, z imionami swych świętych na ustach. Kto? Jacyś młodzi ludzie, dziewczyny, nieraz dzieci prawie. Bici i torturowani. Albo mordujący i torturujący. A czasem jedno i drugie.

Współczesny świat nie należy do epok Rozumu, miota nim pragnienie ^{Wiały}. Mnie, laika żyjącego poza kościołami, moja epoka postarza, czuję się w niej anachroniczny, niekiedy obcy i zbędny. Tym bardziej że zwykle odczuwałem niechęć do typu człowieka i rodzaju życia wyrażającego się poprzez religię. Byłem studentem, kiedy przystanąłem przed schodami wiekowej świątyni, namyślając się: zawrócić czy wejść? I wszedłem. Socjalizm nie był dla mnie wyznaniem wiary dogmatycznej - wszedłem, ponieważ walczyłem z wrogim mi, barbarzyńskim kościołem, z faszyzmem. Jego XIX-wieczna przeszłość budziła szacunek, pociągała mnie legenda, żywotami bohaterów, napięciem etycznym. A także skromną liturgią i prostą obyczajowością. Stół, krzesła, mównica, dyskusja. Więc jednak: nie wyznając dogmatów, miałem już Ewangelię. Dziś myślę o tym bez ironii. Ani mi w głowie umniejszać znaczenie socjalizmu w moim życiu. I nie tylko w moim życiu. W historii, kulturze. Jeslibym miał wymienić najważniejsze zjawiska w dziejach naszej ery, powiedziałbym: Kościół Rzymski, Reformacja, Socjalizm. Dodałbym jeszcze, że jest to trójca historyczna zakreślająca moje pojęcie Chrześcijaństwa.

Więc mówiąc "kościół" używam tego słowa w rozszerzonym znaczeniu. Obejmuje nim również zakony ideologiczne i zorganizowane religie państwowe. Powszechny Kościół Katolicki wypełnia dziś swoje posłannictwo w świecie terroryzowanym przez nowe inkwizycje i krucjaty. Kościoły anarchizmu i nacjonalizmu zabijają ludzi. Kościoły państw totalitarnych uśmiercają życie. Próbę tortur stosują jedne i drugie. Jedne i drugie mają swoich wiernych i niewiernych. Społeczną świadomość zdaje się wyczuwać ów religijny charakter współczesności. Protestujących demokratów w krajach wschodniej Europy nie przypadkiem nazwano dysydentami.

Dwaj młodzi niemieccy pastory wyrazili swój sprzeciw wobec rządów przymusu i narzuconych przez państwowe Oficjum w NRD. Spłonęli żywem, dobrowolnie. Stawiam sobie pytanie, jakiej religii, któremu z kościołów należy przypisać ten akt najwyższego samopoświęcenia. Ewangelicko-reformowanemu? kalwińskiemu? A może byli baptytami?

Myślę, że to nie jest istotne. Przypuszczalnie wyznawali tę samą wiarę, dla której dziesięć lat przed nimi na Vaclavskich Namesti spłonął Palach. Stare chrześcijańskie religie dbają dziś o rozsądne leczenie zła atakującego ludzką wspólnotę, zaznaczają swój rozumny udział we wszystkich dziedzinach jej życia, głoszą cnoty społeczne, obywatelskie i humanitarne, bronią swych wiernych przed pazurami tyranii politycznej - obłaskawiają bestię, Ogniem świętego szaleństwa dawne kościoły przestały już płonąć. W jakim obrządku chrzczony był Palach, katolik, marksista czy protestant, nie wiem, nie usiłowałem się dowiedzieć. Jego czyn miał dostateczną jasność. Spełnił go jako wierzący odnowionego kościoła wolności. Ale zarówno Czech Palach, jak dwaj Niemcy, pastory musieli silnie odczuwać nadprzyrodzoną pewność istnienia wartości absolutnych, uzasadniających sens ich śmierci. A więc jak to... nie wiara w Opatrzność? brak Prawdy Bezwzględnej? Genialny syn radczyni Schopenhauer nie wszystko dokładnie wywróżył sto lat temu. Zignorował przemieną naturę życia.

Nie ma złotej jesieni w tym roku, wciąż chłodna szarość i deszcze, i ogonki w sklepach. O 7-ej rano musiałem pojechać na Wolę. Taksówkarz, gęba sympatycznie pomura, spytał mnie, czy oglądam "godzinę dobrobytu". - Co? - nie zrozumiałem. Miał

na myśli wieczorny dziennik Telewizji. Uśmiechnąłem się, On się nie uśmiechnął.

Przez dwa wieczory nie oglądałem dziennika TV. Zacząłem, a właściwie próbowałem czytać "Listy" Stanisławy Przybyszewskiej. Także mieszkała w Gdańsku. Pięćsetstronicowy tom, od którego w końcu odpadłem, jak od cudzego nieszczęścia. Nie ma rady, tylko współczucie i bezsilność. W tej gorączce słów, trafiłem na kilka oskubających zdań. Kochała Robespiera. Gardziła Żyrodystami, nienawidziła Dantona, ale kochała Robespiera. Stanowił dla niej ideał "równowagi i harmonii", u siebie nie piękna. Kobieta zakochana w gilotynie! Dalej jakoś nie mogłem czytać, odłożyłem biedaczkę na stolik i wziąłem do przejrzenia brulion z moimi zapiskami. Czysztym przypadkiem wśród starych notatek znalazłem taką uwagę, nie mam pojęcia, własną czy zacytowaną: "Robespierre Kochał wolność całym sobą. W innych kochał równość".

Później jeszcze raz przeczytałem ostatnie kartki, z refleksjami po schopenhauerskich lekturach, to dopiero napisane, które urwałem na śmierci Palacha.

W maju 77 piętnaście osób ogłosiło głodówkę na znak protestu przeciw uwięzieniu działaczy KOR-u. Głodówka odbywała się w warszawskim kościele św. Marcina na Piwnej. Wśród głodujących znajdowali się naukowcy, pisarze i humaniści uniwersyteccy, młode kobiety, między nimi żona robotnika, głodował też 70-letni ojciec jednego z KOR-owców. Ludzie różnych pokoleń i formacji światopoglądowych, katolicy, intelektualisci nie praktykujący żadnego z obrządków religijnych, dawni marksisci, miedawni harcerze i studentki. Ich rodowody lub osobista przeszłość sięgały do Armii Krajowej, Powstania Styczniowego, działalności polskiej lewicy i Kościoła, a także do ZMP. Był wśród nich duchowny katolicki, był również tłumacz "Kapitału" Marksa. Głodowali przez tydzień, w bocznej nawie, przyjmując jako jedyny pokarm wodę z solą. W trakcie głodówki prasa obrzucała ich oszczerstwami, nie szczędząc potwarzy ani fałszerstw. Telewizja zapowiadała niedwuznacznie proces uwięzionych członków KOR-u. Idąc Piwną mogłem obserwować czuwających w pobliżu kościoła cywilnych funkcjonariuszy o wyglądzie turystów, z lodami w wafłach dla większej naturalności. Prócz nich, rozumie się, na ulicy było pełno turystów autentycznych, którzy nie wiedzieli o niczym albo nie chcieli wiedzieć, albo po prostu interesowali się czym innym. Stare Miasto, ze swymi knajpkami, goframi, makaronem spaghetti, butikami po parysku i parówkami po kanadyjsku, z katarzyniarzem, papugą i cygańską kapelą, wchodziło w letni sezon.

Głodówka była aktem protestu i solidarności w momencie zagrożenia. Nikt nie umiałby wtedy przewidzieć, co dalej nastąpi. Aresztowania mogły lada chwila ogarnąć setki osób, proces musiałby doprowadzić do wieloletnich wyroków. Z kimkolwiek rozmawiałem, każdy w pierwszych słowach określał się wobec tego aktu. Już od dość dawna było jasne, że ruch obrony społecznej, do którego należeli głodujący, ujawnił pewne cechy w ludziach, zatarte i pokryte latami milczenia. Przemówiło teraz wielu niemych, objawili się zarówno prozelicy, jak sceptycy i indyferenci. Rozległ się też chór zaniepokojonych, którzy ostrzegali przed prowokacją: cud wydawał się im zbyt niebezpieczny, aby weń uwierzyć. Przeżywano duchowe rozdarcia, upadki, euforie...

To już była dziedzina przeżyć religijnych, wolnych od sugestii historii. Wyobrażenie Boga nie jest w takich przeżyciach konieczne, ich istotą jest podporządkowanie zmiennego czasu wiecznemu czasowi wartości. Głodujący w kościele na Piwnej wywołali w różnych ludziach tę samą myśl: czy znają jakąś wartość trwającą ponad faktami i niezależną od ich historycznego czasu. Można by się długo zastanawiać nad tym, czy istnieją ważniejsze pytania skierowane do człowieka.

Co prawda nie stawiałem tak zasadniczych pytań ani innym ludziom, ani sobie. Dopóki nie odczułem, że w wysiłku pisania zawarty jest czynnik religijny, ta sfera moich przeżyć była ograniczona, nie wykraczała poza instynktowną czujność wobec funkcjonariuszy złych poczynań. Pewne ludzkie postacie budziły we mnie silny wstręt. Jedną z nich widzę do dzisiaj niezwykle wyraźnie. Przekre widzenie - od karku, od tyłu głowy. Kiedyś wyobraziłem sobie tego diabła siedzącego okrakiem na skrzyni czy zdyku w pustej, niskiej izbie podobnej do wędzarni. Czuję niemal zapach gnijących ryb i skóry zabitych zwierząt. Mój diabeł polował i łowił. Siedział w swojej wysoko położonej norze, widziałem jego szyję podpłyniętą krwią. Na marginesach powieści o ideowych bohaterach zapisywał ołówkiem, kogo unicestwić. Dla niego - myślałem - życie jest polityczną rozgrywką, nigdy by nie uwierzył, że ktoś może w niej nie uczestniczyć. Dla niego wszyscy są podobni, to znaczy podobni do

niego. Jest przekonany, że człowiek nie posiada innych właściwości. Nie wierzy w istnienie ludzkiej etyki, zastępuje mu ją strategia polowania. Nie rozumie, czym jest psychologia, posługuje się nią tylko, jak podstępem w działaniu przeciw ludziom, których nienawidzi. I gardzi tymi, których nie musi nienawidzić. Ale co mi się najmniej podobało w tym diable: to że był lubiany przez swoje ofiary. Unieszkodliwił je poza ich plecami, nazajutrz zaś witał z gromką serdecznością, przygarniając do siebie zlikwidowanego, przytracając go do pasa rubasznym gestem łowcy. Po czym ociężałe wstępował na mównicę, by za chwilę tłumaczyć, że łagodzi zło. Którego jest autorem - dopowiadałem sobie. Przeniknąłem jego formułę działania: usuwać niewygodnych, a potem pomagać wdowom.

Był to fachowy bies, któremu wiele zawdzięczałem. Nauczył mnie rozpoznawać magiczne pułapki i kuplerskie sztuczki. Takim sprzedawano dusze najłatwiej, bez targu.

Schopenhauer... Czego on chce ode mnie? Gdybym w nic nie wierzył, sprzedałbym duszę biesom historii. Poddając się jej wyrokowi, przepisując na nią własną świadomość i los, również można uciszyć w sobie lęk czasu. Powiedziałem kiedyś: "jeśli bym mógł pisać do końca, nie bałbym się śmierci". W odpowiedzi usłyszałem, że widocznie poprzez pisanie wykupuję się z grzechu: "w tym, co piszesz, jesteś lepszym człowiekiem niż w życiu". Przyszło mi wtedy na myśl: w modlitwach ludzie także są lepsi niż w życiu... Równocześnie wyobraziłem sobie, że gdybym mógł do śmierci nie wstawać z fotela, w którym piszę, że gdybym się z niego nie ruszył ani na chwilę, żadne straszidła nie miałyby do mnie dostępu, uwolniłbym się od wszelkiego zła, z a b i ł b y m c z a s. I byłaby to jedyna możliwa dla mnie, przynajmniej do pomyślenia, forma głodówki, moja woda z solą.

listopad

Przypomniałem sobie, że nazwisko Garewicza, autora książki o Schopenhauerze, jest mi dawno znane. Mówiła o nim często Irena Krzywicka w czasie naszych pobytów w Bures-sur-Yvette. Jest, zdaje się, jej krewnym, siostrzeńcem bójdej. Ale chyba pamiętam go jeszcze z gimnazjalnych lat. Miał brata, trochę starszego, o miłej, czystość powierzchności, który pożyczył mi kiedyś farby przed lekcją rysunków. Były to cudowne zagraniczne farby w płaskim metalowym pudełku imitującym kość słoniową, wsuniętym w futerał z lśniącej zielonej skóry - farby z kolekcją niebywale czysto utrzymanych pędzli różnej cienkości i długości. Mały Garewicz pożyczył mi je uprzejmie, przyrzekł mi je oddać po lekcji. Lecz zanim się rozpoczęła, moi koledzy spostrzegli je leżące przede mną w otwartym pudełku. Ich cudzoziemska wytworność wprawiała klasę w osłupienie. Z początku wszyscy zamilkli wpatrzni w farby Garewicza, jakby zaczarowani samą możliwością piękną tak idealnego, możliwości przekraczającą wszelkie ich pojęcia, nieznaną im dotychczas i świadcząca o jakimś odległym doskonalszym bycie, o którego istnieniu dotąd nie wiedzieli. Po czym wszyscy jednocześnie rzucili się na farby Garewicza i zaczęli je niszczyć. W ciągu minuty stały się wrakiem - pokiereszowanym, zgniecionym, wydłubanym. Nie mogłem temu zapobiec, patrzyłem tylko ze zgrozą na kilku moich najlepszych kolegów nagle przemienionych w potwory: deptając farby, trzaskając nimi o ścianę byli przywódcami wściekłej zgrai ogarniętej furją niszczenia. Przerwało ją wejście nauczyciela. Do wieczora szukaliśmy z matką po całym mieście zagranicznych farb podobnych do skarbu Garewicza. Skądże, nic takiego nie istniało. Sprzedawcy wyciągali z szuflad rozmaite pudła, za każdym razem przeczyłem ponuro i wreszcie matka się zniecierpliwiła: - Musiałeś sobie wymyślić te farby! - Byłem jednak pewny, że one gdzieś są, że gdzieś można je znaleźć. Właściciel jednego ze sklepów polecił mi przyjść nazajutrz. Ale rano przed lekcjami tłuszciki, rumiany Garewicz zajrzał do naszej klasy i grzecznie upomniał się o swoją własność. Straciłem głowę, wydobyłem spod pulpitu upiorny szczałek i chciałem mu go wręczyć. Garewicz szepnął tylko: - Przepraszam, to nie są moje farby... - po czym rozplakał się. Takie epizody pamięta się przez całe życie, nieraz śnią się po dziesiątkach

lat i wywołują zdławiony jęk. Prawdopodobnie stanowiły wstępne ostrzeżenie, zapowiedź późniejszych doświadczeń. W tych drobnych faktach zawarta jest nasza przyszła wiedza o ludzkości, o ukrytym w niej pomieszaniu tęsknoty za pięknem i nienawiści do siebie - z marzeniami i rozpaczą obracanymi w nienawiść do innych. Odtąd wiadomo, czego należy się strzec. Farby Garewicza przypominały mi się często w późniejszych latach. Ilekroć w czyichś rękach zamigotało spełnienie zbiorowych marzeń, czekałem na rozpetanie się furii. Prowokacja. Od tego słowa najczęściej zaczynało się. I czyniono wszystko, aby ideał zniknął z oczu, aby przestało istnieć to nieosiągalne, za czym się tęskni, na co nie stać. Jeśli tak się dzieje w niejawnym układzie rzeczy, gdzie niebezpieczeństwo prowokacji istotnie zagraża, pogubić się bardzo łatwo. A w takim świecie żyjemy.

O farbach Garewicza pomyślałem w czasie lektury, ale nie Schopenhauera, tylko Nabokova. Kiedyś w liście do Hani Słonimskiej, wysłanym jeszcze z Berlina, napomniałem, że oprócz "Lolity" nie znam żadnej z książek tego autora, którego ceniał. Po paru miesiącach, już w Warszawie, znalazłem w skrzynce przesyłkę: "La défense Luzin". I tę "Obronę Łuzina", którą zacząłem czytać we wrześniu nad morzem, kończę dopiero od przedwczoraj, po długiej przerwie i odłożeniu "Listów" Przybyszewskiej. Dlaczego właśnie czytając Nabokova przypominałem sobie Garewicza - naturalnie dlatego, że jego młodszy brat napisał dziełko o Schopenhauerze czytane przeze mnie bezpośrednio przedtem; a pewnie i dlatego, że Nabokova przysłali mi Piotrowie Słonimscy, którzy mieszkają w Gif-sur-Yvette, tuż koło Bures, gdzie znajduje się domek Krzywickich, spokrewnionych z Garewiczem. Zresztą w trakcie lektur wiele rzeczy się przypomina. Czytanie to pewien stan psychiczny, w którym obcuje się z całym sobą, przepływ skojarzeń sięgających głęboko do podświadomości. Przy czym ów drugi nurt towarzyszy zazwyczaj lekturom, jakich nie pochłania się od razu jednym tchem (powieści kryminalne wyłączają go, mam wtedy poczucie straconego czasu: to jest tylko czytanie); jednakże lekturom niekoniecznie nudnym, często ważnym i cennym.

Czytając Nabokova myślałem o Garewiczu, o farbach jego brata, potem przypominał mi się Jap, małpka Piotrów Słonimskich, Jap prowadzony na kilkumetrowej linie przez trwanik albo siedzący na ramieniu Piotra z jego fajką w pyszczku. Był to jakiś popołudniowy spacer w Gif, szliśmy zdaje się do budynku laboratoriów C.N.R.S. i Piotr opowiadał, jak w czasie okupacji nadzorował wykonanie egzekucji na konfidencie niemieckiej policji: w zatłoczonym tramwaju przebito go długą igłą, z tyłu, pod łopatką. Profesor Piotr mówił o tym z powolnym namysłem, głośno chrząkając i unosząc jasne brwi. Czuło się, że jest urzeczony swoją poprzednią inkarnacją, która teraz chwilami jeszcze dawała o sobie znać nieruchomym, trochę nieprzytomnym błękitnieniem oka. Mówił o tych sprawach ze starannym wysiłkiem, z obiektywizmem niemal naukowym, cierpliwie dobierając słów. Pewnie tak samo wykladał genetykę swoim studentom, z takim samym chrząkaniem i namysłem. Ale potrafił też zaryzykować, a kiedy indziej lekko uśmiechnięty przyglądał się Japowi, jak gdyby więcej o nim wiedział niż my.

W tej dolinie Chevreuse, pomiędzy Paryżem a Rambouillet mieszka kilkanaście osób, które wyjechały z Polski w różnych latach i z różnych powodów. Wśród nich madame Szewczykowa, sasiadka Krzywickich. Przybyła tu najwcześniej, jeszcze przed wojną, po strajku chłopskim w 1936, w którym brał udział jej mąż. Kiedy pewnego razu zagadnąłem ją, co słychać i jak się jej powodzi, wzruszyła ramionami: - Ano, trza się debrouillować. - Pamiętam rozmaite spacery. Do dębu na Plateau Hacqui-nière i do parku w Gif, jeździliśmy także do Port-Royal. Do dębu chodziło się z Ireną Krzywicką. Dąb rósł na wzniesieniu. Kiedyś w drodze pod górę Irena powie-działa: - Dwóch ludzi mi się zwierzyło, że zmarnowali swoje życie: Ludwik Krzy-wicki i Boy... - Była synową Ludwika Krzywickiego, jej mąż zginął w Katyniu. Z Boyem łączył ją dwugodzinny związek uczuciowy. Innego dnia wracaliśmy i nagle Irena, krótkowzroczna, przystanąła wahając się przed następnym krokiem. - Rozumiem, że obydwaj zginęli - patrzyła na nas przez swoje grube szkła - ale dlaczego obydwaj od strzału w tył głowy? Obydwaj. Dlaczego? - Była tym prawdziwie zdumiona, zaintrygowana. W czasie wojny straciła syna, którego przyjacielem był Piotr Słonimski. Po wojnie jej młodszy syn, Andrzej, wówczas maturzysta, dziś profesor fizyki w Ecole Polytechnique, przeżył chorobę polyo. Wyrwała go śmierci niemal dosłownie własnymi rękami. Lecz pod koniec tamtego spaceru rozmawialiśmy już o czymś innym, o francuskiej "nouvelle philosophie", bo przeczytała właśnie książkę Bernarda-Hen-

ri Levy'ego, którego niedawno pokazywano w telewizji. - Niezwykle przystojny - stwierdziła z kategorycznością doświadczonej pensjonarki. Zakomunikowałem jej, że jest najmłodsza z moich sympatii. - Ale ty wiesz, że w przyszłym roku kończę pięćdziesiąt lat? - krzyknęła ucziwa i zaniepokojona.

A Nabokov? "Obronę Łuzina" kończę wieczorami. Okno można trzymać jeszcze otwarte, pierwsze dni listopada są ciepłe i o tej porze roku na Starym Mieście jest ciszej, nocą wiele ciszej. W dzień natomiast okolice Rynku i Katedry zarobaczone tajnikami. Prymas wystąpił publicznie w Katedrze po powrocie z Rzymu. Wybór papieża Jana Pawła II i zbliżający się 11 listopada (60-lecie Niepodległości) postawiły na nogi polioję, która przez ostatni rok miała zajęcia nudne: śledzenie pojedynczych KOR-owców, pisanie anonimów, wykapywanie powielaczy itp. Teraz się zaroiło. Julek szedł do nas wieczorem w ogromnym tłumie ciągnącym w stronę Katedry. 11-go, także w Katedrze, odbędzie się msza, potem składanie wieńców u Grobu Nieznanego Żołnierza. Zawiadomienia o uroczystościach, rozlepione na kościołach, tajniacy nocą zdarli. Za dnia są mniej przedsiębiorczy, najczęściej nie do odróżnienia od ich kolegów ze skupu walut, którzy nagabują turystów o dolary czy marki. Jednych i drugich upodabnia wspólna czelność oczu i splugawienie twarzy. Pijaczkowie tutaj mają inne twarze: splakane, o różowych spojówkach. Ta symbioza żywiołów turystycznych, alkoholicznych, policyjnych i dewizowych rozciąga się na całym trakcie: od miejsca uhwalenia Konstytucji 3 Maja, poprzez miejsca straceń w latach okupacji, wzdłuż ulic, na których wieszano targowiczian, aż do parku Traugutta, gdzie stoi krzyż w miejscu stracenia członków Rządu Narodowego 1863 roku. Wczoraj szedłem tędy z Adolfem Rudnickim, zupełnie już siwym. Narzekał, że cenzura kaleczy mu teksty. We wspomnieniu o Gombrowiczu opisał przedwojenny spacer na Wiejskiej, gdy Wittold mijając gmach Sejmu wyznał, że zamęcza go pragnienie, aby tam wejść w czasie obrad, stanąć na trybunie i zapytać: "Panowie! Kiedy następny rozbiór? Te słowa cenzor wykreślił.

Nabokova czytam po wieczornym dzienniku telewizji, która także święci 60-lecie. Spikerzy z radosnymi minami i natężeniem w oczach robią akrobatyczne salta, by dowiedzieć, że odzyskanie Niepodległości w r. 1918 zawdzięczamy rosyjskim bolszewikom.

Sztuka opowiadania to we współczesnej literaturze rzadkość, coraz chętniej odstępowana filmowi. Krytyka nie ceni tej zdolności, zdaje się ją ignorować, jak rzecz nie wartą uwagi. Zastanawiałem się, ilu dzisiejszych autorów, chwalonych za głębinną świadomość alogiczności bytu, umiałoby dobrze opowiedzieć zwykłe wydarzenie, czyjeś życie, postać. Nabokov w "Obronie Łuzina" opowiedział czyjeś życie, przedstawił ludzką postać i skonstruował pewien los. Wykonał to nad podziw umiejętnie, z darem niepostrzegalnego zmieniania planów czasowych narracji i z tak naturalnym mistrzostwem środków, że konstrukcja i jej metaforyczny zamysł są całkowicie ukryte w materiale. Z pewnością ta naturalność wymagała niesłychanej pracy, którą przy lekturze odczuwam, co zresztą czyni mi autora bliższym. Rzecz jest o szachiście, ale w istocie o powołaniu. O powołaniu, które staje się obsesyjną abstrakcją, utożsamia się z życiem i musi je zniszczyć w myśl swych reguł. Mistrz szachów Łuzin popełnia samobójstwo rzucając się z okna. To jego ostatni ruch na szachownicy w obronie przed matem grożącym mu od partnera, którego taktykę przeniknął. Partnerem jest jego własny los, obmyślona gra figur, sytuacji, posunięć. Mogłaby to być powieść o naukowcu lub artyście.

Czytając tę pierwszorzędną prozę o niepierwszorzędnym znaczeniu (ale czy w ogóle literatura ma dziś pierwszorzędne znaczenie?) głowiłem się, z jakiej tradycji powieści rosyjskiej wywodzi się Nabokov. Kto był jego literackim protoplastą? Najpewniej Gogol. Łuzin przypominał mi jednak postać już znana, i to nie z prozy Gogola. Ale nie mogłem ustalić, zidentyfikować pierwowzoru. Dopiero przy końcowych fragmentach, gdy o biednym, opętanym Łuzinie znajomi jego żony mówią "poczciwy głupek", uświadomiłem sobie, że jego dziecięca, pokorna dobroć "nawiedzonego" każe go z księciem Myszkinem. Nabokov nie stworzyłby takiej postaci, gdyby nie czytał "Idioty", a prawdopodobnie również pani Łuzin byłaby inaczej napisana, gdyby nie znał kilku postaci kobiecych Dostojewskiego. Otóż Nabokov nie lubił Dostojewskiego. Dał swej niechęci wyraz w którymś z esejów.

Wydawałoby się, że jest w tym sprzeczność czy niekonsekwencja. Myślę jednak, że podobne wypadki zdarzają się często; prawdziwe pisarskie urzeczenie cudzą twórczością przejawia się niejednokrotnie antypatią, oporem. Być może to jest podświadoma obrona własnych treści przed czymś napastującym, obcym, innym. Przed kimś,

którego trzeba się wyprzeć i zatrzeć w sobie ślady. Najczęściej, jak powiadam, odbywa się to poza świadomością. Wręcz, jaką odczuwałem w stosunku do Becketta, na pewno płynęła z takich, znaczących źródeł. Miałem napisać eseje o Beckettzie, wyargumentować całą swoją niechęć, żeby się odkazić, wypłuć go z siebie... I po przeczytaniu "Radosnych dni" zatrułem się jeszcze silniej. Zamiast eseju napisałem "Sposób bycia".

Spod fascynacji można się wyzwolić przez pastisz. Niekoniecznie przez pamflet. Ironiczne, autoironiczne naśladowanie bywa nieraz zamknięciem wieloznacznych stosunków, sposobem oddzielenia się raz na zawsze od niepokojącej osobowości. Lecz pisząc "Sposób bycia" (krytyka oficjalna w późniejszych recenzjach zaznaczała surowo: to nie jest *na s.s.* sposób bycia) nie sądziłem, że mój 200-stronicowy monolog ma, o jakkolwiek wspólnego z Beckettem - co było o tyle uzasadnione, że kierowała mną intencja myślowa wprost odwrotna do "Końcówki". Po ukazaniu się temu żaden z krytyków także nie wypatrzył beckettowskich pokrewieństw. Ktoś główną postać nazwał "szczurem", ktoś inny "everymanem", przeważnie zarzucano mi, że postępuję żywcem po prostu: piła i skecz. Owszem, wytknięto mi wpływy ("serwuje zagraniczne dania"), ale nazwisko Becketta nigdzie nie zostało przeciw mnie użyte. W tym czasie, po wydrukowaniu książki, gdy uświadamiałem już sobie zależność jej poetyki od "Radosnych dni", zadziwił mnie ów brak muzycznego ucha recenzentów.

Niedawno, w początku lata, pewna inteligentna, miła pani przypomniała mi "Sposób bycia". Mówię "pamiętała", bo kiedy wymieniła tytuł, odgadła po mojej reakcji, i trafnie, że w pierwszej chwili byłem zaskoczony. - Nie lubi pan tej książki? - Wytłumaczyłem szczerze: jest mi szczególnie bliska i bardzo daleka. Daleka, mam bowiem wrażenie, jak gdybym napisał ją w odległej epoce. A pisałem ją w epoce klęsk osobistych, do których byłem nie przygotowany. Zaczęły mnie osaczać tak nagle i gwałtownie, że nie potrafiłem ich ogarnąć żadnym rozumowaniem. I może po raz pierwszy wpadło mi na myśl, że prawdziwe nieszczęścia nie pochodzą z katastrof zbiorowych, społecznych, historycznych: są zawsze osobiste. Usiłowałem więc doszukać się ich przyczyn w samym zjawisku pojedynczej ludzkiej egzystencji. W rodzaju istnienia, na jakie człowiek jest skazany, w jego sposobie bycia w czasie. Przy czym chciałbym podkreślić jedną rzecz: czułem w tym pewien komizm. Od początku widziałem mojego człowieczka-bohatera jako sylwetkę pocieszną, niemal chaplinowską, w jego tragedii zdziwienia własnym losem płatającym mu bezustannie figle. Wydawał mi się podobnie komiczny jak Charlie, kiedy usuwawszy kołek, o który się potknął, powoduje spuszczenie na wodę ogromnego parowca. W dysproporcji między bezradną, nieświadomością praw rządzących życiem a spokojnie nieubłaganą siłą natury kryje się obfitość nieporozumień i przypadków, wieczny *g a g*. Wyobrażałem sobie mego bohatera zaplątanego we własne sznurowadła, które usiłuje rozsupkać w mniemaniu, że wyzwolą go z więzów ludzkiego przeznaczenia.

Któregoś wieczoru w klubie Pickwick, na Traugutta, w Łodzi, doszło do rękoczynów między Ważykiem a pewnym adwokatem. Było dwa lata po wojnie; w Pickwicku spotykali się literaci i aktorzy. Obrażony adwokat wyzwiał poetę na pojedynek, który się nie odbył, ponieważ sekundanci nie zdołali dostarczyć pistoletów (żadna ze stron nie rwała się do szabli). Ale przez parę dni mówiono o tym pojedynku, nieporożając się zwłaszcza o Ważyka, który wówczas miał wygląd niepoczesny: dziwaczny mełanz kota z myszą. Ktoś wtedy powiedział: - Zobaczycie, on zginie, za pięć lat nakręca film pod tytułem "Śmierć poety" i Ważyka zagra Łapicki. - Andrzej Łapicki, piękny jak kamea, siedział przy sąsiednim stoliku. I właśnie Łapicki kilkanaście lat później zagrał w "Sposobie bycia".

To była naprawdę odległa epoka. Na dawnym Lesznie, w budynku Łoży masonskiej z czasów Królestwa Kongresowego, mieścił się warszawski STS. Teatrzyk odznaczał się jedną szczególną cechą: istniało w nim porozumienie między sceną a widownią. Kto wie, czy nie na tym polega prawdziwy teatr, że aktorzy i publiczność chcą tego samego; ażeby zostały wypowiedziane te same ważne, łączące ich ze sobą treści. W małej salce każdego wieczoru między krzesłami a sceną materializowała się obustronna świadomość rzeczy nie powiedzianych, widzów z aktorami łączył wspólny podtekst. Tak dalece, że publiczność czuła, kiedy można oklaskiwać i kiedy oklaskiwać nie należy. Po premierowych przedstawieniach zespół dawał prywatny spektakl w bufecie. Dla siebie, dla znajomych. Publiczność to byli znajomi. Taki teatr, rzecz jasna, nie mógł długo istnieć. My lubim duże sale... Kiedy dzisiaj się zastanawiam, dla-

czego coraz rzadziej chodzę do teatru, daję sobie odpowiedź, że w obecnym teatrze widzownia nie chce od aktorów i aktorki od widzowni. Nie ma żadnych powiązań, nikt po nikim niczego nie oczekuje. Publiczność jak gdyby przyprowadzona, za sceną czuje się urzędnicze szczeble, teatr stał się imprezą organizacyjną. Siedząc w krzesłach, w dużej czy mniejszej sali, mam wrażenie, że do teatru przyszła wycieczka. Ze sceną łączy mnie jeszcze tylko obopólna wiedza o tym, że wszystko, co tutaj zobaczę, było najpierw starannie obmacane i wyczesane przez urzędników.

Miałem wątpliwości, czy w "Sposobie bycia" powinien wystąpić aktor o emploi amanta. Ostrzegając reżysera przez takim eksperymentem, na co Markuszewski wrzeszczał zdenerwowany: - Jeżeli twój facet zagra brzydał, to widzownia poczuje nad nim wyższość, nie utożsamia się z nim! A jak zagra Łapicki, wtedy każdy widź w krzesłach pomyśli: ten lepszy gość mówi o mnie... I będzie złapany przez tekst! - Przekonał mnie, miał rację. Łapicki starł z siebie amanta, zagrał przejmująco i zarazem śmieszko. O to mi przecież chodziło.

Nie byłem na premierze, obejrzałem przedstawienie w miesiąc później. Ale zanim je obejrzałem, doszły mnie odgłosy. Miano mu za złe, że jest śmieszny. Jak to, przecież o egzystencjalnym cierpieniu, publiczność nie powinna się śmiać! Kiedy twierdziłem, że publiczność ma prawo się śmiać, bo w bólu zadawanym człowiekowi przez życie jest pewien komizm niewiedzy i zaskoczenia, moi rozmówcy milkli nieufnie. Zaczęłam rozumieć, że w każdej ocenie artystycznej wyraża się nie tylko smak, lecz przede wszystkim stosunek do siebie. Nieraz decyduje zasób lub rodzaj doświadczeń. W kilka lat po przedstawieniu w STS-ie Łapicki zagrał w "Kaprysie" Musseta rolę wytwornego amanta, który zdobywa piękną kobietę, przyjaciółkę swej żony. Znowu wysuwano zarzuty: uwodzi ją za mało cynicznie, zbyt serio... Jakaż nieznajomość rzeczy! Moment erotycznego zatokowania się mężczyzny nie ma nic wspólnego z cynizmem. Uwodziciel jest wtedy poważny, nad wyraz poważny. Mężczyzna, kiedy ma s t a j e, bywa na ogół patetyczny, mówi o przyjaźni, o miłości, czasami o Bogu. Chwila erekcji zmienia samca w poetę, w moralistę, nadaje mu wzniosłość. Często zaskakiwały mnie sytuacje, w których jako czytelnik, widz lub świadek czyjegoś postępowania różniłem się opinią od bliskich mi ludzi. Zawsze u spodu takich rozbieżności w sądach tkwi niejednokrotnie zdolność rozeznania się w sobie. Prawie zawsze. W jaki sposób odróżnić dobrą grę aktora od złej, jeżeli nie ma się dostępu do siebie samego, świadomości swojej prawdziwej lub fałszywej gry? Można by mnie posadzić o pychę... Zdaje mi się jednak, że własne samopoznanie jest warunkiem pokory.

Stosunek publiczności do aktorów, do tych najgłośniejszych i najpopularniejszych, odbija wiele złożonych spraw, to sfera bardzo nieprostej psycho- i socjologii. Czy właściwie są ci ulubieńcy, te żywe wcielenia ludzkich marzeń. Idole! Po filmie "Popiół i diament" na ulicach zaroiło się od sobowtórów Zbyszka Cybulskiego, od chłopców w ciemnych okularach, którzy o drugie zdanie zaczynali od "słuchaj, stary..." Chcieli wyglądać tak jak on, chcieli być tacy sami jak on, Jak długo to trwało? Rok, dwa lata. Cybulski monologował po knajpach, rzadko syział w domu, nie rozstawał się z powstańczym chlebakiem i męszką. Przy wódce mówił o sobie jako o pogrobowcu generacji rozgniecionej przez czółgi. Żył w mieście, który sam stworzył, ktoś o nim powiedział: żył w ucieczce. Po kilku latach publiczność miała go dosyć. Znudził się, opatrzył, krząły pogłoski o jego nieporządnym trybie życia, o degeneracji i braku odpowiedzialności. Kiedyś spotkałem go w "Bristolu", w nocnym barze. Skarżył się, że w lokalach obrażają go nieznajomi ludzie, bał się wejść na parkiet. - Widzisz, stary... ciągle się mnie ktoś czepia. Panie Cybulski, co pan tak utył, dupa panu rośnie. - Nie wybacza mi, że tyje, że się starzeje, nie po to go ukoronowano. Ale gdyby Wajda nakręcił nowy film o starzejącym się "idolu", który przestaje być ulubieńcem publiczności i którego pijani goście lżą w knajpach, i gdyby główną rolę w tym filmie zagrał utył Zbyszek Cybulski ze swoim chlebakiem przewieszonym przez ramię, ten sam postarzały, włóczący się po lokalach Cybulski, któremu miano za złe, że żyje po śmierci bohatera "Popiołu i diamentu", gdyby taki film ukazał się na ekranach i publiczność zobaczyła w nim taką właśnie postać - pokochałaby ją. Widocznie w życiu, cudzym i własnym, ludzie nie dostrzegają fabuły z bohaterem i trzeba ją przepuścić przez sztukę, rzucić na ekran, aby ujrzeli w nim opowieść, fabularny kształt losu. Albo...? Nieraz dopiero śmierć tworzy tę konstrukcję. Kiedy Cybulskiego wyciągano we Wrocławiu spod wagonu, nie wiedział, że ma zmiażdżoną wątrobę. Uśmiechał się na noszach przytrzymując swój chlebak: - Widzisz, stary, znowu miałem szczęście... - Wkrótce posypały się artykuły,

wspomnienia, ogłoszono projekt budowy pomnika. Cybulski natychmiast po śmierci odrodził się jako postać, znów stał się bohaterem opowieści z tragicznym zakończeniem. I nagle wszyscy zrozumieli, jak mocno z nim byli zrośnięci, jak przylegali do niego. Właściwie każdy poczuł się przez jego śmierć odsłonięty, opowiedziany. Tak się niekiedy dzieje po zakończeniu filmu.

Schopenhauer, Nabokov, Beckett... "Sposób bycia" stał się dla mnie półkiem doświadczalnym, ujawniającym złożoną wieloznaczność stosunków między autorem i publicznością, publicznością, krytyką i aktorem. Ileż tu rozdznień, sugestii... fałszywych przerzutów. Książkę wydano później we Francji i Niemczech Zachodnich. W radio paryskim monolog wykonał znakomity François Perier (Łapicki był od niego lepszy), we "Frankfurter Allgemeine" ukazała się recenzja przedstawiająca mój utwór jako "pranie własnego mózgu". Niedługo potem bardzo mi bliska osoba, mieszkająca od dawna za granicą, wyznała mi, że po lekturze tej książki mocno się o mnie zaniepokoiła: "To taka jakbyś nagle zwariował, albo mówił o sobie po pijanemu nad razem". Byłem do głębi zdumiony. W tym czasie Andrzej Łapicki jeździł ze "Sposobem bycia" po prowincji i opowiadał, że widownia słucha tekstu z przejęciem. Ale czy ze zrozumieniem? Po którymś spektaklu w SPS-ie urządzono rozmowę z publicznością. Siedzieliśmy na estradzie z Łapickim i Markuszewskim. Padło sporo pytań i uwag, na ogół życzliwych, przeważnie jednak rozmiajających się z ideą tekstu. Pod koniec dość żywej dyskusji zabrakł głos młody człowiek, by wyrazić swój niesmak wobec postaci narratora: nie może budzić współczucia mężczyzna bez godności, upokarzający się przed żoną, która odeszła z innym... Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wyręczył mnie ktoś z obecnych: ależ właśnie, dał z siebie zrobić taką szmatę, że budzi parzą litość! Riposta była efektowna, rozległ się aprobowający śmiech, ja także mimowolnie uśmiechnąłem się. Później z przykrością wspinałem ten moment, wydawał mi się zdradą autora w stosunku do własnej myśli. I wreszcie pewnego dnia - a minęło już parę lat od premiery w SPS-ie - spróbowałem sobie wyjaśnić o co mi właściwie chodziło, jaką myśl wyraża "Sposób bycia". Sporządziłem notatkę w brulionie. Niecała stronica, streszcza ją w kilku zdaniach.

"Człowiek jest nieustannie ośmieszany przez naturę, kwestionowany przez nią i wskutek tego ciągle dla siebie niejasny. Paradoksalność czynów i ich skutków sprzecznych z intencjami, niszcząca funkcja czasu, wygasanie uczuć, ślepotą instynktów, szyderstwo przypadków - to krąg sceniczny, w jakim żyjemy. Wszystko prowadzi do alternatywy: kapitulacja albo bunt. Prowadziłoby. Istnieje bowiem wartość, która człowieka wydobywa z śmieszności i zwątpień. Jest nią miłość, związek z drugim człowiekiem. Mieści się w nim zdolność przebaczenia i ofiary, uznania człowieczeństwa w kimś innym. Rodzaj komunii, sakramentu. Fakty i ich skutki są jedynie okolicznościami narzuconymi przez czas, jednakże można przezwyciężyć naturę ofiarowując się i zespalając z drugą istotą. Narrator odrzuca zarówno kapitulację, jak bunt; czuje się wspólnie ze Stwórcą odpowiedzialny za swój los. Na końcu odpuszcza Bogu swoje i Jego winy z wdzięczności za dar, jaki od Niego otrzymał: zdolność przekroczenia samego siebie, zbawienia się przez miłość".

Stronicowa notatka w moim brulionie jest przekreślona na krzyż dwiema liniami. Okręsem przez całą stronę napisem mazakiem duże litery: NIE KOMENTOWAĆ SIEBIE. Najwidoczniej po jakimś czasie przeglądając brulion musiałem odczytać tę notatkę i nie spodobała mi się. A teraz mi się podoba.

W PEN-Clubie obchodzono 60-lecie odzyskania Niepodległości. Uroczystość odbyła się w przeddzień rocznicy cudu, w piątek 10 listopada o 6 wieczór. Sala przepełniona, dużo osób stało, młodzi obsiedli stopnie galeryjki wznoszącej się ponad miejscami prezydium, na wprost wejścia, w głębi sali. Publiczność wyłącznie inteligentka, sporo osób starszych, o znanych nazwiskach (Stanisław Lorentz, Krzysztof Rądziwiłł), kobiety różnych pokoleń, niebawem związane z literaturą tradycjami rodzinnymi (Monika Żeromska, Maria Kornilowicz, wnuczka Sienkiewicza, pani Grabska, córka Bronisławy Ostrowskiej), kilku członków KOR-u, dawni Peowiaczy i Akowcy, byli komuniści, działacze katoliccy, uczeni, pisarze... I chyba ani jednego członka partii. Należałem do starszej części publiczności. Nie do najstarszej, bo nie pamiętam dnia 11 listopada 1918 - a wśród obecnych znajdowały się jeszcze osoby pamiętające ów dzień - lecz z pewnością do starszej, której młodość przypadła na lata

międzywojenne. Siedząc w krzesłach uświadomiłem sobie, że czterdzieści sześć lat temu widziałem Piłsudskiego w czasie defilady na Placu Saskim. Był to dzień chłodny, pochmurny, staliśmy z ojcem w tłumie niedaleko trybuny honorowej i przypominam sobie moment otwarcia defilady, gdy przez trybunę zajeżdżała galopem orkiestra I Pułku Szwoleżerów z fanfarami, na siwych koniach. Piłsudski pomachał jej ręką w białej rękawiczce, pamiętam jego gest, kordialny, bardzo szlachecki. Miał wtedy 65 lat. W jego wyglądzie nic nie zwiastowało choroby, poruszał się energicznie, witał z uśmiechem ambasadora Francji, Laroche'a; w sylwetce, mimo pociężej barczystości ramion, miał zadzierzystą lekkość, dłoń w rękawiczce była szczupła. Uprzytomniłem sobie jeszcze jedną rzecz: że miało wówczas zaledwie czternaście lat od 11 listopada 1918. Dokładnie tyle, ile upłynęło od roku 1964 do dzisiaj. Tyle czasu liczyła w tym dniu Niepodległość. Aże w moim ówczesnym poczuciu okres przed Niepodległością był czymś legendarnym, zamierzchłym, należącym do historii, podobnie jak epoka Jagiellonów. Pewnie tym samym dla dzisiejszych 16-latków jest okres rządów Piłsudskiego. Dziwny rachunek.

W sali PEN-Clubu zebrało się kilka pokoleń i rozmaite biografie. Było sporo młodych osób urodzonych po śmierci Stalina, oraz takich, które (jak moja żona) miały w dzieciństwie bezpośrednie relacje z walk powstańczych roku 1863 od swoich dziadków, pamiętających jeszcze ludzi, którzy widzieli Napoleona. Skład audytorium można było także posortować w zależności od czasu i miejsca uwięzienia. Naliczyłem kilkanaście osób więzionych przez Niemców w latach okupacji i kilkanaście innych, które przeszły przez sowieckie obozy. Byli także ludzie uwięzieni w Polsce po wojnie: w 1949-55, i później w 1968, i jeszcze później, w 1977. W samym zarządzie PEN znaleźli się pisarze o różnych życiorysach: członek Armii Krajowej (6 lat więzienia w Polsce Ludowej), podchorąży spod Monte Cassino, dwaj oficerowie rezerwy sprzed 1939 (jeńcy niemieckiego oflagu), poeta, który w czasie wojny był drwalem na Syberii. Na pewno nie wszystkich wyliczyłem. Byli też jeszcze inni. Ci, co wojnę spędzili w ukryciu, objęci paragrafem rasowym, albo w lasach jako partyzanci. I również tacy, których po wojnie, w latach procesów i prześladowań "noszono w lektykach" (cytuje zasłyszane powiedzenie) i którzy wyskoczyli z lektyk, by iść piechotą w przeciwnym kierunku. Dla porządku rzeczy: niejednokrotnie ta sama osoba należała do dwóch czy trzech z wymienionych kategorii. Ponadto w trzecim rzędzie zauważyłem elegancką staruszkę, która przed kilku laty, kupując w okienku znaczki pocztowe - wypuszczono wtedy piękne znaczki z trytonami i jaszczurkami, obok innych, upamiętniających wydarzenia polityczne - mówiła wileńskim akcentem: - A dla mnie proszę dwa płazy, trzy gady i jeden III Zjazd.

Bez względu na poszczególne rysy biograficzne wszyscy obecni tego listopadowego wieczoru w PEN-Clubie przybyli w jednym wspólnym celu i, powiedziałbym, we wspólnym stanie ducha. Kierowały nimi podobne emocje. Chcieli doznać tych samych przeżyć i wzruszeń. A mianowicie - dać wyraz swemu pragnieniu Polski niepodległej i uczcić Jej pamięć. Otóż uroczystość na samym początku przybrała obrót zupełnie nieoczekiwany, mało zadowalający i jakby sprzeczny z ogólnym nastrojem. Mam tu na myśli pierwsze z trzech wystąpień: przemówienie profesora Stefana Kieniewicza.

Trzeba by wniknąć w sytuację, ażeby dobrze wszystko zrozumieć. Przy stoliku zasiadło czterech siwowłosych panów - cztery głowy portretujące najlepsze tradycje polskiej inteligencji. Uroczystość zagaik nowo wybrany prezes polskiego PEN-Clubu, syn poety-legionisty, bratanek jednego z przywódców dawnej PPS. Wśród zaproszonych mówców byli dwaj wybitni historycy, profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego. Pierwszy opublikował znakomite prace o Powstaniu Styczniowym, drugi - obok autorstwa dziejów Słowiańszczyzny - miał piękną przeszłość działacza akowskiej konspiracji. Naprzeciw nich - kilkaset siedzących i stojących osób, wymęczonych oficjalną nieprawdą, piłkanych codziennym absurdem oraz złączonych ze sobą wspólną potrzebą cudu i łaknieniem pokrępiącej legendy. Takie uroczystości kończą się dzisiaj odśpiewaniem "Boże, coś Polskę..." z dobitnie akcentowanym zwrotem: "Ojczyznę wolną racz nam w r ó c i ć, Panie!" (inaczej, niż śpiewaliśmy w przedwojennej szkole: "racz z a c h o w a ć, Panie").

Wypowiedzi profesora Kieniewicza słuchałem z uwagą. Mówił nie zaglądając do notatek, od pierwszych słów przykuła mnie spokojna, zwarta i równocześnie swobodna forma. Mówił o międzywojennym dwudziestolecu. Był to rodzaj szkicu autobiograficznego. Profesor charakteryzował ówczesne stosunki i atmosferę społeczną, przeplatając refleksje własnym życiorysem. Syn ziemiańskiej rodziny z Ziemi Wschod-

niem, student historii, poetm archiwista... Mówił o sobie jako o „apolitycznym inteligencji, liberalnym demokraty. Wspomniał, że liberalizmu nauczył go profesor Marceli Handelsman. Był uczestnikiem jego seminarium. Wśród uczniów profesora Handelsmana znajdowali się młodzi naukowcy o sympatiach zarówno profaszystowskich, jak prokomunistycznych; profesor najmniejszym odcieniem nie dawał odczuć różnicy w swoim stosunku do jednych i drugich. Opisując kolejne fazy swojego życia i pracy w niepo-dległej Polsce, Stefan Kieniewicz umieszczał je na tle ówczesnej rzeczywistości. Nie przemilczał jej braków: istniała nierówność społeczna, ekonomiczne zacofanie, arbitralne rządy. Mówił także o tym, że już wówczas, publikując swoje pierwsze prace naukowe, zakosztował cenzury zewnętrznej i wewnętrznej. Nie przemilczał również i tego, że po pierwszych latach upojenia wielu działaczy niepodległościowych przeżywało rozczarowanie ową nie idealną i nie całkiem sprawiedliwą polską państwowością. Z drugiej jednak strony – podkreślał – inteligencja czuła się w tej Polsce dobrze, czuła się u siebie. Utrzymywało się wtedy poczucie normalności i autentyczności życia we własnym kraju. Odpowiedzialność za jego losy inteligencja przenosiła na ludzi tym krajem rządzących, podejmujących decyzje państwowe. Ale po katastrofie, po wrześniu 1939, gdy profesor Kieniewicz jechał podmiejską kolejką do Milanówka, cały wagon przeklinał. Nie tylko sanacyjne rządy. Złorzeczył ludziom, którzy w przedwrześniowej, niepodległej Polsce czuli się u siebie, na swoim.

Nie odtworzyłem wystąpienia profesora Kieniewicza w chronologicznym układzie jego treści. O wyprawie do Milanówka po klęsce wrześniowej profesor opowiadał na początku. Lecz pod koniec nawiązał właśnie do tego epizodu. W zakończeniu brzmiał akcent przestrogi: czy dzisiejsza inteligencja polska, to znaczy i my tutaj obecni, którzy mając na codzień chleb z omastą i pracę na etacie również nie czujemy się odpowiedzialni za postępowanie władzy – czy i my któregoś dnia nie usłyszymy podobnych złorzeczeń, i czy pretensje skierowane do nas nie będą w pewnej mierze słuszne.

W tym jednym momencie poczułem niepokój. Zaskoczył mnie końcowy akcent wywodu profesora. Jak, w jakiej formie, w jaki sposób inteligencja ma uczestniczyć w odpowiedzialności za stan kraju, skoro każdy odruch zgodny z obywatelskim rozumem i sumieniem pociąga za sobą represje, zepchnięcie za burtę, utratę pracy lub zakaz wykonywania zawodu. Znam wiele osób, które taką odpowiedzialność podjęły (kilkaśnastu spośród nich było na sali) i w konsekwencji poznało smak chleba więziennego. Przypuszczam, że nie o nich myślał profesor wypowiadając te zdania. Kogo więc miał na myśli? Zapewne innych, być może większość obecnych. Kto wie, czy nie siebie samego jeśli tak, świadczyłoby to o skrupulatnej uczciwości. Tak czy inaczej, w końcowym sformułowaniu uderzył mnie niesłuszny osąd.

Ale wystąpienie było poważne, tak je odczułem: przede wszystkim jako poważne. Mówca chciał w nim przekazać swoje doświadczenia, wyrazić prawdę tamtych lat, tylekroć zafałszowaną przez żurnalistykę i propagandę; lat już odległych, które dziś budzą nostalgię i – co jest zrozumiałe – które nostalgia upiększa, idealizuje. Należałem, jak powiadam, do części audytorium pamiętającej owe lata. Czułem w tym wystąpieniu rachunek nielekkih przemyśleń. Co mi się najwięcej podobało: trzeźwość, samokrytycyzm, zaniepokojenie. Warto przy tym zaznaczyć, że profesor rozpoczął swój wywód od półzartobliwej zapowiedzi: „Być może to, co powiem, niektórych z Państwa zgorszy...” Był więc świadomy tego, że się narazi publiczności, że wzbudzi jej sprzeciw. Już choćby to samo zasługiwało na szacunek.

Nie było oklasków. – Widziałem, jak w ciągu przemówienia profesora Kieniewicza – powiedział Jacek Woźniakowski, trzeci z mówców – posępniały i wydłużały się twarze Państwa... – Co do mnie, brak oklasków wytłumaczyłem sobie odświętną powagą uroczystości: widocznie audytorium pragnęło uczcić ów rocznicowy wieczór w skupieniu i ciszy. Okazało się, że to była cisza grobowa. Wystąpieniem profesora Kieniewicza publiczność poczuła się dotknięta, uznała je za gorszące. W przerwie słyzałem komentarze pełne irytacji, w kilka dni później do zarządu PEN-Clubu wpłynęły listy z wyrazami oburzenia. O co, za co? Z powodu niezbyt fortunnych zdań końcowych? Otóż nie: za nieposzanowanie patriotycznych uczuć.

* Doprawdy można oszpeścić... Jak to, znowu to samo, odwieczne, polskie „świętości nie szargać”? Była w tym jakaś karykaturalność, groteskowa powtórka narodowego samzwolenia. Po tylu lekcjach krytycznych, demaskujących tę skazę w wierszykach i fraszkach, po Boyu, po Gombrowiczu... Ależ publiczność znała je na pamięć, delectowała się nimi, niektóre zresztą weszły do narodowej tradycji, do czytanek – i co,

wystarczyło zebrać w sali elitę polskiej inteligencji, udzielić głosu człowiekowi, który wypowiedział się o ważnych sprawach jak człowiek wolny do ludzi wolnych, nie warunkując się nastrojem słuchaczy, ich uczuciami i życzeniami, to wystarczyło; aby elita polskiej inteligencji natychmiast zareagowała genetycznym skurczem i trzysta osób krzyknęło w duchu: skandal! Tolerancja, liberalizm, respektowanie cudzych poglądów, dekalog cnót obywatelskich (o co się upominamy, przecież właśnie o to!) wszystko od razu poszło w ką. Powtórzono mi później czyjes - nie wiem czyje - słowa: "Miałem chęć go uderzyć". Szczerze mówiąc, zadrząłem.

Publiczność ukołysa dopiero trzecie z kolei wystąpienie. Po informacji Aleksandra Gieysztora, który zapoznał gremium z głównymi kierunkami myśli historycznej w II Rzeczypospolitej, zabrał głos Jacek Woźniakowski, historyk sztuki, intelektualista katolicki. Przemawiał znakomicie. Uwagę poświęcił kulturze międzywojennego dwudziestolecia. Podjął również temat kultury prawnej narodu, nie szczędząc przykładów gwałcenia prawa w dzisiejszym sądownictwie; zaledwie parę dni wcześniej był obecny na rozprawie toczącej się przed sądem w Katowicach przeciw Świtkowi, jednemu z czynnych opozycjonistów. Nareszcie sala wezbrała. Spełniło się, wprawdzie przy końcu, ale się spełniło. To, czego oczekiwano. Padły słowa upragnione, nadeszła chwila zadośćuczynienia... powiało tchnieniem cudu. I grzmotnęły oklaski.

Notuję moje wrażenia bez uszczypliwości. Bo wobec kogo? Przeważająca część audytorium to byli znajomi, przyjaciele, ludzie w najwyższym stopniu przyzwyczajeni (to określenie bardzo lubił Dostojewski) i myślący podobnie jak ja. Ale spośród znajomych, z którymi rozmawiałem w przerwie i nazajutrz, jedynie dwóch czy trzech wyraziło szacunek dla pierwszego mówcy. Dwaj inni wyrazili swój szacunek dyskretnie, niejako dla mojej tylko wiadomości. W gruncie rzeczy bowiem uważali pierwsze wystąpienie za niestosowny incydent, za jakąś przykrą sprawę. Dlaczego - przecież o tamtych latach mówił prawdę; przykrość to żyć w społeczeństwie, w którym prawda może być czymś niestosownym. Tak czy owak, znalazłem się niemal w izolacji, gdyż wygłaszanie takich zdań, w Warszawie, w Krakowie, powoduje wytrzeszczenie oczu lub smętny półśmiech. I w końcu ja sam komuś powiedziałem: - Czemu się dziwisz? Nie każdy ptak jest pożądany. Przyszli, żeby słuchać łopotu orłów, a usłyszeli stukanie dziecięcia. No, mądrego dziecięcia...

A jednak... co z tym robić? Z ową potrzebą nietykalnego mitu, tak głęboko tkwiącą w ludziach umysłowo wyrobionych. Kieniewicz mógł powiedzieć więcej, o wiele więcej. Pominął Berezę, pacyfikacje i fałszerstwa wyborcze, getta ławkowe na wyższych uczelniach, liczbę bezrobotnych. A mimo to zranił większość obecnych. Uczuliła się wrażliwość narodowa, obrażana przez kilka dziesiątków lat, nabrzmiała, co było jątrzone. I w rezultacie wszystko, cała przeszłość dobra i zła, jasna i ciemna, wszystko dziś połyskuje werniksem cudownych obrazów. Czci się wszelkie duchy przeszłości, okadza się nawet Dmowskiego, postać dla inteligencji polskiej złowieszcza, która narobiła więcej umysłowych szkód niż państwo zaborcze, bo zainfekowała mózgi trzech pokoleń. Stawia się go dzisiaj, na równi z Piłsudskim, w randze drugiego wychowawcy narodu. Piłsudski także nie był wychowawcą, był raczej zwierchnikiem narodu. Miał w sobie wielkość, rzeczywiście przerastał swych partnerów, ale miał też i niejedną małość, a o jego stosunku do narodu tak pisał na emigracji podziwiający go i bezstronny świadek: "...Piłsudski, dla którego Polska była jakimś wielkim Żółwem czy Pikiliszkami, że chodził po niej gderząc i dziwacząc, i którym sekącym poganiał lub popędzał ekonomów i parobków. Swą renesansową bujnością i litewskim uporem, szerokością swych koncepcji i małostkową mściwością, swą osobą i legendą przesłonił i przytłoczył cały okres dziejów Polski i wdarł się w życie każdego z nas".

Kiedyś przekonywał mnie Andrzej Kijowski: "Nie trzeba tego ruszać, to jest instykt samozachowawczy, dzięki któremu naród przetrwał". Instykt samozachowawczy, dobrze, ale co robić, skoro się jest pisarzem - ulegać, milczeć, pisać o kopulacji? Wciąż powracające marzenie: żyć w normalnym kraju... Pamiętam niezadowolony nos Antoniego, kiedy przeczytał "Wariacje pocztowe": - Złotko, po co ta irytująca mania sztydzenia i pomizania? - Biada nam, pomyślałem, znowu trafiło najzacniejszą głowę.

Jeszcze nie ma zimy, nadeszły ciepłe listopadowe nize i często powtarzam w domu mój stary dowcip: lepszy niż nic... Przy takich ociepleniach dokuczają reuma-

tyżm, prawa noga, jakby źle wstawiona w biodro, sprawia mi wiele kłopotu, zwłaszcza przy prowadzeniu samochodu; potem kuleję idąc na obiad. W siedzącej pozycji tę prawą nogę trzeba wyciągnąć naprzód, inaczej powoduje silny ból z promieniowaniem do stopy. Dlatego w kinie wybieram miejsca skrajne po prawej stronie i kiedy mówię do kasjerki: - Proszę o dwa miejsca prawe skrajne - widzę na jej twarzy lekkie zdziwienie. Aby więc rzecz wprościć, dorzucam: - Mam dłuższą prawą nogę. - Na ogół kasjerki nie uważają tego za żart.

Wczoraj opowiadano mi o aferach poety Bohdana Chorażuka, opisanych w numerze "Polityki". Przypomniałem go sobie, długowłosego o promiennie czelnej twarzy i ładnych dużych zębach, jakie miewają wysokie blondynki. Zawsze z uśmiechem. Przybył wychwalał jego prozy poetyckie, używając swej ulubionej formuły, że "słowa dziwią się słowom". To było z jakieś piętnaście lat temu, później Chorażuk zniknął mi z oczu. A teraz dowiaduję się, co porabiał ów promienny dziwosłów przez ubiegłe lata. Mianowano go dyrektorem przedsiębiorstwa "Estrada", gdzie wypłacił pół miliona złotych sobie samemu, jako dyrektor autorowi, za dostarczone przez siebie teksty poetyckie. Takie są kariery dzisiejszych Rastignaców, ulubieńców władzy ludowej. Jest ich więcej, ten był nieostrożny. Ale na pewno nie zginie. Przy obiedzie pani Marcelina G. opowiedziała mi o swym niedawnym pobycie w Paryżu. Nie obliczyła się z wydatkami, zabrakło jej na opłacenie rachunku za hotel. - Usiadłam i pomyślałam: ciekawa jestem, jak Pan Bóg z tego wybrnie? - Powtórzyła to w rozmowie z Francuzką, właścicielką hotelu, która - ujęta zabawnym powiedzeniem - obniżyła cenę pokoju. Tak Pan Bóg z tego wybrnął. Z półmilionowego długu poety-dyrektora Pan Bóg z pewnością także wybrnie, znajdują się hojni właściciele.

Upadki bywają różne. Idąc Świętojańską spostrzegłem, że mijam kogoś, kto na mój widok nagle zdarł czapkę z głowy ruchem namiętnie skwapliwym, jakby w raptownym zachwyceniu, i równocześnie okręcił się wokół mnie, próbując zabić mi drogę. Nie przystanąłem, śpieszyłem się do kiosku. W chwilę później dopiero przyszło mi na myśl, że to był Dziobak. Nie wybrany do Zarządu, stracona, mrugająca gwiazda. Dawniej temu, gdy byliśmy jeszcze redakcyjnymi kolegami i chciano go pozbawić etatu w następstwie jakichś finansowych ograniczeń, skłoniłem redaktora (Stefana Żółkiewskiego), aby podzielił mój etat na dwie połówki; jedna przypadła mnie, druga Dziobakowi. Nazajutrz Dziobak wzruszony podszedł do mnie ze swym węższym, niespokojnym nosem, żeby mi podziękować. A wkrótce, kiedy nie byłem już członkiem redakcji i Żółkiewski też przestał być redaktorem, właśnie Dziobak w surowej pryncypialnej re-cenzji, stylem krzepkim i po żołniersku optymistycznym, potępił moją nowo wydaną książkę. Nie była to rzecz szokująca, domyślałem się, że nie pisał jej w porywie oburzenia, raczej po jakiejś rozmowie: napiszcie, towarzyszu... I w głębi duszy nie miałem mu tego bardzo za złe. Dziobak był płochliwy, źle znosił ciśnienia od-górne, ale nie był rasowym naganiaczem. Mniej więcej w tym czasie przypadła mi war-ta honorowa u trumny Broniewskiego w Pałacu Prymasowskim. Podchodziliśmy czwórka, by zmienić stojących kolegów, miałem zająć miejsce Dziobała. Tymczasem Dziobak, czy się nie spostrzegł, czy popadł w zadumę nad życiem, dość, że nie ruszył się, kiedy stanąłem za jego plecami. Rzuciłem więc szeptem: - Twój czas minął... - Wtedy drgnął i zbladł. Lecz jego czas wcale nie minął, skądże, dopiero się rozpoczął. W następnych latach Dziobak zakwitł setką kwiatów. Został prezesem Oddziału i wice-przewodniczącym Rady Narodowej, udzielał wywiadów dla prasy, otrzymał jakieś wysokie order, a nawet - co jest szczególnie znaczące - fotografowano go na tle Zamku. I on był jednak nieogłędny. Stracił równowagę: przed wyborami do Zarządu obiecywał kolegom mieszkania, a po wyborach ich unikał albo tłumaczył się niespodziewanymi trudnościami. Poza tym w ogóle stał się zbyt widoczny i eksponowany, jak gdyby w dysproporcji z własną szarą postacią, czego nie zapisywano mu na plusy. Mówiono, że intryguje, zagarnia pod siebie. Minęło jeszcze parę lat, gdy za granicą doszła do mnie wiadomość o klęsce Dziobała. Nie wybrano go, dostał za mało głosów.

Tak to jest. Szary Dziobak i wielu, wielu innych toczą po tamtej stronie praw-dziwie śmiertelne walki o byt. Zdawałoby się, że ten ich byt nie ma cech realnych - lecz oni dobrze wiedzą, czego chcą. Chcą być obecni jeszcze tutaj, już teraz. To jest tożsamość całkowicie wymierna, przeliczana na statystycznie nakłady, na masową transmisję. Walczą o powielenie swojej obecności. Są zresztą rozmaici, mniej lub więcej drapieżni, niektórzy zapewne przekonani o własnej racji, inni być może upla-tani we własne słabości. I jeszcze inni: obezwładnieni laską i dobudowujący do tego filozofie, postawy, małe racje stanu. W listach, które dostałem od posłów na Sejm PRL (w odpowiedzi na apel o powołanie komisji sejmowej po wypadkach w czerwcu 1976)

zawarło się sporo podobnych akcentów.

Życ w normalnym kraju... w Islandii! Ale zanotowałem kiedyś zdanie amerykańskiego biologa, Salka: "W strefach zaburzeń normalnego układu życiowego poznajemy istotne prawa gatunku".

Dla literatury w tej "anormalności" istnieje pewna szansa: odnowiona możliwość arystokratyzmu. Szansę tworzy konflikt pisarza z reżimem. W zejściu do kameralnego podziemia, w półdobrowolnej izolacji przejawia się nowa żywotność; jest to odruch wyłączenia się z kultury masowej, oddzielenia się od twórczości kupionej. Status pisarza reżimy oferują każdemu, kto spełni zastrzeżone przez władzę warunki. Literatura odpowiada: pisarzem jest ten, który nie przyjmuje oferty. W związku z tym historyczne przypomnienie. Upadek piśmiennictwa w Rzymie m.in. został spowodowany - tak sądzi Pliniusz młodszy - jego powieleniem, lekturami publicznymi, które zniszczyły dawną elitarną literaturę zwójów.

Literatura... Nie ma jej wiele na świecie, czyżby maszyny ją zjadły? Kiedy ostatnim razem widziałem Sartre'a, mówił, że jest szczęśliwy, odkąd przestał pisać - że pozbył się nerwicy: literatura to przypadłość, rodzaj ostrej nerwicy. Przyszło mi wtedy na myśl, iż wyczerpanie twórcze podsuwa rozmaite formuły usprawiedliwiającej. Mickiewicz, gdy nie mógł już pisać, twierdził, że minął "czas książek". I przypomniałem sobie Sartre'a sprzed lat, w czasie jego pobytu w Warszawie. Spotkałiśmy się w Muzeum Mickiewicza. Obejrzał jego dagerotyp z lat 40-tych, a potem przystanął przed fotografią zrobioną niedługo przed śmiercią. - Quelle fatigue... - powiedział. Było to zdjęcie posiwiatego Mickiewicza, takie samo stoi na mojej półce: otyły, z kijem w rękę, podobny do starej kobiety.

W zeszłym tygodniu rozmawiałem z JMR o jego pracy nad nową książką. Pisze o Słowackim. Mówiliśmy także o przyczynach zamilknięcia Mickiewicza. Zdaje się, że trafił mu do przekonania mój domysł: w tym czasie opadła fala poezji romantycznej, zmieniał się język literatury, nadciągnęła epoka powieści. Próbował nowego gatunku, napisał "Pana Tadeusza", powieść wierszem, i po ukończeniu arcydzieła mruknął przyjaciółom Litwinom: "więcej do fraszek nie siadam". Coś się zużyło, wyczerpało. Inni z pewnością również to odczuwali. Puszkina pisał już prozą "Córka kapitana" i "Dama pikową", Wiktor Hugo w roku Powstania Listopadowego opublikował swoją pierwszą powieść, "Notre-Dame de Paris". Równocześnie wstąpili na rynek romansopisarze, z gigantem sukcesu, Balzakiem, na czele, i przynętili publiczność swymi fabułami wulgarnymi, sensacyjnymi, plotkarskimi. To musiał być wstrząs. W kilkadziesiąt lat później analogiczny szok spowodowało wtargnięcie filmu do sztuki: jarmarczna rozrywka, latarnia magiczna zaczęła wyręczać narracyjną wyobraźnię prozaików. A co teraz, co dalej?

Spotkałem wczoraj znajomą mi od dawna młodą kobietę, przeżywającą literaturę po staremu, zeszłowiecznie, z podziwem i oczarowaniem, co niebawem śmieszy jej męża, konstruktora maszyn. Uważa ją za wariatkę, krzyczy na nią, że literatura to niepoważne zajęcie, czyste zawracanie głowy! Nieszczęsna broi się jak umie, Szekspirem, Mickiewiczem. Inżynier wzrusza ramionami; kiedyś... dawniej... może... A w końcu pęka ze śmiechu: - Dla mnie ten wasz Szekspir to także powietrze! - Interesują go wyłącznie elektroniczne maszyny. Elektronika to przemysł, przemysł to produkcja, produkcja to... Kogo nakarmił Szekspir? Marli wtedy z głodu! - Ale poza tym on jest dobry człowiek - mówi jego żona ze smutkiem.

Czytam właśnie na nowo "Idiotę" (zachęcił mnie Nabokov swoją "Obroną Łuzina") i trafiłem na takie zdanie: "Zbyt hałaśliwie i fabrycznie zaczyna się robić na świecie, za mało spokoju duchowego... Niech tam, ale turkot wozów wiozących chleb dla głodnej ludzkości jest może lepszy od duchowego spokoju... Nie dowierzam wozom wiozącym chleb dla ludzkości! Albowiem wozy wiozące chleb dla ludzkości, bez moralnej podstawy działania, mogą usunąć znaczną część ludzkości..."

Trudniej jest być pisarzem dzisiaj niż przed stu laty, gdy powieść ofiarowywała się każdemu, jak lustro na gościńcu; kiedy literatura nie stanęła jeszcze wobec pustych, ogółconych przestrzeni, z których straszą pytania-widma. A w Polsce jeszcze trudniej być pisarzem niż gdziekolwiek indziej, bo tutaj literatura ciągle się ugina pod dziedzictwem poetów romantycznych, którzy przekazali jej obowiązek stwarzania narodowego cudu. Jest w tym piękno i zaszczyt. Ale to ciśnie - krępuje osobowość, indywidualne człowieczeństwo. Tkwiąc w swej zbiorowej inności, sylwetki mamy niezbyt wyraziste; jakże tracimy w porównaniach, choćby z Rosjanami, z ich krańcowymi, wydatnymi typami; z Dostojewskim, Gogolem, Tołstojem, Majakowskim, z

Jesieninem i Solżenicynem, z ich samobójstwami, katowca i szalenstwami. Trumaczyłem jakiemuś zaciekawionemu Polakowi Anglikowi, że z tradycją naszej literatury wiąże się emigracja, podobnie jak z tradycją rosyjskiej - katowca. Ale i tak niewiele zrozumiał. W krótki czas później usiłowałem wytłumaczyć komuś w Warszawie rolę e u d u w polskiej kulturze. Mówiłem o niedowładzie polskich fabuł, z których niejednokrotnie sami przecież drwiny (polska harfa eolska...) i o tym, że nie przeszliśmy przez szkołę historycznych doświadczeń fabularnych, jakie tworzyły w krajach mających dwór, mieszczaństwo, kolonie i policję. Dwór był szkołą intrygi, mieszczaństwo szkołą kariery, kolonie szkołą przygody, a policja - szkołą rekonstrukcji zbrodni. To są podstawowe elementy fabuł: intryga, kariera, przygoda, zbrodnia. Te kraje wydały Moliere'a, Defoe'go, Balzaka i Conan-Doyle'a. W Polsce nie istniał dwór tyru wersalskiego, centralne ognisko wielkich intryg; mieszczaństwo było zapóźnione, słabo rozwinięte; kolonii nie mieliśmy ("Robinson Crusoe" nie mógłby powstać w kraju bez kolonii), nie mieliśmy też policji kryminalnej w stylu Scotland Yardu. Ale mieliśmy Cud. Tkwił w liturgii kościelnej; nabożeństwo katolickie jest już samo w sobie konstrukcją fabularną - irracjonalną, nadrealną. Mieliśmy ponadto świadomość niewoli, z jej sublimacjami - pogardą śmierci, wiernością, honorem, z jej problematyką buntu, kompromisu i klęski; i mieliśmy wybuchy geniuszu, utwierdzające wieczną nadzieję cudu: przeobrażenie Gustawa w Konrada, weselną szopkę z duchami i wizje szklanych domów. I może dlatego, poza "Faraonem", tak mało precyzyjnie zbudowanych powieści, z wyjątkiem Fredry i Zapolskiej - dobrze skonstruowanych dramatów.

Barokowa i romantyczna cudowność jest zakodowana w polskim myśleniu o życiu i literaturze. Zamracza i świta, przykacza i opromienia. Czujemy jej kaskotanie w piętach, tę zapięrającą dech możliwość skoku ponad siebie, ponad rzeczywistość, w marzenia, w bohaterę... Wskreszenie Niepodległej, czy nie było cudem? Sam Pan Bóg zdaje się nas zachęcać. Niby w odpowiedzi na partyjne hasło "Polak potrafi", wskazuje palcem Wadowice. Zostać Papieżem? Polak potrafi. Tylko w polskim języku słowo c u d rymuje się z l u d e m.

Sto kroków od mojej bramy. Przez dwadzieścia lat zatrzymują się przy niej cudzoziemskie wycieczki, przez dwadzieścia lat słyszę ten sam ochrypły baryton. - That is the old gothic door of fifteenth century! - Po czym rozlega się turystyczne ówierkanie, wycieczka ogląda moją bramę. Od dwudziestu lat przeklinam tego czkowieka i nienawidzę jego chrypki. Dopiero przed miesiącem, wracając do domu, zobaczyłem go po raz pierwszy. Był niemłoda kobietą o ciemnych usmiechniętych oczach, którymi zerknęła na mnie nie bez sympatii, jakby rozumiejąc moje wieloletnie udreki. Miała zabłoczone buciki. Odtąd, kiedy dociera do mnie z dołu jej baryton, nie czuję nienawiści.

O sto kroków od mojej bramy dzieje się cud. Nie literacki: cud prawdziwy, z cudotwórcą, który przyjechał z Anglii. Między Barbakanem a Świętojerską od rana stoi tłum. Ludzie na wózkach, mężczyźni z dziećmi na ręku, starcy, sparaliżowane kobiety, synowie pochający matki w ruchomych fotelach, spora ludźmi o na pozór zdrowym wyglądzie, wiele młodych twarzy. Wyloty bocznych ulic zatarasowane samochodami, podjeżdżają karetki pogotowia. Tłum czeka godzinami, co pewien czas odzywa się megafon spod kościoła św. Jacka, wywołując numery i nazwiska. Uzdrawiciel, Clive Harris, leczący dotknięciem dłoni. ChOROZY przesuwają się kolejno, słysząc głos tłumaczki: - Head... Leg... Ereast... - Uzdrawiciel, z przymkniętymi oczami, dotyka głowy, ręki, piersi. Podobno odejmuje ból, od jego dotknięcia cofają się nowotwory. Harris jest czterdziestoletnim mężczyzną o drobnej budowie, małych rękach i stopach; ma w sobie coś chorowitego, jakąś káleką chłopięcość. Dotyka chorych jakby w transie. Uzdrawiciel z powołania, emanuje z siebie - tak słyszałem - fale elektromagnetyczne. Co parę godzin wypija dwa, trzy kubki mleka. Cud polega również na bezinteresowności. Harris nie bierze pieniędzy.

Opowiadała o tym pani Helenka, która przyszła do nas na zreumatyzowanych nogach, żeby odpowząć po pięciu godzinach wystawiania w tłumie. Przyszła wstrząśnięta, w srebrnym lisie, filcowym cęglastym berecie i z kolczykami w uszach. Od ośmiu lat nie pracuje już u nas, ale pracowała lat dwadzieścia, polecona po wojnie przez panią Bronię, dawną gosposię ciotki Klimy Heyman, niezwykłej siostry mojej

matki. Odłożyłem robotę, żeby porozmawiać. Rozmawialiśmy o chorobach, o zmarłych, o drożyznie. Pani Helenka ma 79 lat. W sześćnastym roku życia przybyła do Warszawy na służbę, w czasie I wojny znalazła się pod Kazaniem, podczas II-giej została deportowana do Niemiec; szła pieszo pędząc stado zarekwirowanego bydła, wróciła po trzech latach, znowu pędząc bydło. Jest dziś emerytka, pobiera 1500 zł renty i skarży się jedynie na swoje spuchnięte nogi, których przed godziną dotknął Cudotwórca. Cudotwórca? Obrzuciłem wzrokiem lisa i kolożyki. - Przecież to chyba pani jest cudotwórczynią... Pijąc herbatę odginała mały palec - Proszę pana, ja jeszcze odkładam na książeczkę. - I widząc moje zdumione spojrzenie, zwróciła się do mnie twarzą starego, niegłupiego wróbla, na pewno trafnie odgadując, co myślę. A właśnie pomyślałem, na co może odkładać prawie 80-letnia rencistka, dlaczego nie wydaje swego półtora tysiąca w całości, jaka potrzeba, jaki cel przyswieca temu życiu, tak już bliskiemu kresu. - Na pogrzeb już odłożyłam - kiwnęła głową - a teraz składam na pomniczek.

Zrozumiałem. Po jej stronie była racja. Ta sama, która mnie każe codziennie parę godzin siedzieć w fotelu nad blokiem i odkładać słowa, linijki, kartki kartki. Ależ naturalnie. Każdy pragnie zostawić po sobie jakiś ślad. I nawet jeśli to jest cel złudny, nadzieja urojona, życie bez nich byłoby niemożliwe, do gruntu niemożliwe. Patrzyłem na panią Helenkę z atencją i solidarnym uznaniem ciułacza, byliśmy współnikami jednej sprawy, a różnice, jakie nas dzieliły, wydały mi się doprawdy nieistotne. I po jej wyjściu, gdy znowu usiadłem do pracy i M. weszła do mnie, by usłyszeć, co ja o tym myślę, powiedziałem znad bloku, zanim zdążyła się odezwać: - Ja także odkładam na pomniczek.

W dniach, kiedy Harris uzdrawia dotknięciem ręki u św. Jacka, od kilku miesięcy w całym kraju daje się we znaki brak lekarstw. Wiele aptek wywiesiło szyldziki ze zniechęcającym napisem "Remont", w szpitalach brakuje lekarstw kardiologicznych. Bo gdzieś na jakimś ministerialnym szczeblu skreślono wydatki na import; nie sprowadza się z zagranicy również składników niezbędnych dla farmakologii krajowej. To bardzo wzburza ludzi. Przy czym, jak zwykle, największą wściekłość powoduje obłudny język massmediów. Już we wrześniu telewizja nadała rozmowę prowadzoną przez kilku znanych lekarzy. Temat: plaga lekomanii i jej społeczna szkodliwość. Rozmowa w duchu obywatelsko-dydaktycznym, ani słowa o trudnościach w nabyciu leków, dominował ton dobrotliwej perswazji: po cóż wam tyle recept, drodzy państwo, zbyt często stosowane leki szkodzą na zdrowie... I to nade wszystko doprowadza do szału - nieuczciwość zabiegu, paskudny chwyt sofistyczny. Jest w tym coś gorszego niż kłamstwo.

Niedawno przeczytałem "Mój wiek", tom zredagowany przez Miłosza z magnetofonowych nagrań jego rozmów z Aleksandrem Watem. Wat, który cierpiął na niemoc pisarską, był genialnym rozmówcą. Zawsze mi przypominał obu monologistów z "Czarodziejskiej góry" (obu naraz, nazywałem go skrzyżowaniem Naphty z Settembrinim) i w taśmach autobiograficznych przekazał niebywałą, urzekającą sugestię swego oralnego eseju. "Mój wiek" opowiada o satanicznych doświadczeniach humanisty z komunizmem, o autohipnozie w zamkniętym kręgu ideologii, o śledztwach, celach więziennych, deportacji. Jest to tekst ustny, zapisany głos, i dzięki temu mimowolnie osiąga naturalność makabrycznej gawędy pod lipą, opowieści intelektualnego szlachetca o swoich przygodach w jasyrze. Oprócz narracji jest w niej nieustannie obecna refleksja, analiza. W jednej z dygresji Wat mówi o istocie komunistycznego systemu i zaszczerpionej mu "zdradzie słów", a w którymś miejscu - cytuję z pamięci - określa tę mefistofeliczną sztukę jako zastąpienie kłamstwa przez prawdę.

Kłamstwem byłoby twierdzić, że szpitale i apteki są dostatecznie zaopatrzone w lekarstwa. Otóż telewizja i gazety nie kłamia. Mówią tylko: ludzie w Polsce zażywają nadmiernej ilości leków. Na pewno jest w tym jakaś prawda. Ale w wypadku, gdy na rynku lekarstw braknie, taka prawda spełnia rolę kłamstwa.

W środę podwieczorek z udziałem mademoiselle R., którą znam jeszcze z Paryża. Prócz nas było parę zaprzyjaźnionych osób. Rozmowa przerywana rykami zalanego Pi-ka. - Z kim śpi ta kurwa?! - Przyszedł po ówiarce. Chudy, ciemny, siedzi na przeciw mnie, z wilczą twarzą i nowymi, białymi zębami, nie mówi po francusku. Niesamowitość zasypujemy rozpaczliwą konwersacją. Julek S. opowiada o rocznicowej uroczystości u Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie zeszło się tysiące ludzi

/milicja niewidzialna, ukryta na zapleczu w bocznych uliczkach/. Tysiące ludzi śpiewało "Boże, coś Polskę" i "Rotę". Później przez chwilę rozmawiamy o Sartrze, Mięsiu, temu mademoiselle R. minęła na Montparnassie siwego "cłocharda" w czarnych okularach, który wydał się jej podobny do Jean-Paul Sartre'a. W zeszłym tygodniu na dzień przed wyjazdem, znów szła przez Montparnasse i niedaleko "Coupole" spostrzegła Simone de Beauvoir prowadzącą pod rękę tego właśnie włocharda. Sartre goliemniały, Sartre małeńki, zarósnięty, w obstrzępionych spodniach. Jeszcze w 76 latem czytałem jego wywiad w "Nouvel Observateur". Był wtedy po pierwszym wylewie, przestał widzieć. Twierdzi, że wylew nastąpił wskutek zbyt intensywnej pracy nad książką o Flaubercie; pisał ją na środkach podniecających. - Ty! - woła Pik - mam w dupie Francuzów! - Wyszczersza na mnie perłowe zęby. - Co się podlizujesz tej paryskiej kurwie? - Ktoś go uspakaja, Artur chce ratować sytuację, chwytają się za temat kultury śródziemnomorskiej. Pik wyjmuje protezę, żeby ją pokazać zaproszonym paniom: - Patrz, kurwa, dałem trzy tysiące! - Strach, cisza. Mademoiselle R. wyraża podziw dla rekonstrukcji zabytków warszawskich. I w końcu Pik zaczyna uragać mnie i jeszcze komuś. - Jajami! - wyje - kurwa, pisze się jajami! - A teraz zaśpiewajmy, myślę, zaśpiewajmy chorał, żeby Francuzka miała pełny obraz naszego artystycznego życia.

Tymczasem, i to jest może najdziwniejsze, mademoiselle R. wydaje się ukontentowana, wyraźnie jej się podoba intelektualny salon warszawski, i widzę już w jej oczach odkrywczy błysk, z jakim wylądowała na Orly: "On est tres slave labas, vous savez, c'etait comme de Mrozek... de Gombrowitch..." Kiedy żegnamy się u wyjścia, z salonu słychać: - A ja pierdolę tę bladź...

grudzień

Od tygodnia mróz, rano dochodzi do 10 stopni. Dwa miesiące, przeszło dwa miesiące spędzone w Warszawie, sześćdziesiąt kilka dni bez podróży i spakowanych walizek, bez przerw czy zmian w trybie życia. Dwa pełne miesiące: o 8-ej kąpiel, trzy godziny pracy, trochę przepisywania lub korespondencji; obiad w Klubie, później spacer, czyjaś wizyta albo kino, wieczorem parę telefonicznych rozmów, płyty, telewizja... i wreszcie cisza, książka... Północ. Jakież to błogosławione w swojej powtarzalności. Każdy dzień prawie identyczny z poprzednim i następnym, nie odczuje się upływu czasu, minuty, godziny przemienione w inną, pewniejszą strukturę - przedmiotów, czynności, słów - jednorodną i stałą, najzupełniej szczelną. Ani jednej szpary przepuszczającej lęk. Życie zagospodarowane i pogodzone ze światem, Ani sekundy poczucia kresu, zwątpienia o sensie.

Córka Stalina zanotowała w swoich książkach parę ciekawych obserwacji i faktów. Stalin nie lubił zmian w trybie życia, bardzo niechętnie podróżował, zawsze jadł to samo i mieszkał tak samo, w bliźniaczo umeblowanych wnętrzach. Wszystkie rezydencje Stalina były urządzone identycznie: ten sam rozkład, te same biurka i kanapki, na półkach te same książki. Przenosząc się spod Moskwy na Krym mógł czuć się tak, jakby nie zmienił miejsca pobytu. Wszędzie tak samo, żadnych różnic. Widocznie bał się zmian. Bał się zmian, ponieważ bał się czasu: każda zmiana to fizyczny znak czasu prowadzącego do śmierci. A władcy szczególnie nienawidzą śmierci. Nienawidzą rzeczy, wobec których są bezsilni, których nie mogą wyaresztować i unieszkodliwić. Dla despotów czas jest podwójną tragedią. Zbliża się tylko ich życie do końca, zwiastując koniec ich władzy.

Podobne skłonności cechowały Franciszka Józefa. Ta sama uderzająca niechęć do najmniejszych odchyłek w codziennym rytmie życia. Niezmiernie interesujące szczegóły podaje w swojej książce Grodziski. Cesarz żył w świecie jakby skamieniałym, zatrzymanym w czasie. Nawet zegarek był mu niepotrzebny: budził się co do sekundy o tej samej godzinie, w czterdziści minut później zasiadał do biurka. Przebieg cesarskich audiencji utrzymał w kilku nieodmiennych gostach i zwrotach, na spacerach chodził, ustaloną raz na zawsze trasą, latem wypoczywał rokrocznie w tej samej miejscowości. Zwracając ministrom przestudiowane raporty o sytuacji

państwa, przez lat sześćdziesiąt osiem za każdym razem powtarzał to samo zdanie: "Dziękuję panu, bardzo mnie to ucieszyło". Powtórzył je po raporcie o klęsce pod Sadową. Przez kilkadziesiąt lat o przewidzianej porze dnia wypijał filiżankę bulionu, przez pół wieku palił cygara jednej marki. Nie zmieniał nawet chorób: chorował i umarł na bronchit. Opięty zawsze tym samym uniformem, całej swej postaci nadał hieratyczną sztywność i odwieczność, która przewyciężyła czas. Świat walił się dokoła, a on trwał wyprostowany, bez drgnienia, z parą bokobrodów nad złotym wysokim kołnierzem. Dopiero kiedy umarł, okazało się, że cesarstwo nie istnieje. Śmierć była pierwszą zmianą, jakiej uległ.

Wszystko to bardzo interesujące, tylko jedno mnie niepokoi: że ja w tym jestem na trzeciego. Wydawałoby się, że z kim jak z kim, ale ze Stalinem i Franzem Josephem nie łączą mnie wspólne cechy charakteru. Tymczasem proszę, w mojej życiowej domenie mam niewątpliwie podobne zamiłowania. Skąd to pokrewieństwo?

Nie wiem, pokrępiam się jednak innymi, mniej żenującymi przykładami. Wspominam czyjeś słowa wypowiedziane o Kancie: "Prawdziwa wielkość Emanuela Kanta polegała na tym, że przez całe życie ani razu nie wyjechał z Królewca. Reszta to były dodatkowe okoliczności tego wiekopomnego dzieła". Niedawno przytoczyłem ów cytat w rozmowie z Jackiem Bocheńskim - w odpowiedzi na jego pytanie, czy zamierzam wrócić do Berlina Zachodniego, aby dokończyć przerwany w zeszłym roku mój stypendialny pobyt. Zwykle takie pytania kwituje się niezbyt wyraźną reakcją, jakimś "może" albo "na razie". Z Jackiem nie umiem tak rozmawiać. Próbowałem mu rzetelnie wyjaśnić, dlaczego nie wrócę do Berlina. I wcale to nie okazało się łatwe. Oczywiście: choroba, niedobre wspomnienia. Poza tym: Niemcy...

Co mnie prześladowało w Berlinie? Może, gdyby przenieść pojęcie "zapachu" w dziedzinę psychologii, powiedziałbym, że w ciągu tych czterech miesięcy przeszkadzał mi niemiły, przygnębiający zapach. Nie oddycham lekko tamtejszym powietrzem. Wszystko: twarze ludzkie, dźwięk języka, fasady domów, klomby Tiergartenu, wszystko było przesłonięte - niby oparem czy gazem - pamięcią atakującą mózg. Właściwie przez cały ten okres żyłem przyduszony, na półoddechu, jakby w obawie, żeby się nie zakrzuszył. Kilkanaście lat temu pisząc "Dzokera" zadałem sobie pytanie: co się dzieje z winą po jej odpuszczeniu? Nie miałem zresztą na myśli lat wojny, pytanie nasunęło mi się w związku z czymś innym. Wyraziłem domysł, że odpuszczona wina zostawia po sobie jakiś ślad, jakąś niematerialną pozostałość, i że ta pozostałość trwa mimo przebaczenia. Nadzwyczaj trudno używać tu pewnych określeń. "Przebaczenie" nie jest słowem jasno tłumaczącym mój obecny stosunek do Niemców. O wiele ściślej byłoby powiedzieć, że mój stosunek do Niemców się zmienił, ponieważ zmieniły się Niemcy. W Niemczech żyją dziś inni Niemcy. Inni, to znaczy młodsi, później urodzeni: po zbrodni albo pod koniec zbrodni. Wina, ekspiacja, odpuszczenie - czy takie pojęcia w ogóle mogą się odnosić do dzisiejszej masy niemieckiej, której średnia wieku nie sięga pięćdziesiątki? Przypominam sobie aforyzm, bodaj czy nie de Gaulle'a: "Problemów się nie rozwiązuje. Problemy odchodzą". Szuszniej byłoby powiedzieć, że wina o d e s z ł a, lecz coś po niej zostało i właśnie o tym myślę - o tym czymś niemiłym, ciężkim, mdlącym, a tak trudnym do nazwania jak zapach.

Berlińskie powietrze... Być może chodzi tu istotnie o powietrze, o to samo niebo nad tym samym miejscem. Przecież od tego miejsca się zaczęło. Walić się zaczęła nasza wiara w opatrność, w nieprzekraczalne granice zła. Wiara lub raczej przeświadczenie. Ale fundamentalne, niezachwiane, jak wiedza o prawach natury. I ta zawalona pewność przesunęła nas w łózysko świadomości, odkaąd każdą ludzką rzecz widzimy z perspektywy tego zawalenia, poprzez tamtą ciemność. Mówię m y i j n a s, co jest zrozumiałe, skoro wszystko przeżyliśmy we dwoje, razem. Po pięciu studenckich latach pięć wspólnych lat wojny. Kiedy poznaliśmy się niecały rok przed maturą, w tym samym roku - w Berlinie objęli władzę naziści. W 39 pod koniec czerwca pędziłem do niej w doróżce z Uniwersytetu, żeby opowiedzieć o moim dyplomowym egzaminie; miasto o tej porze było niezwykle rojne, pamiętam zalane słońce skrzyżowanie Alei Jerolimskich z Bracką, jakos szczególnie wesole i tłoczne. Potem okupacja kojarzyła mi się ze zmorą egzaminów i któregoś dnia powiedziałem: - Zetną mnie, nie przejdę przez ten rok. - Ale przechodziłem. Przeszliśmy oboje i po latach znaleźliśmy się tutaj, dalej razem, żywi, jednakże mocno

zdziwieni, a nawet trochę przestraszeni nieoczekiwanym kołem, jakie los zakreślił, by nas przyprowadzić właśnie do Berlina, na to samo miejsce, z którego wyszedł plan katastrofy. Na to samo miejsce. Chciałbym to powtórzyć. Nie o Niemcy tu ochodzi, lecz o miejsce, o centrum sejsmiczne katastrofy: runięcia naszych wyobrażeń o świecie. Prawdopodobnie dla ludzi, którzy przeżyli wojnę pod Kołem Polarym, takim miejscem stała się Moskwa.

Po czymś tu przyjechali... Rok w Berlinie miał być okresem regeneracji serca. po jesieni przechorowanej w Paryżu. Niewiele lekarstw, kontrolne analizy krwi, a przede wszystkim spokój i spacer. Tymczasem wkrótce po przyjeździe zaczęła mi zniechęcać, tracić siły; była coraz bledsza. Nie domyślił się, że jest to nowa choroba, bóle wystąpiły później. Lecz zanim do nich przyszło, próbowaliśmy ułożyć sobie to berlińskie życie. Chodziliśmy na długie spacer, jadalismy w chińskich restauracjach. Mieliśmy już nawet przyjaciół. Wydawałoby się, że wszystko jest na lepszej drodze. Tak by się wydawało. Ale nie było, czułem w tym pewną nienormalność. Jakby to określić... Żyłem w podwójnej smudze czasu, w jakimś wy-naturzonym planie przeszło-teraźniejszym, wciąż się rozszczepiającym na w t e - t y i t e r a z. Przykładając je do siebie i nie umiając ich skleić, doznawałem uczucia niewygodności z jednoczesnym dreszczykiem sensacji. Było w tym również coś z zera. Jednym okiem patrzyłem, drugim widziałem coś innego. Patrząc na ładne kobiety w "Café Möhring", widziałem okupacyjną "Fregatę" i nas dwoje siedzących przy stoliku blisko wyjścia; mówiłem wtedy, że nie przeżyję wojny, na co się oburzyła: "To bzdura! Daję ci słowo honoru, przysięgam na własne życie!" Teraz, w którymś z najgorszych dni, kiedy mi powiedziała, że nigdy nie wyjdzie z tej choroby - teraz ją wpadłem w oburzenie, ja krzychałem, że to bzdura, przysięgałem i dawałem słowo honoru...

Więc po to przyjechaliśmy. Wszystko niezbyt wesołe, no i trochę dziwaczne. W końcu pragnąłem tylko jednego: wrócić. Zaczął mi się śnić fotel pod oknem i miejsce, gdzie leżą długopisy. Śniłem o życiu bez przygód. To znaczy o moim prawdziwym życiu, w którym ja sam wymyślałem przygody. Nie wykluczone, że podobne sny miały biurokraci i tyrani.

W gruncie rzeczy moglibyśmy się nadać na parę bohaterów kilkotomowej powieści. Gimnazjalna miłość i uniwersyteckie niby-narzeczeństwo, z ciemniejącym za naszymi plecami groźnym tłem. Półmrok, ideologie... I wojna. Nasze okupacyjne wódkę i romanse, tak blisko ocierające się o śmierć, zmiany mieszkań, ucieczki (z ciekawą sceną mojej dwukrotnej ucieczki w Alei Niepodległości i nałożenia mi kajdanków), a przedtem mój pierwszy rękopis i wieczór autorski, później wyjście z Warszawy i obóz w Pruszkowie, gdzie podrobiłem niemieckie zwolnienie lekarskie, i potem nasz ślub w wiejskim kościele, wśród migocących świateł. Boże drogi, coś to za materiał na powieść rzekę, na sagę! Gdybym ją mógł napisać. Otóż nie. Nie mogłem. Widocznie zaważyły się nie tylko nasze wyobrażenia o świecie, lecz także ich formy. Prawdopodobnie u źródeł tych dawnych wielotomowych powieści tkwiło przekonanie o elementarnej, trwałej równowadze życia i śmierci w naturze, i to przekonanie runęło. Zbombardowano gościnnie i lustra na gościach. Pozostały rozrzucone kawałki szkła, które trzeba na nowo układać.

Latem, po powrocie do Warszawy (dwie berlińskie karetki pogotowia, zachodnia i wschodnia, samolot, i na płycie Okęcia znowu karetką pogotowia), mniej więcej w trzy miesiące po operacji, zacząłem pisać opowiadanie, którego nie ukończyłem. Miała to być krótka powieść o nas, z takim samym początkiem: rozstrzelane wiosennie południe na Nowym Świecie, kiedy przypadkiem spojrzeliśmy na siebie przez szybę włoskiej galatierii. W szkolnej teczce miałem rakietę tenisową; idąc z kolegami zobaczyłem ją za szkłem, śmiejącą się, z waflowym różowym lodów w ręku. W opowiadaniu chciałem przeprowadzić tę sztubacką miłość przez kregi współczesnych piękniek. Pisząc zmieniałem wiele szczegółów, ale zaczynało się właśnie tak, jak się zaczęło: od spojrzenia przez szybę oblaną słońcem. Liczyłem, że uda mi się pokazać obraz tamtych lat "w ramce" stylu i mitu, ze sceneria, kostiumami i dekoracjami, pokolorowany widoczek epoki mieniającej się już za szkłem; czasem mi się to udaje. Przedmaturalna sielanka, z węgarami w Alejach, pierwszym pocałunkiem i zazdrością, męczarnie wakacyjnych rozstań, powroty jesienne i zima, szkolne bale, ślizgawka w Dolinie Szwajcarskiej... Wszystko jeszcze nieświadome swego losu, jeszcze bezpieczne. Tak przecież było. Zdawało się, że nad wszystkim czuwa krzaczasty cień w szarym mundurze, spaliśmy bardzo spokojnie, opatrność, zaduma-

na przy belwederskim kominku, również nocą nas strzegła.

Nie przypadkowo zacząłem o tym pisać po powrocie z Berlina. Tak jak mówiłem, właśnie w Berlinie wciąż nąsowała mi się myśl o nas dwojgu jako o literackiej parze i coraz wyraźniej rysował mi się pomysł fabuły zakończonej blaskiem ślubnych świąc, a może nawet rozleglejszej, z berlińską pointą w epilogu. Ale w trakcie pisania już na początku wprowadziłem trzecią postać. Dziwaka, ekscentryka; reżenera - typ, jakby mi znajomy, mówiący chyba słyszany już kiedyś językiem, w tonie nosowym, pouczająco szydzącym. Skąd mi się wziął ten dziwny trzeci? Nie odstępował mojej pary, tyranizując ją monologowaniem, wiecznym zrządzeniem intelektualnym, i właściwie nie było dla mnie jasne, w kim z tamtych dwojga się kocha: w niej czy w nim? Być może fascynowała go ich wspólna miłość. W którymś miejscu wspomniałem, że nosił ubrania o staroświeckim kroju, przenicowane garnitury ajca. I że osobliwie grasejował: "pogoszę cię bagdzo, mój dgogi". No tak, oczywiście...

W całym berlińskim okresie szczególnie często przychodził mi na myśl Gombrowicz.

Nie było w tym nic osobliwego, skoro wiedziałem, że kilkanaście lat wcześniej przemieścił rok w Berlinie po otrzymaniu takiego samego zaproszenia od Akademii Sztuki. I w Berlinie chorował. Przyjechał z Paryża, z początku starał się zebrać wokół siebie grupkę stypendystów, codziennie przychodził do kawiarni, wyczekiwał godzinami przy stoliku. Przed wojną w Warszawie miał swój stolik w "Zodiaku", później założył stolik w Buenos Aires. Teraz postanowił go przenieść do Berlina. Nie udało mu się też berliński stolik. A myślał o nim już w Paryżu i po jakimś spotkaniu z Butorem, także zaproszonym do Berlina, żegnając się powiedział: - A zatem do zobaczenia, w Berlinie będziemy mogli rozmawiać o sprawach istotnych - Co Butora nadzwyczajnie zdumiało i rozbawiło, nie pojmował, o czym miałyby z Gombrowiczem rozmawiać. Michel Butor, szanujący się literat paryski, nie uznawał poważnej rozmowy, takiego gatunku wypowiedzi o rzeczach istotnych po prostu nie uprawiał. Jak wszyscy szanujący się paryscy literaci, wypowiadał się pisząc. W tych środowiskach rozmawia się albo informacyjnie, albo zdawkowo i zabawnie; nie jest w dobrym stylu forsować myśl, mówić serio. Propozycja Gombrowicza zapewne wydała się Butorowi prowincjonalna i bardzo słowiańska. Słowiańskie dysputy! Przecież to do Tokstoję rzekł fotograf z Tuły, zaproszony dla zrobienia zdjęć w Jasnej Polanie i poczęstowany kawą z mlekiem: "Lwie Nikołajewiczu, czy jest Bóg?" Na co Tokstoję go zagadnął, czy oglądał kiedyś zarazki przez lupę: "Gdyby takiego mikroba zapytać, czy jest fotograf Rozrażewski w Tule, jak pan myśli, co by on odpowiedział?" Gombrowiczowi stolik był konieczny do dysputy, do istotnych rozmów. Siedział w berlińskiej kawiarni (może u "Möhringa") czekając, aż ktoś przyjdzie. Opowiadała mi o tym Ingeborga Bachman. I nikt nie przychodził. W końcu skapitulował. Pamiętam fragment jego "Dziennika", opis nudnych berlińskich godzin, które przeliczał, żeby się pocieszyć, na inkasowane dolary.

Zaraz w pierwszym tygodniu pobytu w Berlinie, właśnie u "Möhringa", po zapłaconiu rachunku wstałem od stolika, by zdjąć z wieszaka mój kożuch. Szalik gdzieś się zapodział, szukałem go w rękawie. Przetrzeszając kożuch raptem się wzdrzygnąłem, bo zza moich pleców odezwał się męski głos: "Lassen sie meinen Mantel". Ołbrzym, łysy, w skórzanej kurtce, wyjął mi z rąk kożuch i z powrotem odwiesił. Pomyliłem się, mój kożuch, zupełnie podobny, wisiał trochę głębiej wśród płaszczy. Gdzie indziej taki incydent nie miałby znaczenia, ale tutaj... Nie mogłem potem zasnąć. Wciąż powracała do mnie scena z początku okupacji, kiedy Niemcy przyszli z nakazem rekwizycji do mieszkania na Asnyka. Chciałem zabrać moją rakietę tenisową i mężczyzna w skórzanej płaszczy wyjął mi ją z rąk. "Lassen sie das, Wer spielt heute Tennis?" Te dwa epizody z powtórzonym gestem i niemieckimi słowami nasunęły się jeden i drugi i w dodatku - ale nie rozumiałem jeszcze dlaczego - zaczęły mi się kojarzyć z Gombrowiczem. A co już najdziwniejsze: z jego walizkami, z bagażem podróżnym.

Opuszczając Europę w sierpniu przed wybuchem wojny, Gombrowicz nie miał złudzeń, przewidywał kataklizm. Na wiele tygodni wcześniej pytał Stefana Otwinowskiego: "Czy przygotowałeś pan sobie truciznę?" O jego wycieczce transoceanicznej wspominał mi któryś z bywalców "Zodiaku". Wróciłem z ostatnich wakacji, z Orłowa, Gombrowicz właśnie wyjeżdżał.

Bo poznałem Gombrowicza półtora roku przed wojną w kawiarni "Zodiak" na Traugutta, gdzie skupił przy stoliku grupkę zafascynowanych kobiet i słuchaczy. Był

dla mnie dość kaskawy, może dlatego, że przychodziłem z M. Lubik młode, dorodne osoby o intelektualnych zainteresowaniach, podkszałcał je filozoficznie. Sprawdził jej nazwisko w herbarzu i nazajutrz zwrócił się do niej grasejąc beczącym, modulowanym głosem: "Zapraszam panią do baru w wysokości złotówki!"

Lipiec był upalny, wychodziliśmy z kawiarni późnym wieczorem, Gombrowicz zatrzymywał się przy koszu ze śmieciami, wygrzebując z niego jakieś paskudne resztki. Kobiety chichotały ze zgrozą i zachwytem: "Ależ panie Witoldzie..." Ładne kobiety o ładnych imionach: Ewa, Gizella, Hanna, Zuzanna... Te wieczory silnie utkwily mi w pamięci - ostatnie lato przed wojną. Gombrowicz był już autorem "Pamiętnika z okresu dojrzewania" i głośnej "Ferdydurke". Ale jego wpływ był przede wszystkim osobisty, polegał na niezwykłości autokreacji. Termin wówczas rzadko używany, częściej mówiło się: poza, aktorstwo. Sądziłem więc, że jego dziwaczny sposób bycia jest poza towarzyską na użytek wielbicielek i kibiców. W owych latach lżejszych doświadczeń style i maniery jeszcze nie zostały poddane ostatecznym próbom, to była jeszcze opka dowcipu, limeryku, kalamburu, na górze w "Ziemiańskiej" oceniano ludzi kiasą ich poczucia humoru. Lechoń miał poczucie humoru, Słonimski miał poczucie humoru, ale Gombrowicz? Coż to za poczucie humoru mówić "pani Ewuch" do pięknej Ewy Otwinowskiej? Jakże to się z czasem odmieniło. Wilek Mach powiedział mi kiedyś, że ocenia ludzi miarą ich poczucia tragedii.

Autokreacja... Gombrowicz swą autokreacją nacierał i demaskował. Obnażał wszelkie odcienie psychologicznych fałszów i kulturowych zakłamań, tępił je u przyjaciół, u wrogów. Sam dla siebie natomiast wybrał maskę-formę, hipnotyzującą otoczenie, ale jej ekscentryczność posunął bardzo daleko, jak gdyby sygnalizując jej umowność: tak dziwaczny nie można być naprawdę, to dziwaczność przybrana w wyższym celu. A więc nie mały styl, lecz wielka rola. Mówiono wtedy: prowokacja intelektualna. Użyłbym dziś innego zwrotu: obwarowanie się formą w celach odpor-no-zaczeptych. Defensywność miała zabezpieczać przed spłaszczającym uciskiem banału, agresja stawiała sobie cel poznawczy: nadać formie moc wyzwalającą w stosunku do treści. Swoją świadomie przeszarżowaną grą Gombrowicz dezawuował w ludziach nieprawdę, komizmy i małostki, ale też zmuszał ich do ujawnienia autentycznych twarzy. W czasie wojny, gdy już dawno odpłynął, jego rozmówcy w café "Zodiak" wspominali zażyłość z Witoldem, tak jak się wspomina lata edukacji.

W roku zdaje się 50 (nie pamiętam dokładnych dat) Tadeusz Kwiatkowski wyruszył w podróż morską frachtowcem polskich linii. Zawitał do Buenos Aires i poznał Gombrowicza, którego książki czył będąc jeszcze uczniem gimnazjalnym. Po powrocie opowiadał. Z tych opowiadań zapamiętałem jedno. Gombrowicz miał wtedy posadkę w polskim banku, dyrekcja niezbyt wysoko go ceniła jako pracownika. Prawdopodobnie obawiał się utraty posady, bo przed wyjazdem Kwiatkowskiego zwrócił się do niego z poufną prośbą, aby w rozmowie z dyrektorem mimochodem wspomniał o przedwojennej pozycji Gombrowicza w polskiej literaturze. Tadeusz opowiadał o tym wstrząśnięty. Wstrząśnięty podwójnie: tym, że Gombrowicz był w biedzie, ale i tym, a może nade wszystko tym, że prosił, że się ukorzył. Anegdotkę powtarzano sobie z ust do ust. Było coś groteskowego w tej prośbie o oświecenie biuralisty, który nigdy nie słyszał o "Ferdydurke" - w prośbie wyrażonej do kropki, niemal poddyktowanej. I było w niej również coś przerażającego: jakby przez szpary maski błysnęła rozpacz i strach.

W "Dzienniku", którego pierwszy tom dotarł do mnie po latach, odnalazłem ślady tej rozpaczliwej walki toczonej o siebie, o swoje pisarstwo. Walki z samotnością, z brakiem zrozumienia, z obcym klimatem i nędzą. "Dziennik" Gombrowicza to dzieło inteligencji i odwagi. Ale prócz tego "Dziennik" jest dziełem heroicznym, dokumentem rzadkiej siły ducha. Tomasz Mann w swym szkicu o Czechowie pisał o nim jako o najsilniejszym z rodzeństwa, mając zapewne na myśli zdolność do wysiłku, niezbędną dla osiągnięcia prawdziwej powagi życia. Pisarstwo wymaga maksimum takiego wysiłku, tylko najsilniejsi nie ulegają zniszczeniu.

Czytałem Gombrowicza częstokroć polemicznie, zawsze jednak budził we mnie podziw swoją nieustraszoną śmiałością i zachwycał językowymi wyczynami. Przywykłem go stawiać w rzędzie pisarzy wybitnych i osobliwych, obok Swifta, E.T.A. Hoffmanna czy Jana Potockiego, i uznałem go za jednego z twórców współczesnej powiastki filozoficznej. Lektury "Dziennika" naruszyły nieco ten ustalony pogląd. Od dawna uprawiam w stosunku do literatury rodzaj prywatnej zabawy, mianowicie dzielę ją na dwa zasadnicze murty w zależności od jednego z dwóch odwiecznych źródeł inspi-

racji: Biblii i Odysei. To, co nazywamy powieścią, zawsze można z grubsza przypisać do jednej lub drugiej tradycji. Albo sprawa z Bogiem, albo przygoda ze światem. Dostojewski - Balzak, Kafka - Hemingway... Rozrywka, jak powiadam, nieobowiązuje. Otóż Gombrowicz w "Dzienniku" objawił się niespodziewanie jako wyraziciel nurtu medytacji i metafizycznego sporu z Losem. Stało się dla mnie jasne, że jego prowokacje, że jego wyzwania od początku zwracały się ku instancjom kształtującym ludzkie przeznaczenie, nie tylko do praw rozumu. Szukał istoty rzeczy, uniwersalnego sensu. Mimo wszystko. Mimo, iż redukował pojęcie człowieczeństwa do między-ludzkiego produktu, jak gdyby na przekór temu, sam na kartkach "Dziennika" wyciskał swoje gombrowiczowskie ja - uragilne, błazeńskie i poszukujące absolutu.

W 1967 odwiedziła nas w Warszawie Rita Labrosse, jego późniejsza żona. Słyszałem już przedtem od Bohdanów Paczowskich, że Gombrowicz przeczytał "Listy do pani Z.", które mu się spodobały. Jednakże nie potrafił mi sobie przypomnieć z "Zodiaku" i dopiero po dokładnym rysopiśmie coś mu zaświtało w pamięci. "Ale przecież to były dzieci..." - powiedział ze zdumieniem. Posłałem mu "Dżokera" z dedykacją: od znajomego z café "Zodiak". Odpowiedział mi uprzejmym listem, z którego wynikało, że owszem, doskonale mnie pamięta sprzed wojny, i było w nim zdanie "O tamtym czasie, z którego obydwaj wyrosliśmy". Na zakończenie kłaniał się nisko (prze-strzegając XIX-wiecznej ortografii) i zapowiadał przesłanie mi swojego tomu. Dopaisał: "Ale... czy dojdzie?" Nie doszedł.

Wspomniłem o jego atrakcjach językowych. Pewna inteligentna Francuzka zadała mi pytanie: jak bym określił istotę, ducha (le génie) polskiego języka? Duchem, jest istota języka francuskiego jest według niej "la concordance des temps", konstrukcja logiczna czasu. Otóż duchem-istota polszczyzny jest zdolność przetwórcza słów. Prawdziwy zakres słowa pies polega na tym, co można z tym słowem zrobić. Pies jest surowcem, który się obrabia, albo dopiero przy pomocy przyrostków nadaje mu się pożądaną wartość znaczeniową: staje się pieskiem, psinką, psiurkiem, pieseczkiem, psiaozkiem, piesuniem czy piesiem. Poza tym można spieć, mieć pieski humor czy psi wach. Zieleń jest kolorem. Ilość przymiotników, imiesłowów i czasowników, które można wydobyc z zieleni, nieskończone manipulacje za pomocą przedrostków i przyrostków czynią z koloru walor semantyczny. Wreszcie można dowolnie przemieszać w zdaniu psa i zieleń, osiągając za każdym razem odmienny efekt znaczeniowy. Jest to możliwe również w innych językach, ale nie w takiej mierze, jak w polskim. Nie tylko młody panek i milczkiem żwawo jedli mają wyrazistość nieprzetłumaczalną na obcy język. Nie przetłumaczalna jest sama zdolność przetwarzania form i mobilność składni, charakteryzujące polszczyznę.

Gombrowicz tworzył z owych przymiotów polskiego języka własną materię stylistyczną, jak zawsze z nadwyżką świadomości i dystansu. Przypuszczam, że był to jeszcze jeden element w jego machinie zaczepno-odpornej. Chciał wnikać najgłębiej w pokłady języka, żeby go sobie podporządkować i zarazem się w nim ukryć. Doszedł w tym do prawdziwego mistrzostwa. A jednocześnie ów styl, czasem parodystyczny lub modelowany na sarmacki barok, utrudnia dostęp polemistom, niby ośmieszając zawczasu wszelkie pryncypialne zarzuty.

Dochodziły wieści o jego rosnącej sławie i jego chorobie. Berliński napad astmy przerwano kortisonem. Gombrowicz do końca używał tego środka, wyniszczając tego organizm. W Buenos Aires oświadczył Andrzejowi Wajdzie, że czuje się nowym Chopinem, teraz w Vence Bohdan Paczowski wnosił go po schodach do mieszkania. Chopina tak samo wnosili na rękach, kiedy nie miał już siły wejść po schodach. Ale podróżujący po Europie polscy intelektualisci coraz częściej odwiedzali go w Vence. Był nadal fanatykiem rozmowy, egzaminował nowo przybyłych niemal od progu. Pewien młody krytyk opowiadał po powrocie, że Gombrowicz otworzył mu drzwi i zapisał z astmatyczną zadyszka: - Więc co pan sądzi o Heglu?

W Polsce narastała jego legenda. Był nieobecny, w Warszawie nieobecność się ceni. Ale w tym wypadku była to nieobecność szczególnie podniecająca. Stworzyć z polskości pojęcie na użytek Zachodu, przekuć prowincjonalny kompleks na broń filozoficzną, to się nikomu przed nim nie udało - nikt z polskiej rury od barszczu nie zrobił rakiety międzykontynentalnej. Ktoś z postarzałych bywalców "Zodiaku" wspominał niedawno ogłoszenie, które jeden z przyjaciół Witolda zamieścił przed wojną w gazecie: "Zamieniam wady na zalety". W ogłoszeniu figurował adres Gombrowicza.

U Paczowskich w Mediolanie byłem w kilka miesięcy po jego śmierci. Maria i

Bohdan pokazywali mi ostatnie zdjęcia. Chory, cierpiący, z bolesną, piękną twarzą. Gombrowicz z Ritą, Gombrowicz obok Mikosza i w żartobliwej rozmowie z Kotem Jeleńskim. Gombrowicz ze wzdętą pierśią pod rozchyloną u szyi koszulką polo, a gdzie indziej w ciemnej jesionce z postawionym kołnierzem, która zastępowała mu szlafrok. Na jednej z fotografii stoi przed lustrem, zdjęcie przedstawiało jego odbicie, za nim w głębi, także w lustrze, widać dwie kobiety, Ritę i Marię, poważne, zamysłone; wszyscy troje wpatrzeni z uwagą w coś, czego nie ma na zdjęciu. Ostatniego dnia Rita podała mi talerzyk malin z kieliszkiem białego wina. Skosztowałem, wypił łyk, po czym wskazał oczami wino i maliny, jakby ze zrozumieniem rzeczy: ha, proszę, więc tak się umiera... i umarł.

Chodziłem po Kurfurstendamie i często się zastanawiałem, co on mógł tutaj porabiać, jak spędzał ten swój berliński rok. Nikt nie umiał mi wskazać domu, w którym mieszkał. Poszedłbym go obejrzeć, ale nie wiedziałem nawet, jaka to była ulica. Po przyjeździe z Argentyny do Paryża on także chodził oglądać pewien dom. Na rue Bonaparte. Sartre jeszcze się wtedy nie był przeniósł na Raspail, mieszkał z matką na rue Bonaparte, w wysokim narożnym domu tuż koło "café de Flore". Gombrowicz stał pod domem Sartre'a, poszedł tam zaraz po przyjeździe, w hotelu zostawił swój bagaż: dwie stare walizki, koc oraz ten niewiecki, lekki przedmiot, którego od lat nie używał.

W mieszkaniu Paczowskich na via Elba jeden pokój był nie zamieszkały, prawie bez mebli. Umieszczono w nim na podłodze rzeczy Gombrowicza, które Rita przywiozła z Vence po jego śmierci. Był to bagażnik podróży, ten sam, z jakim wyruszył z Warszawy na swój sierpniowy dalekomorski rejs. Dwie podniszczone walizki, pled, tobołek owiązany paskiem... I położony na wierzchu przedmiot w brezentowym pokrowcu, z wystającą jasną rękojeścią. Rakieta tenisowa?

Zabrał ją z Warszawy i woził ze sobą przez trzydzieści lat. Rakieta tenisowa - symbol naszej przedwojennej młodości, talizman, z którym tak było trudno nam się rozstać.

Jeśli w pierwszych napisanych słowach rzuca się wyzwanie, jeśli temu wyzwaniu potrafi się do końca sprostać i ponieść jego konsekwencje, jeżeli się płaci pełną cenę za swoje pisarstwo, bez ustępstw i wahań - to jest wiele, to jest bardzo wiele, i nie tylko na miarę naszych czasów. A trzeba do tego dodać rzecz w naszej epoce wymowną: że do końca karykaturował swoje cnoty, chował je w finfach stylu i przedrzeźniał minami aroganta. Być może w poczuciu, iż jego Wiek nie lubi powagi i karze za prostotę. Ktoś nazwał go "katem ukrzyżowanym". Kto wie, może współczesne legendy wymagają od swoich bohaterów takiego upozowania.

Z czterech żadnych kobiet o żadnych imionach, wielbicielek Gombrowicza w café "Zodiak", żyje dziś tylko jedna. Dwie zamordowano, trzecia umarła. Umarła Ingeborga Bachmann: zasnęła z papierosem w ręku i obudziła się w płonącej pościeli. Nie żyje Stefan Otwinowski, nie ma już Wilka Macha. Sporo postaci ubyło z mojej powieści rzeki.

Nadszedł list od Zarządu Głównego z prośbą o udzielenie odpowiedzi na kilka pytań dotyczących współpracy pisarzy z wydawnictwami, filmem, radiem i telewizją. W liście znajduje się zdanie takie: "Pragniemy dla celów dokumentacyjnych uzyskać wiarygodny obraz o udzielenie odpowiedzi krótkich i zawierających konkretne informacje". Nieuwaga maszynistki? Ale list z tym nedorzecznym zdaniem rozesłano do członków Związku. Czasem się śnią takie zdania bez sensu, być może dyrektor biura jest zwolennikiem prozy onirycznej. Parę tygodni temu widziałem tego dyrektora, jak wyrzucał z Klubu psychicznie chorego poetę Rationia. Włókł go za kołnierz pomagając sobie kolaniem, niezwykle fachowo. Mały, o bladych oczach, z wypukłym czołem. Twarz trudna do zapamiętania.

Na pięć pytań ankiety udzieliłem następujących odpowiedzi:

1. Jak układała się w ostatnich latach współpraca Kolegi (Koleżanki) z wydawnictwami?

Od 6 lat żadne wydawnictwo w kraju nie zaproponowało mi podpisania umowy na nową książkę.

2. Z filmem?

Od 10 lat odrzucane są wszystkie moje propozycje (nie przez reżyserów).

3. Z radiem?

Od 6 lat nie otrzymują żadnych propozycji.

4. Z telewizją?

Od 7 lat żadnych propozycji.

5. O jakich trudnościach chciałby Kolega (Koleżanka) poinformować Zarząd Główny ZLP?

O cenzurze. O karygodnej działalności cenzury w stosunku do osób i tekstów. O cenzurze nie tylko jako urzędzie. Jako procederze niszczącym mienie publiczne i kulturę narodową.

Mniej czasu zajęło mi wypełnienie formularza Narodowego Spisu Powszechnego. Rubryki dotyczyły powierzchni użytkowej mieszkania, "Izby i pomieszczenia nie będące izbami. Wyszczególnić".

Bardzo proste: dwa pokoje i kuchnia bez okna.

Ogonki... ogonki... Im bliżej do Świąt, wydłużają się, rosna, gęstnieją. Spadł śnieg. Śnieg to błoto w sklepach. Ludzie stoją w mokrych, pociemniałych okryciach, przesuwa się w brudnej taplaninie. Na szczęście od wczoraj sucho, mroźno. Ogonek do sklepu rybnego ciągnął się wzdłuż Wąskiego Dunaju. Podobno nadeszły śledzie. W ogonku podniecenie, stosunki niemal towarzyskie. Możliwość śledzia wywołała ideę śledzia, idea śledzia stworzyła wspólnotę. Pewien siwy człowiek, o łasce, z torbą przez ramię przewieszoną, rozprawiał charczącym głosem o śledziu przedwojennym, o uliku. Mówił jakby o Piłsudskim. W piersi mu coś grało, dziko i pokornie: - Urodę miał! Pokrysk miał! Dzwonko jak dukatowe złoto! - Był mroźnik, prosiło trochę. Ogonek słuchał z szacunkiem, jak pochylony wiekiem stary wiarus smuje opowieść o uliku, bohaterze dawnych czasów. Sklep otwierano o 11-ej. Dowiedziałem się, że ozono tego ogonka ustawiło się o 2-giej w nocy. Później szedłem Piwną do Placu Zamkowego. Na Piwnej przed sklepem mięsnym także stał ogonek. Ludzie ciągnęli na chodniku, napiernający ku schodkom, wszyscy milczący i wszyscy pochyleni razem do przodu, w zawziętym parciu, w ciężbie. Wracalem tamtędy po południu. Dalej stali, tak samo zbici ze sobą, ale jakby odgięci do tyłu, z zadartymi głowami i nosami, wpatrzeni do góry, w schodki. Ze schodków szturmowano wejście, wdzierano się do sklepu. Już krzyczeli. Przed zamknięciem sklepu w tym ogonku doszło do bójki, kilka osób było pokrwawionych. Wieczorem w telewizji przemówienie sejmowe premiera o wykomaniu planu gospodarczego, przyjęte oklaskami przez Izbę. Wśród posłów znajome twarze: literatów, naukowców, dziennikarzy. Tych samych, którzy dwa lata temu przysłali mi listy w odpowiedzi na apel o powołanie komisji sejmowej. Po strajkach w Ursusie i Radomiu, kiedy milicja zmasakrowała aresztowanych robotników, zwrócono się do kilkunastu posłów, aby wystąpili w Sejmie z wnioskiem o zbadanie sprawy i podążnięcie winnych do odpowiedzialności. Apel wystosowano do posłów ze świata nauki i kultury, podpisało go 175 osób reprezentujących także naukę i kulturę. W rozesłanych listach poręczyłem autentyczność podpisów. Na moją prośbę apel wysłano również do dwojga posłów-lekarzy z województw pozawarszawskich, z prowincji. Zależało mi, by właśnie do nich dotarł apel. Sądziłem, że na prowincji zwłaszcza przetrwał jeszcze typ lekarza wrażliwego na ludzką krzywdę, lekarza-społeczniaka. Takich lekarzy znam przecież nie tylko z lektur Żeromskiego i nie z dzieciństwa jedynie ich pamiętam: tacy lekarze po wojnie jeszcze żyli i leczyli. Tu zaś chodziło o krzywdę fizyczną, o połamanie szczęki i odhite, śledziony. Wystosowano więc apel i do tych dwojga posłów, lekarzy z prowincji.

Z siedemnastu posłów, do których się zwrócono, czterech nie udzieliło odpowiedzi, reszta przysłała listy na mój adres. Wszystkie - odmowne. Dyplomatycznie czy pełne kompleksów, sumitujące się lub wyargumentowane, ale wszystkie odmowne. Argumenty? Przebogata kolekcja. Sejm PRL nie jest parlamentem typu zachodnio-europejskiego... Nie istnieje praktyczna możliwość powołania tego rodzaju komisji... Powołanie takiej komisji byłoby sprzeczne z interesem Państwa... To milicja została pobita i sprowokowana... Skąd Pan wie, pytał w liście jeden z posłów, czy nie podjąłem w tej sprawie odpowiednich kroków... I niemal we wszystkich odpowiedziach ten sam, wspólny, solidarny ton. Ton urażonej godności: zwracając się do nas, robicie to, by rzucić na nas cień, postawić pod pręgierzem opinii publicznej. Nam, posłów.

A wśród tych kilkunastu listów - dwa nieubłagane. Najbardziej wrogie, najzjadliwsze. Dwie odpowiedzi dwojga Judymów z prowincji.

W ogonkach ludzie przeklinają. Strasznie przeklinają, ta rzeka przekleństw mogłaby zatruć ryby płynące na świąteczne stoły członków rządu. Wieczorem, słuchając przemówienia premiera, którego twarz zawsze mi przypomina zgnikłą gruszkę, i widząc posłów w ławach, moich posłów-korespondentów, oklaskujących zakamarną gospodarkę Planu, myślałem o ich listach sprzed dwóch lat, o jednomyślniej odmowie, jakiej wówczas udzielili. Zawsze jednomyślni! Prawda, sejm PRL nie jest parlamentem w stylu demokracji zachodnich... Czym więc jest?

Mnie w ogonku spotkała rzecz nieoczekiwana, o której opowiem. Pewnego dnia w spółdzielni posuwałem się do pieczywa, kolejka liczyła ponad dwadzieścia osób. Długo się to ciągnęło, za ladą sprzedawano również mleko, masło, sery, obwieszony torbami i parasolami ogonek wleźł się pół kroku, po czym nieruchomiał. Nagle spostrzegłem klienta w paletku, bardzo niepozornego, który wślizgnął się poza kolejka, jakoś bokiem, chyłkiem. Piwo chciał kupić. Pieniądze miał przygotowane, już wtykał je ekspedientce, gdy zastawił mu drogę mały starzec w czapce. - Wszyscy stoją! - zaskrzeczał - chore kobiety stoją! A ty chcesz kominować? Postoisz! Tam stań! - i wskazywał miejsce na końcu ogonka. Klient w paletku zachichotał, a potem warknął zerkając spod łba na starca. Był to niesympatyczny starzec o zagiętym czerwonym nosie i bezzębnych ustach, z wyglądu dawny rzemieślnik, nieustępliwy, srogi starzec, zarazem odpychający i budzący podziw bezwzględna mocą swojej racji, którą, odwrócony plecami do gościa w paletku i gródząc mu dośście do lady, pluł za siebie: - A ja to mogę stać? Ja, starzec? Idź i stań jak wszyscy! Dożyj moich lat! - Cały ogonek go poparł. Kobiety potakiwały z uznaniem. Patrzyłem, jak klient od piwka wycofuje się pokornie w głąb sklepu.

Pełen szacunku dla praworządnego starca o krogulczym nosie, zaprzysiągłem sobie na przyszłość w analogicznych wypadkach postępować tak samo jak on. Los zechciał, że nazajutrz zdarzyła mi się okazja w sklepie z owocami cytrusowymi. Zachowałem się identycznie, według wzoru starca. I wszyscy byli przeciw mnie.

Gdy w sklepie z owocami cytrusowymi barczysty młody człowiek w kurtce podszedł do lady nie zatrzymując się w ogonku, natychmiast przemówił. - Przepraszam - powiedziałem - pan nie stał w kolejce, cóż to za sposób postępowania? Ku memu zdziwieniu nie poparł mnie żaden głos. Czułem, jak moje słowa wpadają w nieufną próżnię, poczułem to od razu, w połowie zdania, w chwili gdy powiedziałem "coż to..." W tym moim "coż to" zabrzmiało jakieś etyczne tremolando i widocznie zabrzmiało fałszywie. Nie było w językowym duchu rzeczywistości, może zamiast "przepraszam" i "coż to" należało powiedzieć inaczej: może na ty: "nie kominuj, owianiaczku"? Ale to są już późniejsze refleksje. Wtedy w ogonku, gdy nikt ani słowem mnie nie wsparł i młody człowiek w kurtce spokojnie kładł pieniądze na ladzie, zacząłem krzyczeć. Krzyczałem głosem przykrym, jak starzec przy pieczywie. Krzyczałem o chorych kobietach. I nic, cisza, chore kobiety milczały, nie czułem za plecami solidarności żon i matek. Odezwał się tylko mężczyzna w kapelusiku: - Niech sobie stoją. Co pan chce od człowieka, wyskoczyć z pracy, czasu nie ma... - Odgadłem, że towarzyszy jego słowom życzliwy uśmiech chorych kobiet. Młody człowiek zapłacił i wyszedł z butelką, kapelusik poprosił o 10 kilo pomarańczy, - Nie chciałabym być pana żoną - mówiła ekspedientka ważąc pomarańcze. - Pewnie! - zaśmiał się kapelusik - ja już miałem trzy żony, kocha się te wolność! - Zawtórował mu śmiech całej kolejki. Rozweselił ich, podbił, zwyciężył! Kiedy się wytaczał, niski, przysadzisty, w kapelusiku zsuniętym z czoka, dźwigając oburącz wypchane torby, kobiety odprowadziły go wspólnym i pełnym sympatii spojrzeniem. Na mnie nikt nie spojrzał. Przegrałem. Ale dlaczego przegrałem w sztucznej sprawie? w tej samej, którą wygrał starzec? I właściwie czym się różniłem od wesolego nabywcy pomarańczy, który mnie pokonał? Ja w kozuchu, on w kozuchu. Ja w kapeluszu, on w kapeluszu. I obydwaj z torbami. Jednakże coś musiało nas różnić i te kobiety od razu nas zakwalifikowały, rozpoznały... Ale jak? po czym? Długo głowiłem się przed zaśnięciem: dlaczego nie umiałem wzbudzić dla siebie podziwu ani życzliwości, w czym byłem gorszy od starca w czapce i gościa w kapelusiku, dlaczego ich słowa były lepsze, dlaczego oni zwyciężyli, a ja poniosłem klęskę.

Kiedy mój brat otrzymywał codziennie kilka telefonów z pogrózkami od przemawiających schrypniętym głosem anonimów na służbie (w związku z Haliną działalnością w KOR-ze), obecny przy tym Jerzy Markuszewski poradził mi, żeby następnym razem, zamiast odłożyć słuchawkę, spokojnie odpowiedział: "Panie, jak pan na tyle czasu, to naucz pan swoją babcię szczać w butelkę". Markuszewski zawsze miał

wycucie ducha językowego rzeczywistości.

"A mnie odpowiadają tutejsi pijaczkowie, si zakzawieni, o różowych biłkach, których mijam na Freta pod "Samsonem". Pan Władzio... Pan Tadzio... Pan Władzio, waluczarz, po pijanemu kłania mi się: z owacyjnie serdecznym uśmiechem, ale tylko po pijanemu, na trzeźwo mnie ignoruje, przychodzi, bojętnie, wyniosły, pochmurny. Znamy się tak od lat. I prawdopodobnie mielibyśmy sobie wiele do powiedzenia, gdyby nadarzyła się okazja. Ale mijamy się. Za każdym razem jednak wyczytuje w ich oczach jakąś wiedzę o mnie: nawet gdy udają, że mnie nie widzą, spostrzegam ów smętny, znaczący błysk. I wtedy mi się przypomina ich zbiorowy monolog skierowany do mnie, który cenzura skróciła w "Rynku". Mówili tak:

"... panie B., idź pan dalej, pan nas nie lubi, pan jest trzeźwy człowiek. Może pan masz zrozumienie dla ludzkości, ale pan nie jesteś dobry kumpel. Pan pisze: człowiek, pan mówi: życie - ale życie się po panu nie przespacerowało. Pan pisze: twarz, pan pisze: gest - a o co panu chodzi? O siebie. Panie B., wejdź pan do bramy. Nie bądź pan taki masztrojani, wychył pan z nami te świartke. My równe chłopcy, my panu opowiemy, co to jest życie. Nie? pan nie chce? pan sobie nie życzy? No to idź pan, męcz się pan sam. Tylko my się bardzo dziwimy, że to się panu opłaca. Tutaj takich nie lubią, panie B. Tu trzeba się męczyć razem, główka w główkę. Na cudzej: piersi trzeba kcać, kochany, i ziajać w cudzą mordę, i za kudły, łapami, kochany, a potem ze śpiewem w Polskę. Pan pisze: Polska. Pan widzi pomnik, pan widzi osobe na koniu. Nie włącz pan na konia, pozwól mi się pan kopnąć - będzie gest. Wisła zatruta, panie B., martwe sandacze płyną do Gdańska. A pan krugom o swoim. Ze w obcych krajach panu smutno? To siedź pan na Starówce! Zajdź pan do "Samsona" na flaczki, roztwórz się pan, bądź pan człowiekiem. Krzycz pan, jęcz pan! Rozwiąż pan ten krawat, weź pan koszule w zęby, czolgać się pan. Mów pan: Władek, rycz pan: Tadek! Idź pan do tych, co piszą na pana donosy, powiedz im pan: brać ko-chani, razem nas Niemcy męczyli, jedna my koś! I cyk! Ciepło i miło, będzie, panie B. Pan się uśmiecha? Panie B., tu nie można być lepszym gościem. Rzygnij pan, ubrudź się pan, to panu dadzą żyć. Tu trzeba z ludźmi, po ludzku. Wykrzyocz pan swoją dolę, pokaż pan bliźny na ciele. Pan nie posiada? Panu się tylko zdaje. Każdy Polak ma bliźny. Pan myśli, że jak pan zawiąże krawacik, to nie będzie znać? Napij się pan, uswił się pan... Pan ucieka? Panie B., gdzie pan leciś, sił pan, nie masz! Wariat... Zwiął".

Pytanie: jak postępować wobec narzuconego przymusu, konieczności zewnętrznej, w wypadku gdy jej zniknięcie jest niemożliwe.

Następujące warianty:

- przyjąć ją jako konieczność, ale psychicznie trwać przeciw niej i wytwarzać w sobie przeciwstawne treści, pojęcia i wartości. Wyjście pociągające za sobą co najmniej jedną przykrą okoliczność: groźbę pęknięcia, osobowego rozdwojenia. Stąd niedaleko do dwuznacznych postaw i wynaturzeń intelektualnych, mających uzasadnić obecność dwóch rzeczywistości w człowieku i ukryć rozbitą tożsamość. (Przypadek niejednego intelektualisty).

- przekształcić ją we własną konieczność, czyli stać się samemu częścią zewnętrznego przymusu, zintegrować się z nim. Jest to klasyczny wybór "niewolników": istnieją tylko w układzie rzeczy, który mnie zwyciężył, i jedynie pod warunkiem, że będę w tym zwycięstwie uczestniczył. Poza nim nie ma mnie - poza Obiektywnym i koniecznym jestem nikim. (Przypadek większości poetów).

- zmieknąć ją od wewnątrz, wnikać w nią w celu jej spulchnienia argumentami kompromisu i rozsądku, przeżołożonymi na właściwy jej język i przystosowanymi do jej dialektyki. Rodzaj mediacji pomiędzy niewolą a wolnością. W praktyce jednak mediator, adaptując się do konieczności, sam przez nią jest adaptowany i niepostrzeżenie dla siebie staje się jednym z jej wykonawców. (Przypadek redaktorów "Polityki").

- czekać na jej autokorektę, na złagodzenie lub przeistoczenie konieczności, dokonane przez nią samą. To jest uznać się za świadomą rezerwę, która we właściwym momencie przyspieszy ów proces. Rzecz godna uwagi, ale niebezpieczna. Oczekiwanie nie dzieje się w abstrakcji i praktycznie sprowadzałoby się do zajęcia jednego z poprzednio wymienionych stanowisk. Nie ma czystego oczekiwania - czeka się

zawsze w jakiejś pozycji.

- przeczyć jej bezwzględnie i kategorycznie w oparciu o zorganizowany sprzeciw, żyć w zbiorowym i nieustannym przeczeniu, wyrzucać z siebie każdą myśl, która jej nie przekreśla całkowicie. Nazwałbym to utożsamieniem się z antykoncepcją, życiem w konieczności odwróconej - ale wewnątrz niej, nie poza jej ramami. (Przypadek wielu kontestatorów).

A więc...? Więc wolność można sobie wyobrazić tylko jako obserwację? Nie ma ożywej obserwacji. Obserwacje są zawsze selektywne i zaangażowane. Więc nie istnieje żadne wyjście z niewoli przymusu, której nie można usunąć?

Zostało jeszcze jedno: uznać, że nie jest koniecznością i ściągać na siebie jej ciosy. Nie po to, aby jej nie dawać spokoju. Żeby ona nas nie pozostawiała w spokoju.

Każdego z wymienionych powyżej wariantów doświadczyłem osobiście w różnych okresach życia. Albo w myślach.

Dziwnie się plotą nasze literackie dzieje. Kto by pomyślał, że awangardowa odnoga przedwojennej prozy - poetycka i paraboliczna, jednym nurtem, poprzez Schulza, wywodząca się od Kafki, drugim kontynuująca joyce'owskie rozbicie bytu i formy, a w trzecim, filozoficznym, rozwinięta przez Witkacego i Gombrowicza - będzie miała tyle rozlewisk. I co najszczególniejsze, nie są to pisarze reprezentujący salony artystyczne, nie żadni mieszczańscy synkowie intelektualni, skądże, to są przeważnie ludzie z zapadłych powiatów, kresowych lub galicyjskich; pisarze częstokroć chłopskiego pochodzenia. Ciekawe, że w poetyckiej awangardzie walczyli chłopcy, tacy jak Przyboś, Młodożeniec i Kurek, a powojenne rozpady form literackich znalazły się pod opieką wiejskich homunculusów, którym mózg zastąpił wyobraźnię. Co to? Sztuczne istoty, golemy? W literaturze widzą tylko teorię! To jest tak, jak opowiadał Stefan Jaracz. Skarżył się Irenie Krzywickiej, że chłopu niesłychanie trudno stać się intelektualistą, następuje przeciążenie mózgu: "Na dziesięciu - ośmiu wariuje. Wariują z wykształcenia". Ale ci, którzy nie wariują, są odtąd zaprogramowani na naukę, stają się fanatykami percepcji cerebralnej, a jeśli ich pociągnie w stronę literatury, dostrzegają w niej przede wszystkim nowe konstrukcje, wynalazki, produkty mózgowe. Parę lat temu spotkałem na Puławskiej Konstantego Puzymę i kiedy go zagađnałem, co słyhać, odparł szeptem: - Niedobrze. Chłopotwo przejęło Witkacego.

I proszę, co ja innego robię - ledwie tknąłem tu spraw literatury, zaraz konstruuje jakąś teorię, puszczam się na koncepcje interpretacyjne. Tylko że ja to robię z nieczystym sumieniem. Natychmiast osaczają mnie zaprzeczające przykłady (Pigoni także był chłopem, Tytus-Czyżewski chłopem nie był...) i cała teoria wali się. Nie, nie mógłbym być krytykiem, zjadłby mnie strach przed uogólnieniem. Nawet tutaj, pisząc to, co piszę, odczuwam chwilkami niepokój, że notuję za mało faktów i rzeczy przeżywanych, a zbyt często popadam w komentarz. Czuć! cierpieć! kochać! Romantycy płakali, mdleli, to był styl epoki: objawiać uczucia. My chcemy być inteligentni. Zanim jeszcze przeżyjemy coś w pełni, już musimy to analizować. Tamci cierpieli za miliony, my sięgamy do statystyk: ile milionów, ile cierpien na głowę mieszkańca. Boże, a ile ucisku świadomości na głowę mieszkańca?

Więc czy nie lepiej pisać skromny dziennik, bez komentarza, bez dyskursu. Tak jak ten rumieniący się chłopak, aktor z Teatru Dramatycznego, o którym mi opowiadano. Z dnia na dzień notuje w dzienniku to, co naparawdę przeżywa: "Poniedziałek". Kocham ludzi. Wtorek. Nikt mnie nie kocha. Środa. Papuga ugryzła mnie w palec."

Ale teraz przerwa. Święta, Nowy Rok...

styczeń 1979

Miałem dalej pisać o różnych literackich sprawach, gdy tymczasem nadeszła klęska żywiołowa. Śnieg.

Pierwszej nocy roku 1979 już nas zasypało. Tej nocy pałac z latarnią nad wejściem i światłami w wysokich przysłoniętych oknach, występował z białych ciemności, jak fluoryzująca zjawia pałacu. Byliśmy odcięci od świata. Sylwestrowi goście, którzy mieli przyjechać samochodami z Warszawy, nie wydostali się z zadymki. Byliśmy odcięci od czasu, uwięzieni w zeszytym stuleciu. Ekipa filmowa Zanussiiego, kręcąc tu zdjęcia przez listopad i połowę grudnia, przerobiła wnętrza na solonowe retro: wszędzie pozawieszane brokatowe kotary, żółty staroświecki fortepian rozpostarty się koło drzwi w pokoju do kart, wywołując złudzenie, że przed sekundą opuścił go Chopin, a w bocznym salonie ustawiono na wprost zwierciadła ogromny stół z czerwonym obrusem i fotelami oraz lustrzane szafy biblioteczne, w których złocą się grzbiety niemieckich tomów Brookhause (nigdy dotychczas ich tu nie spostrzegłem). Z zewnątrz, na attyce pałacu widnieje herbowy kartusz z włóczniami i tarczą, niezwykle zręczna imitacja, i jakieś kule z gipsu, urny na balustradach wzdłuż stawu. Zdawałoby się, że za chwilę ruszy stąd wesóły kulig; rozdzwonił się sianie ponoszą nas w tę biel do sąsiednich dworów, na tańce, na zabawy... A nie. Siedzimy w wyiębionym telewizyjnym pokoju, wpatrzni w ekran, z którego woła do nas wystraszony spiker o wklęsłym nosku i jakby zaszytej górnej wadze. W Warszawie zabarakło węgla, awarie w elektrociepłowniach, unieruchomiona komunikacja miejska, ludzie marzną w szpitalach i mieszkaniach. Pękają rury, śnieg sparaliżował główne arterie śródmieścia. Pociągi spóźnione o kilkanaście godzin, wiele połączeń wstrzymano, drogi nieprzejezdne, brak pługów do odsnieżania, wojsko rozmraża tory. Rząd ogłosił klęskę żywiołową, akcją przeciw ofensywie zimy kieruje Rada Ministrów z premierem na czele. W niektórych miastach przez dwa dni nie było światła, ogrzewania i wody. Zmniejszony dopływ gazu. Partty i stocznie nieczynne. Krajowe loty odwołane.

Spikerzy są najwyraźniej załamani psychicznie, straszą, mają grobowe miny. Zwłaszcza ten z wgniecionym noskiem, przedtem dowcipnie mrugający, teraz przemawia jak Starzyński z obleżonej stolicy, wzywa do wytrwania, do hartu ducha. Co mu się stało? Ano właśnie to mu się stało, że spełnił się zły sen, który przez lata tkwił nad ranem: o takim dniu, gdy trzeba będzie mówić prawdę. Prawdę i prawdziwymi słowami. Mówić o tym, o czym wszyscy wiedzą, mówić "nieprzejezdne drogi" zamiast "krajobraz pokryty białym puchem", mówić "brak zapasów węgla" zamiast "nasze elektrociepłownie wykonały plan z nadwyżką". To mu się stało. Nie może już dowcipnie mrugać, nie może gawędzić ciepłym tenorkiem o sylwestrowych balach górniczych, o dzieciach zaproszonych do Belwederu na kakao, o Królewnach Śnieżkach i drzewkach z bombkami. Tramwaje stoją, kaloryfery nie grzeją. Na nic aranże i konferansjerki. Tego się nie da ująć w pogodnych obrazkach i tego nie można dydaktycznie załgać, że Polacy konsumują za dużo ciepła w mieszkaniach albo że zbyt często jeżdżą tramwajami. A nasz konferansjer tak chętnie by pokazał i, tak serdecznie opowiedział, jak to Biuro Polityczne lepi balwana na dziedzińcu przytulnego Białego Domu... Nie może. Tramwaje stoją. Pociągi grzeźna. Służby miejskie zawiodły. Administracja jeszcze raz wykazała swoje niedołęstwo: dała się zaskoczyć porze roku. Spiker musi dziś mówić o tym, co widzą wszystkie oczy - o tym, co się naprawdę dzieje. I dlatego się boi.

A co się naprawdę dzieje? To, że nadeszła polska zima ze śniegiem i mrozem. Nie w maju: pod koniec grudnia. Można się było spodziewać, że po kilku zimach łagodniejszych nadejdzie taka ostra zima. Nie pomyśleli o tym. Nie przygotowali zapasów węgla, nie zgromadzili sprzętu. Stały fabryki (tu obok nas fabryka papieru w Mirkowie jeszcze nie pracuje), tabor kolejowy, przez lata nie odnawiany, rozprzągł się pod pierwszym chuchnięciem zamieci. Dezorganizacja. Jak łatwo pokonać ten kraj, straszony wewnętrznymi i obcymi spiskami, Wystarczy 20 stopni mrozu i 50-centymetrów śniegu, po tygodniu są już trudności z chlebem. I gdzie szukać przyczyn, kogo obciążać? Rząd? Ustrój? Rosję? Samych siebie? Ta zima coś ujawniła - nie tylko słabość gospodarki i administracji, coś znacznie ważniejszego: niejasność stanu rzeczy, który zaciera społeczne rozpoznanie. Od lat nie wiemy, na co nas stać i kim naprawdę jesteśmy. Krajem niewoli czy alkoholików, prze-

mysłową czołówką świata czy eksploatowaną kolonią lub wiecznym "polnische Wirtschaft", męczennikami, antysemitami czy społeczeństwem nie przystosowanym do współczesnej cywilizacji. Od wojny, to jest od czasu, gdy jeszcze znaleźliśmy siebie, bo potwierdziliśmy własną tożsamość, przeżywamy swój los poza rzeczywistym doświadczeniem, coraz mniej wiedząc o sobie jako o zbiorowym charakterze. Gombrowicz by powiedział, że nie dojrzelśmy do formy. Nie wiemy już, co z nas samych emanuje, a co nam zwalono na głowę; przestaliśmy się orientować, jaki jest nasz współudział w zafałszowanym rachunku - co się odbywa naszym kosztem, a co na naszą korzyść. Widzimy kłamstwo, lecz coraz trudniej dogrzebać się prawdy. W takich razach sięga się do przeszłości; czterdzieści lat temu byliśmy jeszcze sobą, żyliśmy autentycznym życiem. Ale nasza przeszłość także już nie jest prawdą, jest naszym wyobrażeniem o przeszłości. Tak bytujemy między przymusem a legendą, w czymś, co trwa bez względu na nasz sprzeciw czy zgodę i co nas bezustannie przerabia. Aż wreszcie pewnej zimy dowiadujemy się, że spadł śnieg. Wówczas zadajemy sobie pytanie, czy to jest nasz śnieg? czy mamy obowiązek go odgarniać? Zachodzi bowiem wątpliwość, czy ten śnieg nie jest i c h, narzucony w ramach przyjaźni przez Rosję, więc czy nie powinni sami go odwalać. Zwracają się do nas z wołaniem o czyn społeczny. Tylko nie wiadomo, kto się do nas zwraca: społeczeństwo czy władza, której nie można zmienić. Rozglądamy się jednak za łopata, trzeba się jakoś przekopać, wyjechać. I wtedy okazuje się, że nie ma łopaty. Wówczas znowu stawiamy sobie pytanie: łopatę ma sprokurkować rząd czy naród? o n i czy my? Stojemy w śniegu zadumani i jednocześnie niezdolni do wyciągnięcia wniosków. Brak łopat demobilizuje nie tylko naszą energię - obozwładnia myśl. Zawsze się śmiałem z Księcia w "Lalce", który w chwilach patriotycznej niemożności mówił wdychając: "Nieszczęsny kraj..." Może zbyt często to powtarzał. A przecież w gruncie rzeczy weale nie był śmieszny.

Mróż trochę zelżał, dziś rano 14 stopni. Ale znowu sypie. Wczoraj ogłoszono zarządzenie: wszystkie domy wczasowe i wypoczynkowe zamyka się do odwołania. Nie ma węgla, wyczerpuje się żywność. W gazetach podano wiadomość, że Warszawa ma zapas kartofli na 8 dni. Po przeczytaniu tej wzmianki ludzie rzucili się na kartofle, rozkupiono je w ciągu paru godzin. Są też trudności z nabiałem i masłem.

Wziąłem z biblioteki "Dzieje Grecji" Hammonda w przekładzie prof. Anny Świrskiej. derkówny, która niedawno opuściła katedrę filologii klasycznej, by w 57 roku życia wstąpić do zakonu. Jest dziś w klasztorze w Żarnowcu. Od Hammonda można się dowiedzieć w jakich mękach powstawała demokracja ateńska, ile walk, rozdarć i gry prymitywnych instynktów towarzyszyło dojrzewaniu tego najmniej łatwego z ustrojów. Pięknie brzmi poetyzowane ustawodawstwo Solona. Zapamiętałem taki ustęp: "Jam równie wszystkim nadał prawa, by człek tak zacny, jak i podły jednaką sprawiedliwość miał... Tyle ludowi dałem władzy, ile mu jej trzeba, nie ująłem mu praw i nie schlebiałem zbyt... jam stanął pośrodku - by wbrew prawdzie zwyciężyć nie ważył się nikt!" Wyzwali Persję, imperium, które dawało im zarabiać. Mogli spokojnie żyć pod rządami satrapów Dariusza. Ale lubili wolność w swoich miastach-państwach, więc oparli się Persji. Wszyscy pod Salaminę!

Wołanie o czyn obywatelski dobywające się z radiodbiorników, komunikaty niemal sztabowe o walce z atakami żywiołu i nasza garstka odcięta od świata przez zamieć, trochę do przypomina wojnę, rok 39. Wzywano nas wtedy do kopania rowów przeciwpancernych czy przeciwlotniczych, Zgłosiłem się z dwoma uniwersyteckimi kolegami na wyznaczony punkt, było to podwórze, parzysta strona Nowego Świata, zdaje się, że zimą urządzano tam ślizgawkę. Każdy dostał łopatę, kopaliśmy wzdłuż przeciągniętych sznurków. Dzień był bardzo ciepły, obok mnie pracowała kobieta w szlafroku i pantofelkach na wysokich obcasach. Nie szło jej - wbijając łopatę wiazałem katem oka jej szczupłe białe nogi zapadające się w gliniastą ziemię. Razem z nią kopała druga, z wyglądu służąca. - Niech pani odpocznie - poradziła jej, kiedy słońce zaczęło przypiekać. Tanta w szlafroku wyjęła paczkę papierosów, ale nie miała czym zapalić. Gdy przybliżyłem płomyczek zapaliki do jej papierosa, nachyliła się ku mnie i spostrzegłem pot ściekający dwiema czarnymi strużkami wzdłuż nosa. Wtedy ją poznałem.

Na półtora roku przed maturą zaczepiła mnie, kiedy siedłem Nowym Światem po

nieparzystej stronie, gdzieś między Warecką a Ohmielną. Słyszałem już o niej przedtem, z mojej klasy znali ją Andrzej Rudnicki i Jurek Lichtenstein, nazywała się Zosia Bergy. Jej prawdziwe nazwisko było inne, Gadomska czy Gostyńska, nazwisko poważnego lekarza, jej ojca. Zaczepiała w przejściu, rzucając półgłosem kilka słów po francusku. Później się dowiedziałem, że spędziła parę lat w Paryżu, rodzice wysłali ją na studia. Jej wygląd dokładnie mi opisano i kiedy ją minąłem w tłumie na Nowym Świecie, nie miałem wątpliwości, że to ona. Nosiła czarny bufiasty płaszcz ze srebrnym kołnierzem i mały, przylegający do głowy hełm, także czarny, którego nie można było odróżnić od włosów, czarnych albo umalowanych na czarno. Duże, miękkie wargi, oczy skośne z przedłużonymi tuszem cieniami i zupełnie wygolone brwi. Była podobna do Japonki, ale nie śniada: bledsza, o białej, jakby papierowej twarzy. Kiedy mijaliśmy się za drugim razem, spytała po francusku, czy chciałbym pójść za nią. W minutę później staliśmy w bramie i czułem w półmroku jej oddech zalatujący jakimś lekarstwem o zapachu waleriany lub opium. Nie miałem pieniędzy. Ale musiał się jej spodobać mój poprawny akcent, bo spytała, czy byłem we Francji, i w końcu zaprosiła mnie do siebie na górę. Mieszkała na trzecim piętrze, idąc po schodach co jakiś czas przystawała, by głębiej oddychać; za każdym razem owiewał mnie apteczny zapach. W pokoju służąca przyniosła jej lekarstwo i zaraz potem znikła. Pokój był wynajęty, był chyba dawnym salonem, w którym zostało kilka mebli. Tego wieczoru nauczyłem się nowych francuskich terminów i okrzyku wyrażającego zaskoczenie: "Ça alors!". Później rozmawialiśmy o chorobach serca i literaturze. Poleciła mi książki Colette (koniecznie w oryginalnej!), którą podobno znała osobiście. Umówiliśmy się, że przyjdę, jeśli będę miał ochotę, pocałowała mnie w policzek ustami pachnącymi belladonną. Zostawiłem ją leżącą na tapczanie w czarnym dessous, białą i chudą jak pierrot. Potem jej nie widziałem aż do dnia kopania rowów, na tym podwórzu. Kiedy jej zapaliłem papierosa, mruknęła "merci" i było oczywiste, że mnie nie pamięta. Co się z nią działo po wybuchu wojny, nie wiem, ten dom był spalony lub zbombardowany pod koniec września; w czasie okupacji jej nie spotkałem. I dopiero niedawno, czytając jakiś pamiętnik z lat emigracji paryskiej po 1863 r., natknąłem się na jej nazwisko. Nosił je lekarz-społecznik, opiekun wychodźców, znana i szanowana osobistość.

1939 - 1979... Czterdzieści lat, bagatelka! Wczoraj przy herbacie z konfiturami w pokoju Sewerynów Pollaków zastanawialiśmy się nad osobliwą procedurą czasu, twarzącą równoczesne, podwójne wrażenie przedłużonej teraźniejszości i odciętej przeszłości; jak gdyby każde "wczoraj" było zarazem "niegdyś", w którym pozostają uwięzione nasze odbicia, cienie. Wspominamy samych siebie, jak własnych przodków, a to było wcale nie tak dawno, dwa lata temu czy dwadzieścia lat temu. Czym się różnimy od emigrantów - chyba tym jedynie, że przeszłość w ich pamięci utożsamia się z k r a j e m, że zostali wyklaszczeni nie tylko z czasu, ale i z miejsca. Przeżywając nostalgię za przydrożną wierzbą, tęsknią za sobą pod wierzbą sprzed roku 39, bądź 45, lub 68 - za krajobrazem swojej młodości, nie za samym wiejskim czy miejskim krajobrazem. Przecież my mamy ten krajobraz na co dzień, a czy nie tęsknimy? Tęskni się za nieobecnymi. To my jesteśmy nieobecni, to nas już nie ma: nas z przeszłości, z roku 1922 i 57, naszego dzieciństwa, naszych zębów, włosów... A może tęsknimy za dawnym ustrojem? może był lepszy, sprawiedliwszy? Mówiąc szczerze, nie jestem pewien, za czym tęsknię, ale jedno wydaje mi się bezsporne: że nie jest sprawiedliwy ustrój, w którym nie mam własnych zębów i gestyk, ciemnych włosów.

Dziś nad ranem obudziliśmy się w tej samej chwili, o brudnoszarym ranku, i M. opowiedziała mi swój sen. Czy to on nas zbudził? We śnie przyszła do niej ona sama, dwudziestoletnia, piękna, z uśmieknietymi oczami, i przytuliła ją do siebie, zapewniając, że jest nią. Była bardzo wzruszona. Mówiła jej: błagam cię, pamiętaj, że my obie jesteśmy tobą, i kiedy będziesz umierała, wiedz o tym. Twoja choroba, twoje zmarszczki, to wszystko nie ma znaczenia, nie martw się. Po śmierci nie wiadomo którą z nas będą wspominać, istniejemy razem, obydwie razem, pamiętaj. Obejmowała ją. Młoda Maria obejmowała starszą Marię gładząc ją dłonią po twarzy. Nad ranem, gdy opisała mi ten dziwny sen, młodziśmy leżąc obok siebie. Po chwili dokończyła: - Przyszłam w jasnoniebieskim kostiumie i granatowym berecie, musisz go pamiętać, tak jak na tej fotografii, gdzie stoję przed wejściem do Muzeum.

Mnie się nie śniło. Ale pamiętam ten niebieski kostium. Kiedy ją pierwszy raz w nim zobaczyłem, powiedziałem: - Jesteś dziś piezaskuzenie ładna.

Szkoły jeszcze nieczynne. Dokładnie pół wieku temu szkoły także były nieczynne wskutek mrozów i śnieżyc, temperatura spadła wtedy do 30 stopni. Przez całe dni grałiśmy z Marianem w pchełki sztonami do kart, na podłodze wśród odwiniętych dywanów. Babka drzemała przy piecu. W sąsiednim pokoju Margueritte Billard opowiadała matce treść filmu z Lil Dagover, który wyświetlano w kinie 'Splendid'. Helena z Bronką ćwiczyły się w grze na gitarze, ze służbowego pokojiku dolatywało trzaskanie 'Białych róż'. W tę nagłe mrozy przyjechała z Warszawy druga babka, śmieszka, mały gołąbeczek, do którego mówiłem 'Wasza Królewska Mość'. Odgrywane sceny: ja byłem królewiczem, ona królową-matką, warszawska babcia z fioletowym aksamitnym żabotem i broszką w kształcie chrabąszcza. Nie ta, z którą leżałem w łóżku o srebrnych gałkach i której kanarka w pędziłem do grobu i która w kapeluszu z piórami prowadziła mnie do parku, nie ta. Ta była mniejsza i weselsza, matka mojej matki, zmarła za Murami w 1942, pochowana na żydowskim cmentarzu w Warszawie, tam gdzie rok przedtem spoczął jej mąż, Daniel Landau, były kamienicznik i eksporter sukna. Na tym samym cmentarzu leży mój ojciec, którego grobu nie usiłowałem odnaleźć. Umarł w więzieniu na Pawiaku w 1940. Przed trzema tygodniami Marian kupił nowo wydaną książkę o dziejach Pawiaka w latach okupacji, otworzył ją na przypadkową stronę i przeczytał notatkę o śmierci ojca. Na ostatnim przesłuchaniu zawiadomiono go, że narazie zostanie zwolniony. W nocy dostał zawału serca. Marian zadzwonił do mnie z tą wiadomością 20 grudnia, przed naszym wyjazdem do Obér. Ojciec umarł 20 grudnia 1940 roku. Rodzice ojca pochowani są na Łódzkim cmentarzu: Maurycy i Stanisława z Rotschildów. Grób naszej matki znajduje się we wsi Kończyce koło Michałowic, przy szosie krakowsko-kielcekiej. Zmarła tam wywiezioną z Warszawy po Powstaniu.

Ale co się stało z panną Margeritą Billard, której na wakacjach podkładaliśmy pod prześcieradło czekoladowe pralinki? Co się stało z Heleną, która nieśmiało idzie Piłsudskiego za to, że jej brat zginął pod Kijowem, i którą próbowałem zgwałcić na drabinie po przeczytaniu 'Ogniem i mieczem'?

Przejrzałem nowe materiały do 9-tego numeru 'Zapisu', wśród nich dwie recenzje 'Międzyrzeczywistości'. Jedna anonimowa, napastliwa, sugeruje między innymi, że podstawiłem się pod biografię lepszą niż moja. Autorem drugiej jest Tomasz Burek. I ta recenzja Burka dała mi sporo do myślenia.

Sprawa jest mocno pokomplikowana. Pięć lat temu zacząłem pisać powieść, której akcja działa się w dwudziestoleciu i podczas okupacji, wybiegając niektórymi fragmentami w lata dzisiejsze. Bohaterem, a właściwie narratorem, był mój rówieśnik, ale niepodobny do mnie, o innym życiorysie, pochodzeniu, cechach zewnętrznych /atletyczna budowa, szeroka szczeka, rude włosy/ i skrajnie odmianym typie psychicznym. Syn nauczyciela, przed wojną student i zarazem statysta w teatrze, podczas wojny... Akowiec, wymyśla fikcyjną organizację podziemną 'Rondo' z miłości dla młodej aktorki, po to, żeby ją uchronić od niebezpieczeństw prawdziwej konspiracji. Powieść, pisana w formie sprostowania do kwartalnika historycznego, który zamieścił wspomnienie o 'Rondzie' - według narratora fałszywe i pełne nieścisłości - wyobraziłem sobie jako historię czyjegoś życia, paradoksalną przez kontrast solidnej równowagi wewnętrznej mego bohatera z szaleństwem i maniackim uporem, z jakim realizuje swoją idee fixe, którą w rezultacie zwraca się przeciw niemu. Miał to być również obraz tamtych lat, Warszawy przedwojennej i wojennej, ukazany poprzez dwa środowiska: aktorskie i konspiracyjne. Materia realistyczna; niemal epicka - sceny, dialogi, opisy - i przeplatający ją wątek półkryminalnej intrygi z zabójstwem na końcu.

Porzuciłem tę powieść latem 74 w Nałęczowie. Po ośmiu miesiącach pracy musiałem ją przerwać w połowie zdania, mając już napisanych przeszło 150 stron. Nagle zaczęła mnie męczyć i nurzyć. Niedawno Andrzejewski zanotował w swoim 'Z dnia na dzień', że gdy porzuca się jakąś rzecz rozpoczętą, nie jest zupełnie jasne, czy się nie może, czy też nie chce dalej pisać. To nadzwyczaj prawdziwe spostrzeżenie. Nie móc lub nie chcieć... Tak czy owak autor odpada od materiału, jakby raptem stracił apetyt. Odłożyłem maszynopis do teczki i usiłowałem o nim nie myśleć. Ale to była porażka. Długo nie mogłem się z nią pogodzić.

W jakiś czas po powrocie do Warszawy zacząłem wertować stare notatki, później zabrałem się do pisania eseju. Nie szło mi. Przypominam sobie dzień, kiedy z bolącym zębem siedziałem nad blokiem i prawie bezwiednie, z nudów, przetłumaczyć yłem wiersz Verlaine'a 'Le sanglot long du violon de l'automne', ten sam, który od lat znałem w przekładzie Staffa. Po czym wziąłem samochód i pojechałem do dentystki. Po usunięciu zęba godzinę chodziłem z zimnym okładem po pokoju. Kiedy wróciła Ma i zapytała: - Dobrze ci dziś poszło? - odpowiedziałem, że bardzo dobrze: przetłumaczyłem wiersz Verlaine'a i wyrwali mi ząb. Nasajutrz zacząłem pisać 'Nierzeczywistość'.

To był październik 74. Skończyłem w czerwcu 75. 'Nierzeczywistość' liczyła 153 strony maszynopisu, dokładnie tyle samo, co moja porzucona powieść. Od dawna myślałem o prozie w formie wywiadu lub odpowiedzi na pytania ankiety; taka forma /próbowałem jej w opowiadaniu 'Wywiad z Ballmeyerem'/ dawała możliwość bezpośredniego wyrażenia poglądów w wielu sprawach, bez podchodów i zabiegów psychologicznych, opisowych itp. W 'Nierzeczywistości' amerykański socjolog przedkłada ankietę z 30 pytaniami, na które odpowiada intelektualista z Polski, reżyser teatralny. Odpowiadając cudzoziemcowi musi mu wyjaśnić, czym jest dzisiaj Polska, co się w tym kraju dzieje, czego ludzie w nim chcą i jak myślą. Okazja, aby sobie samemu wyjaśnić wiele rzeczy. Pisząc wiedziałem od pierwszych zdań, że żadne wydawnictwo w kraju nie przyjmie tej książki. Pisałem ją... dla kogo? Dla siebie, dla potomności? Nie dręczyły mnie podobne myśli, czułem tylko, że powinienem ją napisać. I coraz wyraźniej uświadamiałem sobie, dlaczego tamtej powieści nie mogłem doprowadzić do końca: dlatego, że nie potrafiłbym w niej odpowiedzieć na pytania, jakie stawiam bohaterowi 'Nierzeczywistości'. Przerwaną powieść uznałem za niebyłą, tak dalece, że wyjmowałem z niej niektóre stronicę, przenosząc je niemal bez zmian do nowego tekstu; wśród nich również wątek fikcyjnej organizacji 'Rondo', co prawda zredukowany do biograficznego epizodu. W lipcu zawiozłem egzemplarz i kopię do dwóch znajomych maszynistek. Przed wakacjami miałem osiem czystych maszynopisów 'Nierzeczywistości'.

Mijał właśnie rok od czasu, gdy utknawszy w połowie zdania rozstałem się z rudowłosym bohaterem. Wakacje znowu spędzaliśmy w Nałęczowie. JMR poradził mi, żebym niedokończoną powieść wydrukował w 'Twórczości' - dla zachowania śladu, jak się wyraził. Posłałem ją do redakcji z kilkustronicowym posłowiem, wyjaśniającym przyczyny, dla których nie mogłem jej ukończyć; przyczyny według mnie tkwiące w powieści jako gatunku literackim oraz w moich ubiegłych doświadczeniach, których nie udało mi się powtórzyć w tej prozie. Pisząc krótkie posłowie wpadłem na pomysł, by zaznaczyć w nim istnienie nowego tekstu, który wprawdzie nie był dalszym ciągiem urwanej powieści, jednakże powstał w jej następstwie i miał z nią kilka wspólnych ustępów, będąc punktem owocem jej porzucenia. Przyszło mi wtedy do głowy, czyby tych dwóch rzeczy nie złożyć ze sobą razem, rozumie się na użytek prywatno-archiwalny. Aby zachować ślad ich wzajemnych stosunków, maszynopis przekazany 'Twórczości' opatrzyłem tytułem 'Nierzeczywistość', sygnalizując w posłowiu obecność drugiego tekstu, który nie miał szans na publikację.

Dwa maszynopisy były przepisane każdy osobno. Nieukończona powieść o 'Rondzie' urywała się na stronie 153, maszynopis 'Nierzeczywistość' rozpoczął się od strony nr 1 i kończył także na 153. Nasuwało się porównanie z cięciem o dwóch głowach. Dając podwójny skrypt do czytania przyjaciółom, usprawniłem się z tej osobliwości. W owym czasie, gdy pewna moja znajoma pojawiła się z ogromną głową uczesaną na 'afro', spytałem: - Czy to tak było pomyslane? czy to się pani stało? - Ofiarowując dwa maszynopisy dwóch różnych utworów w jednej teczce i pod jednym tytułem, wręczając tego dziwoląga upatrzonemu lektorowi, za każdym razem czułem się w obowiązku podkreślić, że to m i s i ę s t a ł o. Ni-kimi nie uwierzył.

Opinie moich czytelników były rozmaite /jednym podobala się nie ukończona powieść bardziej niż ankietą, innym odwrotnie/, ale żaden z nich nie miał wątpliwości, że dwuczłonowa kompozycja stanowi świadomy chwyt formalny. Czasami w tym samym dniu wysłuchiwałem krańcowo sprzecznych zdań od ludzi, których sądziłem. Wszyscy potraktowali dwa złączone maszynopisy jako z góry powzięty zamiar, a kiedy próbowałem im wyjaśnić, że było inaczej, patrzyli w bok, z miną

'ty mi mów, a ja zdrów'. Jednym z lektorów był Tomasz Burek. Spotkaliśmy się po południu w kawiarni i pamiętam, że słuchając moich tłumaczeń uśmiechał się z zakłopotaniem. Mnie natomiast zależało na tym, aby rzecz była jasna: udoświadczylem kilkunastu osobom moją warsztatową przygodę, nieoczekiwany wypadek, jaki mi się przydarzył w pracy. Nie myślałem jeszcze o druku poza zasięgiem cenzury, wtedy nie istniały takie możliwości, nie było ZAPISU ani wydawnictwa NOWA. Ponadto zawsze czułem niechęć do ostentacyjnych efektów - w życiu i w sztuce - nie lubię zalemać na pokaz, rozbitych konstrukcji i ekshibicjonistycznych pęknięć, wystawianych na widok publiczny. Na któryś z wernisaży pewien malarz przysłał niedokończony obraz, abstrakcyjną kompozycję. Płótno było pośrodku rozdarte - mówiono, że w rozpaczy przebił je nożem. Rozśmieszył mnie ów akt desperacji wysłany na Salon; mógł go trzymać w pracowni i pokazywać kolegom.

Ale był jeszcze inny powód, który mnie zmuszał do coraz usilniejszego podkreślania tymczasowości mojego dwugłowego stworu, ilekroć ktoś chętny zgłaszał się do lektury. Płynęły miesiące. Od jakiegoś czasu rudowłosy bohater nie ukończonej powieści o 'Rondzie' zaczął dawać znaki życia. Kiedyś zobaczyłem go w pejzażu idącego z przyjacielem przez łąki - z przyjacielem tak hałaśliwie elokwentnym, że jego głos płoszył kuropatwy. Scenę tę wiązałem dokładnie, z plastycznymi szczegółami; przyjaciel miał na nogach sandały i szare skarpetki. Był to powrót równie niespodziany, jak odejście. Cały materiał, od dawna zależały i sztywne, nagle się we mnie poruszył, moje teoretyzujące uzasadnienia, sformułowane w posłowie, leżały w gruzach. Wiedziałem już, że skończę tę powieść.

Pracowałem nad nią do połowy roku 1977. Wraz z częścią wydrukowaną w 'Twórczości' liczyła około 380 stron maszynopisu, dałem jej tytuł 'Rondo'. Przez ten czas 'Nierzeczywistość' stała się dla mnie oddzielnym utworem, dalszy ciąg 'Ronda' nie miał z nią żadnych pokrewieństw. Marian, któremu zostawiłem egzemplarz przed wyjazdem za granicę, powiedział mi po przeczytaniu: - Napisałeś nową wersję 'Drewnianego konia', nie zdobędziesz sobie czytelników tą książką. - Sądzę, że miał rację. Konspiracyjne podziemie w 'Rondzie' zostało przedstawione nie tylko w wymiarze heroicznym, lecz także od wewnątrz, jako pole ścierających się ze sobą koncepcji politycznych i osobistych ambicji. Uplątany w nie, rój rudowłosy bohater pono si klęskę za klęską i omal nie traci życia. Taki obraz konspiracji nie wszedł do naszej literatury, co jednak nie oznacza, iż nie powinien w niej istnieć. Brakowało mi go. Przewietrzanie legend nie jest tym samym, co szarganie świętości; jeśli naród chce zachować cechy zdrowego społeczeństwa, musi się niekiedy dowiadywać, że jego przeszłość była czymś żywym, poddanym naturze, nie od razu skamieniałym w pomnikach.

'Rondo' po ukończeniu i przepisaniu uzupełniałem przez dłuższy czas nowymi fragmentami. Już po wyjeździe do Francji i później w Berlinie. W przeddzień naszego powrotu do Warszawy ukazał się francuski przekład 'Nierzeczywistości', niemal równocześnie z wydaniem polskiego oryginału w paryskim Instytucie KULTURA. W kilka tygodni po powrocie 'Nierzeczywistość' wyszła w kraju nakładem oficyny wydawniczej NOWA. Maszynopis 'Ronda' złożyłem na Wiejskiej w 'Czytelniku'. Zdawałoby się, że moje dwugłowe stworzenie zostało przeze mnie własnoroecznie rozcięte na dwa niezależne organizmy. Ale nie. W tym bowiem momencie wchodzi na scenę gotycki anioł.

Tomasz Burek raz tylko o mnie pisał; kilkanaście lat temu wyrukował recenzję ze 'Sposobu bycia'. Utrzymaną, jak sobie przypominam, w stylu z lekką ironiczną rezerwą. Prawdopodobnie nie miał wówczas o mnie wyrobionej opinii, nie był jeszcze pewny, co ze mnie za ptak. Treści recenzji dokładnie nie pamiętam, ale uderzył mnie jej ton: rzadko o mnie wtedy pisano w sposób tak oględny, bez jadu, powiedziałbym, z tak przyzwoitymi manierami. Przez wiele lat kłanialiśmy się sobie z daleka; czytałem jego późniejsze eseje, przyznając słusność głosom, które wyrażały się o nim z szacunkiem. Mówiłem sobie: przybył nowy, poważny krytyk. Osobiście nie znaleźliśmy się prawie. Kiedy wydał mi się podobny do gotyckiego anioła? Latem, na Świętojańskiej. Musiał niedawno zapuścić włosy; gdy minęliśmy się po wymianie uśmiechów przyszło mi na myśl, że ze swymi niebieskimi oczami, jasnorudymi włosami i szczupłością kończyn pasowałby do ołtarza Wita Stwosza. Czasami jedno takie skojarzenie ustala stosunek do człowieka. Odtąd poczułem się jakby bezpieczniejszy; świadomość, że wśród krytyków żyje rudowłosy anioł, dodawała mi otuchy. Z takim samopoczuciem zacząłem czytać recenzje Toma-

sza Burka o "Nierzeczywistości".

I co to? orientuję się już po pierwszej stronie, że nie będzie tu mowy o "Nierzeczywistości" wydanej osobno pod okładką "Nowej". Burek jak gdyby jej nie zauważył, pisze o innej książce... O jakiej? O tamtej, którą mi dałem do czytania przeszło trzy lata temu, o maszynopisie złożonym z dwóch tekstów, tym dziwotworze powstałym ze sztucznego przeszczepu! Przyznaje mu wysoką rangę, lecz pisze o nim w czasie przeszłym, jak o nieboszczyku. Pod koniec stwierdza z żalem; trudno, stało się, tego dzieła już nie ma. Można się domyślać, że uśmiercił je autor, nie można się jednak domyślić, czemu to uczynił. Czytelnicy "Zapisu" /recenzja jest przeznaczona dla "Zapisu"/, jeśli będą zgłębiać tę zagadkę, dojdą zapewne do wniosku, że było to literackie samobójstwo popełnione z nieznanym powodów.

Dwugłowe widmo powróciło do mnie po trzech latach, aniół wywołał tego nieszczęsnego ducha. A nie byłby aniółem krytycznym, gdyby przy tej okazji nie zwiastował nowiny. Nowina jest taka, że współczesną literaturę naszą cechuje polimorfizm. Pierwotna, rozbita i sprzeczna wewnętrznie kompozycja mojego utworu była potwierdzeniem owej prawdy. Potwierdzeniem, któremu zaprzeczyłem.

Znowu chciałbym nadmienić, że Tomasz Burek przeprowadził swój wywód delikatnie, przy użyciu cienkich narzędzi, posługując się krótkim, nowoczesnym cięciem i łagodną narkozą. Na ile mógł oszczędził mi bólu. Ale po najmniej bolesnej operacji wnętrza są poruszone. Przeżywałem osobliwy stan psychiczny - coś między zmęczeniem, osłupieniem i zaniepokojeniem. Co się stało? Przecież gdyby nie recenzja Burka, sprawa byłaby zwyczajna: w przerwie między okresami pracy nad powieścią napisałem eseistyczny tekst, w innej formie, z innym bohaterem i na inny temat. O czym więc tu mówić, podobne wypadki zdarzają się często. Burek mógł nie wiedzieć, że przez pewien czas łączyłem ze sobą dwa maszynopisy, mogłem mu ich nie dać do czytania, znalazłby wtedy tylko wydrukowaną "Nierzeczywistość". A jednak jest o czym mówić. Z chwilą bowiem, gdy ofiarowałem mu tę podwójną lekturę, miał prawo ją uważać za napisaną całość i zareagować na nią swymi poglądami krytyczno-literackimi. Ja natomiast miałem swoje prawo: uznać połączenie za niebyłe i dokończyć powieść. On sformułował tezę o polimorfizmie, ja zobaczyłem dwóch przyjaciół idących przez łąkę. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nasze prawa nie zderzyły się ze sobą. Stało się jednak inaczej: zderzyły się. A stało się tak dlatego, że obydwaj usiłujemy robić to samo, mianowicie tworzyć literaturę - ja za pomocą pisania, on za pomocą historii literatury. Bo myliłby się, kto by sądził, że krytyk nie ma ambicji tworzenia literatury. Ma je bodaj w większym stopniu niż pisarz, tylko spełnia je w odmienny sposób: chce tworzyć literaturę nie poprzez tworzenie jej substancji, lecz przez wytyczanie jej kierunków. Ideałem krytyka jest narzucić twórczości swój pogląd na jej rozwój i skłonić ją, by go potwierdziła. Krytycy walczą o historyczną stawkę, ich ostateczne zwycięstwo polegałoby na uwiedzeniu wyobraźni przez teorię. Wiem coś o tym. Nie tak dawno wpadł mi w ręce francuski miesięcznik z esejem zatytułowanym: "Świętej pamięci literatura". Autor sugestywnie uzasadniał swoje przekonanie, że literatura w naszej epoce przestała istnieć, że jej nie ma. W wywodach brzmiała nutka triumfu: literatury nie ma, umarła, ale krytyka jest i żyje. Była w tym radość decydującego zwycięstwa, nareszcie jesteśmy sami, kto powiedział, że krytyka nie może się obejść bez literatury, teraz, gdy mamy swobodne ręce, wykażemy, że krytyka może literaturę zastąpić. W gruncie rzeczy autor ujawnił odwieczne marzenie swego gatunku - marzenie obłąkane, samobójcze, lecz tkwiące w podświadomości każdego krytyka. Kto wie, może i Tomasz Burka... Czy nie nazwał mnie autorem "nieistniejącego" wielkiego dzieła współczesnej literatury polskiej? Podejrzewam, że dla krytyków prawdziwie wielką byłaby literatura nie istniejąca, którą wymyśliliby oni sami, aby podeprzeć swoje tezę.

Szaleństwo? Tak, szaleństwo, ale spróbujcie cokolwiek zrobić bez odrobiny szaleństwa.

Cała ta sprawa pozostawiła we mnie trochę niepewności. Ale spróbujcie coś zrobić z absolutną pewnością.

Mówiąc jednak do końca - nasza soczewica mogłaby być sprawiedliwiej podzielona. Mnie należy się prawo do części szaleństwa, a krytykom podarowałbym odrobinę niepewności.

Dzień w Warszawie. Miasto sprawia wrażenie zdewastowanego przez zimę; wszędzie zwały śniegu, brudna, oszpecająca biel. Po bokach unieruchomione samochody, niektóre całkowicie zasypane, z białymi, obłymi czapami, wyglądają jak bunkry porzucone przez załogę. Na chodnikach człapią zmęczeni ludzie, twarze poszarzałe, jakby niedomyte. W tym zmęczeniu, dreptaniu i obalduchaniu wyczuwa się tlamszoną wściekłość. W sklepie ktoś mówi: - Jak się ociepli, władza spłynie. - W domu sporo listów z życzeniami i zaproszenie na sympozjum literackie do Wiednia. Temat: świadomość historyczna w literaturze współczesnej.

Dowiadujemy się wielu rzeczy, o których nie informowała telewizja. W noc sylwestrową na Placu Teatralnym zamarzył pewien muzyk z zespołu Opery. W szpitalach położniczych przyjmowano noworodki 'na sucho' - nie było ciepłej wody. Z osiedla Stegny uciekła większość lokatorów, temperatura w mieszkaniach nie przekraczała 7 stopni. Tej nocy na Stegny nie dotarłby ambulans pogotowia. P..., wypuszczony ze szpitala po krwotoku płucnym, czekał na Nowy Rok w płaszczu i futrzanej czapce, owinięty dwoma kocami. Przed północą zażył tabletkę uspokajającą i przestał się bać. Z wybiciem 12-ej wypił kubek mleka z miodem i ukłonił się czapką przed lustrem. Rano wyruszył do przyjaciół na Mokołów. P..., człowiek łączący w sobie rygor pracy z umiłowaniem rozkośzy życia i najgłębszą potrzebę sztuki, gdy zwrócił się do niego o podpis pod listem zbiorowym w sprawie Konstytucji, oświadczył spokojnie: - Nie jestem stworzony na Joannę d'Arc, zostałem stworzony na Lukullusa. - Wszystkich rozbroił tą książeczą odmową. Lukullus szedł z osiedla Stegny na Mokołów 4 godziny, telefonując po drodze z automatów i zadając miejsce swego położenia na trasie; po 4 godzinach ukazał się przyjaciołom biały, spiczasty jak góra lodowa.

Przy odgarnianiu śniegu używa się przeważnie transparentów z pochodni 1-majowego. Kij z przybitą kwadratową deską odwrócony rękojescią do góry, staje się łopata, trzeba tylko przedtem usunąć podobiznę któregoś z przywódców klasy robotniczej. Kiedy w Oborach zabrakło łopat, spytałem pana Stasia, palacza z tutejszej kotłowni, czy w PGR-ze nie ma takich transparentów. Pan Stasio się zamyślił: - Były - powiedział - ale poszły do Mirkowa na solidarność z Angolą. - W Warszawie śnieg odgarniają żołnierze, a w dni wolne od pracy rozdaje się łopaty urzędnikom. 17 stycznia ponad soplami i zaspani wywieszono sztandary: rocznica uwolnienia Warszawy od Niemców. Trzydzieści cztery lata temu przechodziłem dwa razy dziennie przez zamrażniętą Wisłę, były silne mrozy, nocowaliśmy w Muzeum Narodowym, na Pradze rozgrzewaliśmy się herbatą w kawiarni założonej przez Wiecha, na Targowej czy Żąbkowskiej. Pewnego razu, pośrodku Wisły ktoś mijając mnie zawołał: - Nos, nos! - Zpielak mi nos, roztarłem go śniegiem. Dobrnęliśmy do Muzeum, gdzie czekano na mnie, aby mi powtórzyć, że był tu mój brat. W godzinę później zobaczyłem Mariana, który desedł pieszo do Warszawy w kolumnie oficerów, jeńców wojennych z odbitego Woldenbergu. Nie widzieliśmy się od końca sierpnia 1939, od dnia, gdy został amputowany. Odprowadziłem go wtedy na dworzec i przy pożegnaniu nieznacznie wepchnął mi do ręki monetę dziesięciozłotową: - Masz, przyda ci się. - Nie pamiętam, na co ją wydałem. Musiała od tego czasu przejść przez wiele rąk. I co się z nią stało, co się w ogóle stało z przedwojennym bilonem? Nie mam pojęcia. Może ta moneta jeszcze gdzieś istnieje. Niektóre przetrwały. W pokoju mojej żony na sekretarzyku do dziś leży dziesięciozłotówka z Łatorym. W dniu naszego ślubu ofiarowała ją M. pani Wanda Natalska, przyjaciółka Jerzego Szaniawskiego. - Włóż ją do pantofla, przyniesie ci szczęście... - M. lekko utykała, kiedy ją prowadziłem w kierunku ołtarza. Rachunek prawdopodobieństwa nie wyklucza możliwości, że była to ta sama moneta, którą dostałem od Mariana.

Przechodząc koło poczty na Rynku minąłem dwie ładne dziewczyny w kożuchach, które rozmawiały ze sobą z niezwykłym ożywieniem i tak głośno, że dobiegł mnie okrzyk jednej z nich: - Mówię ci, to był starzec, coś ohydneho, na pewno miał sześćdziesiąt lat! - Widocznie któryś z moich rówieśników poczuł się młodo i został ukarany. Nie bez zdziwienia stwierdziłem, że okrzyk tej dziewczyny nie sprawił mi przykrości, była to raczej ptuczająca informacja. Ale uświadomiłem sobie co innego. Mianowicie - mój czas wewnętrzny, czyli na ile lat się oceniam w moim psychicznym samopoczuciu. Na dwadzieścia osiem. Jesli by przemilczeć łamanie w prawym biodrze, częściowy ubytek zębów i zmianę koloru włosów, pozostałem dokładnie w tym samym wieku, co w styczniu 1945,

kiedy przechodziłem przez zamrażającą Wisłę. Stąpałem wówczas ostrożnie, żeby się nie pośliznąć. Otóż, mając ów podwójny wiek, zewnętrzny i wewnętrzny, będąc przyrodniczo sześćdziesięciolatkiem, a czując się trzydziestolatkiem duchowym, być może trzeba również ostrożnie stąpać i uważać na swoje kroki. I nie tylko na zalotne kroki w stosunku do czyjejs młodości, nie tylko... Poślizg grozi w stosunku do siebie rozdwojonego na młodość i starość, do siebie żyjącego w dwóch wymiarach, z których jeden łądzi, a drugi straszy. Żadnemu z nich nie należy powierzać się całkowicie, ponieważ żaden z nich nie tworzy całkowitej prawdy. Według mnie najlepiej pogodzić się z ich sprzeczną współobecnością, lepiej powiedzieć sobie: tak jest, istniejemy razem, będziemy zawsze razem istnieć, obaj stanowimy jednego człowieka, pozostaniemy nim do końca i wraz z nim umrzemy - tak jak we śnie M. o dwóch Mariach. Co przez to zyskuje? Nic więcej, jak tylko świadomość własnej kondycji. Nie ulegając złudzeniu młodości, ale i nie osuwając się w grozę starości, mam jeszcze szansę życia, które nie będzie śmieszne ani straszne. Gdybym prowadził rubrykę dobrych rad pani Zofii, udzieliłbym następującej wskazówki: 'Mój stary chłopcze, nie wstydź się w sobie młodości, dzięki której zachowujesz nadzieję, i nie bój się starości, która jest poznaniem. Za ich wspólną pomocą dokonaj jeszcze jednego wysiłku: zanim się pograżysz w niewiedomym, wypowiedz to, co jest ci wiadome'.

Ale jak się przeżywa siedemdziesiątkę, osiemdziesiątkę? Znałem bliżej tylko jednego człowieka, który przekroczył dziewięćdziesiąt lat życia. Twierdził, że po każdej dekadzie reaguje się inaczej. Po ukończeniu 10 lat odczuwa się dumę, po 20 nadzieję, po 30 zdziwienie, po 40 smutek, po 50 przygnębienie, po 60 rozpacz, po 70 spokój, po 80 - dumę. Co się odczuwa po ukończeniu 90 lat, tego mi nie powiedział.

Mimo iż od kilku lat nie czytam gazet, co pewien czas wpada mi w rękę jakiś tygodnik literacki, społeczno-kulturalny czy ilustrowany. Są w nich artykuły, recenzje, a także, nawet dyskusje. Drukuje tam mnóstwo autorów, omawia się książki i premiery, ba kreuje się wielkich pisarzy... Ktoś z zewnątrz, kto by przyjechał na przykład z Wenezueli, mógłby odnieść wrażenie, że w Polsce bucha życie kulturalne. Czegoż tu nie ma! Wszystko obecne, wszystko na swoim miejscu: twórczość krajowa, przekłady z literatury trojga światów, analizy współczesnych cywilizacji, sondy socjologiczne, strukturalizm, prawa człowieka i obywatela, i nowe terminy: paradygmaty, traumy, trendy... Wszystko, pełna tęcza! Ile lat trzeba przeżyć, by rozszyfrować ten system pozorów i wyczuć unoszący się swąd. Wszystko maskuje tu trupy ukryte pod podłogą. Książka, o której się pisze, ma głębiej wdeptać książkę, której się nie wydaje; w każdym wydrukowanym tekście między liniami są zakopane nazwiska, jakich nie wolno wymieniać, i fakty, o których się milczy; miejsca i daty wymazane z historii tworzą martwy obszar, którego ciszę zapełnia się hałasem sztucznych polemik i gdzie pół-poeci udzielają wywiadów pół-dziennikarzom, aby wyrazić swoje pół-prawdy dla pół-czytelników. Prócz odciętej połowy nie brak tu niczego.

A co się dzieje z odciętej połową?

Kiedy trzy lata temu powstał ZAPIS, miałem wątpliwości, czy stać nas będzie na wydawanie pisma literackiego w oparciu o niewielką grupę ludzi piszących, którzy odrzucili możliwość społecznej pół-egzystencji. Obawiałem się, że po kilku numerach zabraknie nam rezerwy. Przypuszczalnie nie tylko ja przeżywałem podobne obawy, inni także je mieli. I co najszczególniejsze, właśnie zastrzeżenia wyrażane przez innych budziły we mnie opór i wywoływały kontrargumentację. Przypominam sobie jedną z takich rozmów /pierwszy numer ZAPISU był już w przygotowaniu, dałem do niego fragment 'Nierzeczywistości'/, dyskusję, która ostatecznie mi uświadomiła sens istnienia ZAPISU. Padły następujące argumenty: 'Dokonyaliśmy wyłomu w naszej długoletniej praktyce obronnej, w grze, jaką prowadziliśmy o własną twórczość. Stosując taktykę 1 u d z e n i a t y r a n a broniliśmy ostatnich żywych wartości w kulturze, zapewnialiśmy ich przenikanie, choćby w formie aluzji i podtekstów. Decydując się na otwartą walkę, odbieramy sobie tę możliwość'.

Można było dorzucić jeszcze i to, że wydając ZAPIS ryzykowaliśmy własnym bezpieczeństwem osobistym: zaostrenie represji leżało w interesie policji. Ale ten argument nie został wysunięty. Najwidoczniej nie chcieliśmy się straszyć.

W ciągu rozmowy parokrotnie zabierałem głos, w gruncie rzeczy po to, aby odpowiedzieć samemu sobie. Ów sposób myślenia był mi bardzo dobrze znany, to były przecież moje sformułowania, niemal dosłowne... Przez wiele lat sądziłem, że pozostało jedynie wciskać się w szpary, wykorzystywać każdą nieczczenność systemu, każde rozluźnienie cenzury, by przez te szczeliny przemycać własne treści. Powoływałem się na przykłady, zwłaszcza na drugą połowę XIX wieku, kiedy pisarze musieli toczyć podobną grę z cenzurą i wymieniałem tytuły z 'Faraonem' na czele. Posuwałem się dalej, twierdząc, że ograniczenia i zakazy, konieczność ich wyminięcia, czuwanie kanonu, pobudzają inwencję; rodzą się wówczas nowe alegorie i metafory, które myląc oko cenzury kształtują środki wyrazu. I znowu sięgałem po przykłady: ze sztuki kościelnej.

Teraz jednak w tym rozumowaniu uderzył mnie minimalizm, czułem w nim przyłuski i wąskość. Bo właściwie czym jest kultura - czy pojęcie kultury da się sprowadzić do dzieł sztuki i myśli, do u t w o r ó w? Jeśli tak jest, to istotnie nie ma innej drogi poza "ładzeniem tyrańca". Ale czy my ładujemy tyrańca, czy tyran nas ładuje? Czy nie jest tak, że w zamian za możliwość publikacji wiersza rezygnujemy z oznajmienia wartości, jakie ten wiersz w sobie ukrywa, z których powstał, do których nawiązuje... Jeśli zaś tak jest, wtedy nasuwa się podejrzenie, że płacimy zbyt wysoką cenę. Za wartość rzeczy napisanej płacimy wartością niepisaną. Przychodzą takie momenty, gdy kulturę tworzą wartości niepisane. Być może są to tylko momenty napięć i przełomów, sytuacje, w których granice codziennego trwania muszą być przekroczone, a reguły złamane. Wtedy staje się bezużyteczna większość przykładów z dziejów literatury - trzeba się odwołać do innych. Do tych nie napisanych. Do aktów i postaw, które weszły nie do antologii, lecz do wyobraźni zbiorowej, zapładniając ją swymi gestami, scenami, twarzami.

Z niejakim zakłopotaniem przyznaję, że w trakcie dyskusji wymieniłem obok siebie listopadową noc Belwederczyków i lutowe walne zebranie Związku Literatów po zawieszeniu 'Dziadów', jako dwa przykłady niepisanych faktów tworzących kulturę.

Można by tak postawić sprawę: uczyniliśmy pewien rozsądny krok wychodzący z sytuacji trudnej do zniesienia; stworzyliśmy nową sytuację, dla nas samych nieznaną, otwartą i zawistną od innych okoliczności niż dotychczasowe. ZAPIS powstał. Nie wiedzieliśmy, czym będzie, ile numerów się ukaże, wiedzieliśmy tylko, czym nie będzie. Powstał z kilku przyczyn, z różnych potrzeb. Zapewne i z potrzeby wolności. Ale także ze wstydu na myśl, że nie zostanie po nas nic prócz wydrukowanych powieści i wierszy - nic większego. A mówiąc k u l t u r a powołujemy się na rzeczy większe. Dlatego uważam tę decyzję przede wszystkim za rozsądną. Dzisiaj ZAPIS jest oczywistością, jego materiały poddawane są krytycznym ocenom /prócz ZAPISU zresztą istnieją już inne niezależne pisma/, jest oczywistością rzeczywistą, to znaczy wynikającą z autentycznych treści, z przeżywanego stanu rzeczy. Czy jest dobrym piśmem? Prawdopodobnie ani gorszym, ani lepszym niż ludzie, którzy je robią i którzy w nim piszą. Jest taki jak oni. Ale j e s t taki jak oni. Jeżeli pismo staje się takie jak jego autorzy, oznacza to co innego, niż gdy autorzy stają się tacy, jak pismo. Również i z tego względu decyzja utworzenia ZAPISU wydaje mi się racjonalna.

Wszystko to stało się dość niedawno. Jak długo się utrzyma? Trzy, cztery lata temu nie istniało jeszcze prawie nic. I ledwie zaczęło istnieć, rozległy się przyjacielskie ostrzeżenia. Ostrzegano zasadniczo: przed konsekwencjami. Kiedy powstał KOR, ostrzegano przed niebezpieczeństwem d r u g i e j w ł a d z y. Po wydaniu pierwszych numerów ZAPISU ostrzegano nawiązywanych przed ludźmi, którzy go założyli, przed byłymi komunistami i soc-realistami. Ostrzegano pisarzy przed śmiercią cywilną, przed utratą kontaktów z czytelnikami i nowym uzależnieniem literatury od polityki. Najgorsze wróżby, złowieszcze przewidywania... Ledwie zaczęło istnieć. Ledwie odbiło się od dna. Słowo d n o osiąga dziś swoją godzinę szczytu, mówiąc "dno" wyrabiamy sobie alibi: wszystko jest dnem, wszyscy są na dnie. Z chwilą, gdy ktoś próbuje odbić się od dna, alibi zostaje podważone. Wówczas śledzi się ruchy potępienia: jak długo się utrzyma?

Może takie pytania trzeba umieć przemiłczać. "Jak długo się utrzyma?" Podejrzewam, że jest to pytanie, którego nie należy stawiać i na które le-

piej nie odpowiadać nawet sobie samemu, jeśli zostało już zadane.

Jak ptaki wytrzymują tę ostrą zimę? Jest tu gromada wróbli, sporo kosów i ekipa sikorek. Wczoraj widziałem dziecięcia. To są ptaki, które nie odlatują do ciepłych krajów. Bociany i jaskółki odlatują. Dlaczego jedne ptaki nie mogą w Polsce żyć przez cały rok, a innym w ogóle nie przychodzi do głowy, żeby odfrunąć za granicę, tego mi dotąd nikt nie wytłumaczył. Moja sympatia jest po stronie ptaków krajowych. Tych osiadłych, tych głodomorów bez legendy, które nie emigrują. Nigdy nie była dla mnie zrozumiała w pełni radość na widok powracającego bociana, skąd się wziął ów mit zacnego dostawcy noworodków, który pożera myszki polne i żabki. A może właśnie trzęsą odlecieć, przez dłuższy czas być nieobecny, podbić swoją cenę? Przypominam sobie mój powrót z Francji siedem lat temu, kiedy rozeszła się pogłoska, że wyemigrowałem. Witano mnie jak bociana. Ile było wtedy ciepłej wdzięczności w ludzkich spojrzeniach! Ale ta omyłka niedługo trwała, wkrótce się zorientowano, że jestem krajowym wróblem. I nie pomogły moje zagraniczne buty. Tylko przez trzy dni dawali się na nie habierać początkujący waluciarze z Rynku: - Ju wont polisz monej? - Czwartego dnia zobaczyli mnie, jak szedłem z siatką po sprawunki.

Niektóre z tych osiadłych ptaków są trudne do zidentyfikowania. Próżno ich szukać w albumach ornitologicznych, nigdzie nie figurują. Pewnego razu takiego ptaka-zagadkę Jacek Bocheński spostrzegł zagrzebanego w śniegu na lesnej drodze niedaleko Obór. Pochylił się nad nią, aby mu się przypatrzeć. Ptak leżał półmartwy, z wyciągniętymi nóżkami, ale gdy zobaczył pochylonego nad sobą człowieka, nagle się zatrzepotał, poderwał i wpadł w zaspę. Było oczywiste, że nie może latać. Jacek Bocheński nie należy do ludzi, którzy działają pod wpływem nagłych decyzji. Stał nad zaspą dłuższą chwilę obserwując ptaka i zastanawiając się, jak ma postąpić. Namyslał się z palcem przytkniętym do koniuszka nosa, lekko kiwając głową, jak gdyby oceniał sytuację: 'A więc tak...' Po czym ostrożnie wyciągnął rękę. Ptak wrzasnął, ale już nie stawiał oporu. Widocznie on także ocenił sytuację. Ręka kolosa była cieplejsza niż śnieg. Ptak wybrał lepiej ogrzane przeznaczenie i od razu ucichł.

Kiedy przed wieczorem zaszedłem do pokoju Jacka, siedział czytając przy osłoniętej lampce. W drucianym koszyku na pieczywo, odwróconym do góry dnem i nakrytym ręcznikiem, ptak dziobał kawałek sera. Zgadywaliśmy: kos? drozd? a może jakiś nieznaną ptak leśny? Był prawie czarny, z rdzawym podgardlem i sztyldkretowym dziobem, ostrym, wydłużonym, nie z tych krótkich i tępych. Wyglądał tłusto, zdrowo i podskakiwał atakując mój palec, kiedy wtykałem go pomiędzy druty. Na palec Jacka reagował inaczej: otwierał dziób zachęcająco, jakby gotów do rozmowy i żartów. Wówczas Jacek uśmiechał się, nieco zażenowany. Nakryliśmy koszyk ręcznikiem, ptak już zasypiał z łepkiem wtulonym w pióra. Wychodząc powiedziałem, że nareszcie ktoś ma uzasadnione Powody, by wierzyć w Opatrzność

W trzy dni później tutejszy autobusik zabierał sprzed oficyny gości, którzy po zakończonym pobycie wracali do Warszawy. Odbywa się to rano, około 9-ej, i zwykle przyglądam się tej scenie przez okno. Grupka odjeżdżających zajęła już miejsca, kierowca wnosił rzeczy. Jeszcze tylko na kogoś czekano. Po chwili ukazał się Jacek, niosąc w ręku torbę i maszynę do pisania, a w drugim tekturowe pudełko. Szedł powoli, wpatrzony z uwagą w dziurkowane wieczko, i ostrożnie postawił nogę na stopniu. Po czym zobaczyłem go z profilu, siedzącego za szybą. Pudełko musiał trzymać na kolanach, co można było odgadnąć po nachyleniu głowy, pełnym skupionego namysłu. Pewnie się zastanawiał, czy dopływ powietrza jest wystarczający.

Autobusik ruszył. Gdy zniknął za bramą i nie było już go słyhać, w korytarzu rozległy się okrzyki, wybiegła pokojówka. Pan Bocheński zapomniał walizki! Nie wziął jej ze sobą, została w pokoju.

lutu

Z powrotem w Warszawie. Żadnych nowych wydarzeń, mówi się tylko o śniegu, sople zlatują na chodniki. Na Pivnej sople zabił psa. Tysiące ludzi odgar-

nia śnieg i to już nie jest 'czyn obywatelski', zarządzono obowiązkową mobilizację pracowników. Wciąż za mało pługów i wywrotek. Gromady studentów, uczniów, instytucje i ministerstwa odkopują łopatami śnieg. Rynek przywalony na metr, spod śniegu wystają tylko dwie czarne studzienki.

Po powrocie przeglądałem maszynopis, skreślając tu i owdzie powtarzające się słowa. Pewne fragmenty wydały mi się nudne, zwłaszcza te, których pisanie mnie nudziło. Tak jest zawsze. I potem takie fragmenty nudzą czytelników. A nie mam dosyć starowroźca, żeby je usunąć. Jakoś mi ich szkoda - ich, albo godzin nad nimi spędzonych. Zazwyczaj te stroniczki wykreśla się czasami po wielu miesiącach, i wtedy mniej się ich żałuje, same odpadają. Ale to o czymś świadczy. Chyba o tym, że wszystkie te godziny były niepotrzebne. Że niepotrzebny był czas, jaki im poświęciłem. Inaczej mówiąc: że ja byłem wtedy niepotrzebny. I to jest bardzo przykra myśl.

Inna myśl: właściwie dla kogo piszę, kto zechce mnie czytać za ileś tam lat... Podobne myśli czasem gryzą i szarpiają jak bestie. Co prawda w trakcie pisania znikają, przez dwie, trzy godziny ich nie ma, ale zaraz trzeba je znów od siebie odpędzać. Bieżawę, że dwadzieścia lat temu dobierały się do mnie łatwiej niż dzisiaj, wydaje mi się, że od jakiegoś czasu potrafię je tresować. Z wiekiem bez szczególnego wysiłku można się stać uciążliwym pogromcą swoich zwierząt i odwracać się do nich plecami. W 'Dzienniku' Julien Greena znalazłem kiedyś notatkę stwierdzającą, mniej więcej to samo w innych słowach: 'Po przekroczeniu pewnego wieku życie staje się podobne do schodów, z których zstępuje się tyłem. Tyłem, żeby nie patrzeć w dół'.

Wczoraj u Kijowskich mówiło się o trudnościach w dziedzinie papierniczej, tak daleko posuniętych, że podobno niektóre pisma mają się ukazywać rzadziej, a książki w nakładach kilkakrotnie mniejszych. Dochodzą do tego fakty sygnalizowane przez filmowców: brak taśmy kolorowej, zła technika kopii, manipulacje ograniczające rozpowszechnianie co wartościowszych filmów. Uprzytomniłem sobie, że przysłuchuję się rozmowie dosyć obojętnie, jak gdyby mnie nie dotyczyła. W gruncie rzeczy piszę dla jednego czytelnika i w jednym egzemplarzu, wszystko ponad tę liczbę przyjmuję jak szczęśliwe zdarzenie, którego nie zakładam z góry. Jedynym pewnym czytelnikiem jest M., której wystarczy moja ustna lektura z rękopisu. Może to absurdalne, a przecież wcale nie-

dalekie od prawdy. Szansa na publikację moich książek staje się coraz bardziej wątpliwa, przez co widocznie maleje we mnie jej potrzeba. Piętnaście czy dwadzieścia lat temu nie potrafiłbym sobie wyobrazić, że w podobnych okolicznościach będę mógł żyć i pracować. A już najmniej oczekiwane jest to, że ogółem biorąc - moje życie niewiele się wskutek tych okoliczności zmieniło. Często wspominam opowiadanie P... /Lukullusa/ o jego rozmowie z Achmatową, która w ostatnich latach swego życia darzyła go przyjaźnią. Kiedy pewnego razu uskarżał się przed nią na swoje ciężkie położenie /objął go zakaz druku/, Achmatowa mu przerwała: - Grozi panu aresztowanie? - P... zaprzeczył. - Wyrzucają pana ze Związku? - P... znowu zaprzeczył. - Więc o có panu chodzi? - P... twierdzi, że była do głębi zdziwiona.

Takie są 'ruskie pocieszenia'. W porównaniu z rosyjskim łożem nic nie powinno wydawać się straszne. Dzieje się jednak inaczej. Rosyjski łoż nie jest wpisany w naszą świadomość, jest dla nas czymś obcym, nie pozuwamy się do niego - do żadnych pokrewieństw ani odpowiedzialności. Cięży nad nami, lecz nie jest naszym dziedzictwem. Zawsze to czułem w rosyjskiej literaturze. Bałem się jej. Do dziś boję się niektórych opowiadań Gogola i całego Sałtyków-Szczedriny. Wolałbym nie znać ich świata, nie wiedzieć, że istnieje. Trzeba być Francuzem, by czuć się wobec tej literatury bezpiecznym. Czytając Dostojewskiego muszę sobie powtarzać, że wyjdę cało z tej choroby, że się jakoś wymknę; bo dać się jej ogarnąć i ulec byłoby równoznaczne z duchową kazią, na którą nie starczy mi pokory.

A przy tym ich literatura przysuwa się do nas, staje się niepokojąco bliska. Zaczynamy nią myśleć, widzieć w niej sceny i sytuacje z własnego życia. W poniedziałkowym teatrze telewizyjnym pokazano przeróbkę 'Płaszcz' Gogola. Dłużej niż kwadrans nie mogłem oglądać. W tym przemienieniu duszyczek Gogola, dłużej niż kwadrans nie mogłem oglądać. W tym przemienieniu duszyczek Gogola, dłużej niż kwadrans nie mogłem oglądać. W tym przemienieniu duszyczek Gogola, dłużej niż kwadrans nie mogłem oglądać. W tym przemienieniu duszyczek Gogola, dłużej niż kwadrans nie mogłem oglądać.

szły się dystansować nimi a nami; to, co przedtem było dla nas pojęciem, myśla o Rosji, teraz staje się naszym własnym ciążem. Bodaj czy nie Hercén porównał gdzieś Rosję do posiniaczonej baby, obitej kijami i leżącej u stóp Mikołaja. Takie porównania dobrze się pamięta. Na ogół dopiero zima przypomina Warszawie, że jest w zachodnim mieście. Tym razem cofnęła ją w ubiegły wiek. Ludzie stojący godzinę w brudnym, zdeptanym śniegu na przystanku wydają jak zbite wiejskie baby.

Istnieje wyobraźnia północna, jak istnieje południowa. Ta ze słońca i wina, tamta z wódki i ze śniegu. Jak słońce fermentuje w mózgu jakiegoś Tarytarina, tak wódka w mózgu Prochorowa. Boy pisał to niemal przed pół wiekiem w recenzji ze sztuki Katajewa.

Śnieg i wódka... Dodać jeszcze egonki w sklepach i topogłowych urzędników. Skąd my to znamy? Czy tylko z rosyjskiej literatury? Ale nie, to dziejsza polska rzeczywistość coraz natężsiej przywodzi na myśl rosyjską literaturę. Rosja przenika dziś do nas innymi drogami niż sto pięćdziesiąt i trzy dzieści pięć lat temu. Przez wódkę, przez deprawację i zapowinictwo, niekoniecznie jak dawniej pasylnych rustyfikatorów w mundurach. Co tam Gogol! Na Żoliborzu rozgrywają się sceny z "Biesów". Opowiadano mi o najściu na Łatający Uniwersytet w mieszkaniu Kuroniów. Miał się rozpocząć wykład, kiedy w targnęła kilkudziesięciosobowa banda, podająca się za "dyskutantów". Wykład został przerwany. Wataha zaczęła się rozbić po pokojach wrzeszcząc, kłócąc się i awanturując. Najwyraźniej chodziło o wywołanie bójkki. Prowie w każdej powieści Dostojewskiego pojawia się taka "dyskutująca" banda i wtedy zawsze cuchnie prowokacją. Dostojewski jest mistrzem, a mistrze w opisywaniu ówch scen. dąży do nich, jak gdyby wiedząc, że dopiero w tych momentach strzała jego geniuszu osiągnie najwyższy i najcelniejszy lot /czy to jest fortuna przenośnia: "strzała geniuszu"?.. /

Odkąd podobne sceny znamy z życia? W przybliżeniu od dziesięciu lat. Wiosną 1968 zapisałem w notatkach: "rewolucja szmalców kierowana przez ministra policji." Znamienne, że przesunął mi się termin z lat okupacji niemieckiej. Nie przypadkowo. Zimą 1940 widziałem bojówkę chuliganów idącą przez Marszałkowską, pod wodzą kobiety w długim męskim płaszczu i berecie /było to w krótko po zarządzeniu o żydowskich opaskach/, bandę, która rzucała się z wyściem na każdego przechodnia z opaską, bijąc go po twarzy, a nieraz masakrując do krwi. Kobietę później zastrzelono, była pijeczką i konfidentką granatowej policji. To się działo, mówię, za okupacji niemieckiej - od razu jednak przyszło mi na myśl słowo "pogrom" i chyba wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, jak się robiło pogromy w Rosji, jak się w ogóle je robi. Robi się łatwo. Ludność nie musi uczestniczyć, wystarczy gromada najętych łobuzów. Po marcu 68 milicjanci w Warszawie urządzali poranne odprawy lotne na skwerkach z grupami schuliganionych wyrostków, którzy zaraz szli stamtąd pod wskazane adresy. To nie były pogromy, chodziło raczej o terror psychiczny, o wypłoszenie żydów z Polski. Ludność także nie brała w tym udziału. Po latach wieszko mi się mieśca i słysząc dziś o najściu a k t y w u na czyjeś mieszkanie lub o ulicznym pobiciu studenta przez nieznanych osobników, kiedy władze porządkowe znikają i dziwnym trafem nie ma w pobliżu ani jednego stróża bezpieczeństwa, na wiadomość o podobnych bądź jeszcze groźniejszych faktach - nieodmiennie ta sama myśl: szmalcownicy, pogrom, Rosja, okupacja.

Dni, gdy człowiek budzi się rano bez światła nadziei, są ciężkie. Trzeba je przebiedować, ukłepać słowami albo czynnościami. Co dzisiaj w Polsce daje ludziom nadzieję? lub skromniej mówiąc: co ich zaciekawia? Zastanawiałem się nad tym. Naturalnie, sprawy wiecznie ludzkie, takie jak miłość do kobiety, wychowanie dzieci, no i, powiedzmy, wyniki pracy, nauki etc. Cóż dalej? Dalej perspektywa się spłaszcza. Miłość, wychowanie, praca - wszystko natrafia w myślac na bezskoneczną, szarą równinę, wszystko ucięte i zakreślone bliskim horyzontem, poza którym nic już nie świeci. Ale przyjmijmy, że życie jest takie, załóżmy i tę możliwość: że wszelkie blaski życia są jedynie naszymi złudzeniami, a prawda rzeczywista ze złudzeń odziera. Co wtedy? Z czym się wówczas człowiek budzi, czego jest jeszcze ciekawy?

Porannej gazety. Wiadomości, że n-a świecie zdarzyło się coś, co przemieni życie i wskrzesi nadzieję...

Poezji, filozofii, sztuki. Wytłumaczenia, opowiedzenia losu przez czyjąś wyobraźnię lub myśl, wyższą, głębszą niż przeciętna miara doświadczeń...

Szczęśliwego przypadku, nieoczekiwanych przygód, jutra, nadchodzącego tygodnia...

Dalej nie sięgam, dalej rozciąga się sfera przeżyć religijnych, wiary w odkupienie i zbawienie - ja mówię tu o ludzkiej nadziei doczesnej, czyli o ciekawości życia. Po namyśle dochodzę do wniosku, że naszej obecnej egzystencji brak wszelkich podnieć do zaciekawienia bytem, ponieważ takie podnieć wymagają nader złożonej, bogatej, a przede wszystkim naturalnej społecznej fizjologii, dopuszczającej wyobraźnię i myśl, otwartej na sztukę, politykę, informację, wytwarzającej i wchłaniającej treści dla organizmu - codziennie, bezustannie i wciąż od nowa. Tę naturalną fizjologię życia u nas zmieniono na szkielet, przez co my sami robimy się szkieletowaci. Rano budzę się wśród mglistych ni to doznań, ni to rozpamiętywań. Jakich, o czym? Trudno by je określić, lecz z nadzieją niewiele mają wspólnego. Czasami chodzi o następne zdanie pisanego tekstu, kiedy indziej o jakieś kłopoty, przykrości, a zdarza się też w półśnie, że myślę o Papiężu, o Chinach... Albo o Stanisławie Augustcie. Rozmaicie. W każdym razie nic ze smaków życia nie kusi mnie do zerwania się z łózka. Ani poranna gazeta, ani świeża, chrupiąca bułeczka. A przy tym nie mam żadnych racji czuć się patetycznie lub biadolić i litować się nad sobą. Innym nie wstaje się łżej, jeszcze inni miewają się gorzej. Ale budzi- my się podobnie: z mętym poczuciem, że nic nas nie czeka, Czterdzieści i Cztery? Apokalipsa? Duchy? Jest w tym, powiadam, coś trupiego, widmowego.

I może to także oznacza bliskość Rosjan.

Hans Magnus Enzensberger

W I E R S Z E

Rondo

Mówić jest lekko.

Ale słów nie można jest.

Więc piekę chleb.

Chleb piecze się ciężko.

Będę więc piekarzem.

Ale w chlebie nie można mieszkać.

Więc buduję dom.

Domy buduje się ciężko.

Będę więc murarzem.

Ale nie można wnieść domu na górę.

Więc przenoszę górę.

Góry przenosi się ciężko.

Będę więc rozmyślać.

Ale myśli nie można usłyszeć.

Więc mówię.

Mówić jest ciężko.

Będę więc tym, czym ty.

Więc mamrocę nadal przed tobą,
bezpżyteczne stworzenie.

Pozornie zmarli

Pozornie zmarli czekają przed biurami karteli,
czekają bezsilnie, dymiąc z obu płuc
przed urzędami miar i wag, i urzędami zatrudnienia.
Ich blade wciwaty wioną
naprzeciwko wielu zakratowanych okienek.

Jakże oni uginają karki! Jakże
są weseli i dzielni! Jak żwawo
wychodzą z ich rąk karty zegarowe,
zaswiadczenia spowiedzi i czeki! I aktówkach,
noszą swoje zgolone włosy
a w swych obu pięczochach
zaoszczędził każdy po dziesięć palców u nóg.

A w dodatku jeszcze jedzą, odkrawając
swymi dziesięcioma pozornie palcami mięso
od kośćca martwych zwierząt, i nocą,
kiedy okienka są pozamykane,
żeby usmierzyć to, co pomiędzy ich nogami
żali się i krzyczy, mnożą się
i płodzą pozornie zmarłych świadków.

i zgłaszają ich rano, dymiąc
z bezsilnych ust, przed urzędnikami meldunkowymi,
ażeby ich nie pogrzebano.

Któż jednak im rozdaje pocałunki i jabłka?
Któż ich budzi, kto rzeczywiście im daje
nieśmiertelniki, kto odgrzebuje znad ich piersi
góry gęstego dymu, kto ich odwija
z gazet, ich jedzące usta soli
odwagą, kto wy...czesuje popiół z ich włosów,
kto obmywa trwogę z ich bezbronnych oczu,
kto obdarowuje, rozwiązuje, odczarowuje, namaszcza i budzi
pozornie zmarłych z martwych
i kto ich rozgrzesza?

Czekają przed okienkami bankowymi, osnieżeni
gazetami i wyborczymi kartkami, czekają
pod gołym niebem, które jak w podmiejskim kinie
czasem się rozjaśnia, czasem ściemnia,
jak między kroniką a filmem głównym,
pomiędzy polem bitwy a kostnicą,
czekają przed wydziałami zgonów, czekają
pozornie zmarli na swe akty zgonu,
dymiąc z dzielnych, bezbarwnych płuc,
brną w swych zmętniałych wiwatach
i czekają, umarli, na zgon.

Kongres Pokoju

Ląduje samolot ze stu kłamcami na pokładzie.
Miasto wita ich garścią kwiatów,
wonią nafty i potu,
wiatrem z równin azji.

W blasku jupiterów kłamcy przemawiają
pięćdziesięcioma językami: jesteście przeciwko wojnie.
W milczeniu przyznają im rację.
Ci kłamcy mówią prawdę, ale
po co im aż pięćdziesiąt godzin
na to jedno jedyne zdanie?

Kiedy odjeżdżają, kwiaty są już szare.
W popielniczkach przelewa się
od solidarnych petów,
niezłomnych końcówek cygar
i niezwykniętych niedopałków papierosów.
W spluwaczkach pływa pokój.

W tym samym czasie prawdomówni w blasku jupiterów
w Białym Domu głoszą
drugą prawdę: wojna trwa.
Tylko kłamcy są niezłomni.

W Białym Domu kwiaty są świeże,
spluwaczki wydenzyfikowane
a popielniczki czyste jak bomby.

Poryw wiatru przeciąga nad miastem,
wiatru z równin azji. Tak rzezi
duszona kobieta, kiedy walczy o życie.

Zwiedzanie miasta

Po tamtej stronie przykucnął czyszciciel butów
któremu żadne buty nie są już potrzebne
ponieważ jego nogi zgniły
jakiś czas temu daleko na Wschodzie.

To jest dym z tkaniny.

Ta kawiarnia była wcześniej zupełnie czarna
od domokracjów i biednych poetów
szpicle jak komary przesiadywali w niej
pijąc z małych filiżanek krew.

Tutaj są łatwo przystępne dziewczęta
za trudno dostępne dewizy
zerwano bruk
a tam stały wtedy czołgi.

Tam latem codziennie
cesarz wyjeżdżał na przejażdżkę
Aleją Mlejskiego Lasku, dzisiaj Górkiego
a to jest Komitet Centralny.

To jest dym z rzeźni.

Tu urodził się mój przyjaciel Szandor
przed drugą wojną światową
na półpiętrze
gdzie i dniem i nocą było ciemno.

Widzisz ten dym?

Ten most był zupełnie zniszczony.
Tu bogaci poeci piją herbatę
urągając po cichu
a tam buduje się nowe-go Hiltona.

Na tej chwiejnej ławce w parku
przesiaduje czasem jakiś stary człowiek
który niekiedy mówi prawdę
dzisiaj go nie ma.

Ale ten dym. Widzisz ten dym

ten stary dym nad Budapesztem?

Portret pewnego rencisty

Za daczą, pod kwitnącą jabłonią
huśta się w swoim plecionym foteliku
Wiaczesław Michajłowicz Mołotow.

Jego żelazny zegar już także nie jest taki
jak niegdyś. Tylko temperówka, zawieszona
u bransoletki zegarka przypomina o słonecznych latach

w Biurze Politycznym. Zdrzemnął się. I jego snach
mieszają się zadania domowe z wyrokami śmierci.

Był zawsze dobrym uczniem. Ale jego angielski już szwankuje. Na przykład c o c k t a i l : obce słowo. W jego niedosłyszających uszach nie grzmiały żadne wybuchy. On znów słyszy etiudy,

które swojego czasu grał w Kukarce,
obwód Nolinck, anno tysiąc dziewięćset trzy,
'pełen wyrazu i przepojony szlachetnymi uczuciami',

/Przypis autora. Ostatnia linijka jest cytatem z 'autoryzowanej biografii' Mołotowa, zawartej w : Dziejateli SSSR i Oktiabrsko Rewolucii. Encyklopedycznej słownik ruskiego biograficznego instytutu Granat. Moskwa 1927-1929./

O trudnościach duchowego przekształcenia.

Wręcz są doskonałe
wszystkie te wielkie plany;
złoty wiek
królestwo Boże na ziemi
obumarcie państwa.
Na wskroś przekonywające.

Gdyby tylko nie było ludzi!
Zawsze i wszędzie przeszkadzają ludzie.
Wszystko stawiają na głowie.

Kiedy chodzi o wyzwolenie ludzkości
idą do fryzjera.
Zamiast z zachwytem podreptać za pierwszą strażą
mówią: teraz przydałoby się pójść na piwo.
Zamiast o słuszną sprawę
walczyć z żyłakami i odrą.
W decydującej chwili
szukają akurat skrzynki pocztowej lub łóżka.
Tuż przed nowym tysiącleciem
wygotowują we wrzątka pieluchy.

Wszystko rozbija się właśnie o ludzi.
Nie można z nimi budować żadnego państwa.
Worek pełen jest niczym w porównaniu z nimi.

Drobnomieszczańskie wątpliwości!
Idioci konsumpcji!
Przeżytki przeszłości!

Nie można ich jednak wszystkich wybić!
Nie można ich całymi dniami przekonywać!

O tak, gdyby nie było ludzi
Wtedy ta sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.
Tak, gdyby nie ludzie
Wtedy poszłoby to raz dwa.
Tak, gdyby nie było ludzi,
to wtedy!
/Wtedy i ja nie chciałbym tu przeszkadzać/

Przełożył Ryszard Krynicki

Czesław Miłosz

SZESTOWA ALBO CZYSTOŚĆ ROZPACZY

Była raz młoda kobieta imieniem Sorana, nazwiskiem Gurian. W latach 1950-tych wyemigrowała ze swojego rodzinnego kraju, Rumunii, po przegwydzeniu przeszkód, o których, jak uważała, im mniej się powie, tym lepiej. Życie ułohódzce w Paryżu nie przyczyniało jej większych kłopotów. A nawet z całej tej grupy studentów, początkujących literatów i artystów, wśród których się obracała, ona właśnie wy-biła się pierwszą; dobry wydawca, Juillard, zakupił jej pierwszą powieść i wkrótce pottym następną. Aż nagle /jakże inaczej mogłoby się było to stać niż nagle?/ dowiedziała się, że jest chora na raka piersi. Nastąpiły operacje, pierwsza, druga. Chociaż wypadki wydrówienia są rzadkie, jednak się zdarzają i po drugie i operacji lekarze byli optymistyczni. Na ile Sorana im ufała, nie wiem. W każdym razie jedna bitwa zakończyła się zwycięstwem. Jako pisarka czuła potrzebę, żeby pisać o tym, co jej najbliższej dotyczyło, toteż napisała książkę o swojej chorobie, wierne sprzwozdanie ze swojej codziennej walki z rozpaczą. Książka ta, *Le Recit d'un combat*, została wydana przez Juillarda w 1956 roku. Poprawa jednak trwała rok czy niespełna dwa.

Poznałem Soranę na krótko przed jej śmiercią. Za pośrednictwem naszych wspólnych przyjaciół prosiła mnie, żebym ją odwiedził. Kiedy przyszedłem do jej pokoju w studenckim hoteliku na Lewym Brzegu, miała już prawie stale gorączkę i całe dnie spędzała w łóżku. Pokazała mi książki na swoim nocnym stoliku; były to dzieła Szestowa we francuskim przekładzie. Mówiła o nich z tą wstydliwą żarliwością, z jaką mówimy o tym, co dla nas najdroższe. "Czytaj Szestowa, Miłosz, czytaj Szestowa!"

Imię Sorany Gurian nie będzie zachowane w kronikach ludzkości. Jeżeli opowiadam tutaj o niej, to dlatego, że nie mogę sobie wyobrazić bardziej stosownego wstępu do kilku refleksji o Szestowie.

Lew Szestow /pseudonim Lwa Izaaka Szwarmana/ urodził się w Kijowie w r. 1866. Na przełomie stuleci był więc człowiekiem dojrzałym, autorem dysertacji doktorskiej w zakresie prawa, która nie przyniosła mu doktorskiego stopnia, ponieważ zdaniem komisji zańadto była naznaczona rewolucyjnym marksizmem, jak też rozprawy krytycznej /Szekspir i jego kritik Brandes/. Książka jego *Dobro w uczeniu Tokstogo i Nietzsche - filozofia i propowied* /*Dobro w nauce hrabiego Tokłstoja i Nitzschego - filozofia i kaznodziejstwo*/ ukazała się w r. 1900. W tym samym roku zadzierzguje się przyjaźń pomiędzy nim i Mikołajem Bierdiajewem, mająca trwać całe życie, przyjaźń gorąca mimo zasadniczych sporów, które często kończyły się gniewnymi wrzaskami. Przyjaźń z Bierdiajewem i Sergiuszem Bułgakowem pozwala nam umieścić Szestowa wśród tych rosyjskich myślicieli, którzy około r. 1900 odkryli zagadkową treść metafizyczną w problemach społecznych, uważanych przez nich we wczesnej młodości za najważniejsze. Kształtowanie się filozofii Szestowa można śledzić w kolejnych tomach esejów i not, wydanych przed r. 1917. Jego dzieła zebrane /1911/ figurują w katalogach większych amerykańskich bibliotek. Trudno orzec, jakie były losy tych jego pism w Rosji i czy sens ich jest dostępny nowym pokoleniom. W każdym razie Szestow zdołał nadać swojej myśli pełny wyraz dopiero, wydaje mi się, w swoich książkach wydanych za granicą, po opuszczeniu Rosji w r. 1919 i osiedleniu się w Paryżu, gdzie mieszkał do śmierci /umarł w r. 1938/. Są to: *Włast'kluczej: Potestas Clavium /Władza kluczy/*, 1923; *Na wiesach Jowa /Na szlakach Hioba/*, 1929; tomy, które ukazały się najpierw w przekładzie, a więc *Kierkegaard et la philosophie existentielle*, 1938 /rosyjskie wydanie 1939/; *athènes et Jerusalem: un essai de philosophie religieuse*, 1938 /rosyjskie wydanie 1951/; wreszcie tomy wydane pottmiertnie - *Tylko wieroj: Soła Fide /Tylko wiarę/*, 1966, i *Umozrzenie i otkrowienie religioznaja filozofia Władimira Sokowjowa-*

i drugie statii /Rozumowanie i objawienie/, 1964 1/.

Szestowa tłumaczono na wiele języków. Nie zdobył jednak za życia ani części tej sławy, jakiej zaznał jego przyjaciel Bieriediajew. Pozostał pisarzem dla niewielu i jeżeli za uczniów będziemy uważać tych, którzy 'siedzą u stóp mistrza', miał tylko jednego ucznia, francuskiego poetę Benjaminę Fondane, z pochodzenia rumuńskiego Żyda, zamordowanego później przez Niemców. Ale Szestow wywierał niemały wpływ na literaturę europejską, sięgający o wiele głębiej, niż możnaby było sądzić po liczbie sprzedanych egzemplarzy jego dzieł. Jakkolwiek dyskusje o egzystencjalizmie głośnie w Paryżu lat czterdziestych wydają się nam dzisiaj nieco zwietrzałe, następstwa ich były poważne. W Miście Syzyfa, młodzieńczej i niezbyt dobrej książce, choć bardzo typowej dla tamtego okresu, Albert Camus wymienia filozofów najważniejszych dla nowego człowieka absurdu; są to: Kierkegaard, Szestow, Heidegger, Jaspers i Husserl. Na razie powiedzmy jedynie tyle, że jakkolwiek Szestowa nieraz porównywano z Kierkegaardem, odkrył on duńskiego pisarza pod koniec życia, a jego osobista przyjaźń z Husserlem polegała na przeciwnieństwie filozoficznych postaw, co nie przeszkadzało mu nazywać Husserla swoim drugim nauczycielem, po Dostojewskim.

Nie mam zamiaru utrzymywać, że przeczytałem Szestowa. Kiedy nas pytają, czy czytaliśmy Pascala, odpowiedź zawsze musi być negatywna, niezależnie od tego, ile razy pochyłaliśmy się nad jego stronicami. W wypadku Szestowa pojawiają się jednak również przeszkody inne niż gęstość tekstu. Dzieło jego jest właściwie, jak to powiedział Camus, 'godna podziwu monotonia'. Szestow raz po raz atakuje ten sam temat i przyzwyczajamy się oczekiwać, że pojawi się on w każdym jego eseju; wiemy również, że kiedy ten temat się pojawi, głos autora nabierze sarkastycznych tonów, które będą towarzyszyć jego wywodom aż do znanej z góry konkluzji. Szestow przemawia wtedy jak kapłan, gniewny, bo zobaczył profanację świętych naczyń. Przekonany, że nie zyska poklasku i że jego myśl wydana się współczesnym dziwaczna, nie robi nic, żeby czytelnika ułagodzić, a drażni go głównie tym, co Lévy-Bruhl w polemice z nim określił jako 'przeciąganie koldry na swoją stronę'. Zarzucano nieraz Szestowowi, że znajduje w Szekspirze, w Dostojewskim i Nietzsche rzeczy, których tam w ogóle nie ma i że zbyt dowolnie interpretuje poglądy swoich antagonistów /licznych, skoro są nimi prawie wszyscy filozofowie ostatnich trzech tysięcy lat/. Na te zarzuty odpowiadał śmiechem; nie uważa siebie aż za takiego geniusza, zwykł był mawiać, żeby udało mu się stworzyć na nowo tak wielu geniuszy. A przecież zarzuty nie były bez podstaw.

Wiedział, że nie będzie zrozumiany, ale też prawdopodobnie nie chciał przemawiać zbyt jasno. Trudność przy jego pisanju nie polega na jakichkolwiek podstępach i unikach z jego strony, nie mamy tu też do czynienia z wielowarstwową ironią albo aforystycznym skrótami. Przeprowadza zawsze logiczny wywód w dośkonale wyważonych zdaniach, zwłaszcza w rosyjskim oryginale, podbijając czytelnika swoim wzgardliwym wigorem. Szestow jest zapewne jednym z najbardziej czytelnych filozofów-eseistów w naszym stuleciu. Trudność nie jest bez związku z jego metodą: nie zgadzał się z tymi, którzy poglądy danego człowieka chcieli traktować w oderwaniu do jego osobistej tragedii - którzy na przykład pomijali seksualną impotencję u Kierkegarda albo nieuleczalną chorobę u Nietzchego. Podejrzewam, że również Szestow miał swój dramat, a był nim brak talentu, żeby zostać poetą, tj. zbliżyć się do tajemnicy istnienia inaczej niż za pomocą samych pojęć. I chociaż nie miśza gatunków ani nie uprawia 'prozy poetyckiej', czujemy, że w pewnym momencie milknie i pozostawia wiele niedopowiedzeń, ponieważ przekroczył granicę wyrażalnego. Dlatego też w swojej obronie cytuje niekiedy Pascala: 'Qu'un ne nous reproche donc plus la monque de clarté, puisque nous en faisons profession'. - Niechże więc nam nie zarzucają braku jasności, skoro jest to u nas zamierzone.

Gdybyśmy łączyli nazwisko Szestowa z przejściową modą egzystencjalizmu, pomniejszylibyśmy tym samym jego format. Pośród pisarzy wszystkich czasów

1/ Prawie wszystkie książki Szestowa wydano w Ameryce po angielsku. Istnieje też A Shestov anthology, ed. Bernard Martin, Ohio University Press, 1970.

niewiele umiało z taką jak on odwagą, a nawet bezczelnością, zadawać pytania dziecka, zawsze zdolne wpędzać filozofów w panikę. Z tego też powodu takie pytania owijano w przedzę wysoce technicznych terminów i neutralizowano przez zamknięcie w kokonie składni. Społeczną funkcją języka jest ostatecznie tyleż ochrona, co komunikowanie. Być może Szestow jest przykładem korzyści, jakie daje rosyjskie kulturalne 'opóźnienie': żadnej scholastycznej teologii i filozofii w przeszłości, mało filozofii uniwersyteckich katedr, natomiast mnóstwo ludzi filozofujących, i to namiętnie, na własny sposób. Szestow jest człowiekiem wykształconym, ale nie przeszedł przez grzeczną zaprawę, w jakiej specjalizowały się uniwersytety zachodnio-europejskie i niewiele go obchodzi, czy kiedy mówi o Platonie i Arystotelesie nie gwałci czasem prawideł - czyli nie starał się być 'przyzwoity'. Właśnie dzięki tej swobodzie jego myśl stała się darem dla osób, które znalazły się w sytuacjach rozpędzonych i wiedziały, że kokony składni na nic się już im nie przydadzą. Sorana Gurian była przecie agnostyczką, właściwie już poza jakąkolwiek religijną tradycją, nie była też filozofem w technicznym sensie tego słowa. Kogóż miała czytać? Tomasza z Akwinu? Hegla? Traktaty z logiki matematycznej? Albo może po prostu rozwiązywać krzyżówki?

Czego istota, która nazywa siebie 'ja', chce dla siebie? Chce być. Drobizg! Tylko tyle? Już w dzieciństwie zaczyna się jednak przekonywać, że może wygórowane to żądanie. Przedmioty zachowują się tak, jak mają w zwyczaju i wykazują brak zainteresowania naszym ogromnie ważnym 'ja'. Ściana jest twarzą i kiedy uderzamy się o nią, czujemy ból, ogień parzy nam palce, szklanka upuszczona na podłogę rozbija się na kawałki. Tak zaczynamy się uczyć szanować siłę tego, co znajduje się 'na zewnątrz', pozostającą w kontraście do kruchości naszego 'ja'. Co więcej, również nasze 'wewnątrz' stopniowo traci swoje, jemu jedynie właściwe, cechy. Impulsy, pragnienia, namiętności zdają się być nie różne od tych, jakie przeżywają inne okazy ludzkiego gatunku. Bez przesady rzecz można, że 'ja' traci swoje ciało: w lustrze widzi istotę, która urodziła się, dorasta, jest poddana niszczącej mocy czasu i musi umrzeć. Jeżeli doktor powie, że umieram na jakąś chorobę, jestem jedynie 'wypadkiem', to jest zdarzyło się, że wobec statystycznej prawidłowości takich 'wypadków' rejestrowanych co roku, znalazłem się w ich liczbie.

'Ja' musi uznać, że stoi wobec świata, który podlega swoim prawom, któremu na imię Konieczność. To właśnie według Szestowa znajdujemy u podstaw tradycyjnej filozofii, najpierw filozofii greckiej, następnie wszelkiej filozofii idącej w jej ślady. Jedynie to, co konieczne, ogólne i zawsze obowiązujące, będzie godne uwagi i refleksji. Cokolwiek zdarza się raz, cokolwiek jest poszczególne i chwilowe, rozbija wielką jedność - tak uczył już Anaximander. Późniejsi greccy myśliciele wysławiali tę wszystko obejmującą Jedność i przedstawiali indywidualne istnienie jako rysę na doskonale gładkiej powierzchni Jednego, skazę, za którą indywiduum musi zapłacić śmiercią. Z punktu widzenia Szestowa zarówno grecka nauka jak i moralność obrały tę samą drogę: suma kątów w trójkącie równa się dwóm kątom prostym; ogólna, wieczna prawda rządzi z wysoka tłumem rozających się i umierających śmiertelnych - tak jak wieczne dobro nie zmienia się, czy istnieje, czy nie istnieje jakiś żyjący człowiek, który do niego tęskni.

'Ja' poddaje się inwazji Konieczności również od wewnątrz, ale zawsze odzuwa ją jako siłę obcą. Tym niemniej 'ja' musi przyjąć niewzruszony porządek świata. Mądrość wieków polega właśnie na doradzaniu zgody i rezygnacji. W prostym języku: 'Grin and bear it' - Znoś to jakby nigdy nic; w bardziej wyszukany: 'Fata volentem ducunt, nolentem trahunt' - Losy chętnych prowadzą, opornych wloką. Stoicyzm, którego samą esencją stanowi ujarzwienie hańbiących pretensji do indywidualnego istnienia w imię powszechnego porządku /albo, jeżeli kto woli, Natury/, był ostatnim słowem grecko-rzymskiej cywilizacji. I stoicyzm, twierdzi Szestow, przetrwał w różnych przebraniach do dziś.

Szestow po prostu odmawia takiej gry w szachy i przewraca stolik jednym kopnięciem. Bo dlaczego 'ja' powinno skłonić się przed 'mądrością' najoczywściej pogwałcającą jego najśilniejsze pragnienie? Dlaczego mamy szanować 'niewzruszone prawa'? Skąd ta pewność, że co rzekomo jest niemożliwe, napraw-

de jest niemożliwe? I czy filozofia zajmująca się ho anthropos, człowiekiem w ogóle, przydaje się na coś tam, gdzie pojawia się tis anthropos, ten jeden człowiek obdarzony jednym życiem w czasie i przestrzeni? Czy nie ma czegoś ohydniejszego w radzie, jakiej Spinoza udziela filozofom: *Non ridere, non lugere, neque detestari, sed intelligere*. - Nie śmiać się, nie płakać, nie nienawidzić, ale zrozumieć? Przeciwnie, mówi Szestow, człowiek powinien krzyczeć, wrzeszczeć, śmiać się, szydzić, protestować. W Biblii Hiob jęczał i wrzeszczał, ku oburzeniu swoich mądrych przyjaciół.

Szestow (nie pierwszy, sugerował to już Rozanow) uważał, że najwybitniejszym dziełem Dostojewskiego były *Zapiski iz podpolja*, i że późniejsze wielkie powieści komentowały i próbowały rozwiązać zagadkę ułożoną w *Zapiskach*. Wyraził to zdanie w swoim eseju napisanym w r. 1921 na stulecie urodzin Dostojewskiego. Szestow twierdził, że prawdziwą krytykę czystego rozumu przeprowadził nie Kant ale Dostojewski, właśnie w *Zapiskach*. Wielbił filozoficzny geniusz Dostojewskiego bez zastrzeżeń - a zarazem przyjmował za prawdę niepochełbne dla pisarza plotki o jego prywatnym życiu, rozpowszechniane głównie przez Strachowa. Zgodnie też ze swoim założeniem widział w takich postaciach, jak człowiek spod podłogi, jak Swidrigajłow, Hipolit Tierientiew z *Idioty*, Stańwrogin i Iwan Karamazow prawdziwych wyrazicieli opinii Dostojewskiego, a nawet autoportrety; oraz odsuwał lekceważąco na bok starca Zosimę i Alioszę jako Łubok, czyli pobożne jarczmarszne drzeworyty. Dla Szestowa każdy spokój ducha był podejrzany, ponieważ ziemia, na której żyjemy, wcale do takiego spokoju nie powinna nas usposabiać. Lubił tylko tych, którzy jak Pascal, *cherchent en gemissant*, szukają z płaczem. Taki stosunek do Dostojewskiego powinien zyskać aprobatę tych krytyków, którzy sądzą, że *Zapiski* odślaniają wiele z tego, co konserwatywny publicysta i obrońca prawosławnej Cerkwi starał się w sobie zdławić. Zasadnicza natomiast różnica zachodzi pomiędzy Szestowem i tymi, którzy, uważając Dostojewskiego za humanistę, powołują się często na wizję ziemskiego raję /wzorem jej stał się dla niego obraz *Acis i Galatea* Claude Lorraina w galerii drezdeńskiej/ w jego późniejszych utworach. Wizja ta dowodzi, ich zdaniem, że młody fourierysta nadal żył w konserwatywnym autorze *Dziennika Pisarza*. Szestow nie zgadza się z tą humanistyczną interpretacją.

Narrator opowiadania Dostojewskiego *Sen śmiesznego człowieka* zwiędza we śnie, być może w stanie anamnezy, ludzkość żyjącą w Złotym Wieku, zanim utraciła niewinność i szczęście. Otóż według Szestowa opowieść o Edenie, przez swoją niesłychaną głębię i złożoność, świadczy o nadludzkim pochodzeniu całego Pisma Świętego. Interpretacje Upadku u teologów, a także te, ku którym skłania się wyobraźnia ludowa, wydawały mu się dziecinne w porównaniu z rozdziałem 2 i 3 Księgi Genezy. Intuicja pozwoliła Dostojewskiemu, sędzi Szestow, odgadnąć stan metafizyczny człowieka przed Upadkiem, nie chodziło więc bynajmniej o obraz szczęśliwego społeczeństwa na wzór Rousseau. Cytata z Dostojewskiego: *... wiedza ich była wyższa i głębsza, niż wiedza, jaką czerpiemy z naszej nauki; bo nasza nauka stara się wytłumaczyć, czym jest życie, i dąży do zrozumienia, po to, żeby u c z y ć i n n y c h jak ż y ć /podkreślenie moje, C.M./, podczas kiedy oni bez nauki wiedzieli, jak żyć. Zrozumiałem to, ale nie mogłem zrozumieć ich wiedzy. Pokazywali mi drzewa i mogłem zrozumieć wielką miłość, z jaką na drzewa patrzyli; jak gdyby rozmawiali z podobnymi sobie istotami. I, wście, nie myślę, że przesadzam mówiąc, że rozmawiali!* Szestow nie waha się nas zapewnić, że człowiek, zanim skosztował owocu Drzewa Wiedomości, miał wszechwiedzę i absolutną wolność. Czym był więc Upadek? Wyborem niższej władzy umysłowej z jej pasją do *distinguo i idel* ogólnych, z jej parami przeciwieństw: dobro - zło, prawda - nieprawda; możliwe - niemożliwe. Człowiek wyrzekł się wiary, aby zyskać wiedzę. Szestow wyjawia imię swego wroga: jest nim Rozum. Powiada nawet, że owoce z zakazanego drzewa mogłyby się równie dobrze nazywać sadami syntetycznymi a priori. I jeżeli Dostojewski jako autor *Zapisków z lochu* /tak niekiedy tłumaczy się ten tytuł na polski/ zajmuje tak centralne miejsce u Szestowa, to dlatego, że narrator tego utworu na równanie *dwadwa razy dwa równa się cztery* odpowiada krzykiem *'nie!* i chce *'czegoś innego'*.

Według Szestowa cywilizacja hellenistyczna nie mogła zaakceptować ani

Boga Starego Testamentu, ani Chrystusa Nowego Testamentu. Musiała dostosować skandaliczną poszczególną osobowego Boga do idei ogólnych ukształtowanych przez spekulację. 'Dobro jest Bogiem', 'Miłość jest Bogiem' - na takie określenia zhellenizowani mieszkańcy rzymskiego imperium mogli się zgodzić. Ale określenia te są absurdalne, mówi Szestow, ponieważ w nich abstrakcja jest postawiona nad żywym, co żywe. Przypomina nam z widoczną przyjemnością, że święty Augustyn nie znosił stoików, równie jak Dostojewski nie znosił liberałów; zarówno stoicy, jak i liberałowie zalecali moralność opartą na samowystarczalnym Rozumie.

Gnoza, kiedy wchłonęła pierwiastki chrześcijańskie, nie była niczym innym niż próbą oczyszczenia Pisma z jego 'kapryśności' i antyogólności utożsamionej z prawdą. Herezje Marcjona w początku drugiego wieku, o inspiracji gnostycznej, odrzuca całkowicie Jehowę Starego Testamentu jako złego Stwórcę, ponieważ jego niezrozumiałe zachowanie się obraża oświecony umysł. Ale podobną hellenizacja Pisma odbywa się i w średniowieczu. Kiedy scholastycy twierdzą, że Bóg stworzył świat robiąc użytek z pre-egzystujących praw Natury /dwa razy dwa równa się cztery, zasada niesprzeczności etc. jako wieczne zasady/ stawiali faktycznie konieczność /powszechne prawo/ ponad Bogiem Genezy. Oni to ułtowiali drogę umysłowości nowoczesnej, która powołała religię przed trybunał Rozumu. Nowoczesny umysł, twierdzi Szestow, jest całkowicie ujarzmiony przez formuły, jakie znalazły najpełniejszy wyraz u dwóch reprezentacyjnych myślicieli: Spinozy i Hegla. Ten ostatni powiedział: 'W filozofii religia znajduje swoje usprawiedliwienie. Myśl jest sędzią absolutnym, przed którym treść religii musi się wytłumaczyć i usprawiedliwić.' I choćby czytelnik nie podzielał wiary Szestowa w Ogród Edenu, powinien być świadomy stawki: zgłaszając swój sprzeciw, opowiada się po stronie wiedzy przeciwko wierze.

Szestow w sposób jak najbardziej radykalny i bezkompromisowy przeciwstawia Jeruzalem Atenom. Te nazwy oznaczają dla niego wiarę contra rozum, objawienie contra rozumowanie, szczególne contra ogólne, krzyk de profundis contra etyka /etyka, czyli jak powiada Iwan Karamazow, 'przeklęte dobro i zło'. Szestow nieraz cytuje Tertulliana: 'Crucifixus est Dei filius; non pudet, quia pudendum est. Et mortuus est Dei filius; prorsus credibile est, quia ineptum est. Et sepultus resurrexit; certum est, quia impossibile est' - 'Syn Boży został ukrzyżowany; nie zawstydzą to, ponieważ zawstydząć powinno. I umarł Syn Boga; jest to godne wiary, ponieważ jest absurdalne. I pogrzebany zmartwychwstał; jest to pewne, ponieważ jest niemożliwe'. Współcześni Tertulliana, zapewne nie mniej niż ich późni następcy w dwudziestym wieku, niechętnie odnosili się do wszystkiego, co w Nowym Testamencie jest 'pudendum', 'ineptum', 'impossibile'. Szestow cenił Pascala za to, że Bóg jego był Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba, nie Bogiem filozofów; Marcina Lutra, ponieważ ten kierował się 'samą wiarą', a także osmielał się mówić, że bluźnierstwo droższe jest niekiedy Bogu niż pochwały; cenił Nietzchego za przenikliwość, która pozwoliła mu dostrzec, że etyka z jej rozumowym charakterem została wynaleziona po to, żeby zastąpić zabitego Boga; i wreszcie, cenił Kierkegaarda.

Artykuł Szestowa w 'La Revue Philosophique' atakujący Husserla miał niespodziewane następstwa: kiedy pokrótce później dwaj filozofowie spotkali się po raz pierwszy na kongresie filozoficznym w Amsterdamie w r. 1928, znajomość szybko przerodziła się w przyjaźń. Szanowali się wzajemnie, zawsze zrazem podkreślając, że ich poglądy na zadania filozofii są biegunowo rozbieżne. I nikt inny tylko Husserl dosłownie zmusił Szestowa do czytania Kierkegaarda. Szestow wtedy przekonał się, że nie był aż tak dziwaczym wyjątkiem, jak sądził. Musiało być niemałą dla niego niespodzianką dowiedzieć się, że Kierkegaard dopatrywał się źródła filozofii nie w zdziwieniu jak starożytni, ale w rozpaczy i że on również Hioba przeciwstawiał Platonowi i Heglowi. Były to najbardziej własne myśli Szestowa, do których był szczególnie przywiązany. Spostrzeżenie Kierkegaarda, które świadczy, jak mocno przeżywał on Absurd, mogło wyjść równie dobrze spod pióra Szestowa: 'Ludzkie tchórzostwo nie może znieść tego, czego uczą nas obłąd i śmierć! Od Kierkegaarda wziął nazwę stosującą się ex post do jego własnych medytacji: 'filozofia egzystencjalna', w odróżnieniu od filozofii spekulatywnej.

Nic dziwnego, że Camus w "Micie Syzyfa", powołując się na prototypów ab-
surdu i paradoksu, wymienia przed wszystkim Kierkegaardia i Szestowa. Jednak
że pokrewieństwa pomiędzy paryskim egzystencjalizmem lat 1940-tych czy 1950-
tych i Szestowem są dosyć powierzchowne. To prawda, że Camus był, jak się zda-
je, niemniej niż Szestow zafascynowany "Zapiskami z lochu" Dostojewskiego, i na-
wet do tego stopnia, że ostatnia jego książka, "Upadek", jest właściwie przerób-
ką "Zapisków", ale Szestow, przekonany, że człowiek z lochu /czy spod podłogi/
zasługiwał na zbawienie, ponieważ tęsknił do "czegoś innego", nie chciał, że-
by kto robi taki wybór, padł ofiarą dręczyciela, jakim jest nasze zrozpaczone,
szalejące, samotne "ja". Niewątpliwie Szestow odnosił się sceptycznie do al-
ternatyw, które proponował Dostojewski - byli to chłop-pielgrzym Makar Dołgo-
ruki, opęciot Zosima, Iosza. Niemniej był on człowiekiem Pisma. Chętnie przy-
jąłby epitet, jakim Platon zwykł był przygważdżać oponentów w dyskusji: mys-
logos, nienawidzący rozumu - ale tylko po to, żeby podkreślić absurdalność kon-
dycji ludzkiej maskowaną przez Rozum. Dla niego istniało wyjście: "Dobre nie
jest Bogiem. Musimy szukać tego, co jest wyższe niż dobro. Musimy szukać Boga".
Znaczący to, że rozpacz, która nas ogarnia, kiedy stajemy wobec absurdu, prowa-
dzi nas poza dobro i zło, do aktu wiary. Dla Boga nie ma nic niemożliwego -
ani dla tych, którzy w niego wierzą. Absurdalne twierdzenie: bo kto widział
górze ruszoną z miejsca siłą modlitwy? Tak, ale jaki mamy wybór? Owoc z Drze-
wa Wiadomości przynoszą tylko śmierć. Warto zauważyć, że Szestow nie prawil
kazań; starał się jedynie pokazać dylemat w całej jego ostrości. Na pewno nie
był ani moralistą, ani teologiem.

Dla Camusa rozpacz była nie punktem wyjścia, ale stanem permanentnym,
nie wykluczającym szczęścia. Pragnął wierzyć, że nawet Syzyf może być szczę-
śliwy. Tak więc francuska moralistyczna tradycja narzuciła mu rodzaj ugody ze
światem pozbawionym sensu. Może to brzemię dziwne, ale jego ateistyczny
egzystencjalizm jest mniej radykalny niż egzystencjalizm Szestowa, właśnie z
powodu tych moralistycznych /greckich/ przecie /upodoban. Bóg Szestowa wydawał
się Camusowi kapryśny, złośliwy, zmeraliny, toteż musiał być odrzucony. Dowo-
dem jego istnienia /u Szestowa/ jest jego nieludzkość. Dla humanisty było to
nie do przyjęcia. W "Micie Syzyfa" Camus daje definicję różnicy pomiędzy stano-
wiskiem swoim oraz swoich paryskich współczesnych i stanowiskiem Szestowa:
"U Szestowa rozum jest bezużyteczny, ale jest coś poza rozumem. U ludzi absur-
du rozum jest bezużyteczny, ale nie ma nic poza rozumem". Camus wytrwał w tym
zupełnym osieroconiu aż do końca. W "Upadku", jego ostatniej książce, narrator
i bohater przesiaduje w barze dzielnicy portowej w Amsterdamie, i jest to je-
go własny "loch", jego piekło bez aspiracji i bez obietnicy.

Albo - albo. Kategoryczne przeciwstawienie wiary i rozumu u Szestowa przy-
pomina nam teorię dwóch równoległych prawd wypracowaną w trzynastym wieku;
ale w istocie odrzuca on prawdę rozumu całkowicie; świat "praw Natury" jest
mówi on, koszmarem, z którego powinniśmy się obudzić. Jego krytyka zwraca
się w pierwszym rzędzie przeciwko tym wszystkim, którzy uchylają się od zasad-
niczego "albo - albo" i, nawet jeżeli opowiadają się po stronie wiary, nie-
postrzeżenie przechodzą na stronę przeciwnika. Tak na przykład postępują wy-
nalazcy różnych rodzajów teodycei: ponieważ świat stworzony przez Boga nie
jest szczególnie dla nich łaskawy, trzeba coś zrobić, żeby zdjąć z Boga odpo-
wiedzialność za zło - stąd próby "usprawiedliwienia Boga" przy pomocy ludzkie-
go rozumu. O tym aspekcie walk Szestowa dają pojęcie jego eseje o Władzimierzu
Sołowjowie i Mikołaju Bierdiajewie w pośmiertnie wydanym tomie "Umożrzenie i
Otkrowienie". Należy przyznać, że w zestawieniu z surowym, prostym stylem Szes-
towa, Sołowjow wydaje się rozgadany, chwilami nglisty, natomiast styl Bierdia-
jowa często razi retoryką. Szestow przeprowadza swój wywód nienaganie. Nie-
pomniejszając bynajmniej wielkiego formatu myśli Sołowjowa, oskarża go jednak
o niezamierzony fałsz. ...Na swoim sztandarze umieścił filozofię Objawienia,
ale uprawiał, jak Hegel, filozofię dialektyczną. Idea filozofii Objawienia
uwiodła Sołowjowa, tak jak gdyby była samym Objawieniem i ani się spostrzegł,
jak zajęła miejsce Objawienia, podobnie jak u Hegla to, co racjonalne, zajęło

miejsce tego, co rzeczywiste'. Sołowjow nie był pierwszy, któremu się to zdarzyło; kiedy umysł wprowadza racjonalny porządek do Objawienia, które nie daje się objąć porządkiem /albowiem mądrość świata tego głupstwem jest u Boga; I Kor., 3, 19/ musi szukać ucieczki w systemie etycznym, w moralnym ideale, mającym się oczywiście zrealizować w przyszłym Królestwie Bożym na ziemi. Sołowjow, zdaniem Szestowa, stopniowo doszedł do wniosków pokrewnych antymetafizycznej moralistyce Tołstoja - aż nagle zbudził się i przeraził. Ostatnią książką Sołowjowa, 'Tri Rozgowora', Trzy rozmowy, 1900, jest zupełnym zwrotem. Wymierzona jest przeciwko Tołstojowi, ale być może naprawdę autor załatwia porachunki z samym sobą. Największą wagę ma tam przecie historia antychrysta, który pojawia się przebrany za przyjaciela i obrońcę gatunku ludzkiego. Taką zmianę w orientacji Sołowjowa Szestow pochwalał. Interpretując Pismo, koncentrował swoją uwagę na Upadku i odnowie człowieka, kiedy człowiek będzie spożywał owoce z Drzewa Życia, jak obiecuje Apokalipsa. Nastąpi to raczej w metafizycznym niż historycznym wymiarze. Nie możemy bliżej określić, jak się to odbędzie, bo po prostu nie wiemy, co Szestow miał na myśli powołując się na św. Jana; powinniśmy uszanować jego milczenie. W każdym razie Sołowjow był, zdaniem Szestowa, winien niedopuszczalnego błędu: wynosił etykę kosztem sakralności i skłaniał się przed trybunałem rozumu, tak jak kiedyś skłaniał się Spinoza i skłaniała się cała idealistyczna filozofia niemiecka.

Esej o Bierdiajewie jest bardzo znamienity. Hymny na chwałę ludzkiej swobody nadały piśmiu Bierdiajewa ton niepohamowanego optymizmu; gatunek ludzki powołany do współpracy z Bogiem miał kiedyś osiągnąć 'Bogoczłowieczeństwo' /Bogoczłowieczestwo/; w tym względzie Bierdiajew może być nazwany jednym z licznych poprzedników Teillarda de Chardin. Ale wiara Bierdiajewa w swobodny czyn przekształcający oblicze ziemi ma swoje korzenie w eschatologicznej i apokaliptycznej orientacji rosyjskiego umysłu w dziewiętnastym wieku i przedłuża linię słowiańskiego mesjanizmu. Na ostatnich stronach swojej książki Ruskaja Idieja, Bierdiajew zachwala polskiego mesjanistę Cieszkowskiego i jego wielotomowo dzieło 'Ojciec Nasz', czym potwierdza ten związek. Właśnie takie wygórowane mniemanie o ludzkiej swobodzie i nieograniczonych możliwościach człowieka w jego dążeniu do dobra staje się przedmiotem ataków Szestowa. Podejrzewa, że dla jego przyjaciela swoboda jest wybięciem służącym do przesłonięcia horroru istnienia. Zło tego świata pochodzi stąd, że człowiek jest wolny; człowiek mógł być stworzony jedynie jako istota wolna - Bierdiajew tak twierdząc nie wykracza poza doktrynę chrześcijaństwa. Tak, ale jego nauczycielami byli mistycy niemieccy - Meister Eckhart, Jakob Boehme, Angelus Silesius, którzy utrzymywali, że rodzaj ruchu dialektycznego poprzedza stworzenie wszechświata. Idee tych mistyków miały natchnąć całą niemiecką filozofię idealistyczną, którą w osobach jej prekursorów Szestow wydrwiwa. Według mistyków niemieckich wolność człowieka, tj. możność zła, istniała przed początkiem czasu i pochodzi od ciemnej siły, przedwioźnego Nic, które ogranicza władzę Boga. W istocie ponad Bogiem mistycy umieszczają Deitas, wieczne prawo, ależ to gmoza! - wykrzykuje Szestow. Starając się utożsamić dobro z Bogiem, Bierdiajew uzależnił Boga od człowieka; w walce przeciwko ciemnej, odwiecznej nicości człowiek stał się niezbędnym Bogu, że zaczął grać główną rolę. Dlaczego 'Bogoczłowieczeństwo' ma się udać tam, gdzie Bóg przegrywa? Dlaczego nie przekształcić 'Bogoczłowieczeństwa' w 'Człowiekobóstwo'? I to właśnie, podejrzewa Szestow, Bierdiajew robi faktycznie. Jego filozofia swobody, podawana za egzystencjalną, zakłada złudną, przesadną wolność Pelagian i nie jest wcale filozofią egzystencji. Ta ostatnia jest filozofią de profundis, rozpoznawalną przez to, że nie chce niczym maskować cierpienia i śmierci, niezależnie od tego, jaki 'proces dynamiczny' ma rzekomo prowadzić do chwili, kiedy dobro zwycięży. Kiedy Iwan Karamazow powiada, że zła dziecka więcej waży niż cała możliwa do osiągnięcia harmonia wszechświata, nie należy i nie wolno odpowiadać powołując się na historyczny dynamizm.

Być może Szestow w swojej polemice z Bierdiajewem odrobinę 'przeciąga kołdrę na swoją stronę'. Jeżeli jednak porównamy jego eseje o Bierdiajewie z esejem o Husserlu - napisanym w r. 1938 ku uczczeniu pamięci właśnie zmarłego przyjaciela - będziemy musieli dojść do wniosku, że wbrew pozorom Szestow miał chyba więcej wspólnego z Husserlem niż z Bierdiajewem - nawet jeżeli w

wielkim 'albo - albo' Husserl opowiadał się za nauką; tj. miał nadzieję, że przy pomocy Rozumu, możemy odkryć wieczne prawdy nie tknięte przez relatywizm poznania, takie prawdy, które by obowiązywały zarówno bogów, ludzi i pnioly i były ważne na ziemi oraz w całym wszechświecie. Przez więcej wspólnego mam na myśli zamknięcie do surowej dyscypliny właściwej im obu. Szestow podziwiał Husserla właśnie dlatego, że tamten był gotów przyjąć wyrok rozumu nawet nie dostarczający żadnej pociechy. Jeżeli sam Szestow wybierał Pismo, to też nie po to, żeby szukać pociechy, dlatego tylko, że wierzył w zawartą tam prawdę.

Przyszłe badania nad Szestowem będą, wydaje mi się, poświęcać niewiele miejsca francuskiemu życiu intelektualnemu, chociaż Szestow mieszkał w Paryżu bez mała lat dwadzieścia. A przeciw jest i wyjątek. Dzieło Simone Weil pozwala zobaczyć wyraźniej niektóre prepozycje rosyjskiego filozofa, i na odwrót, czytając jego książki lepiej można uchwycić jej główne przesłanki. Szestow zapewne nieraz ją miał chodząc ulicami Dzielnicy Łacińskiej, kiedy była studentką w Ecole Normale Supérieure. W tej uczelni koleżanką jej była Simone de Beauvoir i losy tych dwóch kobiet same układają się w groźną lekcję moralną. Simone de Beauvoir była wrażliwa na wszelkie zmiany intelektualne i literackie mody, stała się też sławną, choć nie pierwszorzędą pisarką, jedną z tych co to robią za życia dużo hałasu, ale o których szybko się zapomina. Simone Weil, antynowoczesna, samotna, zdziwaczka, poszukiwaczka ostatecznej prawdy, umarła w Londynie w r. 1943 w wieku lat trzydziestu czterech, jako osoba zupełnie nieznaną, ale jej zeszyty notatek i maksym wydane pośmiertnie zapewniły jej trwałe miejsce w historii idei religijnych. Moja wzmianka o Simone de Beauvoir nie jest tutaj całkowicie arbitralna. Zaraz po II wojnie ona to, razem z Sartre'em i Albertem Camus, szerzyła w Paryżu wieść o 'egzystencjalizmie'. Jednakże te problemy, które obchodziły najbardziej Szestowa, pozostały całkowicie poza jej zasięgiem.

Do filozofii Simone Weil nie dałoby się zastosować żadnej etykiety; nie jest też istotne, że, jak się zdaje, czytała Szestowa. Ważne jest podobieństwo temperamentów w tych dwojga myślicieli, wyrażające się w klasycyzmie oraz nagości ich stylu, jak też, ogólnie biorąc, w ich podobnych stosunku do czasu. Szestow klócił się nie tylko ze Spinozą, jakby ten był jego współczesnym, ale także z Platonem i trzy tysiące lat traktował jak niedługą chwilę. Zeszyty Simone Weil są pełne cytat po grecku, równań matematycznych, odwołań do hinduizmu, Zen i taoizmu, co nie przeszkadzało jej w żarliwych dwudziestowiecznych zaangażowaniach, ale jest jeszcze coś, co upoważnia nas do łączenia Szestowa i Simone Weil. Jest to główny temat ich myśli, zjawisko cierpienia i śmierci. Oto jej słowa: 'Rozumowanie Iwana w braciach Karamazow. Nawet gdyby ta olbrzymia fabryka wytworzyła najniezwyklejsze cuda i kosztowała tylko jedną łzę dziecka, odmawiam. Ja czuję dokładnie tak samo. Jakiekolwiek usprawiedliwienia mogą mi podsuwać ludzie, nie może zrównoważyć łzy dziecka i nic nie może mnie zmusić do tego, żebym zgodziła się na tę łzę. Nic, absolutnie nic dostępnego mojej inteligencji. Jedno tylko, co pojąć potrafi jedynie nadprzyrodzona miłość Bóg tak chciał. E w imię tego gotowa jestem przyjąć świat, który byłby tylko złem, o następstwach równie złych jak łza dziecka'. Szestow mógłby napisać te zdania, choć u niego miałyby te zdania nie ten sam sens.

Chociaż Simone Weil była żydowskiego pochodzenia, wychowała się w rodzinie areligijnej i nie znała judaizmu. Szestow w Kijowie od dziecka przebywał w kręgu żydowskiej literatury religijnej, z legendami i folklorem włącznie. Księgą Simone Weil była Iliada Homera; natchnieniem dla jej myśli był Platon, następnie Nowy Testament. Była mocno zhellenizowana, podobnie jak wszyscy uczniowie francuskiego liceum jeszcze w pierwszych dekadach naszego stulecia. I gdyby Szestow miał możliwość przeczytać jej pisma, cytowałby ją jako przykład na potwierdzenie swojej tezy o nigdy nie wygasłym sporze pomiędzy Atenami i Jerozolimą. Z wyjątkiem Księgi Hioba, Simone Weil nie miała nabożeństwa do Starego Testamentu i odzywała się niepoehlebnie zarówno o Bogu Hebrajczyków jak o nich samych, oskarżając ich o okrucieństwo i zabobony. Była całko-

wicie po stronie Aten; poza tym uważała metafizykę Grecji i Indii za identyczną w najważniejszych punktach. Jej Bóg był grecki. Napomykała nawet, że kto wie, czy przed Chrystusem Dionizos nie był wcielonym Bogiem. I jeżeli zastosujemy miary Szestowa, gnostyczne skłonności, typowe dla zhellenizowanych chrześcijan, są łatwo dostrzegalne w jej pismach. Tak na przykład w jej esejach historycznych - oburzenie, z jakim opisuje francuską krucjatę przeciw Albigensom i podbój kraju mówiącego językiem Oc, czyli occitańskim /dziś południe Francji/, pochodzi nie tylko z sympatii do mordowanych i uciskanych, także, w znacznym stopniu, jest dowodem, że czuje się ona bliska chrześcijaństwu Albigensów, spokrewnionemu, poprzez manicheizm, z gnozą Marcjona.

Przyszłe badania porównawcze - a nie wątpię, że takie będą - powinny zogniskować się przede wszystkim na pojęciu Konieczności u Szestowa i Simone Weil oraz na innym u każdego z nich ujęciu stosunków pomiędzy Jednością i istnieniem poszczególnym. Dla Szestowa powszechna Konieczność jest skandalem. Jej groza jest według niego najlepiej opisana przez Dostojewskiego w 'Idiocie', tam gdzie jest mowa o obrazie Holbeina 'Zdjęcie z krzyża': 'Kiedy patrzy się na ten obraz, przyroda jawi się nam w postaci olbrzymiego, bezlitostnego i niemożnego zwierza, albo, poprawniej, o wiele, poprawniej, byłoby powiedzieć, choć to dziwne, w postaci jakiejś przeogromnej maszyny najnowszego wyrobu, która schwytana, rozbiła na kawałki i pochłonęła, nie nie wiedząc ani czując, wielką i bezcenną istotę - taką istotę, której samo życie było więcej warte niż cała przyroda i wszystkie jej prawa, niż cała ziemia, która została stworzona być może tylko po to, żeby mogła wydać tę istotę! Obraz zdaje się wyrażać pojęcie ciemnej, bozwestdej i bezsensownie-wiecznej siły, której wszystko jest poddane ...' Szestow chciał rzucić tej bestii-maszynie stanowcze 'nie'.

Natomiast postawa Simone Weil była nacechowana rodzajem podziwu, takiego, jaki matematyk czuje wobec zagadki liczb. Kilka cytat wystarczy, żeby na to wskazać: 'Konieczność jest zasłoną Boga'; 'Bóg powierzył wszystkie zjawiska bez wyjątku mechanizmowi tego świata'; 'W Bogu jest nie tylko analogia wszelkich ludzkich cnót, także analogia posłuszeństwa. Konieczności zostawia w tym świecie swobodną grę'; 'Dystans między koniecznością i dobrem jest to właśnie dystans pomiędzy Stworzeniem i Stwórcą'; 'Dystans pomiędzy koniecznością i dobrem. Kontemplować to bez ustanku. Wielkie odkrycie zrobione przez Greków. Niewątpliwie upadek Troi ich tego nauczył'; 'Bóg może być obecny w Stworzeniu tylko przez nieobecność'; 'Bóg nie jest wszechmocny, ponieważ jest Stwórcą. Akt stworzenia jest abdykacją, ale jest On wszechmocny w tym sensie, że jego abdykacja jest dobrowolna: zna jej skutki i chce ich'.

Dla Simone Weil 'przeróżające piękno świata było w sposób tajemniczy związane z matematyczną Koniecznością. Niemniej, nie spierałaby się z Szestowem, kiedy ten wytaczał proces 'bestii', ponieważ wierzyła, że determinizm Natury jest w zarządzie Księcia Tęgo Świata, który działa z upoważnienia Boga. Ale będąc filozofką /i profesorką filozofii/, o zaprawie intelektualnej przede wszystkim greckiej, nie mogłaby się zwrócić przeciwko Rozumowi. Stosując redukcję, celowo ustępowała tak dużo, jak tylko można, samej niewzruszonej budowie świata. Boska zdolność działania przez Łaskę jest, z samej woli Boga, nieskończenie mała, jednak wystarczająca, żeby zbawić człowieka. Jest to ziarno gorczycy w Ewangelii /albo milczenie Chrystusa w 'Legendzie o wielkim Inkwizytorze'/ . To właśnie pozwala nam zniesić egzystencję, która, jeżeli spojrzymy na nią racjonalnie i trzeźwo, jest nie do zniesienia. Szestow gniewnie odrzucał grecką mądrość prowadzącą do stoickiej rezygnacji. Zarzucał nawet cenionemu przez siebie Nietzschemu amor fati, końcowe pogodzenie się z losem. Simone Weil uważała słowa modlitwy: 'Przyjdź Królestwo twoje' za prośbę o koniec zła, to jest o koniec świata, a 'Bądź wola Twoja' za wyraz naszej zgody na istnienie świata związanego prawami konieczności. Co więcej, taka heroiczna zgoda była według niej samą istotą chrześcijaństwa:

'Jak dziecko chowa się od matki, śmiejąc się, za fotelem; tak Bóg bawi się w oddzielenie się od Boga przez akt stworzenia. My jesteśmy tym żartem Boga'.

Wierzyć, że rzeczywistość jest miłością, widząc ją zarazem dokładnie taką, jaka jest. Trzeba kochać to, co jest nie do zniesienia. Brać w uścisk żelazo, przykładając swoje ciało do chłodu twardego metalu.

To nie jest forma masochizmu. Masochistów podnieca podrabiane okrucieństwo. Gdyż nie wiedzą, co to jest okrucieństwo. Trzeba brać w uścisk nie okrucieństwo, ale ślepą obojętność i ślepą brutalność. Tylko tak miłość staje się bezosobowa.

Dlaczegoż miłość ma stać się bezosobowa? Tutaj znowu Szestow by się nie zgodził. Jansenistyczny okrzyk Pascala: 'Le moi est haïssable' - nasze Ja jest godne nienawiści - był dla niego, mimo że z Pascalem na ogół się zgadzał, nieco podejrzany: jakby echo greckiej tęsknoty do niezmiennej, wiecznej, ogólnej Jedności, w której ginie to, co poszczególne. Dlaczegoż to powinniśmy nienawidzić naszego 'ja'? Czyż to nie 'ja' Hioba skarżyło się i jęczało? Czyż Bóg, który by żądał od nas tak niemożliwego wyrzeczenia, nie byłby raczej Bogiem filozofów niż Bogiem Proroków? Odpowiedź udzielona przez Simone Weil na te pytania wskazuje na jej zadawniony platonizm, na jej przywiązanie do platońskiego mitu o świecie jako więzieniu, w którym dusze tęsknią do ojczyzny, tj. do empyreum czystych idei. Wiele jej maksym pochodzi z poczucia winy-winy, że się istnieje - i świadczy o chęci samozagłady: 'Moje istnienie jest umniejszeniem chwały Boga. Bóg mi je dał, abym pragnęła je stracić'.^{6/} Zdawała sobie sprawę, że wyrzec się siłą swojego 'ja' jest niemalże niemożliwością, a jednak uważała za wysokie duchowe osiągnięcie samą dążność do takiej zupełnej ascezy. Kilka razy powoływała się na dwie linie z Fedry Racine'a /znów jesteśmy w klimacie jansenizmu/:

Et la mort á mes yeux ravissant la clarté
Rend au jour qu'ils souillaient toute sa pureté.

/I śmierć, moim oczom wydzierając światło,

Przywraca dniowi, który kała, całą jego czystość/.

Jest to jednak esej o Szestowie, nie o Simone Weil. Sądy ich są często zbieżne, ale na ogół strefy, w których przebywają, tylko tu i ówdzie stykają się ze sobą. Nie tylko Simone Weil przejmowała się sprawami społecznymi /pracowała jako robotnica u Renault i brała, czy raczej próbowała wziąć udział w hiszpańskiej Wojnie Domowej/, ale jej religijne, nawet mistyczne przeżycie skierowało ją do rzymskiego katolicyzmu i do rozważań o religii jako instytucji. Z bardzo osobistych powodów postanowiła powstrzymać się od chrztu. Tym niemniej teologia katolicka i dzieje Kościoła rzymskiego zajmują dużo miejsca w jej pismach. Szestow był gwałtowny w swoich pogardliwych wypowiedziach o wszelkiej spekulacji filozoficznej, ponieważ jego zdaniem obiecywała ona pociechę, choć pociecha ta była złudna. Jest paradoksem, że swoją wojnę antyracjonalisty toczył posługując się bronią racjonalnych argumentów. Natomiast nic nie wiemy o jego wyborze wyznaniowym i niewiele o intensywności jego osobistej wiary.

Co Sorana Gurian, młoda kobieta, świadoma, że umiera, mogła znaleźć w pismach Szestowa? Nie obietnicę cudownego wyleczenia. Nie utrzymywał, że potrafimy zwalić mur Konieczności bijąc w niego głową. Ludziom trzeźwym, którzy krytykowali absurd Kierkegaarda i jego wiarę w niemożliwość, zwykł był odpowiadać, że Kierkegaard doskonale znał wagę rzeczy aż nadto stałych: Regina Olsen nie miała mu być wrócona. Ale patrzeć na siebie jak na cyfrę statystyki - albo ujmować swój los jako coś osobistego i jedyne, to nie to samo. Również Simone Weil, chociaż zalecała dobrowolne wyrzeczenie się własnego 'ja', widziała w zniszczeniu 'ja' przez zewnętrzne siły wielkie nieszczęście: więźniów i prostytutki inni zmuszają do uznania siebie za obiekty, tj. statystyczne cyfry, wymienne znaki. Szestow nie zwalał nauki. Jednakże jego bunt przeciwko filozofii implikuje negatywną ocenę całego czysto ilościowego, naukowego światopoglądu. Taki naukowy wzorzec samooperacji, narzucony przez wychowanie i mass media, zjada, że się tak wyrażę, naszą indywidualną substancję od środka.

5/ La connaissance surnaturelle

6/Jak wyżej

Dla Sorany Bóg świętych tekstów, w których obronie występował surowy kapłan, Szestow, nie oznaczał zapewne obietnicy życia za grobem i palmy w Niebie. Musiał się jej przedstawiać tak, jak rosyjskiemu filozofowi, jako czysta antykonieczność. W grę nie wchodziło istnienie Nieba i Piekła, ani nawet 'istnienie' samego Boga. On bowiem, ponad wszelkimi ludzkimi pojęciami, ale objawiający się głosem w swojej Księdze, zdolny jest stworzyć, cokolwiek zechce, nawet osobne niebo i ziemię, tylko dla Sorany Gurian - czy też dla każdego z nas.

Witold Wirpsza

W I E R S Z E

Zakłamanie

Ludzie rozumni i wrażliwi skazani są na
Zakłamanie: przeciwstawne prawdy obłapiają się w
Nich i mnożą, by się znomu obłapiać; to
Samo dzieje się z przeciwstawnymi
Kłamstwami, a także, choć nie tak często,
Z prawdami i kłamstwami, i tak
Zawęzła się kłębowisko, rozpląsane i

Którego żal się pozbyć.

Zakłamywanie się, jeśli jest świadome /a nadto
Wsparte rozumem i wrażliwością /stanowi
Trudną pracę wewnętrzną o wielkiej godności
Filozoficznej; ideałem jest osiągnięcie
Harmonii: między przeciwstawnymi
Prawdy i kłamstwa i między innymi
Przeciwstawnymi. Poza wewnętrznymi
Obszarami zakłamania harmonia taka jest
Nieosiągalna, a przecież to balet klasyczny,

Którego żal się pozbyć

Berlin, w czerwcu 1974

O sprawiedliwości

Za złe czyny zły
Los; za dobre czyny dobry
Los; za winę kara, za
Cnotę nagroda: przeraźliwa
Symetryczność, równanie o
Samych niewiadomych, które,

Jesli się sprawdzi, to
Biada jego duszy, bo
Płodzi martwicę płodu,
A płodne jest jak plód głodu.

Berlin, w styczniu 1975

I runęko

Stara cegła z któregoś wieku przed Chrystusem:
Cegła, cegła; na co dwunastej cegle
Data dla późnych przejezdnych, dla ich
Powiadomienia, a te cegły to bruk, a ten bruk to
Droga jezdną, opadająca ostrokatnymi zakosami
W dół. Po bokach skała ceglasta i dmie
Fyl ceglany; i w dół ku zatoce o wodach

Migoczących barwami Marsa; to zachód
Cegiel, słońca, Marsa, Ziemi. I

w dół
Samochodem marki ford z lat dwudziestych
Dwuziestego stulecia, model T o zużytych
Hamulcach i stąd zasypane ceglaną
Mączką moje oczy, bo mnie to wiozła
W tym wozie; schwytyany jestem, nieskrępowany.

U zatoki dom, z tejże cegły, szkielec bez
Szyb. Spuszczono mnie ze schwycenia,
Wyszedłem z wozu, skrępowany sam wchodzę
W cegły domu, w pył schodów, w labirynt
Wielopoziomowy, w załomy, a w każdym załomie
Dębowe drzwi, na drzwiach wizytówki w
Nieznany mi piśmie, które czytam łatwo i
Wiem: to moje pismo, ono mnie krępuje, gdy
Już nie jestem schwytyany. I

po schodach;
Napastliwość zaś i natręctwo w izytówek
Wzbudza we mnie sierdzistość; czytam:
Arystofanes, Arcimboldi, Mozart /w
Nawiasie: Hes-se/, Spalanzani, epinoza,
Do diabła Dante, Szekspir, Berlioz,
Beethoven, u czärtu, Juliusz Cezar,
Napoleon Bonaparte, Juliusz Drugi, do
Licha, Buonarrotti. Dziesiątki ich, a
Wszyscy za drzwiami i za drzwiami, po celach
/Przykładam ucho/, szmer jakby mielonej
Cegły. Drzwi wszystkie odporne; więc, niech
To piekło pochłonie, wyłamuję drzwi z
Zawiasów, tam ściany z gołej cegły i małe
Kupki cegieł na gołej podłodze, na każdej
Zaś podłódze w kuczki osadzony krasnal
W młynku do kawy miele cegłę po cegle.
Wizytówki mnie okłamały, wychodzę,
Spoglądam w górę: na dachu komin, a
Z komina dmie ceglany dym. I

sałochód
Przepadł; zostaje schwytyany ponownie i
Ponownie nieskrępowany; i tak wsuwają
/Kto?/ mnie w korytarz skalny, w wąską
Jaskinię, wiodącą ceglasto do góry. Szyny
Tam ułożono, pojedyncze i wiele tam
Jest tych pojedynczych, u dołu zaś sanie-
Dębowe. I

ledwo siadłem w siodło sań,
Już sunę w górę, obok mnie inne suną w
Górę, a jest to literatura i mitologia
Żeńska: Eos, matka Faetona, Beatrycze,
Wielka Niedźwiedzica Dantego i Małgorzata,
Kochanka Fausta, dzieciobójczynie, Ścigają się
W tych saniach ze mną i ze sobą, mijają
Mnie po bokach i jakby usiłują zepchnąć:
Im wyżej, tym ciasniej, i otwór już
Widać u góry, ziejący srebrnym blaskiem,
Szyny coraz bliżej siebie. I

wpadamy
W otwór równocześnie, ścieśnieni, i z
Otworu w wielką przestrzeń, kopułę

Wnętrza skały, całą w jupiterach. Skała to
Już nie ceglasta: bazaltowa, łyskająca
Czernią i widzę, że mitologia kobieca, Eos,
Beatrycze i Małgorzata, przybrana jest w
Barwne aksamity. I

ja, opadam w dół, na
Dno, na denne łyskanie bazaltu, a jest to, prze-
Bóg, łagodne opadanie. Kobięca mitologia
Natomiast spływa na szeroki błękit jedwabnej
Taśmy, która, wielkie nieba, sunie i sunie, i
Zrzuca swój ładunek w rozwartym ogrom
Skalnego pyska, za którym buzuje pozostały
Świat. Taśma jest szybka, barwne aksamity
Tańczą i coraz ich więcej wylatuje z górnej
Cieśniny, na miłosierdzie, coraz więcej,
A jest ich tylko trzy. Muzyki nie
Ma, jest tylko reżyser, siedzi pod taśmą w
Kuczki, do kogo jest podobny, wielki Boże, do
Kogo? - i mówi do mnie:

- : Oto jest koniec
Bytu, każda Eos, każda Beatrycze, każda
Małgorzata przypadnie i będzie to trwało
Wiecznie w barwnych aksamitach i ty,
Boś się wydobył ze świata cegły, będziesz
To wiecznie oglądał; schwytny, skrepowany.

Berlin, 12 listopada 1975 /na własne imieniny/.

Przypis

/Hamlet wysiada z pociągu; na peronie czeka Fortynbras/
Hamlet:

Mój Fortynbrasie, właśnie powróciłem
Z tamtego świata, gdzie się okazało,
Że neurotyczne moje zapytanie:
Być albo nie być - nie ma wiele sensu.
Można ze sceny droczyć się z widzami,
Ale w zaświatach nie ma się z kim droczyć.
Wracam na zamek, trzeba rządzić Danią.
Dziś jeszcze chciałbym przejrzeć buchalterię
Craz umowy zawarte przez ciebie
Z Chinami, Francją, Czechami i Szwecją.
Czyś toczył wojny? Czy złupiłeś Turcję?
Mój Fortynbrasie, powracam z niebytu,
Który od bytu tym tylko się różni,
Że byt jest w bycie - w niebycie go nie ma.
Lecz tutaj, w Danii, kiedy mnie nie było,
Duńczycy żyli; nikt nie stawiał pytań
O byt i niebyt. Przychodzę więc sprawdzić,
Jak sprawowałeś po masakrze władzę.

Andrzej Micewski

NARODOWY I UNIWERSALNY WYMIAR POLSKIEJ NIEPODLEGŁOŚCI

I

Powstanie niepodległego państwa polskiego w listopadzie 1918 roku miało przełomowe znaczenie dla historii naszego narodu. W pełni uprawniony wydaje się pogląd, że gdyby nie II Rzeczpospolita, nie byłoby niepodległej Polski. Odrodzenie własnego państwa miało też tak wielki wpływ na świadomość i psychologię Polaków, że do dziś i chyba zawsze będzie wyznaczało skalę wartości naszej myśli politycznej.

Ale powstanie Polski niepodległej miało także swój wymiar uniwersalny, było przejawem głębszych przemian na kontynencie europejskim. Tych zjawisk nie chcieli dostrzec ludzie nie mogący pogodzić się z istnieniem nowego państwa polskiego. W niemieckiej myśli politycznej silny był nurt uznający je za "państwo sezonowe". Przeciwnicy Traktatu Wersalskiego uważali Polskę za jego nieudany i przejściowy twór, zapominając, że państwo nasze powstało *v i a f a c t i* przed podpisaniem pokoju w Wersalu. W czasie konferencji pokojowej w Paryżu Lloyd George z obawy, żeby "zwycięska" Francja nie dominowała nad "pokonanymi" Niemcami, walczył o umniejszenie terytorium sprzymierzonej z Francją Polski. Sprzeciwiając się poddaniu mniejszości niemieckiej rządowi polskiemu, powiedział 29 marca 1919 roku, że "jesteśmy narodem, ... który nigdy w historii nie umiał się rządzić". Obawiam się, że łatwo zebrać fakty z dziejów wielu narodów, ukazując, jak w określonych warunkach kiepsko się rządziły. Ponieważ jednak argumenty o sezonowości państwa polskiego, o nieumiejętności Polaków rządu się i o sztuczny charakterze naszej niepodległości "zrodzonej w Wersalu" były w latach międzywojennych nader częste, uważam za istotne zwrócenie uwagi na uniwersalne aspekty powstania niepodległego państwa polskiego. Ułatwi to właściwą ocenę dążeń nacjonalistycznych i imperialnych, nie mogących strawić niepodległości Polski.

Uniwersalne wymiary sprawy polskiej polegały na tym, że w wyniku I wojny światowej nastąpiło zwycięstwo w Europie zasady narodowościowej, która po II wojnie światowej zwyciężyła także na innych kontynentach, prowadząc do upadku systemów kolonialnych.

II

"Panowie, jest to drugi pokój zrobiony w Wersalu..." Tymi słowami premier francuski Clemenceau, zwany "tygrysem" lub "ojcem zwycięstwa", zwrócił się 7 maja 1919 roku do delegacji niemieckiej, gdy na specjalnym posiedzeniu w Wersalu włączano jej projekt traktatu pokojowego.

I rzeczywiście, konferencja pokojowa 1919 roku zaczęła się dokładnie w czterdzieści osiem lat od dnia 18 stycznia 1871 roku, kiedy w pałacu wersalskim proklamowano utworzenie cesarstwa niemieckiego, zagarniającego dwie prowincje francuskie. A ponad sto lat minęło od kongresu wiedeńskiego z 1815 roku, który stworzył Święte Przymierze oparte o zasadę "monarchii i legitymizmu". Gdy Clemenceau mówił, że w 1919 roku zrobiono drugi pokój w Wersalu, myślał przede wszystkim o Francji. Słuchający go w imieniu Rzeszy Niemieckiej hrabia Brockdorf-Rantzau, z upokorzenia nie mogący utrzymać się na nogach, myślał naturalnie o losie Niemiec. W rzeczywistości jednak Wersal był nie tyle zwycięstwem Francji i klęską Niemiec, ile pieczętował zasadę samostanowienia narodów, którą te narody sobie wywalczyły i zrealizowały dzięki starciu wielkich potęg imperialnych.

W 1919 roku pieczętowano w Wersalu obalenie monarchizmu i legitymizmu na rzecz zasady narodowościowej, uznającej prawo narodów do samostanowienia. W

imię tej zasady obejmowały władzę rządy wszystkich państw powstających z rozpadu wielonarodowych monarchii, proklamowały ją uroczystie rewolucyjne rządy największej z nich - Rosji; w postaci dyrektywy ogólnej znalazła się w deklaracji prezydenta USA Wilsona. Przynosiła ona rewolucję w stosunkach międzynarodowych. W Europie powstały niepodległe państwa: Polska, Czechosłowacja, Austria, Węgry, Rumunia, Jugosławia, Bułgaria czy kraje bałtyckie. By mogło to nastąpić, trzeba było klęski Niemiec i Austrii i rewolucji w Rosji, która spowodowała także wrzenia rewolucyjne w Niemczech i Austrii.

Zasada samostanowienia narodów zwyciężyła w Europie po I wojnie światowej w wyniku buntów, powstań, rewolucji i walk całego XIX wieku. Nie była ona wymysłem Wilsona, ale naszej uznaniem przez przywódców zwycięskiej koalicji niezwykłej erupcji świadomości narodowej, jaką przyniósł przełom wieku XIX i XX. Polska dała szczególny wkład historyczny, przyczyniający się do zwycięstwa zasady samostanowienia. Tworzono jej przesłanki przez całe 123 lata naszej niewoli i rozbiorów, na jej zwycięstwo składały się wysiłki polskich powstańców i rewolucjonistów, poetów, pisarzy, naukowców i krzewicieli oświaty, budowniczych przemysłu i miast, budzicieli warstwy włościańskiej i bezwonników o rozwój wsi. Wszystkie warstwy narodu, różne jego obozy polityczne, lewica i prawica, niepodległościowcy i narodowcy wspólnymi, choć nieraz przeciwnymi dążeniami przyczyniali się do odbudowania Polski. A sprawa Polska nie gasnąca ani na chwilę przez cały wiek XIX miała zupełnie zasadnicze znaczenie dla możliwości zwycięstwa zasady samostanowienia narodów. Zasada ta nie była w żadnym wypadku prezentem mocarstw dla Polski i innych powstających państw narodowych. Była o na zwycięstwem narodów, nie jakiegos jednego w nich obozu politycznego, ale dążeń całych ludów, wynikiem dojrzenia ich świadomości narodowej.

III

Wiemy dziś dobrze, że konferencje pokojowe nie tyle tworzą, ile potwierdzają fakty dokonane. Ale powstanie państw narodowych nad Bałtykiem, Wisłą, Dunajem czy na Bałkanach umożliwiły nadzwyczajne okoliczności zewnętrzne: klęska trzech cesarstw, rewolucje w tych krajach oraz poparcie, co prawda niejednolite, państw zwyciężających w I wojnie światowej. Bez świadomych dążeń własnych państwa narodowe w żadnym wypadku nie byłyby mogły powstać. Wyjątkową sytuację miała tylko ulegająca redukcji Austria i nie napotykająca na poważniejsze trudności Bułgaria. Charakterystyczne, że przedstawiciele Niemiec w swoim kontrprojekcie traktatu pokojowego domagali się prawa samostanowienia dla Niemców w Austrii i Czechosłowacji.

Jednakże przez całe dwudziestolecie międzywojenne w Republice Weimarskiej i w III Rzeszy 'pokój wersalski' był uważany za skandal. Posuwano się do twierdzenia, że II wojna światowa była jego konsekwencją i po prostu kontynuacją I wojny. Dziś jeszcze w popularnym, wydany w 1974 roku w Monachium 'Lexikon zur Geschichte und Politik im 20 Jahrhundert' czytamy:

'Krytyka postanowień pokoju wersalskiego powstała już na konferencji pokojowej. Szczególnie delegaci amerykańscy i brytyjscy /Baruch, Keynes/ wystąpili przeciwko jego postanowieniom gospodarczym i terytorialnym. Choć ta opozycja nie zmieniła nic zasadniczego w traktacie /wręcz przeciwnie, zmieniła ustalenia w sprawie zachodniej granicy Polski - a.m./, spowodowała ona stopniową zmianę opinii najpierw w Wielkiej Brytanii. W Niemczech pokój wersalski był namiętnie zwalczany jako dyktat. Oczekiwano tam, że 14 punktów Wilsona ze stycznia 1918 roku stanę się podstawą porozumienia pokojowego, choć nie zostały one dołączone do warunków zawieszenia broni. Niemiecki sprzeciw wiązał się przede wszystkim z upokarzającymi postanowieniami, jak: obciążenie winą za wywołanie wojny, twierdzenie, że Niemcy nie są zdolne i są niegodne, aby sprawować zarząd koloniami, odmówienie prawa samostanowienia Austrii. Pokój wersalski nie spełnił swego celu stworzenia długotrwałego porządku pokojowego. Stany Zjednoczone odrzuciły jego ratyfikację i zawarły w 1921 roku odrębny pokój, bez klauzuli o winie za wywołanie wojny. Niemcy z mocarstwa światowego stały się mocarstwem drugiej klasy. Demokracja uważana w Niemczech

za system kłeski i obciążona tradycjami niemieckiego poczucia państwowego, przez karny charakter pokoju wersalskiego napotkała trudności w zakorzenieniu się w świadomości narodu niemieckiego. Z tego powodu pokój wersalski należy do czynników, które przyczyniły się do upadku Republiki Weimarskiej.

Wydół ten jest niemal klasyczny dla historiografii niemieckiej i po części angielskiej. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne w Niemczech uważano, że 'dyktat' wersalski przyjęto tylko pod groźbą wojskowej okupacji Rzeszy. W istocie rzeczywistą przyczyną II wojny światowej był fakt, że po I wojnie nie złamano rewizjonizmu niemieckiego i nie skłoniono Niemiec do rzeczywistego przyjęcia zasady samostanowienia narodów. Niemcy wywołały drugą wojnę, bo nie chciały uznać swej winy za wywołanie pierwszej. W dobie powszechnego rozwoju świadomości narodowej w Europie chciały być mocarstwem światowym w oparciu o ucisk narodowy. Istotnie nie mogły one pogodzić demokracji z tradycjami junkierskimi. Republika Weimarska upadła m.in. dlatego, że jej wątłe tradycje demokratyczne pozwoliły Hitlerowi legalną drogą parlamentarną dojść do władzy. Dopiero zupełna katastrofa militarizmu niemieckiego w II wojnie światowej spowodowała, nie zaraz zresztą i nie bez oporów, że Republika Federalna, przyznająca się do prawnej konstytucji Rzeszy, przyjęła dobre wolne zasady, m.in. prawo do samostanowienia, na które Republika Weimarska nigdy się nie zgodziła.

IV

Uniwersalny wymiar decyzji podjętych w Traktacie Wersalskim dobrze ilustruje odmienna droga do niepodległości np. Polski i Czechosłowacji.

Bohdan Cywiński w interesującym eseju pt. 'Nad historią cudzą' /'Znak', nr 7/1975/, napisanym na marginesie książki prof. Henryka Wereszyckiego 'Pod berłem Habsburgów. Zagadnienia narodowościowe' /wydawnictwo Literackie, Kraków 1975/, sugestywnie przedstawił przykład dążeń narodowych Czechów. Już w 1848 roku Palacky 'odwołał się nie do legitymacji praw historycznych, ale do względów etnicznych - do praw istniejącego współcześnie narodu jako podmiotu politycznego'. Palacky dążył jednak nie do niepodległości małych państw, ale do austrosławizmu, państwa federacyjnego Czechów, Słowaków i Słowian Południowych. Jak wiadomo, dualistyczny charakter monarchii austro-węgierskiej wykluczał realność takiej koncepcji. A z książki prof. Wereszyckiego wiemy dobrze, jak bardzo austro-węgry nie rozumiały dynamiki problemów narodowościowych.

Cywiński pisze, że dualizm austrowęgierski powstał m.in. dzięki głosom polskim w parlamencie wiedeńskim. Polacy dążyli bowiem do autonomii Galicji. Ale przecież polscy politycy, odmówiwszy solidarności Słowianom w Austrii, po pewnym czasie, przed I wojną światową, sami zwrócili się do koncepcji austro-węgiersko-polskiego trializmu i napotkali stanowczy opór Węgrów i niechęć Wiednia. Koncepcja Austrii federacyjnej, państwa słowiańskiej, rywalizującej skutecznie nie z pangermanizmem i państwizmem caratu, sformułowana przez przywódców i myślicieli czeskich, Palackiego i później przez Tomasza Masaryka, znalazła swój odrębny wyraz w polskiej myśli politycznej. Nie mogła ona odegrać znaczniejszej roli. Z wielu partnerów narodowościowych w monarchii Habsburgów każdy miał odmienne dążenia i inną taktykę. W skomplikowanych układach narodowościowych jest to z reguły słabością koncepcji federacyjnych. Polska zaś w swoich dziejach najnowszych ani nie mogła, ani nie powinna była myśleć o roli hegemonu.

Wystarczyło kilka miesięcy I wojny światowej, by Tomasz Masaryk, 'zwolennik związków ponadnarodowych' w ramach Austrii, przestawił się na koncepcję niepodległej Czechosłowacji. I było to całkiem zgodne z powszechnym podówczas dążeniem do narodowego samostanowienia. Cywiński doradza w swoim eseju, by doceniać w czeskiej historii 'elastyczność programu i skuteczność działania; od momentu cofnięcia kredytu habsburskiej monarchii do stworzenia wspólnego ze Słowakami państwa minęły zaledwie cztery lata...'. Sądzę, że w Polsce rzeczywiście istniał jakiś naganny kompleks wyższości wobec naszego południowego sąsiada i nie tylko wobec niego. Natomiast wydarzenia I wojny światowej wprowadziły niezwykłą dynamikę także do naszej myśli politycznej.

Przecież wszystkie nasze główne obozy zręorientowały się w ciągu tych czterech lat.

Cywiński słusznie zwraca uwagę, że rozpad tworów spróchniałych, jakim była np. cesarska Austria, owocuje nie sam przez się, ale w wyniku 'wcześniejszych, z myślą o przyszłości i w trudzie dokonywanych zasiewów'. Refleksję moją budzi jego ostatnie zdanie: '...siac można osobno lub razem'. Świadomość narodowa powstaje jednakże zazwyczaj w wyniku działania wewnętrznych sił społeczności etnicznej i innych sił współtworzących jej kulturę. Wspólnie natomiast narody dochodzą swych praw do samostanowienia. Dążenia takie wynikają z rozwiniętej świadomości narodowej. Naród też, do którego przynależność określają naturalnie nie tylko momenty etniczne, ale także świadomościowe, jest głównym podmiotem historii wśród różnych społeczności i tego faktu nie można umniejszać.

Ale to wszystko, co działo się w Europie na przełomie XIX i XX wieku w postaci burzliwego rozwoju świadomości narodowej, dotyczyło wielu narodów, było zjawiskiem szerokim, uniwersalnym, wychodzącym daleko poza dążenia jednego tylko narodu. Dlatego powstająca Polska nie była ani 'państwem sezonowym', ani nieudanyim tworem Wersalu. Pomijając fakt, że okazała się od początku państwem zdolnym do życia, mimo straszliwych przeciwności, samo jej odrodzenie wynikało z uniwersalnego zwycięstwa w Europie zasady narodowościowej. Polska zaś była krajem o tyle silnym i zintegrowanym, że ponowne obalenie jej - do czego dążyło no przez całe dwudziestolecie międzywojenne - okazało się możliwe tylko za cenę wywołania II wojny światowej.

V

Zwycięstwo zasady narodowościowej w Europie było przejawem uniwersalnym, ale nie zmienia to faktu, że w powstaniu państw niepodległych po I wojnie światowej poważną rolę odegrały dążenia patriotyczne, a także nowoczesny nacjonalizm. Późniejsze wynaturzenia nacjonalizmu powodują skłonność do podejmowania problematyki narodowej w kategoriach uniwersalnych i zwracania uwagi na ten wymiar zasady samostanowienia narodów. Myślę, że to właśnie podyktowało Bohdanowi Cywińskiemu słowa, że siac można osobno lub razem.

Zanim przejdę do relacji między nacjonalizmem i zasadą samostanowienia, przytoczę dwie trafne uwagi, jakie napisał w swoich studiach nad historią czeską Piotr Wandycz:

'Świadomie zajmował /Masaryk - A.M./ pozycję kontynuatora linii Hus - Komensky - Palacky, którą uważał za najwierniej reprezentującą istotę czeskich dziejów. Uniwersalizm i liberalny nacjonalizm, świecki racjonalizm i idea postępu stanowiły najważniejsze ingrediencje tego światopoglądu...'

'Jeśli czynnik wykształcenia jest jak gdyby kluczem do masarykowskiej koncepcji wychowania społeczeństwa, u Piłsudskiego na pierwszy plan wysuwa się wiara w imponderabilia. W sensie dydaktycznym oznacza to położenie nacisku na takie walory, jak honor, ideowość w rozumieniu bezinteresownej ofiarności dla sprawy, odwaga cywilna i męstwo na polu walki...'

Różnice te, jak sądzę, wiązały się m.in. z rozumieniem przez Czechów, że są narodem małym. Choć, naturalnie, główne znaczenie miały odrębności kultur obu narodów. W czeskiej decydujący był nurt liberalny i racjonalistyczny, w naszej narodowo-katolicki, romantyczny i niepodległościowy. Poza tym Polacy nigdy nie zapomnieli o wiekach swojej narodowej świetności. 'Nieszczęściem Polski - pisał francuski uczyony Louis Eisenman - było to, że odrodziła się jako państwo zbyt słabe, aby mogło być mocarstwem, a zbyt wielkie, aby mogło pogodzić się z rolą państwa drugorzędnego'.

Nacjonalizm jako kierunek myślowy i polityczny narodów europejskich pozabawionych niepodległości do końca I wojny światowej, a także narodów Trzeciego Świata po II wojnie światowej, był zjawiskiem nieuchronnym, wynikającym z dramatyzmu sytuacji tych krajów. Nacjonalizm w krajach niepodległych, szczególnie w Polsce mającej w dwudziestolecie międzywojennym ponad 30 proc. mniejszości narodowych, przyczyniał się do dezintegracji państwa i stawał się zaprzeczeniem zasady samostanowienia. Nie znaczy to, że nacjonalizm nie miał swojego

agresywnego oblicza już w okresie niewoli narodowej. Jednakże siła tej agresywności przejawiała się szczególnie po odzyskaniu niepodległości. Głoszona przez narodową demokrację w Polsce doktryna 'państwa narodowego' miała na celu zdegradowanie trzeciej części obywateli państwa do statusu ludzi drugiej kategorii. W naszym położeniu geopolitycznym było to szaleństwo, nie mówiąc już o wymowie moralnej takiej doktryny i polityki.

Jednocześnie nie należy zapominać, że w przeciwieństwie do Czechosłowacji której akcję dyplomatyczną na Zachodzie w czasie I wojny światowej prowadził obóz liberalny z Tomaszem Masarykiem na czele, sprawę polską reprezentował u aliantów obóz narodowy z Romanem Dmowskim. W Polsce obóz ten odegrał poważną rolę w akcji oświatowej na wsi oraz w dziedzinie kultury. Określony wpływ miała jego antypruska doktryna geopolityczna. Krótko mówiąc, całkowicie jednoznacznej negacji założeń i metod nacjonalizmu powinna towarzyszyć obiektywna ocena jego roli historycznej. Nie zawsze przychodzi ona łatwo, bo emocje i uzasadniona niechęć w stosunku do agresywnej warstwy nacjonalizmu nie pozostają bez wpływu na oceny historyczne. Szczególnie gdy jakies pochodne tendencji nacjonalistycznych roszczą sobie jeszcze dzisiaj pretensje aktualno-ideowe. Żartobliwie mówiąc, należy tu zdobywać się na ascezę słynnego papieskiego rozróżnienia doktryn i dokonań historycznych.

Nacjonalizm europejski brał udział w walce o zasadę samostanowienia, ale nie był też jedynym jej domiurgiem. Kapitalnie ukazuje to właśnie porównanie polskich i czeskich wysiłków niepodległościowych. Mówiliśmy już, że Czechów reprezentowali na Zachodzie liberałowie, a Polaków nacjonałiści. I odwrotnie, czeską akcję wewnętrzną rozwijali nacjonałiści Kramarza, podczas gdy polski obóz niepodległościowy walczący w kraju miał tradycje liberalne i socjalistyczne. Tymczasem w Czechosłowacji ludzie Kramarza twierdzili, że sukcesy dyplomatyczne Masaryka i Beneša były możliwe dzięki akcji wewnętrznej oraz zagranicznym legionom czeskim. Charakterystyczne było jednak, że ani w Polsce, ani w Czechosłowacji obóz nacjonalistyczny nie był w stanie przejąć władzy politycznej. Realizacja zasady samostanowienia odbywała się bowiem w atmosferze wrzeń rewolucyjnych w Europie, które pobudziła rewolucja rosyjska.

Potem nacjonalizm roztopił się w faszyzmie i totalizmie i w ten niezbyt sławny sposób schodził z głównej sceny europejskiej. Odgrywał natomiast nadal poważną rolę w Trzecim Świecie, wszędzie tam, gdzie realna walka o zasadę samostanowienia okazała się możliwa dopiero w wyniku II wojny światowej.

VI

W czasie I wojny światowej doszło w Europie do zasadniczej konfrontacji między dynastyczno-konserwatywnym światem mocarstw centralnych a państwami alianckimi, w których panowała zasada państwa narodowego o strukturze demokratycznej. Także w Rosji w chwili wybuchu wojny carat stanowił już coraz bardziej fasadę, za którą rodziła się orientacja na demokrację zachodnią, poparcie dla ruchów narodowyzwoleniczych na Bałkanach i wewnętrzne procesy rewolucyjne, mające rozstrzygnąć o przyszłości tego wielkiego kraju. W pewnym sensie można więc mówić, że I wojna światowa była starciem świata demokratycznego i autokratycznego typu ancien regime'ów. W szczególności proklamowanie przez Wilsona prawa samostanowienia narodów nadało wojnie ten charakter. Państwa centralne, Niemcy cesarskie i Austro-Węgry, stały się symbolem obumierających zasad dynastycznych i starych struktur, uprzywilejowujących wąskie warstwy wyższe oraz uciskających mniejszości narodowe. W Rzeszy Niemieckiej ze względu na jej prowincje wschodnie mniejszości sięgały 10 proc. ludności. Jedną z przyczyn wybuchu wojny był ucisk Słowian południowych przez Austro-Węgry. Rozpał monarchii Habsburgów i Turcji oraz upadek wielkich dynastii europejskich umożliwiły realizację zasady samostanowienia.

Problemy narodowościowe w krajach Europy wschodniej i południowej były tak skomplikowane, że powstanie państw narodowych nie mogło ich wszystkich zadowalająco rozwiązać. Napięcia narodowościowe i mniejszościowe istniały nadal. Nie umniejsza to rewolucyjnego znaczenia zasady samostanowienia, która przyniosła wolność licznym narodom. W dalszej konsekwencji stała się ona podstawą

dążeń wyzwoleniczych, o których zachodnie kraje imperialistyczne wcale nie myślały, jak w wypadku Irlandii czy pozaeuropejskich krajów kolonialnych.

Dlatego tak ważne jest, by zły cień nacjonalizmu nie rzutował na zasadę samostanowienia, będącą trwałą wartością ogólnoludzką i wynikiem zasadniczych zmian w stosunkach międzynarodowych. Nacjonalizm używał nader chętnie terminu "państwo narodowe" w sensie agresywnym. Ale narodowe samostanowienie i niepodległość nie ma w istocie nic wspólnego z dążeniami do ucisku innych narodowości i mniejszości. Historyczna obecność nacjonalizmów w dążeniach narodowyzwoleniczych zrodziła antydemokrację w nowo powstałych państwach narodowych, ale nie podważa to słuszności prawa samostanowienia dla całych narodów. Słuszności tej nie umniejsza także skądinąd pożałowania godny ucisk mniejszości i konflikty narodowościowe w państwach powstałych po I wojnie światowej. Skomplikowana mozaika etniczna i wyznaniowa w różnych częściach Europy, np. w Irlandii, Belgii, Hiszpanii, do dzisiaj utrudnia realizację zasady narodowościowej. Opalić jej jednak nie może. Naród okazał się bowiem wspólnotą nadzwyczaj trwałą i najlepszym naturalnym środowiskiem osobowego rozwoju człowieka. Wiodące nianie problematyki narodowej z powodu historycznych olcżeń nacjonalizmu czy skomplikowanych układów narodowościowych byłoby przyszłowiowym wylewaniem dziegci z kąpiela. Oznaczałoby bowiem podważanie wartości bardzo istotnej, także dla kształtowania stosunków humanistycznych i ogólnoludzięgo uniwersalizmu, zę względu na zjawiska przejściowe, w kulturze europejskiej na szczęście znikające. Historia uczy, że niemal wszystkie wielkie idee i zrywy ludzkości ulegały różnym zniekształceniom i wypaczeniom, czasem zresztą nader dramatycznym i drastycznym. To samo da się powiedzieć o nacjonalistycznym wypaczeniu jak najbardziej zasadnych i uprawnionych dążeń narodowych.

Po II wojnie światowej zasada samostanowienia stała się, przynajmniej w teorii, powszechna. Ogarnęła cały glob, także dawne kraje kolonialne. Jest ona tak silna w świadomości społeczeństw, że każdy, kto ją podważa lub łamie, w dalszej perspektywie godzi w samego siebie.

Sześćdziesiąt lat temu wielu Polaków uważało odzyskanie niepodległości za cud. Niejeden myśli tak do dzisiaj. Wiemy, że cud ten był rezultatem wysiłków ponad stuletnich oraz zwycięstwem uniwersalnych dążeń ludów europejskich i nadzwyczajnych czynów narodu polskiego.

Wielkie przemiany, przełamujące głębię kontynentu, dojrzewają powoli i dokonują się zawsze świadomą wolą ludzi i narodów. Sześćdziesiąt lat temu zwyciężyły w Europie zasady i wartości, których nikt nigdy z kultury europejskiej nie wykreslił, choć każde pokolenie powinno je na nowo potwierdzać.

Jan Prokop

W I E R S Z E

Pieśń makaronu czterojajecznego kształki

należę do siedmiu może osmiu podstawowych produktów spożycia
 ogólnie dostępny nie budzę sensacji
 zdobiąc obficie półki sklepów w Jaworznie Plocku nawet Słomieniu
 używam umiarkowanie życia.
 /jego sól nie-iezbyt gryzie i niezbyt różwosela/
 melancholijnie kołyszę się na rudych falach zupy pomidorowej
 podawanej pracownikom lesnym w Łopuszynie
 pewnego razu częstowano mną dygnitarza centralnego szczebla
 ze złotowłosą córeczką
 jeżdżę też za granicę w bagażnikach syrenek
 gotowany pospiecznie na campingach Bułgarii
 Serbii i Słowenii trafikem nawet na Cypr
 gdzie moje zwłoki-mój tekturowy
 domek z którego uszedł /uleciał/ duch
 w postaci mnóstwa kruchych języczków
 znaleziono u stóp antycznej fortecy miasta Famagusta.

Pieśń sera pełnotłustego Gouda

Oto ja ser Gouda pełnotłusty
 wśród jaj marmurowej bieli
 zielonogłowych żółnierzy Kéfiru
 złotych mandorli omszałego brie
 zadumany nad dziwnością losu
 który z nadbużańskich łęgów
 z wnętrza ciepłych wymion żywnościelki
 krzykliwej dziatwy chłoporobotnika Stanisława P.
 przeniósł mnie do reprezentacyjnego samu miasta Kielce
 zadumany nad igraszką anonimowych sił
 środków produkcji stosunków produkcji
 układów kumoterskich wahnienie i zyzaków
 polityki rolnej śnię złoty sen o ustach dziewczęcych
 o jej perłach zębów o jej purpurze podniebienia
 na którego tle moja anemiczna żółtość
 raczej białość lub może różowość bieli
 na tle tych zębów /perły/ miękkiego języczka warg
 jak płomień parzących
 odnajdzie nagle swoją istotę
 zrealizuje swoje najgłębsze ja /deep self/
 pod nieboskłonem podniebienia
 niebiosami miotającymi erotyczne błyskawice /Koc czerwcowe
 pochmurna
 burza za pagórkami na horyzoncie drzewo/
 Jednakże owinięty po torturach krajania staje się własnością
 pewnej rencistki
 w jej torbie przemierzam miasto zmęczonych przechodniów
 usycham obok dwóch pomidorów i papryki zamieszkującej od dawna
 jej skromną spiżarnię
 wreszcie na kromce mazowieckiego chleba nie pierwszej młodości

muśniętej nieśmiałą pieszczotą aluzją pieszczoty Polish Export
 Butter
 układam się do snu wiecznego
 nim wejść ponow nie w świat przyrody w krwiobiegu kosmosu

Pieśń skórki od chleba rzuconej wróblom na Placu Zwycięstwa
dawniej Saskim obok Grobu Nieznanego Żołnierza

Z Mielca zawędrowałam aż tutaj
 w kieszeni Zofii N. sprzątaczkę niewykwalifikowanej niezameżonej
 choć zrodziły mnie słoneczne równiny Mazowsza
 do których tęsknił poeta Broniewski-piewca rewolucji
 Nasz autobus przyjechał w wolną sobotę
 przyklepiano nośy do szyb wystawowych:
 Zofia N. usiłowała kupić spiozki i tetrę
 gdyż jest samotną matką 8-miesięcznego Mariuszka
 Obywatele Przewodniczący
 pisała po raz któryś
 proszę o łaskawe uwzględnienie moich ciężkich warunków
 mieszkam w kuchni życzylabym otrzymać przydział
 Wygryzłszy posamrównany smalcem miękisz
 trzymała mnie w palcach z wyrazem niepewności
 takiej samej jak wtedy gdy Zdzisław Sz. wicedyrektor
 zamykał na klucz drzwi gabinetu wyciągając ku niej butelkę z wódką
 Jednak usłyszawszy nagle komendę zmiany warty
 drgnęła i wtedy potoczyłam się miękką na płyty
 placu tak pełnego historii i jęku
 że gdy spadały na mnie twarde dzioby ptaków
 pomyślałam: oto orły zbiegły z porzuconych sztandarów

Anna Frey

O STANIE OSWIŁTY RAPORT INTYMNY

Gdzieś między grudniem 1975 a styczniem 1976 roku okazało się, że nie spełniam tzw. kryteriów idęowo-moralnych, obowiązujących nauczyciela akademickiego. Zaraz potem straciłam pracę w jednej ze stołecznych uczelni. Po przeszło rocznym okresie bez pracy znalazłam - ku własnemu zdumieniu - etat w pewnej prowincjonalnej uczelni, na który zdecydowałam się bez entuzjazmu. Wyobrażałam sobie na przemian to obskurne, to znów tandetnie nowoczesne sale, niski poziom studentów i niemożność porozumienia się z tzw. kadrami. Doświadczenie potwierdziło te obawy.

Nie mam podstaw, by twierdzić, że byłam traktowana jakoś specjalnie. Podobnie zapewne są traktowani wszyscy młodzi ludzie rozpoczynający pracę w tej uczelni. Tym bardziej zdziwiłam się, że nikt od początku do końca nie zainteresował się, czy mam dostateczne kwalifikacje, by prowadzić zajęcia z powierzonych mi przedmiotów. Przez cały czas nie odczuwałam ani cienia kontroli dotyczącej tego, co właściwie robię na zajęciach i jak to robię. Ten brak zainteresowania merytoryczną stroną mojej działalności był - aż za bardzo - kompensowany dozorem tzw. dyscypliny pracy. W ciągu całego roku akademickiego tylko jeden raz /pamiętam, że od rana padał wtedy mokry, lepki śnieg/ nie sprawdzono mojej obecności na dyżurze. Siedziałam więc w nie dogrzanych pokojach, zgadując, kto też tym razem wpadnie na inspekcję. Kontrolerzy zmieniali się, ale zawsze spoglądali na zegarek, czy odsiaduję właściwe godziny, a czasem nawet na to, co czytam. Jeden z nich zwrócił mi uwagę - życzliwie - że jednak nie powinnam nosić tak ostentacyjnie krzyżyka. Krzyżyk był wyraźnie ozdobny - nie mogło być żadnych wątpliwości, że nie jest przedmiotem kultowym. Nosiałam go zwyczajnie, a nie ostentacyjnie, więc na życzliwą uwagę wzruszyłam ramionami i puściłam ją w niepamięć. Jak się potem okazało - niesłusznie.

A więc pełna swoboda w prowadzeniu zajęć i skrupulatna kontrola każdego dyżuru, każdej nieobecności, każdej choroby. Nie narzekałam jednak. Co więcej, byłam zadowolona - mogłam uczyć tego, co uważałam za stosowne, i tak, jak chciałam.

Moi studenci, to przyszli nauczyciele. Tymczasem są uczeni w taki sposób i w takiej atmosferze, jakiej nie życzyłabym nikomu na żadnym szczeblu nauczania. Z kolei oni sami powtarzają zapewne te sposoby wobec swoich uczniów. Skąd bowiem miałiby wziąć inne wzory nauczania i stosunków między nauczycielem a uczniem, skoro na uczelni powielane są wzory najgorszej z możliwych do wyobrażenia szkół? Spróbuję wskazać elementy tego wzoru.

Po pierwsze - niemal bizantyjskie wyczucie hierarchii. Prowadzący zajęcia jest *ex definitione* na samej górze, niezależnie od tego, jak ocenia się jego intelektualne zdolności. Choćby student był przekonany o tym, że asystent czy profesor przychodzi nie przygotowany na zajęcia, które rozpoczyna z opóźnieniem, a kończy za wcześnie, choćby przypuszczał, że nie ma on dostatecznych kwalifikacji do prowadzenia przedmiotu, to i tak okazywać mu będzie ów obłudny, ugrzeczniony szacunek - po prostu dlatego, że wie, iż sam jest na samym dole. Zajęcia odbywają się więc zgodnie ze szczeniacko-szkolnym podziałem ról: nauczyciel ma władzę /niekoniecznie wiedzę/ i w ogóle dużo może; może na przykład nie zaliczyć zajęć, studenci ze swej strony mogą dbać jedynie o to, by się nie narazić i by się nie dać.

Traktowano mnie więc dość ceremonialnie, a zajęcia ze mną - jak jeszcze jeden dopust boży. Może nawet bardziej uciążliwy niż inne, bo odbywający się wedle nieznanych reguł. Istotnie - nie zadowalały mnie dobrze wykute odpowiedzi ani powszechnie przyjęte sposoby oceniania.

Obowiązuje bowiem w tej wyższej szkole - i to jest drugi element wzoru -

szczególony model odpytywania, który określiłabym hasłowo 'bodziec - reakcja'. Bodźcem jest pytanie /najchętniej zadawane zawsze w ten sam sposób/, na które już bezrefleksyjnie reaguje się odpowiedzią, właściwą odpowiedzią. W tym oznaczonym etykietkami świecie, który narzuca się studentom, jest to wcale nie-trudne. Wystarczy dobra pamięć. Byłam kiedyś świadkiem egzaminu z filozofii. Wykładowca pyta: 'Kto był zwolennikiem wariabilizmu?' Popadam w popłoch, bo nigdy o wariabilizmie nie słyszałam. Ale student słyszał i odpowiada spokojnie: 'Heraklit'. Doznaję olśnienia - prawda, wszystko płynię! A wykładowca pyta dalej: 'Z jakich pierwiastków według Empedoklesa zbudowany jest świat?' Proszę bardzo: 'Ziemia, powietrze, ogień, woda'. Co zawdzięczamy 'Demokrytowi?' 'Pogląd o cząsteczkowej budowie materii. Demokryt był materialistą'. /W filozofii, w każdym razie wykładanej w tej uczelni, dobrze jest być materialistą. Idealistą nie radziłabym być nikomu, bo to straszne, choć bliżej nie określone wykroczenie przeciwko tamtejszej filozoficznej moralności/. To był dobry student. Egzamin trwał nie więcej niż 10 minut.

Poza tym, że na każde pytanie istnieje tylko jedna dobra odpowiedź, trzeba znać - i to jest trzeci element wzoru - co dobre, a co złe. Studenci to wiedzą. Już na pierwszych zajęciach poinformowali mnie, że 1. kapitalizm upada, 2. kultura kapitalistyczna /kto wie, co to takiego?/ stoi na niższym poziomie niż socjalistyczna i w zasadzie też - jak cały system - upada, 3. upada kapitalistyczne szkolnictwo i tylko dzieci bardzo bogatych rodziców mogą się uczyć. Czy wierzyli w to, co mówili? Przypuszczam, że nigdy się nad tym nie zastanawiali. Znali po prostu 'karty', jakimi 'gra się' na ich uczelni. Chcieli mi dać do zrozumienia, że je znają, że są w nich biegli i że są gotowi wywiązywać się ze swoich ideologicznych obowiązków. Zawiodłam ich. Wytknęłam im, że wolą muzykę kapitalistyczną i że Roda Stewarta nie zamieniliby na Jerzego Połomskiego. A czy z filmami nie jest podobnie? A z literaturą? Ale mimo to upada - upierał się ostatni nieprzejednany - choć zdarzają się rzeczy dobre /nie twierdzi, że nie/. To, że kapitalistyczna kultura upada, okazało się pewnikiem przyjętym apriorycznie. Jeżeli fakty mu przeczą, tym gorzej dla faktów. A szkolnictwo? Czyżby nie wiedzieli, że i na zachodzie Europy bywa obowiązkowe? Otóż nie wiedzieli! Absolwenci radiowej 'Jedynki'! Czy mi uwierzyli? W każdym razie prawdopodobnie po raz pierwszy usłyszeli na zajęciach coś, co nie chciało się dopasować do użytecznych dotychczas matryc.

Zacząłam więc od niszczenia schematów myślowych, standardów oceny i wzorów rozmowy między nimi a mną. Gdy tylko zorientują się, że nie muszą wkuwać, że nie wymagam recytowania jedynie słusznych odpowiedzi, że mogą mieć wątpliwości, a nawet zdanie odmienne od mojego, że tępię etykietowanie, wtedy - miałam nadzieję - zaczniemy naprawdę wspólnie myśleć o problemach, które są, a w każdym razie staną się dla nich ważne i bliskie.

Jedynym natychmiastowym skutkiem moich wysiłków była nowa definicja sytuacji wypracowana przez studentów, a zawarta w hasle 'Eoga nie ma, wszystko wolno'. Taka definicja niczego mi nie ułatwiała. Czyż chodziło mi o to, by w ogóle nie czytali literatury przedmiotu? O to, by na moich zajęciach mogli spokojnie zajmować się czym innym, na przykład odrabiać ćwiczenia z rosyjskiego? By każde moje pytanie traktowali jak nietakt? Trudno nie być belfrem w belferskiej szkole. Uparłam się jednak. Nie odpytywałam, nie stawiałam stopni, nie wrzeszczałam na tych, którzy czegoś nie wiedzieli, bo nie czytali. Ale uczestnictwo w zajęciach odbywało się w myśl moich, niebelferskich zasad. Można było odrabiać rosyjski, lecz jeśli się chciało mówić, to 'własnymi słowami'. Większość nie odzywała się wcale, parę osób z grupy udało mi się jednak zainteresować.

Początkowo zaciękała ich zapewne dziwaczność zajęć, na których nie odczytywało się notatek z zeszytu. Potem chyba przywykli do tego, że są uważnie słuchani, że mogą mieć pytania i wątpliwości, na które zawsze - w miarę moich możliwości - starałam się odpowiedzieć, a nawet wspierałam ich odmienne od mojego zdanie argumentami, które im znaleźć byłoby trudno.

Muszę jednak przyznać, że pewnych granic do końca chyba nie udało mi się przekroczyć. W maju czy w kwietniu, a więc kiedy znaliśmy się już dobrze, ktoś na zajęciach zapytał, czy marzec 68 był ruchem kontrkulturowym. Zanim

zaczęłam odpowiadać, usłyszałam spłoszoną ciszę. Nie było to oczekiwanie na hoce. Wydali mi się przestraszeni pytaniem i to przestraszeni trochę w moim imieniu. Tym bardziej mieli kłopoty za złe: jak można stawiać kogoś w sytuacji, w której musi odpowiadać na niebezpieczne pytania? Ta cisza oznaczała chyba, że w walce o ich intelektualną odwagę przegrałam, choć może zyskałam sympatię niektórych z nich. Jestem niemal pewna, że po raz pierwszy w swoim studenckim życiu usłyszeli na oficjalnych zajęciach słowo 'marzec 68'. Zareagowali więc tak, jakby zobaczyli ducha, i to w dodatku groźnego. Ktoś dotknął tabu, a to zawsze napawa lękiem. Ileż jest takich sfer skazanych na milczenie, a przez to niebezpiecznych i groźnych? Odpowiedziałam, że moim zdaniem marzec nie był ruchem kontrkulturowym. Starałam się argumentować i mówić możliwie spokojnie, choć byłam poruszona - ten ruch to przecież mój rodowód moralny i intelektualny. Chyba nawet nikt na mnie nie doniósł, bo z różnymi się potem spotkałam zarzutami, ale ani razu nie wytknięto mi, że na oficjalnych zajęciach opowiadałam o marcu.

Siostra Helenki miała kłopoty z geologią - opowiada młody asystent - ale ja znam faceta, z którym miała zajęcia, więc poszedłem do niego i powiedziałem mu, że dziewczynie grozi wywalenie ze studiów. To porządny gość. Następnego dnia zaliczył jej od ręki. Ileż takich opowieści słyszałam w każdej sesji! A że przyszły nauczyciel nie będzie znał swojego przedmiotu? No cóż, trzeba być ludzkim /aspekt humanistyczny/ i życiowym /aspekt pragmatyczny/. Tylko formalisci oraz ci, co chcą być ważni, mogą się w tych sprawach upierać. Czy tak myślą wszyscy? Na szczęście nie, ale taka jest środowiskowa norma czy - jeśli kto woli - podkultura. Reszta to odstępstwa od tej reguły, to maniacy, którym zależy na ich przedmiotach, to przesadnie uczciwi rygoryści przekonujący, że nie mogą zaliczać zarówno tym, którzy umieją, jak i tym, którzy nie umieją. Słowem, są nieludcy i nieżyłowi. Ale i na takich są sposoby. Jeśli nie skutkuje kwiaty ani koniaki, wtedy trzeba poszukać krewnego lub znajomego; który ma 'dojście' do władz uczelni. Władza lubi być ludzka, zwłaszcza jeśli może liczyć na doraźne dowody wdzięczności lub na przyszły rewanż. Ponadto niektórym odmawiać nie wypada. Fakty? Przebieg wydarzeń jest następujący: dziekan lub kierownik katedry wzywa opornego asystenta i prosi, aby wskazanym przez niego osobie 'dać szansę'. 'Kogoby kolega jeszcze raz przepytac!' 'Kolega' rozumiejąc, o co chodzi, zalicza, bo jakże tu odmówić uprzejmemu nagle szefowi. Ale w dwóch przypadkach, które znam, 'kolegdy' uparli się głupio. 'Nie zaliczę, bo nie umie i szansy dodatkowej też nie dam - wszyscy mieli tyle samo możliwości i uprzywilejowanie tej jednej osoby byłoby nieuczciwe, niesprawiedliwe wobec reszty'. Co wtedy? W pierwszym przypadku ćwiczenia zaliczył ostatecznie wykładowca /wpisując od razu trójkę z egzaminu/, w drugim - dziekan.

Dlaczego asystenci nie protestują przeciwko procederowi, który godzi bezpośrednio w ich godność, w ich pozycję, w sensowność ich pracy w ogóle? Dlaczego nie protestują przeciwko innym rzeczom, na przykład niesprawiedliwemu rozdziałowi pokoi w akademiku, czy nonsensowi szkolenia partyjnego? Aby to zrozumieć, trzeba znać ich sytuację życiową. Są to przeważnie bardzo młodzi ludzie, coraz częściej absolwenci tej właśnie uczelni. Wyrosli i dojrzewali w tej atmosferze - żadnej innej nie znają. Po drugie - są w przeogromnym stopniu zależni od instytucji, w której pracują. Są bowiem przeważnie dziećmi chłopów, które wielkim wysiłkiem własnym i swoich rodzin zdobyły wyższe wykształcenie i - co więcej - zostały pracownikami nauki. Dla nich samych i dla ich rodzin oznacza to zafotną karierę. Ale chociaż awansowali tak znacznie - ich pensje są poniżej przeciętnej krajowej, choć - jak to się mówi - przeszli ze wsi do miasta - w mieście nie mają gdzie mieszkać. Akademik jest dla nich jedyną możliwością - z ich zarobkami nie może być mowy o prywatnym wynajęciu choćby tylko pokoju. No i mieszkając w akademiku mają szansę /odległą, ale zawsze/ na przydział mieszkania z puli uczelni. Czy jest więc do pomysłenia odruch buntu lub tylko niezgody na obyczaje, które panują na uczelni? ICH uczelni? Czymże by byli bez uczelnianego etatu? Czy jego utrata nie oznaczałaby największej życiowej porażki? Czy ich środowisko zapewniłoby im wtedy mo-

ralne, psychologiczne wsparcie? Są to pytania retoryczne. Zdziwiali mnie raczej ludzie, którzy w tych warunkach nie skłonizowali się całkowicie, którzy zachowali własne spojrzenie na sprawy uczelni i po swojemu je oceniali. Poznałam kilka takich osób - były to jednak w większości osoby, które zetknęły się z innymi środowiskami akademickimi: kończyły studia w Warszawie, Krakowie czy Wrocławiu lub nawet tam zaczynały pracować.

Chciałabym być dobrze zrozumiana: nie mam nic przeciwko asystentom chłopięcego czy robotniczego pochodzenia. Odczuwam szacunek i podziw dla ich wysiłku i tego, co osiągnęli. Nie wiem, jak to zrobili, żyjąc od ukończenia szkoły podstawowej na stacjach i internatach, w których warunki uciążliwie już nie tylko wymogom stawianym przez pracę umysłową, ale po prostu wymogom higieny, tak psychicznej, jak i fizycznej. Jako asystenci zaś mieszkają w dwuosobowych pokojach - kłitkach, gdzie nie ma nawet miejsca na dwa biurka czy choćby blaty do pracy, ściany są tak cienkie, że słychać szelest przewracanych w sąsiednim pokoju kartek /nie przesadzam - nie są to właściwie ściany, lecz przepięrzenia z dykty/, a jeden prysznic i jedno WC przypadają na sześć, siedem osób. Między sytuacją studentów i młodszej kadry naukowej z takich prowincjonalnych ośrodków, a sytuacją ich rówieśników z dużych ośrodków akademickich o starej tradycji nie ma żadnego porównania. Są to dwa niewspółmierne pod każdym względem światy, są to dwie różne rzeczywistości, dla których jednej miary być nie może. Dopiero z tamtej perspektywy zrozumiałam, że mimo wszelkich kłopotów, jakich przysparza mi moja nieukrywana postawa, jestem właściwie uprzywilejowana. Zależę od instytucji w stopniu tak nieporównanie mniejszym, że szczyścić się niezależnością poglądów byłoby wręcz nietaktem. Ja mam za sobą wcale niemałe środowisko i najlepsze - w moim pojęciu - tradycje. Mam więc zabezpieczenie psychiczne, a w pewnej mierze i materialne. Wszak przez ponad rok żyłam z chałtur, o które postarano się dla mnie. Mam wiele do stracenia, ale solidarność grupy przyjaciół i przekonanie, że jestem po stronie słusznej sprawy, wyrównują do pewnego stopnia te koszty. Co mają moi koledzy z prowincjonalnej uczelni? Co mogą mieć?

Jest więc taka, jaka może być, ta młodsza kadra naukowa. Ale im wyżej, tym gorzej. I to pod każdym względem. Wśród młodszych zdarzają się jeszcze ludzie, którzy chcą być i pozostają uczciwi. Których stać na odmowę, gdy proponuje się im przegładanie torby podejrzanego sąsiada i donoszenie, co ów sąsiad mianowicie w niej nosi. Po odmowie przenosi się ich wprawdzie do innego pokoju, ale jest to pokój nie gorszy. Natomiast ów podejrzanym zastaje nowego współmieszkańca /fakt!/. Wśród młodszych są jeszcze tacy, którym zależy: często za własne pieniądze jeżdżą na seminaria do większych ośrodków akademickich, zdają tam na studia doktoranckie, wybierają niepożądanych promotorów dla swoich prac doktorskich. Skąd biorą siły, aby to zrobić? Kto i kiedy wyposażył ich we właściwe miary, dzięki którym potrafią odróżnić dęte głupstwo od wiedzy? A może nosi w sobie tę miarę każdy człowiek? Może nie trzeba się ich uczyć, wystarczy tylko nie niszczyć ich, nie zagłuszać, pozwolić im w sobie pracować? Skąd w takim razie biorą się te rzesze nieprawdziwych magistrów, fałszywych doktorów, oszukańczych docentów? Czy oni po prostu sprzedali swoje miary za pozycję i prestiż nauczyciela akademickiego? Niektórzy pewnie tak. Ale nie wszyscy, nawet nie większość.

Większość odbyła dziwną, nieco określną drogę do tej prowincjonalnej uczelni. Jedni, najzdolniejsi z wojewódzkiego aparatu partyjnego lub może raczej najgorzej ustawieni w wojewódzkich koteriach, dostali skierowanie 'do nauki', przeszli przez Wyższą Szkołę Nauk Społecznych przy KC albo i studia doktoranckie w Moskwie, na przykład z naukowego ateizmu, po czym zostali wykładowcami filozofii na mojej uczelni. Inni to docenci. Uczelnie i instytuty w centralnych ośrodkach naukowych cierpią na nadprodukcję doktorów habilitowanych, których w związku z tym nie mogą poobdzielać stanowiskami docentów. Po stanowiska jeździ się więc na prowincję. Byłaby z tego jeżdżenia obopólna korzyść, gdyby nie fakt, że owi docenci pojawiają się tam na krótko i raczej rzadko - w ciągu jednego dnia raz na dwa tygodnie 'wyrabiając' swoje pensum i znikając. Praktycznie nie mogą oddziaływać ani na studentów, ani na kadre w kontaktach tak krótkich, przypadkowych i ulotnych. Jeszcze inni to 'ambitni', którym za-

83
leży na władzy. Przyjeżdżają kierować, zasiadać w radach naukowych, w kolegiach rektorskich, decydować, karać i nagradzać. Ambitni są członkami PZPR, co rozumie się samo przez się. Dlaczego? Przede wszystkim w PZPR ma się więcej informacji. Tzw. szeregowy członek partii nie decyduje wprawdzie o niczym, ale przynajmniej wie, a wiedząc może pilnować swego. Już go nikt zaocznie na zebraniu partyjnym nie obsmaruje. Ponadto nie można mu zarzucić, że nie jest członkiem, co będzie pierwszym, podstawowym zarzutem w razie jakiegoś 'podpadnięcia'. No, a jeśli podpadnie członek partii? Cóż, ludzie są omylni, członkowi można wiele wybaczyć. Członek może obiecać poprawę, trzeba wierzyć w człowieka. Niemal na moich oczach wybaczone dość skandaliczne malwersacje finansowe. Jest więc przynależność do PZPR warunkiem przedwstępnym wszystkiego.

Poza osobami z awansu partyjnego, poza docentami i 'ambitnymi', są tam jeszcze osoby, którym z jakichś względów nie powiodło się w większych ośrodkach akademickich. Względy bywają bardzo różne. Może chodzić o niepowodzenia osobiste, skandal finansowy, obyczajowy... a poza nimi wszystkimi są tam zwyczajni chałturzyści, którzy przyszli na uczelnię zarobić. Można by sądzić, że w 'nauce' nie robi się pieniędzy. Otóż, jeśli weźmie się ponad 500 godzin zajęć w roku /pensum wynosi 270 godzin/, to jest to już pieniądz, choć nie są to już uniwersyteckie zajęcia!

Wśród młodszych pracowników uczelni zaczynają coraz wyraźniej dominować jej wychowankowie, zależni od niej także psychicznie i kulturowo. Uczelnia jest dla nich jedynym źródłem wzorów i norm postępowania, jedynym układem odniesienia i środowiskiem, z którym mogą się identyfikować. wiejskie lub małomiasteczkowe rodziny funkcji spełniać takich nie mogą. Nie tylko dlatego, że nie ma ich na miejscu, ale przede wszystkim dlatego, że dzieci dokonały awansu tak znacznego, iż łączy je z rodzicami niewiele wspólnego. Może tylko wspomnienia z dzieciństwa i okruchy wiary.

Moje konflikty z 'górami' były nieuniknione. O akademię ku czci rewolucji październikowej, która była obowiązkowa, a ja na niej nie byłam. O jakieś składki, które prawie automatycznie odlicza się od pensji, a których nie chciałam zapłacić. 'Czy są obowiązkowe?' zapytałam. 'No... wszyscy płacą!' ale czy są obowiązkowe? Urzędniczka zareagowała oburzeniem, jakbym swoim pytaniem zaatakowała ją osobiście. Ponieważ nie mogłam dojść z nią do porozumienia, poprosiłam w końcu o polecenie służbowe dotyczące tych nieszczęsnych składek. Zyskało mi to sławę niekulturalnej.

Pojawił się i konflikt o ów krzyżyk, którego nie powinnam była nosić tak ostentacyjnie. Był już drugi semestr, gdy wezwał mnie do siebie dyrektor instytutu i zapytał wprost, czy to prawda, że noszę krzyżyk. Pożałowałam, że nie mam go na sobie, bo wtedy i pytanie i odpowiedź byłyby zbędne. Odparłam, że noszę. No właśnie. Zwrócono na to uwagę rektorowi, a rektor polecił mi zwrócić uwagę pani. 'Czy jest coś złego w tym, że noszę krzyżyk?' 'To może działać źle na młodzież.' 'Krzyżyk?' ciągle jeszcze udawałam, że nie rozumiem, choć od początku rozumiałam aż nadto dobrze. 'Proszę pani, to jest marksistowska uczelnia i my stramy się wychować młodzież w duchu ateistycznym. Współpracujemy z Towarzystwem Krzewienia Kultury Świeckiej i miarą naszego sukcesu pedagogicznego jest, jeśli student zapisze się do tego towarzystwa.' 'Nie wątpię, że 'nasza młodzież' tłumnie się zapisała. Mam chyba prawo nosić to, co uznaję za stosowne. Mam prawo do własnych przekonań.' Dyrektor nie podejrzewał pewnie, że jestem zupełnie niepraktykująca i niepewna tak swojej wiary, jak i niewiary. W swoim przekonaniu trafił na dewotkę i klerykałkę. Nie chciał być dla takiej osoby zbyt surowy, starał się więc złagodzić sytuację jowialnym tonem: 'leż może pani nosić, może pani nosić, co się pani tylko podoba, byle nie w murach socjalistycznej uczelni.' 'Co warte są przekonania, których można się wyzbyć przekraczając jakieś mury? Co warte byłyby przekonania marksistowskie, gdyby przestawiały się je wyznawać poza murami socjalistycznej uczelni?' 'Mamy prawo formułować nasze wymagania w stosunku do kadry. Pani ma kontrakt podpisany na rok. Niech pani o tym nie zapomina. Dziękuję pani.'

W czerwcu dostałam wymówienie. Oczywiście nie z powodu krzyżyka. Trzeba było zredukować liczbę zatrudnionych o kilka czy kilkanaście osób. Zmniejszono więc i mnie, pewnie za "całokształt".

Moje współmieszkancki z akademika patrzył na mnie przerażony: "Co teraz zrobisz? A może to jeszcze nie jest pewno? Napisz podanie, może dadzą się ubłagać i zostawią cię jeszcze na rok". Takie były najżyczliwsze rady, taka jest ich ideologia. Czulałam się trochę jak oszust. Oczywiście zmartwiłam się też: 3 tysiące złotych to 3 tysiące złotych i wiadomo, że piechotą nie chodzi. Nie pokoiłam się, jak dam sobie radę i co dalej. Ale one martwiły się moim wymówieniem bardziej niż ja. Wydawało im się, że to dla mnie koniec świata, bo byłby to koniec świata dla każdej z nich. Korzystałam więc z czegoś, co nie zupełnie mi się należało: z czyjś współczucia, choć nie stała mi się znowu taka wielka krzywda. One w takiej sytuacji nie znalazłyby wsparcia u nikogo: ani u rodziny, która uważałaby po prostu, że córka "nie sprawdziła się", ani u kolegów z pracy. Tym ostatnim trudno byłoby kwestionować decyzję władz, nie tyle z obawy przed karą, ale dlatego, że ta sama władza wyniosła ich i utrzymuje na stanowiskach. Jeśli więc mogłaby się mylić zwalniając kogoś, to mogłaby się także mylić przyjmując do pracy, a taka możliwość godziłaby już bezpośrednio w ich poczucie własnej wartości. Tak oto brak lub słabość niezależnych kryteriów naukowych powoduje, że krytyczna postawa, odruch protestu czy otwarte sprzeciw są trudne psychologicznie i mało w związku z tym prawdopodobne.

Otrzymując zwolnienie miałam zapewnione wsparcie przyjaciół, znajomych, a nawet nieznajomych ze swojego środowiska, ponieważ po prostu jestem "skądś", z jakiegoś kręgu społecznego o wyraźnym ethosie. Dopóki działałam w jego ramach, a zwłaszcza jeśli za otwartą z nim identyfikację spotyka mnie jakaś przykrość, mogę przynajmniej liczyć na moralne wsparcie ludzi, którzy - tak jak ja - należą do tego samego kręgu. Moje współmieszkancki z akademika są "znikąd". Znikąd w sensie społecznym. Jeśli mają rodziny, to bardziej biologiczne niż społeczne, ponieważ społecznie i kulturowo przynależą do innego świata niż matki, ojcowie, a często i rodzeństwo. Świat "uczelni" jest niezrozumiały dla ich bliskich, a uczelniane doświadczenia są nieprzekładalne na język ich rodzinnego domu. To, co łączy tych młodych ludzi z ich rodzinami, to zapachy bezprowrotnie minionego dzieciństwa odnajdywane w paczkach z domów, święta coraz częściej nazywane wakacjami oraz - być może - skrywana wiara. Skrywana, bo i oficjalnie niemiłe widziana, i naprawdę niepopularna, ponieważ kojarzona z dziecięctwem właśnie, zależnością od rodziny, zaduchem nietolerancji i zabobonu. Osoba prawdziwie nowoczesna, w dodatku pracująca na uczelni, czyż może chodzić do kościoła? Czyż jej wypada?

Nie może to zatem być rodzina. Czy mogłaby to być jakaś inna grupa społeczna? Nie widzę takiej grupy. Ludzie ci pochodzą z różnych miejsc, różne były ich drogi do asystentury, w tej wyższej szkole, różne biografie, różne w związku z tym perspektywy. Mają ten sam cel - osiągnąć przyzwoity, mieszczański poziom. Nie jest to mało: przede wszystkim mieszkanie, meble, ubrania, ambicjonniejsi myślą zapewne o samochodzie... Plan na lata, plan wymagający wyrzeczeń, wytrwałości, chałtur, a przede wszystkim etatu na uczelni. Takie plany, takie cele życiowe, choć powielane przez wszystkich niemal mieszkańców akademika, przede wszystkim znajomych, nie łączą, ale dzielą. Wyzwalają mechanizm konkurencji, a czasem zawiści, że komu innemu udaje się nieco szybciej, nieco mniejszym kosztem... Poczuciami wspólnoty, solidarności, lojalności perspektywa dorabiania się stworzyć nie może. Powstają więc osobni i słabi wobec uczelni - swojej pracodawczyni i dawczyni innych pożądaných dóbr. Ja, choć nowa wśród nich i bez żadnych kontaktów, o ileż byłam silniejsza! I znowu nie jest to moja zasługa, ale tego zaplecza, które mam i czuję za sobą, a którego one nie mają i na które nie miały szansy.

Okazuje się, że biografie tych młodych ludzi doprowadziły ich do miejsca, z którego widzą oni tylko jedną drogę, jeden cel - drogę instytucjonalnego awansu i życiowego dorabiania się. Ten cel i ta droga są dla nich zrozumiałe, bliskie i nie kwestionowane, choćby dlatego, że innych możliwości nie widzieli. Swoje życiowe scenariusze znają na pamięć, znają go też z cudzych realizacji i je wyobrażają sobie życia innego niż opisane i zaplanowane w tym scenariuszu.

Potknięcie się w jego realizacji oznacza wpadnięcie w społeczny niebyt, z którego jakże mozolnie trzeba się potem dostawać do tej samej opowieści, tylko na jej wcześniejszy, a więc gorszy etap. Aby można było odezwać inaczej, a potem inaczej działać, inaczej żyć, potrzebna jest alternatywa. Alternatywa na życie, na obronę przed społecznym niebytem, na społeczne istnienie.

Przemierzałam przez to miasto przez wiele miesięcy. Szare, straszące gdzieś gdzie bezsensownymi wieżowcami, pozbawione zieleni nawet wiosną. Szare, choć zieleń i wieś są tak blisko! Znacznie bliżej niż na najbardziej nawet oddalonych od centrum osiedlach warszawskich, wieś jest obecna w samym mieście: sprzedająca, kupująca, wyróżniająca się na ulicach kolorami. Wieś, która musi pojechać do miasta po pszenny chleb, kiełbasę i nici. Zmęczona pod swoimi koszykami, tłoczona do PKS-ów, i biedna. Jej stała obecność w tym mieście nie jest bez znaczenia dla jego mieszkańców. Stanowi ona pierwszy, najbardziej widoczny i najkorzystniejszy przy porównaniach układ odniesienia. Wygodna, szra, gęstość ze sklepami i posadą, z lakierni do włosów i łazienką, a z drugiej strony umordowana, zabicana, zabłocona wieś. Nikt nie ma wątpliwości, kto tu jest górą. Że jest w tym mieście gorzej niż w Warszawie? Kto by to pamiętał! Warszawa jest daleko, a wieś jest blisko. I ta bliskość przypomina, że mieszkańcy miasta w każdym razie mają się lepiej, bezpieczniej, wygodniej. Jest to szczególnie oczywiste dla tych, którzy pochodzą ze wsi - im się udało, oni awansowali do miasta zostawiwszy gdzieś za sobą, niżej swoje rodziny, krewniaków, sąsiadów. Teraz mieszkają tam, gdzie jest Moda Polska, która sprzedaje ludowe pasiaki, gdzie Cepelia i władze. Gdzie jest nawet wyższa uczelnia.

Jerzy Kreczmar

OD NIEPORZĄDKU DO RUTYNY

/Przyczynek do dziejów czasopiśmiennictwa teatralnego 1945-57/

Pamięci
Edwarda Csato

Na początku był nieporządek.

Zmieniała się numeracja, papier, format, redaktorzy i instytucje patronujące.

Pierwszy numer ukazał się w październiku 1945 r.^{1/} Drukowano go w Krakowie, redaktorem był Jan Nepomucen Miller, a do komitetu redakcyjnego należeli: Wacław Borowy, Edward Kozikowski, Arnold Szyfman, Tadeusz Breza i Krystyna Grzybowska. Kto to finansował, czytelnika nie informowano.

Od czerwca następnego roku zaczyna wychodzić miesięcznik pod tym samym tytułem, teraz już wydawany przez Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie; redaguje go nadal J.N. Miller. Zapomniano o krakowskim pierwszym numerze - zaczęto jeszcze raz, od początku. Szło nie bez przeszkód, o czym świadczy znaczna ilość numerów "podwójnych". W ciągu szesnastu miesięcy ukazało się jedenaście zeszytów. Utrzymywała się okładka Tadeusza Gronowskiego, zmieniały się kolory.

Na jesieni 1947 r. zachwiała się - dotychczas na pół tylko ustabilizowana - sytuacja w kraju. Z układu wielopartyjnego przechodziło się na system monopartyjny.

Podwójny zeszyt, poświęcony twórczości teatralnej w ZSRR, odrzucił dawną szatę zewnętrzną. Do druku przygotowali go /zgromadzili teksty?/ - Aleksander Baliński i dawny sekretarz redakcji, Józef Słotwiński. Następny, opóźniony, zeszyt grudniowy zaopatrzone w notę redakcyjną:

"Numer niniejszy 'Teatru' dojdzie do rąk Czytelników z parotygodniowym opóźnieniem. Numer następny, za miesiąc styczeń i luty 1948 r., wydany będzie w podwójnej objętości. Nastąpiło to na skutek zmian organizacyjnych w redakcji 'Teatru'. Po wprowadzeniu nowych działów, zreformowaniu układu, wzbogaceniu treści - następne numery 'Teatru' ukazywać się będą jak dawniej regularnie, przed 15-tym każdego miesiąca, przynosząc czytelnikom artykuły i opracowania wiadomości z dziedziny sztuki teatralnej w Polsce i na szerokim świecie."

Otwierało zeszyt sprawozdanie z narady w Komitecie Centralnym PPR, gdzie debatowano nad sprawami teatralnymi /w dniu 7 grudnia 1947 r./, a poza tym znajdujemy tu jeszcze przedruk z prapierwszego numeru: artykuł Borowego o przekładach Szekspira /prawda, że poszerzony/, dwie recenzje z przedstawień warszawskich /Wilki i owce, Rewizor/ i parę sprawozdań, które zapewne znalaziono w tekach redakcyjnych.

Upłynniono remanenty. Nikt nie podpisał numeru jako redaktor.

Zgodnie z zapowiedzią, od stycznia 1948 r. ukazuje się 'Teatr'. Wydawcą jest dalej PIW. Redaguje anonimowe Kolegium. Format zmieniono z książkowego na kasetowy. Natomiast nie dotrzymano obietnicy: pismo nie ukazywało się regularnie. Początkowo był to prawie kwartalnik: zeszyt zawierał po trzy numery. Potem terminowość się poprawiła. W nowym kształcie pismo przetrwało dwa lata. W pierwszym roku autorem artykułów kierunkowych był Schiller.

Na jesieni 1949 wszystkie teatry upaństwowiono. Powstał urząd do kierowa-

1/ Zawierał tekst listu przedśmiertnego Jaracza, przedruk przedwojennego artykułu Cierniaka /o teatrze ludowym/, eseje J.N. Millera, L.H. Morstina, W. Borowego /'W jakich przekładach grać Szekspira?'/ i wspomnienia Mieczysława Rulikowskiego o artystach zmarłych w czasie wojny.

nia przedsiębiorstwami /Centralny Zarząd Teatrów/. Pismo znowu zmieniło oblicze.

Powrócono do formatu książkowego. Jako wydawca nadal figuruje PIW, a redaguje Kolegium, ale wielka ilość artykułów programowych nadaje pismu charakter organu półurzędowego. Od piątego numeru czytamy, że "Teatr" zatwierdzono pismem Min. Oświaty nr VI Oc-2622/49 z dnia 20 lutego 1950 r. jako pismo požądane w bibliotekach nauczycielskich. Od stycznia 1951 Kolegium traci anonimowość. Dowiadujemy się o dwu redaktorach: S. W. Balicki i J. Szczepański i o składzie dziesięciosobowego Komitetu Redakcyjnego. Ponadto ukazuje się informacja, że przedsiębiorstwo PIW wydaje pismo na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Urzędowy charakter został ujawniony. Ogłoszony skład Komitetu zapewne niewiele różnił się od dawnego Kolegium. W ciągu dwu lat ukazało się tylko 17 zeszytów, zatem o regularności dalej nie mogło być mowy.

Stabilizacja zaczęła się dopiero w roku następnym, kiedy redakcję objął Edward Csato, a pismo zmieniło się w dwutygodnik.

Zabłysnął jako recenzent teatralny w Łodzi. Kiedy powstały "Nowiny Literackie", przeniósł się do Warszawy i wszedł do redakcji jako sprawozdawca teatralny. Przez czytelników tygodnik był uważany za organ nie zjednoczonej jeszcze z Pepeerem Polskiej Partii Socjalistycznej, choć redagował go bezpartyjny Iwaszkiewicz. Csato był członkiem PPS.

W Warszawie wiódł życie nie uporządkowane, dalekie od tego, co się nazywa systematycznością. Kiedy po likwidacji "Nowin" i zlaniu się obu partii został zastępcą kierownika Centralnego Zarządu Teatrów - czekały go podróże w teren, wizytacje i bankiety. Obdarzony żywym temperamentem, dawał się ponieść zdarzeniom.

Jego związki z "Teatrem" były początkowo dość luźne. Zamieścił tu artykuły /jeszcze w latach 46-47/ o powojennych rolach Żelwerowicza, o schillerowskich "Krakowiakach" i brał udział w ankiecie o recenzji teatralnej. Potem jako wiceszef Urzędu wchodził w skład kolegium redakcyjnego, ale pismu chyba wiele czasu nie poświęcał.

Zasadnicza reforma czasopisma zbiegła się z początkiem okresu normalizacji w życiu osobistym redaktora.

Od lutego 1952 r. "Teatr" wychodzi dwa razy w miesiącu. Ukazuje się regularnie, choć nieraz z opóźnieniem. Nie ma już charakteru półurzędowego. Długo jest traktowany jako organ SPATIF-u. Takie określenie przysługiwało pismu przez siedem lat. Od połowy 59 roku odpowiedzialność finansową przejęły Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe.

Csato objął redakcję w szczytowym punkcie okresu błędów i wypaczeń. Generalna linia polityczna obowiązywała wszystkich. Telewizja zaledwie kiełkowała, więc teatry były narzędziem propagandy, któremu poświęcano wiele uwagi.

Niedawny szef Urzędu okazał się najliberalniejszym redaktorem. Pamiętamy, że cenzura wewnętrzna w okresach autorytatywnego kierowania życiem kulturalnym jest zazwyczaj surowsza niż kontrola urzędowa. Na tle ówczesnej prasy literacko-artystycznej "Teatr" był oazą swobody. Miał współpracowników nie bardzo wypaczonych i strzegących się, o ile się dało, grubszych błędów. Oczywiście musiano oddawać co cesarskie cesarzowi, ale w sprawach ściśle artystycznych pozwalano sobie na wypowiedzi prawie heretyckie.

Realizm socjalistyczny był doktryną obowiązującą. Na łamach pism radzieckich dyskutowano zawzięcie o teorii działań fizycznych; spodziewano się lada chwila oficjalnej wypowiedzi najwyższego autorytetu; bo nie ulegało wątpliwości, że polemika była prowokowana i reżyserowana.

Dyskusja nie została podjęta na terenie warszawskiego dwutygodnika. Jak się okazało - szczęśliwie, bo i w Związku Radzieckim przzerwano ją nagle, bez oczekiwanego podsumowania.

Kiedy w piśmie ukazały się nieortodoksyjne zdania, dotyczące zagadnienia konfliktów antagonistycznych i nieantagonistycznych, wydział kultury KC wezwał w tej sprawie redaktora; na pierwszej stronie zamieszczono notatkę redakcyjną:

"W poprzednim numerze "Teatru" ukazała się recenzja Jana Kotta ze sztuki Pogodina "Człowiek z karabinem" w państwowym teatrze we Wrocławiu. W

recenzji tej znalazły się pewne błędne sformułowania, dotyczące zagadnienia konfliktów antagonistycznych i nieantagonistycznych. Do zagadnienia tego powrócimy w jednym z najbliższych numerów, w którym zamieścimy na ten temat obszerniejszy artykuł.

Notka ukazała się w Nr 10, pod artykułem wstępnym, poświęconym sprawie cenzury teatralnej we Francji. Szukano bezskutecznie kogoś, kto by się podjął napisać coś na tak drażliwy temat. Wreszcie w Nr 14 zamieszczono wyjątki z wypowiedzi Stalina i Zdanowa, zaopatrując je w krótkie słowo wiążące i tytuł: O dwóch rodzajach konfliktów. Pozycji tej nie trzeba było podpisywać.

Kiedy odwiedził Warszawę Brecht ze swoim teatrem, dyrektywa była jasna - przyjąć serdecznie, pochwalić za rewolucyjną postawę, ale skarcić za formalizm. Tak oceniali Brechta i ówczesny Berliner Ensemble - Fritz Erpenbeck i Theater der Zeit. Chodziło o poparcie stanowiska towarzyszy niemieckich. 'Teatr' nie podjął sprawy. Csato wystąpił z artykułem omawiającym 'nieporozumienie dyskusyjne' związane z wizytą, a w żartobliwym felietonie zaatakował niesmiało recenzentów, którzy spełniali p-rzepisane zadanie. Znowu interweniował wydział kultury, a niefortunny felietonista musiał w następnym numerze, w równie niepoważnym tonie, fingować odpowiedź samemu sobie.

Teatrami kierowano i wyznaczano pozycje, które powinny być przyjmowane i kwitowane jako sukces. Recenzenci muzycalni /było to określenie używane przez Leo-na Kruczkowskiego/ spełniali bez dodatkowych pouczeń niewdzięczne obowiązki, bili w dzwony i kreowali wielkości. 'Teatr' pozwalał sobie na wstrzemięźliwość. Miał, co prawda, ułatwioną sytuację: każdą sprawę poruszał z opóźnieniem. Mógł dotykać rzeczy nie wprost, szukać ogólniejszych punktów widzenia, a krytykę wypowiadać niby mimochodem.

Redaktor miał zdecydowane poglądy, ale zwierzał się z nich publicznie w sposób ostrożny, nie apodyktyczny. Chętnie dopuszczał do głosu przeciwnika, używając mu gościnnie miejsca na własnych szpaltach. Lubił konfrontacje i rzeczowe spory.

Serwituty wobec Spatifu regulował sumiennie i z ochotą. Zamieszczał szcze gółowe sprawozdania z obrad i zjazdów. Poświęcał wybitnym artystom teatru specjalne numery z okazji jubileuszów i zgonów. Tych ostatnich w wypadku niemało: Węgrzyn, Solski, Solska, Zelwerowicz, Leszczyński, Adwentowicz, Trzeciński, Schiller, Wierciński, żeby się ograniczyć do nazwisk, którym poświęcono w piśmie najwięcej miejsca. Dbał o wiadomości z terenu, co gniewało wybitnych aktorów warszawskich, jako że ich stawiało się nieraz na równi z resztą drugorzędnych sił wykonawczych; ale zapewniało pismu znaczenie ogólnokrajowe. Drukował bez oporu wypowiedzi aktorskie, nieraz niewiele mówiące i błahe. Pamiętał, że należy zachować pewną równowagę pomiędzy materiałami związanymi z przeszłością teatru a chwilą bieżącą.

W okresie walki z beriowszczyzną więzy cenzuralne zaczęły pękać. Kierownicy polityki kulturalnej powoli tracili orientację. Wprowadzano ostrożnie na sceny repertuar, o który przez dziesięć lat upominali się bezowocnie działacze teatralni. Wszystko odbywało się jeszcze w atmosferze talmudycznych dyskusji, każdą pozycję trzeba było przemyślnie usprawiedliwiać, wedle popularnego wówczas wyrażenia 'ustawiać'. 'Teatr' notował skrzętnie rzeczy dokonane i zdawał sprawę z kolejnych inscenizacji Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, analizując problematykę przedstawień, ale trzeba przyznać, że nie dał się uwikłać w jałowe polemiki programowe. Niejeden ze współpracowników podejrzewał, że za kryptonimem Berii ukrywa się jeszcze inne, ważniejsze nazwisko.

Jednocześnie naczelny redaktor rezerwuje coraz więcej miejsca dla siebie. Powstają eseje podpisane pseudonimem Kali, ze studiów recenzyjnych wyłaniają się zarysy przyszłej książki poświęconej dramatom Słowackiego.

Dwudziesty zjazd, a potem wydarzenia polityczne w kraju zmieniają radykalnie położenie pisma. To, co się mówiło półgębkiem, lub przemycało między wierszami, jest głoszone jawnie wszędzie. Sceptycy i złośliwi umniejszaczowie muszą szukać azylu. Zmienia się też częściowo krąg współpracowników, choć trzon redakcji pozostaje nienaruszony.

3/

Zespół tych felietonów, podpisanych quidam i anti-quidam, był redagowany przeze mnie, 'Teatr' Nr 3 i 4 - 1953 r.

Spatif ożywia swą działalność, dąży do uzyskania statusu związku zawodowego, domaga się wpływu na całokształt spraw teatralnych. Odbija się to echem w jego organie.

Csato reaguje spokojnie, nie przeciwstawia się żadnym projektom, ale nie przejawia entuzjazmu. Zgodnie z zaleceniami rozszerza skład redakcji i podejmuje nowe zadania. Od 1-gorczewca 1957 pismo nazywa się 'Teatr i Film' i zgodnie z nowym obyczajem ogłasza nazwiska członków zespołu redakcyjnego.

Konkubinát z filmem kończy się po roku. Od maja 1958. wracamy do dawnego tytułu. Niedługo potem 'Teatr' rozwiązuje węzły łączące go ze Spatifem. Redakcja przenosi się na Krakowskie Przedmieście.

Trzeba się pożegnać z posiedzeniami w kawiarni 'Marca', w Lajkoniku i w knajpce na Mokotowskiej...

Mimo wszystko święci się piętnastolecie istnienia, a więc tradycja nie ginie.

Zespół jest zgrany i daje sobie świetnie radę. Idą przedstawienia, zamawia się recenzje, rozpisuje ankiety, organizuje rozmowy redakcyjne, obchodzi jubileusze i wypisuje wspomnienia pośmiertne.

Funkcja naczelnego redaktora coraz bardziej sprowadza się do planowania numeru i stałego felietonu zatytułowanego 'List i widowni'. Csato pracuje nad książką i redaguje almanachy. Wreszcie wydaje tom esejów o dramatach Słowackiego, finalizuje studia rozpoczęte jeszcze przed wojną i kontynuowane w Wilnie u profesora Czeżewskiego, zdaje magisterium, doktoryzuje się i rozpoczyna pod egidą profesorów Górskiego i Nadolskiego wykłady na Uniwersytecie w Toruniu. Coraz poważniej myśli o drodze naukowej.

Nadchodzi czas wykończenia planowanej od paru lat rozprawy o teoriach teatralnych Leona Schillera. Będzie to podstawa do habilitacji. Książka się drukuje, termin habilitacji się zbliża...

W ostatnich latach kierował redakcją z wprawą, ale, jak mi się stale zdawało, bez dawnego zainteresowania i temperamentu. Dyskutowano o czarnej dramaturgii, o stosunku do klasyki, o pomysłowości i uprawnieniach reżyserów, o konfliktach teatru z filmem i telewizją... Zajmowało go to wszystko o tyle, o ile znajdował gdzieś podniętę do nowego felietonu. W sprawach bieżących wypowiedział się pod kryptonimem 'e.c.'. Miała z tych rozmysłań powstać kiedyś książka...

Naprawdę, myślał o nauce i o działalności pedagogicznej na najwyższym szczeblu... Pismo? Był pewien, że pozostawi mu porządek i rutynę, że po szesnastu latach praktyki popłynie ono dalej gładko i że można już trzymać jego ster lewą ręką.

RECENZJE

Paweł Bodnar

DRUGI TOM "GŁÓWNYCH NURTÓW MARKSIZMU"

Leszek Kołakowski: "Główne nurty marksizmu. Powstanie - rozwój - rozkład". Tom II. Instytut Literacki, Paryż 1977.

Niespotykana wprost erudycja i talent pisarski autora sprawiły, że pierwszy tom "Głównych nurtów marksizmu" czytany był z ogromnym zainteresowaniem, a główne tezy tej pracy i wywołana nimi lawina problemów diskutowane są do dzisiaj. Z tym większą niecierpliwością czekano na tom drugi. Wydaje się jednak, że jego ukazanie się sprawiło wielu czytelnikom pewien zawód. Pojawili się zarzuty, że w porównaniu z tomem pierwszym jest on mniej wartościowy, że jego tematyka jest mniej interesująca, że osobiste animozje Kołakowskiego ubrane w niezwykle błyskotliwą formę wypierają w nim obiektywny, chłodny osąd omawianych postaci, że publicystyczna forma pracy unicestwiła jej charakter naukowy. Z tym większą ochotą, ale i obawami, przystępuję do recenzowania tej książki; z ochotą, gdyż nie podzielam tego rodzaju opinii - z obawami, ponieważ w ciągu roku narosła wokół drugiego tomu "Głównych nurtów marksizmu" cała masa sądów, które zdążyły już nabrać cech stereotypów. Mam nadzieję, że przedstawiając to, co w książce tej jest wartościowe i interesujące, nie tylko uda mi się osłabić niesprawiedliwe, moim zdaniem, zarzuty, ale przede wszystkim uzasadnić tezę, iż drugi tom "Głównych nurtów marksizmu", podobnie jak pierwszy, zasługuje na miano "wydarzenia intelektualnego".

Tom pierwszy, poświęcony doktrynie Marksa i Engelsa, był konsekwentną odpowiedzią na pytanie: "Czy i co było takiego w owej idei pierwotnej, w jej dwuznacznościach, w jej konfliktowych tendencjach, co umożliwiło taki właśnie jej rozwój późniejszy?" /t.I, s.13/. Czasem akcji tomu drugiego jest ów późniejszy "złoty wiek" marksizmu, bohaterami - głównymi teoretykami marksistów - okresu II Międzynarodówki /1889-1914/. Wówczas marksizm nie był jeszcze "religią izolowanej sekty" - jak pisze Kołakowski - "lecz ideologią potężnego ruchu politycznego; z drugiej strony, nie miał środków, by zamykać usta swoim przeciwnikom. Był zmuszony do teoretycznego wysiłku okolicznościami politycznymi i potrzebą walki ideowej". /t.II, s.8/. Dzięki temu zapewne miał on wówczas tak wybitnych teoretyków, jak Kautsky, Plechanow, Bernstein, Luksemburg, Hilferding, Jaurès, ale i równie znakomitych przeciwników, jak Ma-sayk, Sombart, Böhm-Bawerk, Struve. Ten wysiłek intelektualny, do którego marksizm był zmuszany w otwartej dyskusji ze swoimi adwersarzami, wy dobył na jaw te wszystkie konflikty teoretyczne, które Kołakowski zapowiadał już w poprzednim tomie wskazując na ambiwalentne znaczenie pewnych koncepcji samego Marksa. Owe teoretyczne antynomie w łonie marksizmu rzutowały oczywiście na przeobrażenia ruchu socjalistycznego w okresie II Międzynarodówki i wpłynęły na jego późniejsze losy aż do czasów dzisiejszych - niektóre z nich pozostały do dziś przedmiotem żywych dyskusji.

Drugi tom książki Kołakowskiego jest odpowiedzią na kolejne pytanie, które autor postawił jeszcze w tomie pierwszym, a mianowicie: "w jaki sposób i w wyniku jakich okoliczności pierwotna idea zdolna była patronować tylu i tak różnym, wzajemnie ze sobą wojującym siłom?" /t.I, s.13/. O ile więc analiza koncepcji Marksa i Engelsa pozwoliła Kołakowskiemu ukazać w tomie pierwszym możliwości różnych kierunków późniejszego jej rozwoju, to tom drugi określa warunki zmuszające do takich właśnie, a nie innych interpretacji doktryny Marksa i opisuje procesy prowadzące do polaryzacji sił w łonie II Międzynarodówki - dziedzica ideowego marksowskiej doktryny. Cóż zatem składa się na okoliczności, które zadecydowały o tak niezwyklej różnorodności "marksizmów"?

Podkreślał Kołakowski już w Epilogu, że była to doktryna wyjątkowo nośna, gdyż zaspokajała potrzebę mesjanistycznej wiary, "iż wszystkie problemy i nieszczęścia ludzkie mają gotowe i natychmiastowe rozwiązanie", a także

dawała poczucie pewności i bezpieczeństwa z racji swojego uniwersalnego charakteru i odwoływania się do autorytetu nauki jako instancji ostatecznej. Dlatego zapewne marksizm szybko zyskiwał zwolenników w wielu krajach europejskich wzmacniając szeregi partyjne II Międzynarodówki. Z drugiej jednak strony zderzenie z różnymi tradycjami kulturowymi i wejście w najrozmaitsze konteksty polityczne było ciężką próbą zdolności adaptacyjnych marksizmu. Dziedzictwo kulturowe stało się filtrem, który nałożony na doktrynę Marksa i Engelsa wyłaniał i eksponował pewne jej elementy, podczas gdy inne gubił lub usuwał na plan dalszy - wszelkie wieloznaczności czy niedopowiedzenia interpretowane były wówczas w najrozmaitszy sposób. Również układ się i własne miejsce w politycznym świecie decydowały często o "światopoglądzie widoku", perspektywie rozumienia wielu spraw. I choć II Międzynarodówka miała być ponadpaństwowym i ponadnarodowym forum, to nie sposób było w niej uniknąć pewnych form politycznego egocentryzmu.

Trzecim elementem, który zdecydował o różnorodnych kierunkach rozwijania się marksizmu, były, jak wynika to z książki Kożakowskiego, postawy światopoglądowe jego ideowych spadkobierców. Jeżeli tylko przez pojęcie postawy światopoglądowej będziemy rozumieli zespół nieredukowalnych już wartości, które decydują o określonym stylu myślenia, doborze sfer zainteresowań, systematyzacji wartości, atmosferze całego światopoglądu, to wówczas dobór sylwetek prezentowanych w książce nie wydaje się przypadkowy; przedstawiając postaci pierwszoplanowe w myśli marksistowskiej końca XIX wieku autor ukazuje bogatą gamę postaw światopoglądowych, które decydowały o różnorodności "marksizmów". I tak Róża Luksemburg jest wybitnym przykładem "umysłowości potrzebującej zniewalającego autorytetu i zarazem potrzebującej wiary, że w przyjęciu tego autorytetu przechowają się wartości myślenia naukowego" /t.II, s.101/; Bernstein z kolei był reprezentantem postawy, która nakazywała dokonywać ciągłej weryfikacji przyjętej doktryny w imię jej zgodności z rzeczywistością; Jaures, a także Labriola wierzą w ostateczną syntezę ducha i dlatego uważają, "że nauka i religia, idealizm i materializm, wartości narodowe i wartości klasowe, jednostka i społeczeństwo, duch i materia, człowiek i przyroda - wszystko ostatecznie okaże się syntetyzowalne" /t.II, s.124/; Lafargue ufa, że korzystanie z przyrodzonych instynktów stworzy prawdziwy raj na ziemi; Sorela i Brzozowski mniej interesują "w jakich warunkach ludziom lepiej się żyje, lecz tylko - jakie warunki wyzwalają z nich więcej wybuchowej energii" /t.II, s.183/; Krzywicki należy do tych, którzy "stawiają sobie pytania należące do zakresu różnych dziedzin, przy czym korzystają z wyników marksizmu jako instrumentów, pomagających w znalezieniu odpowiedzi" /t.II, s.203/; dla Lenina wreszcie "wszystkie kwestie - włącznie z epistemologicznymi - były narzędziami przygotowania rewolucji i wszystkie odpowiedzi - aktami działania politycznego" /t.II, s.367/.

Filtr tradycji kulturowej, kontekst polityczny i określone postawy światopoglądowe były więc tymi elementami, które decydowały o różnicowaniu się dziedzictwa pozostawionego przez autora "Rękopisów filozoficzno-ekonomicznych" i "Kapitału". One właśnie, jak wynika to z pracy Kożakowskiego, pozwoliły miejscami wieloznaczną i niedomkniętą myśl Marksa interpretować na wiele sposobów. Wówczas dopiero wszystkie antynomie marksistowskiej doktryny zajaśniały w pełnym blasku. Dały one w sobie znać szczególnie w tych dziedzinach, które stanowiły rdzeń koncepcji Marksa: w filozofii, ekonomii i polityce.

Filozofia w ścisłym tego słowa znaczeniu była dyscypliną, w którą niezwykle rzadko zapuszczali się myśliciele marksistowscy owych czasów, a jeśli już sytuacja zmuszała ich do podejmowania tematów czysto filozoficznych, to efekty tych prac nie były rewelacyjne, a często zdarzało się, że śmieszyły z powodu całkowitej ignoracji ich autorów. Nie przeczy to jednak faktowi, że właśnie na tym polu dochodzi do ostrych kontrowersji i niezwykle istotnych dla całej ideologii. W jaki sposób było to możliwe? Kożakowski daje odpowiedź na to pytanie. Z książki jego wynika bowiem, że nie tyle dyskusje stricte filozoficzne stwarzały marksistom nie dające się usunąć problemy, ale różnoraki stosunek do filozoficznych założeń marksizmu ujawnił wyraźnie antynomie marksistowskiej doktryny.

Generalnie rzecz biorąc istniały trzy szkoły: pierwsza traktowała myśl

Marksa, a szczególnie poglądy Engelsa, jako zamknięty system filozoficzny, który odpowiada na wszystkie istotne pytania filozofii /ortodoksji/; dla drugiej doktryna marksistowska była teorią rozwoju społecznego, która świetnie daje się uzupełniać i wzbogacać elementami różnych filozofii /Adler, Bogdanow, Labriola, Krzywicki, etc/; trzecia wreszcie, o której Kożakowski explicite nie pisze, traktowała założenia filozoficzne i całą doktrynę Marksa w sposób instrumentalny - marksizm według niej jest w danym momencie ekspresją takiego ruchu, który najskuteczniej urzeczywistnia nadrzędne cele człowieczeństwa /heterodoksja marksistowska: Sorel, Brzozowski/.

Oczywiście każda z tych szkół reprezentowała odmienny typ działalności teoretycznej: pierwsza, posługując się odpowiednimi cytatami z Marksa, a szczególnie z Engelsa, "rozwiązywała" wszystkie stawiane przed nią problemy filozoficzne; druga, inkorporując do marksizmu wątki różnych filozofii, próbowała uzgodnić je z filozoficznymi koncepcjami Marksa, co zmuszało ją do różnych interpretacji myśli marksistowskiej; trzecia z kolei z samego założenia podporządkowywała interpretacje myśli marksistowskiej własnym koncepcjom światopoglądowym, mającym w stosunku do marksizmu wartość nadrzędną. W tej sytuacji marksizm pierwotny, gdyby nawet był doktryną spójną i zamkniętą, musiałby się stać powodem kontrowersji wskutek nieuniknionych deformacji. Cóż dopiero doktryna Marksa i Engelsa, która, jak to wykazał Kożakowski w pierwszym tomie, spójna i zamknięta nie była.

W perspektywie tych trzech szkół interpretowania myśli Marksa zaczynały mnożyć się problemy, wątpliwości, sprzeczności. Okazywało się, że materializm historyczny, utożsamiany przez Engelsa, Kautsky'ego, Plechanowa, Lenina z materializmem filozoficznym, nie musi według austromarksistów czy Krzywickiego, a nawet nie może mieć z nim nic wspólnego, tak jak twierdzili Labriola bądź Kelles-Krauz; że z przekonania o nieuchronności nadciągającego komunizmu nie wynika automatycznie, wbrew ortodoksom, że jest on godny pożądanego, że jest wartością, co sugerowali Cohen albo Bauer; że włączenie świadomości ludzkiej w przyrodniczy determinizm, tak jak to zrobili Kautsky czy Luksemburg, eliminuje według Sorela lub Brzozowskiego ludzką wolę z procesu historycznego; że postulowana przez Marksa idea jedności człowieka i natury może opierać się na pojednaniu, tak jak u Jaurésa, ale równie dobrze na antagonizmie, walce, tak jak u Sorela; że praktyczna podstawa kategorii filozoficznej Marksa - może być gloryfikowana przez Brzozowskiego czy Labriolę, ale może być też zupełnie dezawuowana przez Lafargue'a; że twierdzenie Engelsa i ortodoksów, jakoby myśl ludzka była obiektywnym opisem przyrody, kłóci się z twierdzeniem młodego Marksa, Labrioli bądź Brzozowskiego, iż jest ona częścią procesu historycznego, czyli że "marksizm" Engelsa kłóci się z antropologią młodego Marksa.

Zupełnie odmiennie dochodziło do wykształcenia się konfliktów w dziedzinie ekonomii. Tu treść pism Marksa była już bogatsza, a twierdzenia bardziej jednoznaczne. Dlatego fundamentalne problemy ekonomiczne marksizmu, które narodziły się w okresie II Międzynarodówki i które wprowadziły do ruchu socjalistycznego mnóstwo zamętu, ujawniały się w krytykach poszczególnych elementów doktryny Marksa. Raz była to krytyka marksistowskiej teorii koncentracji kapitału, której Bernstein zarzucał całkowitą niezgodność z realiami, a ortodoksi uparcie jej bronili; innym razem wprowadzenie przez Różę Luksemburg teorii akumulacji kapitału, będącej poprawieniem i uzupełnieniem koncepcji Marksa, w celu wskazania ekonomicznych konieczności samounicestwienia się kapitalizmu, czemu z kolei przeciwstawiali się Hilferding, Kautsky, Bauer, Tugan-Baranowski, Lenin; czy w końcu drugą krytyką trzemu ekonomicznym poglądom Marksa - teorii wartości /"legalni marksści", Bernstein/, bronionej bardzo nieprzekonywająco, jak to pokazuje Kożakowski, przez Hilferdinga. Te teoretyczne konflikty w ekonomii, które wykrystalizowały się w łonie II Międzynarodówki, były jednym z czynników, podobnie jak sprzeczności natury filozoficznej, decydujących o rozmaitości marksistowskiej myśli politycznej, o rozbieżnościach poglądów politycznych, od czego krok już tylko do rozłamów, walk frakcyjnych, w końcu do powstania partii o różnych, czasem antagonistycznych programach politycznych.

Konflikty natury politycznej koncentrowały się wokół dwóch zagadnień: pierwsze - to problem środków, jako że cele zdawały się już przez Marksa ustalone; drugie - to kwestia narodowościowa, która była, jak pisze Kożakowski, "permanentną i nigdy nie przewyższoną trudnością teoretyczną marksizmu i trudnością praktyczną ruchów socjalistycznych" /t.II, s.94-5/. I znowu okazywało się, że osiągnięcie komunizmu, ustroju sprawiedliwości społecznej, może

być zarówno wynikiem rewolucyjnego przewrotu politycznego, jak i długotrwałej, bliżej nieokreślonej rewolucji pokojowej, ba, może być nawet efektem stopniowych reform. Na koniec nastąpiło zwątpienie w sam "ostateczny cel" marksizmu, co wyraziło się w bernsteinowskiej formule rewizjonizmu "ruch jest wszystkim, cel niczym", i uczynienie z drogi reform celu działania ruchów socjalistycznych. Rewolucjoniści motywowali swoje stanowisko wzrostem polaryzacji klasowej społeczeństw, co miało według nich stać się przyczyną rewolucji. Reformiści z kolei uzasadniali swoją drogę reform zmniejszaniem się polaryzacji klasowej społeczeństw. Ale wśród samych zwolenników rewolucji także nie było zgody: jedni zakładali ideę rewolucji nad demokracją i zakładali zniesienie demokracji, o ile tylko będzie ona godziła w interes rewolucji /Plechanow, Lenin/, inni nie dopuszczali możliwości choćby zawieszenia demokracji dla ratowania dobra rewolucji /Jaurès, Ka-utsky/; jedni twierdzili, że tylko silna organizacja jest w stanie dokonać rewolucji /Lenin/, inni liczyli na ży-wiołowy ruch klasy robotniczej /Luksemburg/; inni organizację tę widzieli w partii organizującej istniejący już ruch rewolucyjny /Ka-utsky/, inni widzieli ją w partii-awangardzie, czyli partii organizującej rewolucję /Lenin/; jedni marksowską ideę samodzielności politycznej proletariatu rozumieli jako rodzaj ekskluzywizmu i byli zwolennikami separacji politycznej /Guesde/, inni rozumieli ją jako samodzielną siłę polityczną mogącą stworzyć ogniska socjalizmu w ustroju kapitalistycznym /Jaurès/; jedni byli zwolennikami centralizacji w okresie porewolucyjnym i ochrony "woli powszechnej" /Adler, Lenin, Szalin/, inni opowiadali się za decentralizacją i ochroną wolności w sensie liberalnym /Ja-urès/, jedni byli zwolennikami dyktatury, inni demokracji.

Spuścizna Marksa i Engelsa nie zawierała wskazówek, jak należy interpretować problem narodowościowy, którego niestety nie udało się marksistom wyeliminować nawet w teoretycznych rozważaniach - jego obecność była niepodważalna. Trudno było znaleźć formułę, która godziłaby zasadę klasowości z "akceptacją realności historycznej narodowego podziału". Łatwo z problemem tym uporała się Róża Luksemburg, uznając zasadę narodową za wtórną wobec zasady klasowej i nieistotną z punktu widzenia nadchodzącej nieuchronnie rewolucji. Inni jednak wskazywali, że socjalizm nie tylko nie kłóci się z podziałem narodowym, ale świetnie go wspiera /Jaurès, Ba-uer/. Jeszcze inni w narodzie widzieli najbardziej rudymen-tarną materię życia społecznego, ową "niesprowadzalną i ciągłą realność, w której wszyscy uczestniczymy", a więc według nich rozwój stosunków społecznych odbywa się poprzez tradycję narodową, jest w jakimś sensie jej wyrazem /Brzo-zowski/.

Problem narodowościowy rozstrzygnęła historia - wybuch pierwszej wojny światowej zdecydował o zburzeniu międzynarodalnych mitów tworzonych w partyjnych dyskusjach i teoretycznych rozważaniach. I tylko dla nielicznych fanatyków ponadnarodowe więzi proletariatów świata cokolwiek jeszcze wówczas znaczyły. Ci właśnie nie liczący się z realiami życia społecznego fantasty patrzyli oszupiali na deklaracje narodowo-państwowe wczorajszych internacjonalistów marksistowskich, nie mogąc do końca zrozumieć ich szaleńczych decyzji. II Międzynarodówka przestawała istnieć.

Drugiemu tomowi "Głównych nurtów marksizmu" można stawiać wiele zarzutów, co jest nieuniknione w tego rodzaju pracy: a to, że niezbyt jasno uzasadniony jest dobór sylwetek, że wybór pomija wiele ważnych postaci czy traktuje je marginalnie, a innym z kolei poświęca zbyt wiele uwagi, że sięganie do genezy rosyjskiego ruchu socjalistycznego i poświęcanie mu jednej trzeciej książki, choć merytorycznie uzasadnione, burzy całościowy charakter pracy, że tworzy książkę w książce, że wreszcie interpretacje poglądów poszczególnych postaci są zbyt jednostronne, a przez to nienaukowe. Wydaje mi się jednak, że Kołakowski, biorąc pod uwagę różnorodność tradycji kulturowych, jakie odziedziczyli ko-ryfeusze II Międzynarodówki, a także ich światopoglądowe temperamenty, dokonał wyboru, który konsekwentnie ukazuje okoliczności decydujące o powstaniu całej gamy "mar-ksizmów", i że swoje zadanie wypełnił znakomicie. W ten sposób daje tom "Głównych nurtów marksizmu" jest obrazem "ideologii żyjącej", jest, daje mi się, niezwykle udaną próbą przedstawienia procesu rozpowszechniania się doktryny, procesu przeobrażania ludzkiej myśli w momencie, gdy trafia ona w nowy kontekst sytuacyjny, gdy jest o tyle uniwersalna, że może się w nim przyjąć, gdy staje się materialem dla drugiego człowieka do nowych przemyśleń i wniosków. Proces ten ukazany przez Kołakowskiego na przykładzie takiej ideologii jak marksizm, i to w dodatku w apogeum swojego rozwoju, pozwala uchwycić granicę między uniwersalnymi elementami doktryny a indywidualnymi cechami jej szkół in-

terpretacyjnych. Innymi słowy, Kołakowski w pierwszym tomie analizuje potencjalny zakres oddziaływania myśli Marksa /w jakim stopniu i w jakim kierunku rozwój doktryny ograniczony jest jej założeniami/, w tomie drugim, operując konkretnymi przykładami, przedstawia realny, potwierdzony historycznie, obszar wpływów tej myśli.

Zarzut "nienaukowości", publicystycznego charakteru wielu szkiców /szczególnie o Leninie/, wydaje mi się nieistotny. Nie tyle bowiem "naukowość" czy "publicystyczność" są istotnymi wartościami "Głównych nurtów marksizmu", lecz "merytoryzm", który jak pisał Trzykowski, "nie jest żądaniem sumienności czy pilności, jak sobie to niektórzy wyobrażali, lecz żądaniem, a-by kto ma pewien ideał do puszczenia w świat, pokazywał go także w zastosowaniu, w konkretnych przykładach".

Tomasz Burek

ZANIM DZIEŁA ZEBRANE UKAŻĄ SIĘ W WARSZAWIE...

CZYLI STEFANA KISIELEWSKIEGO PRZYMIARKA DO HISTORII

Stefan Kisielewski: "Moje dzwony trzydziestolecia", Chicago, "Polonia" Book Store and Publishers Co., 1978

To już trzeci wybór felietonów, artykułów i esejów Stefana Kisielewskiego opublikowany w języku polskim poza granicami kraju. Omawiany tom poprzedziły: "100 razy głową w ściany" wydane w Paryżu /1972/ i londyńskie "Materii pomieszanie" /1973/. Natomiast w Polsce Ludowej tylko dwukrotnie - nie licząc felietonów muzycznych oraz książki "Opowiadania i podróże" - udało się Kisielewskiemu szczęśliwie zebrać i skomponować w książkowe całości swe prace publicystyczne. Były to: "Polityka i sztuka" /1949/, a następnie - prawie ćwierć wieku temu! - "Rzecz maże" /1956/. I nie więcej. Ani za Gomułki, ani za Gierka.

Co nam mówi powyższe zestawienie bibliograficzne? Otóż ponad wszelką wątpliwość świadczy ono o tym, że krajowe domy wydawnicze nie oddały - bo nie chciały albo nie mogły oddać - należnej sprawiedliwości jednemu z najruchliwszych i zarazem najpoczytniejszych ludzi pióra, jacy zabłysnęli w Polsce powojennej.

Ilościowo imponująca, nie zniechęcona rozmaitymi szykanami tudzież wstrętami, regularna i wytrwała produktywność pisarska Stefana Kisielewskiego jako publicysty i pamfletyisty, a przede wszystkim jako autora od roku 1945 po dzień dzisiejszy - z kilkoma zaledwie dłuższymi przerwami "historycznymi" - cotygodniowego felietonu w "Tygodniku Powszechnym", sygnowanego owym myląco swojskim i z pozoru niestrasznym nom de guerre: Kisiel - nie znalazła odpowiedniego do swej popularności i rangi kulturalnej i bardziej trwałego niż druk ulotny odzwierciedlenia, nie została uwidoczniiona i nobilitowana w postaci kolejnych książek, kolejnych zbiorów publicystyczno-felietonowych. /Jak ma to miejsce - pozwolimy sobie zauważyć - w przypadku wcale licznych felietonistów i publicystów naszej społeczno-kulturalnej pracy, o ileż niekiedy późniejszych od Kisielewskiego, w każdym razie zaś nie dorównujących mu nie tylko w roli Zabawnego Mąciociela Narodowej Kadzi, ale i na płaszczyźnie rzeczywistego prestiżu i znaczenia społecznego, gdzież pod tym względem do Kisiela - choćby Teoplitziowi, a i Radgowskiemu, nie mówiąc o zmąnierowanym i szukającym taniego poklasku Hamiltonie i o żąbkującym dopiero Głowackim/. Taka wszakże jest cena wkaalkulowana w niezależną działalność umysłową i pisarską. Kto jak Kisielewski jest zdecydowany dać mózgowi - a wraz z mózgiem językowi - zupełną polityczną swobodę, musi liczyć się z faktem, że jego książki będzie można prędzej znaleźć w PERNAMBUKO niż w księgarniach Krakowa czy Warszawy, a jego nazwisko i dorobek twórczy świeciły będą dyskretnym urokiem nieobecności w podręcznikach i opracowaniach najnowszej historii literackiej bądź w najlepszym razie - skwitują je - zażenowane wzmianki.

Mam właśnie przed sobą świeżej daty "Historię literatury polskiej w zarysie", opracowaną przez zespół polonistów z Uniwersytetu Jagiellońskiego

i wydaną w pięćdziesięciotysięcznym nakładzie przez PWN. Szukam w rozdziale "Literatura po 1939 roku" - skądinąd nieudolnie skleconym, świadczącym jak najgorzej o naukowej rzetelności i kompetencjach obecnej polonistyki krakowskiej - co też autor wymienionego rozdziału i równocześnie współredaktor całej księgi, Marian Stępień, uważał za stosowne powiedzieć swoim współczesnym o Stefanie Kisielewskim - prozaiku, publicyście, wirtuozie felietonu, pisarzu od trzydziestu przeszło lat kpiącym i walczącym /głównie z trupiością myśli/. Przepuszczając, rzecz jasna, że nie znajdę w tekście polonistycznego "ja-strzębia" osobnego paragrafu albo podrozdziału o tym umyśle przekornym... Owszem, znalazłem imię i nazwisko, datę urodzenia pisarza, tytuł powieści: "Sprzysiężenie" i błędną datę jej pierwodruku. Czyli tyle, co nic. Sięgnąłem zatem dla odmiany po "Literaturę Polski Ludowej 1944-1964", napisaną przez "liberalnego" Maciągą i opublikowaną jeszcze w okresie - słabnącej bo słabnącej, ale przecież - "pogrudniowej odwilży". I tutaj jednak treść informacji o Kisielewskim sprowadza się w istocie do błażej, ogólnikowej wzmianki na temat "Sprzysiężenia", którą to powieść przywykło się zaliczać, zgodnie z bardzo dawnym ujęciem Kazimierza Wyki, do nurtu powojennych "rozrachunków inteligenckich". /Patrz: "Pogranicze powieści", 1948/.

Nasi literaccy historiografowie zaglądną do ustaleń "Pogranicza powieści", kiedy nie wypada im bodaj nie napomknąć o Kisielewskim, lecz nie idą dalej, nie podejmują interpretacji i oceny wielu innych przejawów późniejszej działalności pisarskiej autora "Sprzysiężenia"; czas w tym wypadku stanął dla nich jak zaklęty i wydaje się, jakby z całej twórczości Kisielewskiego znali tylko jeden tytuł - godny zresztą niezdawkowej pamięci - tytuł mianowicie jego debiutu powieściowego. Nie mieści się natomiast w ich zaprawdę perwersyjnej optyce Kisielewski jako polemista, krytyk i swego rodzaju ideolog kultury, wnoszący ferment ciągłego sporu o sprawy jednak poważne: o - imponderabilia /np. w książce "Polityka i sztuka"/.

Dla tych ahistorycznych historiografów obchodzących się po macoszemu z historią nie istnieje też felietonista "Tygodnika Powszechnego", o tylu zmiennych na przestrzeni dziesięcioleci, choć i uzupełniających się obliczach: niby wesołka, szydercy, wiatrogłowa, humorysty wisielczego, nonkonformisty, sowizdrzała, cynika, dydaktyka, sceptycznego intelektualisty, obrazoburcy, neopozytywisty, przytomnego pragmatysty, mędrca, wróżbity, zde gustowanego klerka. Nie istnieje Kisiel - instytucja; Kisiel - forma i stan ducha; Kisiel - deska ratunku dla spauperyzowanej i przemieszanej, ale niepożytej, cudownie odradzającej się w kolejnych trzęsieniach ziemi kultury neintelligenckiej; Kisiel - wymowne świadectwo kontynuacji i konfrontacji między już odeszłym w karty złotej legendy Tamtym Dwudziestoleciem a nami, ciągle pokracznymi, ciągle nie wpasowanymi w dziwną, podwójną rzeczywistość, "obywatelami nowych czasów"; Kisiel - fenomen polskiej żywotności duchowej i jakże charakterystyczna organizacja pisarska, o bujnym temperamencie, o wielorako rozgałęzionych i zwichrzonych konarach i o splątanych, daleko i głęboko w czarnoziem tradycji sięgających, korzeniach; Kisiel - ostatnia niemal oaza krzepiącego k i s i e l i z - m u jako sposobu zachowania autentyczności, odrębności i bezinteresowności duchowej w peerelowskim pejzażu przymusowych barw ochronnych. A wreszcie, niechby nawet i ów negatywny bohater z pewnego artykułu Jana Kotta /"Obrachunki noworoczne", 1946/ "Stefan Kisielewski, który z powodzeniem odgrywa rolę swawolnego Dyzia w przedziale II klasy naszej literatury..."

Otóż ani jeden spośród tych różnorakich i kontrydycyjnych obrazów Kisielewskiego jako pisarza nie przychodzi na myśl naszym specjalistom od historii literatury. Łatwo zrozumieć, dlaczego: literacka historiografia stanowi bowiem część historii ogólnej PRL-u, ta zaś dąży coraz skuteczniej do ideału antyhistorii, czyli eliminacji i nieopisywalności faktów i procesów rzeczywistych. Perfidny sens i złowieszczą funkcję tego na pozór bezsensownego zabiegu wyjaśnienia zwięzłe sam Kisielewski w przedmowie do "Dzwonów trzydziestolecia". Pisze tam: "Polską Ludową nie posiada swej historii, to znaczy historii prawdziwej, opartej na wszystkich wydarzeniach i nazwiskach /.../ bo interpretacja historii i selekcja nazwisk jest w nas także instrumentem rządzenia i politycznego wychowania /.../. Cechą więc obywatela Polski Ludowej ma być kompletny brak pamięci". No właśnie.

Czy to jednak nie przesada - gotów ktoś zadać pytanie - upominać się o miejsce Kisielewskiego w dziejach literatury współczesnej, skoro on sam zalicza siebie raczej do szeregu publicystów niż pisarzy "czystych"? Spróbujmy więc wyobrazić sobie syntezę jakiegokolwiek literatury nowoczesnej bez uwzględnienia ekspansywnego rozwoju takich gatunków, jak wielka polemika prasowa, pamflet, felieton i esej polityczny; bez licznych odmian prozy fikcyjnej, skupionej bądź to na faktach i bezpośrednich dokumentach życia, bądź na ideach i argumentach dyskutującego rozumu, a w konsekwencji bez nazwisk filozofów chwytających w razie potrzeby za oręż pamfletu, bez myślicieli posługujących się formą felietonu i także bez wielkich dziennikarzy, którzy artykuł wstępny czy reportaż w gazecie podnoszą do godności literatury.

Nie ma zapewne potrzeby odwoływać się tutaj do literatury niemieckiej z Marksem, rosyjskiej z Hercenem, austriackiej z Karlem Krausem, ani do angielskiej bądź francuskiej z ich bogatymi tradycjami esaju i felietonu prasowego i ze świetną w każdej z nich plejadą pamfletistów, pisarzy wstępujących raz za razem w szranki publicystyki itd. Dowodów na symbiotyczne przenikanie się stylów literackich z gatunkami dziennikarskimi jest znacznie więcej i nie musimy szukać ich daleko. Piśmiennictwo nasze w dwudziestolecie międzywojennym i częściowo w pierwszych latach po wojnie, a później w epoce Odwilży i Października - żyło wszak nie czym innym jak debatą publiczną. Debatą o ustroju gospodarczo-społecznym, o władzy, o moralności i psychologii politycznej, o praworządności i bezprawiu, o związkach światopoglądu z życiem codziennym, o granicach racjonalizmu, o złudzeniach i potrzebie wiary. Czerpało soki ożywcze z dyskusji ideowych, poznawczych, artystycznych, także obyczajowych. Żyło sporami o wartości i o postawy. Syciło się gniewem, krytyką, pasją obywatelską. Oddychało swobodnie. I dlatego nie było piśmiennictwem rodzajowo czystym, wprost przeciwnie, znosiło przegrody między dziennikarstwem a literaturą, mieszało filozofię z publicystyką, szukało bardziej pojemnych form wypowiedzi. Budziło gwałtowny entuzjazm albo pryncypialny sprzeciw. Zaskakiwało. Niekiedy irytowało. Ale nikogo nie nudziło.

Wystarczy bez uprzedzeń odczytać "Kraj Wielkiej Przygody" z 1957 roku, zamieszczony w zbiorze "100 razy głową w ściany", żeby się zorientować, jakiego kalibru piarstwo publicystyczne starał się, od czasu do czasu, uprawiać Kisielewski. Oto zakończenie tego, nie, tym razem bynajmniej nie kpiarskiego i "bezideowego" felietonu, lecz nieoczekiwanie żarliwego, prawie że w y z n a - w c z e g o esaju. Zresztą posłuchajmy:

"Potworne splątanie prawdy z kłamstwem i szusznoci ze zbrodnią, owa wstrząsająca "dialektyka" lat powojennych w Polsce nie narusza moralnego ładu i moralnego sensu ludzkiego świata i ludzkiego dążenia tylko w wypadku spojrzenia na wszystko okiem ludzi szczerze z a a n g a ż o w a n y c h. Jesliby takich ludzi nie było, Polska byłaby trupem, bo niez zaangażowanie w nic to śmierć moralna. A przecież pomimo wszystko, Polska żyła. Działający w dobrej wierze, oszukany czy zagubiony ideowiec odżywił się przez lata bardzo trudną potrawą: owocem z Drzewa Wiadomości Złego i Dobrego. Potrawy tej zakosztowali w większym lub mniejszym stopniu wszyscy Polacy, mieszkańcy kraju Wielkiej Przygody - moralnej. Spożycie owego gorzkiego owocu to nasz dorobek: on pozwala nam z niejaką wyższością czytać poczciwe i naiwne pisma bogatych narodów Zachodu, on stanowi jedyne nasze, w całej naszej biedzie, bogactwo. Wiemy o świecie więcej, przeżyliśmy więcej, rozumiemy więcej - gorzko, ale więcej. Zapóźnieni technicznie i materialnie wyprzedziliśmy innych w dokopywaniu się do mięszu moralnego tej niesłychanej epoki: bytujący w ramach świetnie zorganizowanego życia społecznego, pewni jednoznaczności i ładu moralnego tego swojego życia i swojej techniki ludzie Zachodu to przy nas dzieci, bawiące się w piasku, nieświadome burz i huraganów, szalejących na świecie. Nie wiem, czy kogoś to pociesza - mnie bardzo. Czuję się jednym z uczestników Wielkiej Przygody Naszych Czasów i zafascynowany spaceruję po wertepach ulic najbardziej opuszczonych, obdrapanych i brzydkich miast Polski".

Jak przecież należy się domyślać, ów felieton czy mikroesej z którego wyjęliśmy tę - w nader poważnym duchu utrzymaną - cytate, nie zwalczył podejrzeń i oporów, nawet skłonnej do ustępstw, popaździernikowej cenzury: być może, zakrawał w jej oczach na jakiś makiaweliczny paradoks... Pozostawało więc, nie

po raz pierwszy i ostatni w publicystycznym żywocie Kisielewskiego, przedzierając się w regularnego trefnisia, w bezradosnego błazna i aluzyjnego humorystę, w satyryka czepiającego się z PIJANYM HAŁASEM /jego specjalny sygnał/ "tematów zastępczych", jak rzemiosło, usługi, turystyka, gastronomia, rozrywka, czyli - w ostatecznym wydźwięku - "rzeczy małych". Tę część felietonistyki Kisielewskiego - powiedzmy: w przyszłych dziejach wybranych - mógłby poprzedzać epigraf zapożyczony od Leona Bloy: "Pamflecista? A pewnie, że nim jestem! Jestem nim, ponieważ muszę żyć w świecie zjawisk bezwstydnie błahych i przypadkowych, porażony pragnieniem rzeczy absolutnych. /.../ jeżeli jestem pamflecistą, to z obrzydzenia i z miłości. Książki, które piszę, dyktuje mi posępna rozpacz wobec zapomnianego ideału!"

"Kraj Wielkiej Przygody" i "Czy w ojczyźnie jest nudno?" /albo też: "Na dnie stawu" lub zgoła "Moja szopka świąteczna"/: pomiędzy takimi symbolicznie dobranymi tytułami zawiera się najistotniejsza cząstka prawdy o postawie Kisielewskiego. To znaczy, pomiędzy inteligentką, klerkowską, namiętą i czasem aż przewrotnie zapamiętałą wiarą w idee a tragicznie szekspirowskim udawaniem głupka - mieści się cały jego repertuar możliwości ekspresji duchowej i zarazem cała przestrzeń rzeczywista jego publicystyczno-pisarzkiego dramatu.

Z tej szczególnej, ekwilibrystycznej wręcz sytuacji intelektualisty-klerka, który, aby zachować istotną powagę w obliczu rzeczy wielkich i nie dać się osmieszyć doszczętnie w świecie globalnej niedorzeczności, musi chwytając się roli błazna i forsować ideał człowieka konsekwentnie niepoważnego /patrz: "O zgubności powagi", maj 1967/, biorą się u Kisielewskiego pewne uderzające, z daleka rozpoznawalne, trwałe właściwości stylu - stylu marki: Kisielewskiego - i wypróbowane przezeń metody i strategię myślenia - przez zaskoczenie, przez burzenie szyków, przez prowokację i polemikę, za pomocą mieszaniny żartów, bluźnierstw i paradoksów. Znajdziemy w piśmiennictwie felietonowym Kisielewskiego rozmaite składniki i okrawki heretyckich tradycji /Irzykowski i Boy, Nowaczyński i Skonimski, Cał-Mackiewicz i Witkacy, Chesterton i Stańczyk, Wyspiański i Aleksander Bocheński, dużo Gombrowicza, Gałczyński z "Zieloną Gęsią" i młody Sandauer od "Moich odchylen"/, ale przemienione, pokąszone kapryśnie, zszyte w zupełnie nową całość. W fantazyjny patch-work.

Wszakże "Moje dzwony trzydziestolecia" ukazują czytelnikom trochę inny wizerunek Stefana Kisielewskiego. Na tle epoki rysuje się tym razem profil pisarza melancholijnie retrospektywnego, skłonnego do zadumy i podsumowań, klasyczniejącego; oto duch-wieczny hałaburda dokonuje w skupieniu pierwszej jak gdyby przymiarki do Historii. Trzeba powiedzieć, że pomimo szczupłości książki, liczącej sto dwadzieścia stron druku, przymiarka wypadła zachęcająco. Do mnie osobiście przemówił najczystszy tonem cykl "Dzwonów świątecznych". Na całość radziny cierpliwie poczekać. 50 lat? Któż potrafi zaręczyć, że nie krócej.

Stefan Kisielewski

JĘDRZEJEWICZ O PIŁSUDSKIM

Wacław Jędrzejewicz, "Kronika życia Józefa Piłsudskiego, 1867-1935", Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1977.

Jednym z najważniejszych w ostatnich latach wydarzeń polskiego edytorstwa dokumentalno-historycznego jest dzieło Wacława Jędrzejewicza "Kronika życia Józefa Piłsudskiego", 1867-1935", wydane przez Polską Fundację Kulturalną, Londyn 1977. Całość składa się z dwóch tomów, edytorsko opracowanych wspaniale, z licznymi fotografiami, faksymiliami, indeksem nazwisk i przypisami. Tom I obejmuje lata 1867-1920, tom II: 1920 - 1935.

W dziele tym jeden z ostatnich żyjących wiernych współpracowników Marszałka czy "Komendanta", były żołnierz, działacz i minister, obecnie jeden z kierowników Instytutu J. Piłsudskiego w Nowym Jorku, okazał się dokumentalistą i pisarzem historycznym niezwykle obiektywnym. Tak bardzo, wręcz paradoksalnie zmiennie i różnorodnie etapy życia Józefa Piłsudskiego zostały nam tutaj pokazane poprzez dokładne kronikarskie relacje o faktach, a także przez

politycznych, wyciągi z aktów historycznych etc. Nieunikniona w takim wypadku selekcja materiału służy plastyczniejszemu uwypukleniu poszczególnych faz tego wręcz nieraz fantastycznego żywota: młody Piłsudski w Wilnie i na Syberii, działalność konspiracyjna i rewolucyjna w Królestwie, rok 1905 i akcja bojowa "PPS - Frakcji Rewolucyjnej", Galicja, tworzenie załączków formacji zbrojnych, Magdeburg, od 1918 Naczelnik Państwa, naczelny wódz 1919-21, Sulejówkę, przewrót majowy, rządy pomajowe - cóż to za film fantastyczny! A jednocześnie, przy całym swym pietyzmie i przywiązaniu do Komendanta, autor nie pomija tekstów czy zdarzeń mogących budzić krytycyzm i sprzeciw - choćby z ostatniego okresu jego życia.

Książka ta będzie fascynującą lekturą zwłaszcza dla młodzieży, odcinanej planowo od prawdziwej historii Polski przekomu stuleci i późniejszej: wiele problemów i spraw wydać się tu dziś może wręcz egzotycznymi wiele wybitnych postaci tamtych czasów zapomniało, bo są uporczywie od lat przemilczane /a przewija się ich w książce Jędrzejewicza dobre paręset/, droga prowadząca od Sybiru, socjalizmu i tajnych drukarni do Belwederu i marszałkowskiej buławy wymaga od dzisiejszego nieprzygotowanego czytelnika specyficznego wysiłku wyobraźni. Wyobraźni tej niezbyt pomogły dwie skąpe i skąponakładowe książki Andrzeja Garlickiego, jakimi uczęstowano nas w 60 rocznicę odzyskania niepodległości, z konieczności na swój sposób tendencyjne i jednostronne. Opiektywnie dzieło starego piłsudczyka, głęboko tkwiącego uczuciowo w minionej epopei, a zarazem tak rzetelnego jej badacza i dokumentalisty, to wydarzenie rzadkie i doniosłe. Pytanie tylko, skąd w Polsce wziąć tę książkę? Kilkanaście egzemplarzy krąży, kilkadziesiąt może, wraz z prohibitorami w bibliotekach, ale to przecież kropla w oceanie. A może również wdzięczny problem dla Niezależnej Oficyny Wydawniczej?

Wydanie tej książki w kraju byłoby nie tylko snopem światła, rzuconym na przemilczaną dziś postać Marszałka, lecz przypomnieniem wielkiej i ciekawej epoki politycznej. Wokół postaci centralnej bowiem kręci się tam cały świat polityki polskiej trzech zaborów u progu Pierwszej Wojny, od Narodowej Demokracji do SDKPiL, od socjalistów do ludowców. Z tych wszystkich grup, konfliktów, fermentów wyrastały wszakże kadry działaczy, mających z czasem uformować oblicze Polski Niepodległej, zmartwychwstałej po latach 120. Arcyważne zjawiska, arcyważna epoka i masa z niej wniosków do wyprowadzenia - także na dzisiaj.

Adam Zagajewski

JAK SMAKUJE NOWAKOWSKI

Marek Nowakowski: Książę Nocy, PIW, W-wa 1978

Marek Nowakowski wydał nowy zbiór opowiadań, Najwięcej uwagi należy się bez wątpienia tytułowemu opowiadaniu, "Księżu Nocy". "Książę Nocy" to - obok "Wesela raz jeszcze" - najważniejsze słowo w twórczości Nowakowskiego. Tutaj zbiegają się różne wątki tematyczne i "postawy narracyjne", obecne w opowiadaniach Nowakowskiego od samego początku, od debiutu, i podlegające potem rozwojowi, ewolucji, rozmnożeniu i rafinacji. Naprzód więc był, traktowany opisowo, nurt "złodziejski", legenda knajacka; stąd bierze się mocno utrwalaony stereotyp, spod władzy którego Nowakowski wyzwolił się dawno, a który zapewne nigdy już nie zostanie przełamany w opinii czytelniczej i krytycznej. Niech pan sobie nie myśli, panie Marku, zdają się mówić czytelnicy i recenzenci, że można zmienić się, odejść od tonacji rozpoczynającej dzieło. Niech pan lepiej trwa przy swoim.

Nowakowski tymczasem zmienia się. Opanowuje nowe obszary tematyczne. Pisze już nie tylko o wspaniałych złodziejaskach, interesuje się także innymi, zwykłymi ludźmi. Niekiedy pisze o nich nawet z sympatią, chociaż na ogół ma dla nich wiele lekceważenia. Patrzy na swoich nie-złodziejskich bohaterów na ogół przez szkło pomniejszające. Gdy wysyła ich na grzybobranie, kompromituje bezlitośnie ich rozmowy, pasje, ich "poziom" - intelektualny i ludzki. Gdy jadą w delegację służbową, jakże są śmieszni i bezradni, to "wydrażeni ludzie", kukielki z teczkami ze świńskiej skóry w rękach. Odnosimy wrażenie, że nawet w opowiadaniach, które mówią o mieszczuchach, urzędnikach czy "przeciętnych

Polakach"; obecni są złodzieje warszawscy, okradają bowiem tych pospolitych ludzi z godności, duszy, z tego, mówiąc ogólnie i przyrodniczo, co różni człowieka od małpy. Bowiem mit knajackich ludzi promieniując /złośliwym, negatywnym promieniowaniem/ i świeci także w tych tekstach, gdzie się oni wcale nie pojawiają.

Jak Nowakowski walczy z samym sobą, z tendencją własnego pisarstwa? Używa kilku sposobów: zmienia temat opowieści, mówi więcej, coraz więcej, o sobie samym, o swoich wątpliwościach i wewnętrznych przemianach. Pogłębia i poszerza "świat przedstawiony" swej prozy, umacnia obecność psychicznej i intelektualnej rzeczywistości narratora.

Wykorzenie mit to jednak zadanie prawie nadludzkie. Tym bardziej, że mit ten nie jest wcale własnością prywatną Nowakowskiego, czy polskiej literatury. Są tu, rzecz jasna, dwie sprawy: temat i mit Nowakowskiego są poniekąd jego biograficzną własnością. Nie wymyślił ich przy biurku, doznał ich niejako na własnej skórze. Wiemy o tym nie tylko z plotek i dzięki legendzie Marka Nowakowskiego /bo i taka przecież istnieje/, sam autor opowiada swoją biografię. Ale jednocześnie każda rzecz wniesiona do świata kultury, choćby najgłębiej przeżyta, podlega nowym kryteriom, mianowicie może być oceniana z punktu widzenia wewnętrznego bilansu literatury, jej mitologicznych zasobów. Alain Besançon w książce "La confusion des langues" pisze o charakterystycznym dla francuskiej literatury katolickiej /zwłaszcza idzie o Leona Bloy/ zjawisku uwielbienia środowisk marginesu społecznego, o wypływającym niewątpliwie z resentymentu przeciwstawieniu świata prostytutek i bandytów świata mieszczańskiemu. Identyczne upodobania można przecież znaleźć już u Dostojewskiego, by nie wymieniać zbyt wielu nazwisk. Zawsze niemal chodziło o zabieg dość pokretny i nie bardzo zdrowy, bo o wygranie niechęci do owej zwyczajnej, śródokowej, "mieszczańskiej" strefy społeczeństwa, do tej strefy, w której dzieją się wszystkie ludzkie sprawy i z którą zazwyczaj silnie związany był sam pisarz. Zamiast robić karykaturę "mieszczaucha" można było przeciwstawić mu wyidealizowanego apasza i jego milutką przyjaciółkę.

Ja wiem, oczywiście, że w naszym przypadku motywy, w znacznej mierze, są inne, że chodziło - Hłasce, Tyrmandowi, Nowakowskiemu - o inny dysonans, o przedstawienie świata rzeczywistych napiętności, obszaru swobody i walki, czegoś, co byłoby przeciwagą dla martwoty i nudy stalinizmu. Ale mit nie pyta o szczegóły, tylko niepostrzeżenie wsuwa się między kartki książki.

Tyle zastrzeżeń. Można by jeszcze żałować, że Marek Nowakowski zbyt wiele uwagi poświęca światu widzialnemu, podczas gdy pomija bogate złoża treści niewidzialnych, zawartych w myśli, ideach, planach /Nowakowski głównie słucha, słucha świata, rozmów, gadania/ - warto jednak przypomnieć uwagę wypowiedzianą przez biografę Prousta, Paintera, który zauważył, że na ogół krytyka zarzuca pisarzowi, iż zajmuje się właśnie tym, czym się zajmuje. Ujmując to inaczej - i stosując do naszej sytuacji - powiedzieć też można, że współczesna polska literatura rozpada się na dwie części, z których jedna odznacza się wyrafinowaniem myślowym, bogactwem odniesień do świata rzeczywistego, odwagą, głębią i siłą moralną, druga zaś pełna jest niekonsekwencji, pomyłek i wciąż od nowa ponawianych prób, połowiczna i nerwowa. Różnią się w dodatku jeszcze i tym, że ta druga połowa istnieje, pierwsza natomiast bytuje tylko w marzeniach, ambicjach i zakłękach. Marek Nowakowski przebywa w obozie literatury istniejącej, dwiema nogami stoi na ziemi i ziemię tę opisuje. To bardzo "cielesny" pisarz, trzyma się dlatego owego bieguna empirycznego literatury. Cierpi wskutek tego, bo albo krytyka albo czytelnicy wiele mają mu za złe; brak tego i owego, ograniczenie się do tego lub innego obszaru, nie dostrzeganie stref pozostałych.

Nowakowski ma dwa sposoby rozbudowy i rozszerza swój artystyczny majątek. Po pierwsze, jak mówiłem, szuka nowych tematów, nowych melodii do wysłuchania, po drugie: poddaje rewizji mit, który był punktem wyjścia jego pisarstwa. "Książę Nocy" - duże opowiadanie lub krótka powieść - należy do nurtu wewnętrznej autokrytyki, autorewizji. Książę Nocy, gangster-artysta, bardziej nawet artysta niż gangster, wprowadzony zostaje na scenę po to, aby raz jeszcze oświetlić ten krąg życiowy i społeczny, w którym poruszają się i bohaterowie Nowakowskiego, i narrator jego książek. Okazuje się - w wyniku tej inspekcji - że rzeczywistość "światka gangsterskiego" przypomina,

co do swej natury, tkankę, z której zbudowana jest sztuka. Tak, ośmielę się nawet powiedzieć, że wedle Nowakowskiego świat gangsterski nosi pewne cechy rzeczy wistosci intencjonalnej /by posłużyć się terminologią Romana Ingardena/: trzeba pewnych aktów intelektualnych, aby podtrzymać go w istnieniu. Blask jego i świetność nie są przyrodzonymi, "naturalnymi" właściwościami, światek ów świeci odbitym światłem. Jeśli patrzeć nań z zachwytem, z dobrą wiarą, zabarwi się odpowiednio, wchłonie przychylnie spojrzenie obserwatora-wyznawcy i odpowie na nie kokieteryjnie. Ale też można go przykapać na chwilach brzydoty i nicości, tak jak w drastycznej dość i nieobyčajnej scenie poskromienia "pięknej Ity".

W pewnym momencie Książę Nocy wypowiada takie oto słowa /odnoszące się do niejakiego Alberta Orchidei/: "On traktuje wszystko jednoznacznie. Takich nieznoszę. Po prostu zwykły przestępca. Sutener." Książę Nocy buntuje się przeciwko jednoznaczności, chce wieloznaczności! Chce nasycić knajackie życie pierwiastkiem szlachetniejszym, chce wielości, subtelnej gry znaczeń, prynitywnemu środowisku i sposobowi życia przeciwstawia walory wzięte z rejonów życia duchowego.

Zaraz, zaraz, czy to możliwe? Szalony, ryzykowny, rozciągnięty na miłą znak równości między bandyckim podziemiem a muzeami, salami koncertowymi, kontemplacją estetyczną i mistyczną? I czy, w takim razie, Nowakowski walczy z miłtem, czy raczej, w arcysubtelny sposób, próbuje go podtrzymać, za cenę zuchwałej uzurpacji? Bo myśmy przecież, czytelnicy Nowakowskiego, od dawna wiedzieli, że idzie o miłtyczny naddatek, zdobiący realnych złodziejasków, teraz natomiast dowiadujemy się o tym od samego narratora, ale jednocześnie mówi się nam, że mitotwórcy działają nie tylko na zewnątrz, także wewnątrz tego środowiska. Miłt upada, żeby się zaraz podnieść. W grę wchodzi jeszcze silna nutka nostalgii, ostatecznie i "Książę Nocy" i "Stypa" to pożegnania gangsterów-artystów /w "Stypie" rozstajemy się z Ratuszem, także bardzo utalentowanym zbójcą/. Dzisiaj takich artystów już nie ma, zdaje się mówić narrator. Został tylko "Hades", pomure i absolutnie jednoznaczne pijaństwo, smutny, perwersyjny alkoholizm w podziemiach szykownej restauracji, realistyczny skrót obrazu dzisiejszej pijanej Polski.

Bez wniosków będzie ta recenzja, bez bardzo wyraźnego sądu wartościującego. Że to, co robi Nowakowski jest wiele warte, zgodzi się każdy rozsądny obserwator literatury. Że chciałoby się, aby powiedział jeszcze więcej, żeby przesunął się o kilka stopni w górę, przeniósł się o kilka kroków w stronę tej literatury, której nie ma, która powstaje /a powstać może tylko z tego, co już jest/, zgodzi się każdy, kto domyśla się smaku książek jeszcze nie istniejących.

Stanisław Barańczak

DONKISZOTERIA I SOLIDARNOŚĆ

Wiktor Woroszyński: JESTES i inne wiersze. Warszawa 1978,

Niezależna Oficyna Wydawnicza. SS 52.

W ostatnich latach Wiktor Woroszyński publikuje jako poeta niewiele. Ale każdy jego wiersz z tego okresu jest ważny. Można się z nimi spierać, można cenić jedne utwory bardziej niż inne, można w ogóle być "niemuzykalnym" na ten rodzaj poezji - nie sposób jednak zaprzeczyć, że każdy kolejny wiersz przynosi z sobą coś istotnego, nowy element rozpoznania sytuacji, w jakiej wszyscy żyjemy. I że w twórczości samego Woroszyńskiego stanowi zawsze krok ku nowym, nie eksplorowanym jeszcze dziedzinom artystycznej syntezy.

Tomik "JESTES i inne wiersze", wydany bardzo starannie przez Niezależną Oficynę Wydawniczą w sierpniu 1978 r., jest takim krokiem naprzód nie tylko w tym sensie, że stanowi debiut książkowy Woroszyńskiego w krajowym wydawnictwie nie kontrolowanym przez cenzurę. Obok garści przekładów poetyckich /Błok, Ajgi, Brodski, Junna Moric/ tom zawiera trzy wydorebnione części: cykl "Po zagładzie" z lat 1971-73 /znany już z tomiku wydanego kilka lat temu w bibliofilskiej serii /"Generacje"/, cykl "Zeszyt 1974-1975" oraz poemat "Jesteś" /styczeń - luty 1977/. Układ ten - podobnie jak i przytoczone daty powstania utworów - wyznacza wewnętrzny scenariusz książki, scenariusz, rzekł-

bym, oparty na zasadzie wzmagającego się dramatycznego napięcia i coraz to bardziej dominującego tonu osobistej moralnej odpowiedzialności. W taki, właśnie sposób rozwijała się poezja Woroszyłskiego w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

Już bowiem w tomie "Zagłada gatunków" /1970/, a jeszcze wyraźniej w "Po zagładzie", czytelnik mógł bez trudu dostrzec, że uwaga autora koncentruje się wokół kompleksu problemów, który dałoby się w skrócie ująć słowami: historia - wolność - odpowiedzialność. Szczególnie jednak charakterystyczne dla tamtej fazy twórczości Woroszyłskiego wydaje się stosunkowo częste użycie metody poetyckiej znanej jako "liryka roli": monolog liryczny wypowiedziany bywał w takich wypadkach nie przez podmiot, który można by utożsamiać z autorem, lecz przez postać ostentacyjnie z autorem nietożsamą. Kim jest ta postać? Czasami - jak w "Uporze Marcina Lutera" - jest to bohater, z którym autor wyraźnie sympatyzuje, pod którego postawą czy poglądami mógłby się podpisać: wówczas należałoby mówić nie tyle o "liryce roli", co o "liryce maski". Częściej jednak - jak w "Inteligentach" lub w "Akcje oskarżenia", żeby pozostać przy przykładach z tomu "Po zagładzie" - podmiotem mówiącym jest pewna zbiorowość, z którą autor bynajmniej się nie utożsamia, której poglądy przytocza w ironicznym cudzysłowie; wiersze takie są niejako streszczeniem i zarazem kompromitacją przekonań owej "milczącej większości", która stanowiła zawsze podporę antyludzkich systemów politycznych naszego stulecia. W jednym i w drugim przypadku interesuje Woroszyłskiego typ postawy jednostki ludzkiej wobec problemów historii i społeczeństwa, dający się określić jako reaktywowanie mitu Don Kichota /nie bez przyczyny znakomity wiersz "Powrót do ojczyzny" - zdominowany składnią w sferze metaforyki przez znajomy motyw szarży dx na wiatraki - wspomina w zakończeniu o "ojczyźnie mej La Manczy"/. Interesuje go więc zachowanie, polegające na uporczywym przywiązywaniu do wyznawanych wartości, na niezgodzie na konformizm, na stawianiu imponderabiliów ponad nakazy zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego. Marcin Luter dlatego stał się bohaterem wiersza, że powtarzając prostodusznie "Co moje to moje", wręcz nie p o t r a f i ł - mimo wszelkie naciski - odwołać swoich poglądów: wyparcie się własnych przekonań było dla niego czymś tak niepojętym jak udzielenie zgody na amputację zdrowej ręki. Osip Mandelsztam pojawia się /w wierszu "Osip i Nadzieża"/ dlatego, że równie uporczywie - choć bezradnie w obliczu miazg dżającej siły ludożerczego systemu - obstawał przy własnym prawie do słowa, choćby miało to być tylko słowo poety - "żebra". We wspomnianych "Inteligentach" z kolei mowa o większej liczbie podobnych postaci historycznych, takich, które wiecznie "płoną ze wstydu za niedoskonałość świata na wszystkich stosach": o ludziach, których poczucie odpowiedzialności za świat oblekało się w kształt bądź utopii, bądź protestu, bądź - najtrudniejszego - aktu autentycznej solidarności z cierpiącymi i bezbronniymi. Woroszyłskiego pasjonują więc przewijające się przez ludzką dzieje postacie Don Kichotów - tych zbyt wiele i zbyt uczciwie myślących i n t e l i g e n t ó w, jak z przekąsem określa ich głos "milczącej większości":

Niemożliwi są ci panowie
inteligenci
/...../
Niewdzięczni
gryzą pierś mlekodajną

Na czym jednak polega donkiszoteria dzisiejsza? Zyskać miano "niemożliwego inteligenta", nie wiedzieć po co borykającego się z wiatrakami, może dziś łatwiej niż kiedykolwiek indziej. Wystarczy po prostu myśleć w miarę samodzielnie. Wystarczy - jak sugeruje jeden z najlepszych wierszy Woroszyłskiego, "Przekraczanie granicy" - przemycić w zakątku mózgu tę odrobinę własnych poglądów, której nie skonfiskuje żadna urzędowa kontrola. Wystarczy czuć współodpowiedzialność za los tego, kto "chodził od zgrzytu w drzwiach do grzybu w ścianie cztery i pół kroku tam i z powrotem" /wiersz "O co chodzi"/. Wystarczy, inaczej mówiąc, zdawać sobie sprawę, że wbrew pozorom pogodzenie się z rzeczywistością stanowi dla jednostki nie szansę bezpieczeństwa, lecz przeciwnie - największe zagrożenie /wiersz "Modlitwa o bezpieczeństwo"/.

W pojęciu pogodzenia się z rzeczywistością tkwi jednak pewne niedopowie-

dzenia. Zależy bowiem, o jaką - jak rozumianą - rzeczywistość idzie. Nie można przystać na rzeczywistość antyludzką, na wyalienowaną realność zniewoleń i fałszów: to jasne. Aby wszakże skutecznie z tą realnością walczyć, aby mieć w ogóle jakiegokolwiek pobudki i motywy takiej walki, potrzebna jest zgoda na rzeczywistość ludzką: przyjęcie reguł gry, wyznaczonych dość arbitralnie przez etyczne i niezmiennie prawa życia i śmierci. Inaczej mówiąc, nasze problemy etyczne nie mogą zostać w pełni sformułowane, jeśli nie przeżyjemy przedtem swoich problemów egzystencjalnych, jeśli nie uświadomimy sobie naszego miejsca na ziemi i sensu naszego życia.

W twórczości Woroszyńskiego zwrot w stronę podobnej problematyki można było przewidzieć już dawno, znając jego zapowiedzi widoczne w takich utworach jak choćby "Twój powszedni morderca". Co jednak czyni "Zeszyt 1974-75" i "Jesteś" etapami w tej twórczości zdecydowanie nowymi i odmiennymi jakościowo, to właśnie ścisłe zespolenie problemu moralnej odpowiedzialności jednostki z problemem jej zależności od nie dających się obejść czy przekroczyć praw ludzkiej egzystencji. "Zeszyt 1974-75" to krótki cykl wierszy poświęconych w gruncie rzeczy jednemu tematowi - śmierci. Słowami opanowanymi, ścisłymi, bez świętej grozy i bez hysterii, mówią te wiersze o życiu rozumianym jako "małe umieranie", jako stałe przymierzanie się do śmierci, której rzucany wstecz cień każe inaczej wartościować składniki naszego życia i naszego stosunku do tego życia:

Takie małe umieranie Takie trochę
 odchodzenie ubieranie się w ten dystans
 obieranie siebie z siebie tyle warstw
 Takie zwykłe porzucanie
 zabawek porozkręcanych
 w pół zabawy w ówcięż obawy w krztę skosztowaną
 /...../
 A tu małe umieranie Takie trochę
 umieranie z małą wiarą w zmartwychwstanie

/"Takie małe umieranie"/

Skupione i oszczędne w wyrazie wiersze w rodzaju "Dzielnicy" czy zwłaszcza "Kolegów ze szpitalnej sali" wyprowadzają z tej wizji egzystencji dalsze wnioski. Ukazują bowiem "małe umieranie" jako szansę odnalezienia się w wielkiej rodzinie ludzkiej, której wszyscy członkowie obarczeni są podobnym przeznaczeniem cierpienia i śmierci. Poczucie solidarności i wspólnoty staje się tu samodzielną wartością, dzięki której możliwa jest zgoda na ludzką rzeczywistość, odnalezienie własnego miejsca wśród "moich braci w nędzy" /wiersz "Poprawa wzroku"/. Wiersze z "Zeszytu 1974-75" stanowią, inaczej mówiąc, jedną wielką polemikę z taką koncepcją ludzkiego świata, jakiej wyrazem - ironicznym, ma się rozumieć - był w cyklu "Po zagładzie" wiersz "Akt ostarzenia": z każdą koncepcją, w myśl której ludzie mieliby się dzielić na bardziej lub mniej godnych współczucia i ocalenia. Wspólny nam wszystkim los - powiada Woroszyński - nie pozwala pozbawić kogokolwiek prawa do ludzkiej solidarności, choćby jej jedyną formą mogła być tylko ocalająca moc pamięci.

Poemat "Jesteś" na powrót przenosi tę uniwersalną problematykę w sferę sytuacji i zdarzeń historycznych i konkretnych. Nawet bardzo konkretnych; w niektórych metaforach, których dosłowne znaczenie z biegiem lat być może się zatrze, dzisiejszy czytelnik rozpoznaje z łatwością aluzje do określonych składników społeczno-historycznej rzeczywistości ostatnich lat. Jednakże podstawowe pytania - zarówno egzystencjalne, jak i etyczne - pozostają te same, konkretnie współczesnej codzienności nadaje im co najwyżej charakter bardziej dramatyczny i zarazem osobisty. Ten dialog poety z samym sobą stanowi próbę samookreślenia się, odnalezienia własnej tożsamości, zniekształcanej przez napór zewnętrznego świata, przez złożony układ sytuacji historycznej, układów społecznych, praw biologii, tajemniczej gry konieczności i przypadku. Dlaczego jestem tu i teraz, a nie gdzieś indziej i kiedyś indziej? I, co ważniejsze: co dla mnie osobiście wynika z faktu, że jestem tu i teraz? Oto pytania, które leżą u podstaw poematu. Pytania postawione - co trzeba szczególnie mocno podkreślić - w sposób specyficznie poetycki, bo nie tylko wprost, ale i za pośrednictwem określonej organizacji języka. Woroszyński rozwinął tu do perfekcji

swoją, kultywowaną od kilkunastu lat, metodę poetyckiego mówienia, opierającą się na wykorzystywaniu słowotwórczych i brzmieniowych zbieżności wyrazów. W poemacie "Jesteś" ta kombinatoryczna wynalazczość doczekała się bodaj najbardziej celowego zużytkowania: dzieje się tu tak, jak gdyby proces docierania do własnej tożsamości znajdował wierne odwzorowanie w języku, mnożącym skomplikowane gry brzmieniowych i słowotwórczych układów tylko po to, aby wydobyć z nich wspólne znaczeniowe jądro.

Można tylko żałować, że po słowach "Ach jeszcze tylko zdążyć złapać ten ryk godności", kończących poemat "Jesteś", nie mógł się znaleźć jeden z ostatnich utworów Woroszylskiego, opublikowany w szóstym numerze "Zapisu" wiersz "W kamieniejącym grzęzawisku..." Do takiej pointy zmierzają bowiem jego twórczość przez wiele lat; i strofy owego wiersza, ujmujące w poetycki kształt niepowtarzalne i sprzeczne wewnętrznie odczucie, które było udziałem wielu z nas w tych dziwnych czasach przełomu, stanowiłaby zapewne najlepsze zwieńczenie dramatycznego scenariusza zawartego w ostatnim tomie Woroszylskiego:

W kamieniejącym grzęzawisku
naszej powszedniej głuchej wojny
w tym koczowisku w tym uścisku -
nigdy nie byłem taki wolny

/...../

Bo wszystko w wolność się zamienia
gdy zniewolenia pełna miara:
ciężki dech ziemi krzyk kamienia
i ta zapluta lawa szara

/...../

I spod powłoki spod zaćmienia
życie swą jasną twarz wychyli
bo wszystko w wolność się zamienia
czego dotkniemy w takiej chwili.

D O K U M E N T Y

Przedstawiamy dostarczone nam protokoły dwóch posiedzeń komisji mającej decydować o rozpowszechnianiu - lub nie - polskich filmów fabularnych. Los obu omawianych tu filmów, zrealizowanych w zespole "Pryzmat", ułożył się w następujący sposób: "Palace Hotel" do tej pory nie ukazał się na ekranach, film "Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?" uzyskał prawo wyświetlania, ale dopiero po roku.

Nie przeceniając wartości intelektualnej i np. stylistycznej zamieszczonych poniżej tekstów, sądzimy, że zainteresują one Czytelników ZAPISU dzięki bogactwu informacji, malowniczości i wyrazistości ludzkich charakterów. "Wewnętrzna dyskusja" organu kontrolującego kinematografię polską obfituje w typy argumentacji i sposoby rozumowania charakterystyczne dla polityki kulturalnej, kształtowanej - rzecz jasna - w ośrodkach urzędowych, a nie w zespołach twórców, potwierdza, że nie kryteria artystyczno-fachowe i autorytet zawodowy ważą na podejmowanych decyzjach, prezentuje typowe postawy i postaci znane społeczeństwu z życia publicznego.

Skoro jesteśmy przy personaliach: głos Stanisława Dygata tu przytoczony jest - o ile wiemy - Jego ostatnią wypowiedzią publiczną; 29 stycznia 1978 r. pisarz zmarł. Nie żyje już także jego adwersarz w tym sporze, minister Janusz Wilhelmi, który 16 marca 1978 r. zginął w katastrofie lotniczej. /W dzień po śmierci St. Dygata ówczesny wiceminister Wilhelmi zgłosił się do pełnienia warty honorowej przy trumnie pisarza/.

Obydwa stenogramy zostały przez nas redakcyjnie zadiustowane: ze względu na ich rozmiary skrócono tekst mniej więcej o jedną trzecią, usunięto najbardziej rażące kolokwializmy, powtórzenia, fragmenty bez istotnego znaczenia bądź dotyczące szczegółów niezrozumiałych dla Czytelnika, który nie widział filmu.

Uzupełniono również teksty tytułami i - w kilku miejscach - przypisami informacyjnymi.

Red.

NIE SPOTYKAMY SIĘ TU DLA ROZRYWKI

Stenogram

z posiedzenia Komisji Kolaudacyjnej Filmów Fabularnych w dniu
2 grudnia 1977 roku

Obecni: WMin. Wilhelmi, Dyr. Nicciowska, Nacz. Czarska, Prof. Jackiewicz, Ob. Konwicki, Ob. Król, Red. Filler, Reż. Ewa Kruk, Ob. Dygat, Ob. Kuśniewicz, Reż. Kawalerowicz, płk Lang, Ob. Jesionowski, Ob. Mularczyk, Red. Roliński, Ob. Misiorny, Ob. Rogowski, Dyr. Pastuszko, Reż. Poręba, Ob. Szczepkowski, Ob. Scibor-Rylski, Reż. Zanussi.

Na porządku dziennym: dyskusja nad filmem pt. "Palace Hotel" zrealizowanym przez Ewę Kruk w Zespole "Pryzmat".

Przewodniczący: WMin. Wilhelmi.

x

PRZEWODNICZACY: Witam Państwa w tak szerokim gronie, które przekracza grono Komisji Kolaudacyjnej. Bardzo się z tego cieszę. Może byśmy wobec tego zaczęli rozmowę.

Ob. JESIONOWSKI: Po obejrzeniu filmu nabrałem dobrego wyobrażenia o umiejętnościach reżyserskich debutantki. Uważam, że będzie miała coś do powiedzenia w kinematografii, bo film jest zrealizowany sprawnie, wizualnie bardzo efektowny, aktorzy są dobrze poprowadzeni, a więc od strony podstawowych elementów warsztatu reżyserskiego debutantka sprawdziła się dobrze.

Jeżeli chodzi o treści tego filmu: nie wszystko, co sprawdziło się w prozie, broni się na ekranie. Stwierdzam, że w tym wypadku materiał literacki nie zdał egzaminu, ale per saldo mogę ocenić film wysoko ze względu na umiejętności reżyserskie.

Reż. POREBA: Przepraszam bardzo - chciałbym nie mówić, ale nie mogę wytrzymać i nie mogę nie mówić o ważnych sprawach. Jeżeli młody reżyser, debiutujący w oparciu o znany materiał literacki, chce robić szmoncesy na temat narodu polskiego, jeżeli chce robić filmy o Panusach, a to mają być filmy o nas, nie mogę tego znieść jako Polak i dlatego muszę o tych sprawach mówić. Nie wiem, kto młoda reżyserkę upoważnił do tego, aby na ekranie w taki sposób opowiadać o naszych losach narodowych.

Przecież to jest jakimś nieporozumieniem, i nie będę tutaj mówić o warsztacie debiutantki, ale na pewno ludzie, którzy zobaczą ten film, bo z góry musimy zakładać, że filmy takie nie będą oglądane tylko u nas, nie będą żywić sympatii do Polaków. Przecież w tej komedii okupacyjnej nie ma słowa prawdy o naszym losie, a widziałem niedawno film amerykański z okresu okupacji, i mogę zapewnić, że był on zrobiony z większą sympatią do nas, niż ten film. Przecież ten film burzy nasze doświadczenia o tych czasach, naszą wiedzę. Dlatego dla mnie część okupacyjna tego filmu jest trudna do przyjęcia. Przecież nie możemy zgodzić się na to, aby wiedza nasza o okupacji i o Niemcach sprowadzała się do sceny, w której Niemiec nie chce wyłamywać zamka w walizce.

Są tutaj sceny świadczące o działalności ruchu oporu w Polsce w czasie okupacji, ale na pewno ten ruch oporu nie wyglądał w ten sposób, że organizację zakładał jeden spryciarz, nie mając żadnych danych, aby być przywódcą tej organizacji. Przecież już jedno takie zdanie na temat ruchu oporu mówi bardzo wiele o naszym kraju. Proszę mi wybaczyć, ale nie umiałem inaczej patrzeć na ten film, jak właśnie w tych kategoriach, a ponieważ te sceny uderzają w sprawy nam niesłychanie bliskie i bolesne, więc nie mogą się zgodzić, aby były one w taki sposób opowiedziane, i to było dla mnie najważniejsze, bo przestały mnie w tym kontekście i w tej chwili interesować sprawy warsztatowe. /.../ O ile wiem, to niedawno został pani Ewie Kruk wytoczony proces przez Mortona, który oskarżał ją o oszkalowanie wsi polskiej, z której on pochodzi. Jeżeli to jest możliwe, to pani Kruk chciałbym wytoczyć proces.

Reż. KAWALEROWICZ: Chciałbym zabrać głos, bo mam nadzieję, że jednak do tego procesu nie dojdzie, że nie po to zbieramy się na kolaudacjach polskich filmów, i dlatego po tej ciszy, która zapadła po wielkim wystąpieniu Poreby, chciałbym mówić w tonie spokojniejszym, bo oczywiście Poreba może w ten sposób mówić o filmie swojej koleżanki, może mu się ten film nie podobać, ale nie przypuszczam, aby był on straszliwym akandalem, i nie widzę powodu, ażeby mówić o filmie aż w tak wzburzonej tonacji, bo trzeba wziąć pod uwagę gatunek filmu, który w tej chwili prezentuje nam debiutantka, i chciałbym tutaj stwierdzić, że ten gatunek nie ma ambicji sięgania do wielkich uogólnień, i chyba nie ma powodu, aby aż tak głęboko sięgać.

Oczywiście, to jest film zrobiony w oparciu o opowiadanie, które jest bardzo dygatowskie, i wydaje mi się, że udało się pani Kruk przetłumaczyć na ekran prozę Dygata, a w każdym razie w jakiejś mierze ją odtworzyć. Ale to nie oznacza, że film bardzo mi się podoba. /.../ Konwencja filmu powoduje, że staje się on bardziej umowny, chwilami na dla mnie charakter skeczowy, co mi przeszkadza. Oczywiście, tu nie chodzi o to, jak dalece prawdziwi są w filmie Niemcy czy Polacy. Bo napewno nie chodzi tutaj o losy narodu; to jest pewien epizod, który w ten sposób może być na ekranach pokazany. Mnie ten epizod nie raził, nie dochodziłem do takich wniosków jak Poreba.

Mogę powiedzieć, że to jest debiut interesujący, ale troszkę nie bardzo samodzielny, bo widzę tu dużo różnych naleciałości, powtórek, scen, które mi jakies filmy przypominają. I to też mi przeszkadza w odbiorze filmu. /.../

Zdaję sobie sprawę, że niesłychanie trudne było odtworzenie tego opowiadania /.../ ale w sumie, reżyser wybrnął z tego dobrze i bardzo interesująco. Nie mam jakichś uwag typu kolaudacyjnego, jako fachowiec uważam, że przydałoby się tutaj trochę więcej nożyczek. Nie czuję się obrażony tym filmem i uważam, że to jest raczej debiut udany, w sumie film odebrałem dobrze. Dziękuję bardzo.

Ob. ROGOWSKI: Wydaje mi się, że prawda leży po środku. /.../ Osobiście uważam, że nie można zakwestionować prawa do podejmowania przez film drastycznej tematyki, ale możemy się z takim podejściem do tej tematyki nie zgodzić. Uważam, że sukcesem filmu jest to, że prowokuje on do myślenia.

Ob. MISIORNY: Ten polski Don Kichot, który nie ma lancy, jest potraktowany ironicznie i jest to prawem tego gatunku, co nie znaczy, iż twierdzę, że udało się zrobić film w oparciu o to opowiadanie, bo uważam, że ekran tego opowiadania nie utrzymał. W rezultacie otrzymujemy dość ponury paszтет; mimo, że mówi się tam o sprawach ważnych jak okupacja, konspiracja, kariera współczesnego działacza - w sumie jest to kilka sarkastycznych uwag, wybrzydzących temat Polski.

Red. ROLINSKI: /.../ Według mnie, mamy tutaj do czynienia z uproszczeniami i z bardzo wąskim kątem patrzenia. /.../ Szkoda, że taki temat został wybrany przez człowieka do tego nie przygotowanego, i dlatego w tym filmie widzę niedostatki w sposobie wypowiedzania myśli, schematyczne sylwetki ludzi, ich schematyczne odzywki, jakby to byli ludzie, którzy nie mają o czym mówić, a minął już tak długi okres od czasu okupacji, że stać jest nas na jakies inne sformułowanie sądów o tych czasach. /.../

Nie bardzo rozumiem, jak to się dzieje, że takie tematy oglądamy na ekranach, podczas kiedy wokół nas tyle się dzieje, kiedy tak wiele przeżywamy sami i na pewno takie są wrażenia wszystkich zgrupowanych w tej sali, i nie wiem, jak być może, że te przeżycia współczesne nie odbijają się na działalności filmowej, że ona jakby przechodzi obok nich. Nie chodzi o to, ażeby to wszystko było ładne, wylukrowane, bo nawet mogą być poruszane sprawy ostre, poważne, możemy dotykać spraw drastycznych, ale takich filmów nie widzimy na ekranach. Natomiast dzisiaj mamy przykład filmu zbudowanego wokół bardzo dawnych i bardzo epizodycznych, jednostkowych przeżyć Polaka, a więc jest to skoncentrowaniem się na jakimś minimum. /.../

Red. FILLER: Bardzo lubię cienką prozę Dygata; na dzisiejszej kolaudacji powinniśmy się zastanowić nad tym, jak ta proza została przetłumaczona na język filmowy, bo byłem świadom tego, że to jest rzecz bardzo trudna, prawie niewykonalna. Wolałbym nie wypowiadać się co do ideowej wymowy całości, natomiast muszę powiedzieć, że zaskoczyła mnie opinia Prezesa Kawalerowicza, chociaż rozumiem, że jako Prezes Stowarzyszenia, mówił z ojcowską życzliwością. Ale dla mnie to jest straszliwie nieporadne włączenie z prowadzeniem aktorów. /.../

Kiedy oglądaliśmy film Falka,¹ to słyszałem zachwyty na temat mistrzostwa jego warsztatu, a sam miałem zastrzeżenia do niedostatków zawodowych, ale w tej chwili muszę te zastrzeżenia pod adresem Falka odwołać i uznać, że jest on geniuszem w porównaniu z twórcą tego filmu. To jest coś, co w sensie warsztatowym nie nadaje się do dyskusji, i mówię to jako profan.

Ob. KROL: /.../ Myślę, że obecne pokolenie młodzieży przejdzie obok tego filmu mimo, że się nad nie nie zastanowi, natomiast ludzie dorośli, starsi będą oburzeni. Mnie również ten film oburzył, bo nie lubię, kiedy kpi się z wojny i z okupacji. /.../

Nie ma tutaj żadnych elementów przyczyniających się do rozwoju człowieka, rozwoju jego osobowości. Po prostu film ten nie podobał mi się.

Ob. SZCZEPKOWSKI: Nie chciałbym się włączać w główny nurt dyskusji, ale przy okazji swej bytności chciałem powiedzieć, że nie zawsze trzeba wytaczać argumenty tak poważne, tak ciężkiego gatunku. Muszę się przyznać, że nasunęła mi się taka refleksja: przy ostatnim kadrze filmu nie udało mi się zaspokoić swej ciekawości i nie dowiedziałem się, co się dzieje z tą przekorną dziewczyną ani nie zobaczyłem jej reakcji na widok zabawki, która znajduje się w walizce. Natomiast my zbyt często dyskutujemy na temat przedziwnych zabawek, jest tak przy różnych tematach, a również przy temacie tego filmu.

PRZEWODNICZACY: Wyczerpaliśmy listę dyskutantów. Widać, problemów wiążących się z tym filmem jest wiele, i to mnie wcale nie dziwi.

¹ Film F. Falka "Wodzirej"; niedopuszczony przez min. Wilhelmię nie tylko na ekrany, ale nawet do kolaudacji, w listopadzie 1978 r. otrzymuje pierwszą nagrodę na festiwalu filmowym w Łagowie.

Ob. DYGAT: Chciałbym odpowiedzieć na pewne zarzuty, ale nie chciałbym swoją wypowiedzią wprowadzać uroczystej, patetycznej atmosfery. Chciałbym uprzejmie prosić pana Porębę, ażeby nie uczył mnie polskości. Niechętnie mówię o swoim pochodzeniu, ale jednym z moich pradziadków był Mierosławski, a drugim - Święcicki, członek II. Proletariatu. Mój dziadek /2/ był powstańcem 1863 roku, był człowiekiem II Międzynarodówki, był poszukiwany przez policję i mimo, że był pochodzenia francuskiego, uważał się za Polaka, walczył o polskość, jedną z moich ciotek była Maria Kostrzewa, która używała pseudonimu Wera. Naturalnie, nie mówię tego wszystkiego po to, aby się chwalić swymi parantelami, ale po to, aby udowodnić, że polskość wyniosłem z domu rodzinnego, i nie chciałbym, aby teraz mnie tej polskości uczono. Do tej pory nie spotkałem się z tym, aby ktoś miał zamiar kwestionować moją polskość, podawała w wątpliwość i dopiero pan Poręba, zrobił to po raz pierwszy, i nie chciałbym, aby takie wypadki miały miejsce, tak jak nie uważam, że pan Poręba ma nopol na polskość.

Chciałbym dodać, że obywatelem polskim zostałem w roku 1947, kiedy przyjąłem obywatelstwo polskie mając do tego czasu obywatelstwo francuskie. /3/ Wydaje mi się, że jest to jasne i zrozumiałe, i w takim układzie byłoby śmieszne, ażeby ktoś kwestionował moją polskość, podchodzenie do polskich spraw, i to w okresie okupacji.

Chciałbym też przypomnieć, że jedną z cech patriotyzmu - i tak się do niego podchodzi we wszystkich kręgach - jest wyszukiwanie rzeczy budzących wątpliwość we własnym kraju, we własnym narodzie. Przecież nie na tym rzecz polega, aby ten własny kraj chwalić, mówić, że jest w nim wszystko piękne i wspaniałe, nie na tym polega patriotyzm; zawsze artystów charakteryzował pewien krytycyzm, cechuje on pisarzy wszelkich narodowości z Rosjanami włącznie, a oni mają najwspanialszą literaturę, i dlatego zarzuty stawiane tutaj przez pana Porębę wydają mi się śmieszne - nie mogę się czuć obrażony. Cieszyłbym się nawet gdyby doszło do procesu, bo wtedy kto inny okazałby się dobrym Polakiem, a więc sytuacja byłaby ciekawsza.

Uważam, że wszystkie zarzuty spadają na mnie, a nie na panią Ewę Kruk. Ja mogę jej tylko podziękować za współpracę, dlatego, że pani Ewa jako młody reżyser wykonała w sposób ścisły to, co napisałem w scenariuszu. A więc zwalnia to panią Ewę od zarzutów ideologicznych, bo one obciążają wyłącznie mnie, i biorę na siebie odpowiedzialność karną; jeżeli do takowej dojdzie, to ona spada na mnie.

Wziąłem na siebie odpowiedzialność ideologiczną dlatego, że film jest wierny memu opowiadaniu, a więc wszystkie zarzuty mogę przypisać tylko sobie. Ja jestem tym filmem po prostu zachwycony, tym bardziej, że jest to film debiutancki, a takiego filmu debiutanckiego nie pamiętam, a jeżeli jest on szokujący, to może dlatego, że widzowie i my sami przywykliśmy do pewnych schematów, jak też przywykliśmy do schematycznego pojmowania filmów.

To, co powiem, będzie odruchem, może się wydać szokujące, ale - toutes proportions gardées - niedawno czytałem znakomitą, wspaniałą książkę Marechalla /?/ /4/ o Beethovenie, i tam właśnie było powiedziane, że na początku jego twórczość była przyjęta wręcz straszliwie, po prostu ją wykpiwano, zarzucano mu brak patriotyzmu, a było to wynikiem nowatorstwa, jakim Beethoven zaszokował świat. Po prostu współcześni nie byli w stanie odebrać tych wartości, a w jakiejś mierze musieli się ustosunkować do tych wydarzeń artystycznych. I takich przykładów mógłbym przytoczyć bardzo dużo.

Wydaje mi się, że ten film jest szokujący i że powinien być szokujący, ponieważ wszystkie filmy dotychczasowe mówiące o Polsce i Polakach z okresu okupacji były mniej więcej takie same, w zasadzie to były filmy hagiograficzne. Trzeba było dużo odwagi ze strony debiutanta, ażeby się zabrać do czegoś tak bardzo obrazoburczego. Ja tę obrazoburczość odbieram jako wielką miłość do tego kraju, który czuję, czego ostatecznie dałem dowody.

Ob. SCIBOR-RYLSKI: Proszę Państwa! Pogniewacie się na mnie, ale ta dyskusja dowodzi, jak potrzebny był taki film, który zrobiła pani Ewa w oparciu o opowiadanie Dygata. To było małe dziełko, żartobliwe, ukazujące w sposób nie-

typowy Polaków. I dla mnie jest to film z pogranicza komedii, w każdym razie jest w tym coś zabawnego, a tymczasem większość sali odebrała ten film bardzo poważnie, jak byśmy mieli do czynienia z epiką czy dziełem historycznym. Nie wiem, czy na sprawy naszej przeszłości mamy patrzeć tylko bardzo ponuro. /.../

Mamy tu film żartobliwy, a pan Bogdan /Poręba, przyp.red./ podchodzi do niego od razu w kategoriach procesu, który chce wytaczać za to, że są szargane najwyższe walory ideologiczne. Przecież tak nie można. Druga rzecz: gdzie jest powiedziane, że z Polaków nie można się śmiać? Można się śmiać i trzeba to robić. /Reż. Poręba: ale trzeba umieć! Na pewno trzeba umieć, ale myślę, że my sami nie umiemy się śmiać z siebie. /.../ Przecież cudzoziemcy i ich kinematografie nie są w stanie zrozumieć, dlaczego ze swoich cech narodowych nie można się śmiać, a tu od razu przymierza się jakieś wielkie wartości ideologiczne. /.../

Jak chodzi o Bogdana, to przypomina mi on Kozaka w sklepie Minzla, ale taki Kozak nie może przekraczać miary, nie można zaraz grozić agzekucją, bo to mi zakrawa na żart z "Króla Ubu". Jestem zdziwiony i oburzony takim podejściem. Możemy uciekać się do żartów, ale nie do żartów tańczonych w tak ciężkich butach.

Reż. EWA KRUK: Chciałam powiedzieć, że niezależnie od tego, jak film został oceniony, robiłam film ten ze świadomością, ale nie miałam zamiarów tak bardzo dalekosiężnych, o jakie mnie się tutaj posadza. Jeżeli spotykam się z takimi zarzutami, to są one winą mego skandalicznego warsztatu, ale wydaje mi się, że trudno jest mówić o warsztacie w ramach jakichś reguł, bo wtedy dyskusja musiałaby się sprowadzać do tego, jakie obiekty i postaci powinny być na bliższych i średnich planach. Na pewno mego filmu nie robiłam metodą kina telewizyjnego i może moja metoda kogoś śmieszyć.

Jeżeli chodzi o proces wytoczony mi przez pana Mortona, to chciałabym przytoczyć jedno zdanie z wypowiedzi w trakcie kolaudacji, która odbyła się w telewizji, kiedy prof. Woźniak powiedział, że to jest jeden z najbardziej autentycznych filmów o wsi, jakie widział. Dlatego nie wiem, jak będzie wyglądać proces o odszkodowanie. A jeżeli chodzi o następny proces, to jeżeli będę chciała się posłużyć jakimś zdaniem z przebiegu dzisiejszej kolaudacji, proces ten przegram.

Ob. DYGAT: Chciałam powiedzieć, że nie traktowałam swego opowiadania jako groteski, wszystko traktowałam niezwykle poważnie, a cała historia z walizką i jej dziejami w czasie wojny jest autentyczna, i dotyczy ona walizki pracownika ataszatu amerykańskiego. Walizka ta była na Żoliborzu, gdzie właśnie we wrześniu 1939 roku znalazłam się. A więc jest to autentyzm, ale nie zawsze wydarzenia autentyczne sprawiają wrażenie prawdy artystycznej i nie zawsze są one dobrym tworzywem dla utworu literackiego. Tym niemniej w czasie okupacji wydarzało się wiele rzeczy nieprawdopodobnych, były też rzeczy żartobliwe, groteskowe i takie zdarzały się w momentach największej grozy. Te osoby,

- 1/ Ludwik Mierosławski, powstaniec z r.1631, działacza, przywódca powstania wielkopolskiego /1848/, po raz pierwszy opuścił kraj po klęsce powstania listopadowego i przebywał we Francji.
- 2/ Ludwik Dygat, ożeniony z siostrzenicą Ludwika Mierosławskiego. Obywatelstwo francuskie otrzymał w r.1870.
- 3/ Obywatelstwo francuskie zachował po Ludwiku Dygacie jego syn, Antoni Dygat, znany architekt, który jednak mieszkał i pracował w Polsce /gdzie zaprojektował wiele budynków, m.in. radiostację w Raszynie/. Natomiast syn Antoniego, pisarz Stanisław Dygat, ur. w Warszawie w r.1914, zrzekł się obywatelstwa francuskiego po II wojnie światowej.
- 4/ Tak w stenogramie. Nie potrafilimy ustalić, jaką książkę miał na myśli Dygat.

które przeżyły okupację w Warszawie, wiedzą, że nie ma rzeczy niemożliwych.

PRZEWODNICZACY: Proszę Państwa! Z pewnym smutkiem wysłuchałem tej dzisiejszej dyskusji, smutkiem właściwie równym prawie temu, z którym film obejrzałem, i chciałbym powiedzieć parę słów ale nie pod naciskiem wielkich nazwisk Róży Luksemburg czy Beethovena, bo nie o te wielkie nazwiska tu chodzi. Jeszcze jedno zastrzeżenie - oświadczenie pana Dygata na temat przeniesienia jego prozy na ekran, na temat tego filmu odebrałem jako dowcip, natomiast ten film nie wydaje mi się dowcipny, i powiem dlaczego. Zaczyna się ta komedia łapanką, przedtem jest wzmianka o ruchu oporu, ale to brzmi też nieprawdźliwie i niepoważnie. Ale o wojnie można robić filmy komediowe i przypominam sobie dwa takie filmy, a mianowicie "Giuseppe w Warszawie" i "Jak rozpetaliśmy drugą wojnę światową". To były naprawdę śmieszne filmy, a więc one dowodzą, że można u nas robić filmy komediowe o wojnie, że można się z tych strasznych rzeczy śmiać, ale muszą to być rzeczy śmieszne, ale tutaj nie śmiałem się.

Zaczyna się ta komedia od elementów łapanki, nie ma tam miejsca na groteskę typu szwejkowskiego, zaczyna się prawdziwa łapanka, wychwytywanie ludzi przez Niemców. Nie wiem, czy tutaj możemy się śmiać, czy jest tu miejsce na momenty farsowe? Prowadzę do tego, że trzeba się zdecydować na poetykę i albo przyjąć poetykę komediową, albo też poetykę innego gatunku. Tymczasem takich elementów wcale nie śmiesznych mamy mnóstwo, to są typowo tragiczne momenty okupacji, i nawet może nie jest to winą pani Kruk, a jest to winą Zespołu.

Ob. DYGAT: Nie wiem, czy na tej sali jest zwyczaj przerywania Ministrowi, ale to nie jest groteska i chciałem powiedzieć coś, co mnie dręczy a nawet przeraża; ja ten temat traktowałem niezwykle serio, pisząc to opowiadanie przypinałem sobie tragiczne sceny z przeszłości, bardzo się tym denerwowałem i jest w tym jakiegoś wielkie nieporozumienie, że ja do tych spraw podchodziłem poważnie, a tutaj na siłę chce się z nich robić żarty, rzeczy dowcipne. To jest okropne nieporozumienie, które mnie przygnębia i które dowodzi, że moje piarstwo nie przekonuje odbiorców, bo Wy mówicie tutaj Państwo o grotesce, o komedii; ja pisząc miałem łzy w oczach, a Wy się śmiejecie.

PRZEWODNICZACY: Piękna wypowiedź, ale my tu poza tym pracujemy, nie spotykamy się dla rozrywki, a spotykamy się po to, aby dojść do pewnych ustaleń. Popatrzcie na tego działacza, którego gra Wardejn. Czy byli tacy działacze? Raczej to mi się wiąże z nazwiskiem typu Tykocińskiego, znałem wówczas te sprawy, ale ta postać niczemu w historii Polski nie odpowiada. Jak mamy się śmiać z takich elementów i z takiej rzeczywistości związanej z losem Polaka? A w ogóle - jaki to jest los Polaka? Uważam, że człowiek niezłe zorientowany w tych sprawach nie zna takich ludzi, bo jeżeli byli tacy, to innej proveniencji, pochodzili oni z innego gniazda, a więc, czy możemy się śmiać a tak bardzo fikcyjnej postaci i szeregu dowcipów z nią związanych?

Film ten - proszę państwa - jest zrobiony niezmiernie ciężko, a dowcipy w tym filmie wcale mnie nie bawią, film po prostu nie jest śmieszny. Nie widzę w nim elementów, które byłyby wybrane z naszej rzeczywistości, nie zostaje tutaj ustalona określona poetyka, bo te dowcipy nie mają w sobie nic z groteski. Niestety, takie nieśmieszące nas dowcipy ciągną się bez końca. Jestem zdania, że wynikają one z niezdecydowania co do koncepcji.

Jeżeli film ten nie ucieka od wielkich spraw, jeżeli mówi on o sprawach niezmiernie tragicznych, to sprawy te w realizacji nie wyszły. Muszę powiedzieć, że piarstwo Pana Dygata zawsze mnie bardzo interesowało, są w nim zawsze sprawy refleksyjne, nawet jeżeli brzmią one groteskowo czy absurdalnie, ale są one podane z ogromną kulturą, a tu, ogromnie mi przykre, ale nie mogę w filmie o tym mówić. W filmie nie zobaczyłem tych elementów charakterystycznych dla prozy pana Dygata, tych elementów świadczących o wielkiej kulturze, i dlatego to wszystko mi się w filmie szalenie nie podoba. Uważam, że pani Kruk w niektórych miejscach nie powinna przekraczać granic dopuszczalnego humoru, jak też nie chcę robić zarzutów z niewiarygodności pewnych scen, bo nawet o okupacji można mówić pół żartem, ale nie wiem, czy tak powinny być ujęte sprawy konspiracji.

Ob. DYGAT: Pamiętam filmy zrobione o konspiracji, które były bardzo

śmiesznymi komedia mi, i jest to dopuszczalne wtedy, kiedy ta rzeczywistość jest przetransponowana artystycznie. Jeżeli nawet ktoś zastanawia się nad sceną, kiedy gestapo nie chce otworzyć walizki, aby nie zepsuć jej zamka, to i to jest scena autentyczna, choć w filmie brzmi ona groteskowo. Dlatego nie wiem, czy można to kwestionować.

PRZEWODNICZĄCY: Ma pan prawo wypowiedzieć swój pogląd, ale ja deklaruje również swe poglądy, które są poglądami urzędu. Ten film wydaje mi się z tych względów zły, ale na pewno nie chodzi o żadne względy wielkiej natury, o żaden patriotyzm czy świadomość ideową, bo to nie ten temat, bo można zrobić komedię o okupacji, nikt nie będzie tego bronić i nawet takie filmy otrzymały nagrody, a-ale pod warunkiem, że będą śmieszne. Nie wiem, czy Państwo śmiałicie się w czasie projekcji, czy były wybuchy śmiechu? /Ob.Dyga-t: boję się przyznać, ale były/. Na-wet statystyczną większość mam za sobą. To tyle, dziękuję bardzo.

DO KOMEDII TRZEBA NIEC ŻELAZNE ZDROWIE I NERWY

Stenogram

z posiedzenia Komisji Kolaudacyjnej Filmów Fabularnych
w dniu 9 grudnia 1977 roku

Obecni: VMin. Wilhelmi, Dyr. Niecikowska, Reż. Boreja, Dyr. Boniecki, Tow. Domański, Ob. Jesionowski, Prof. Jankowski, Ob. Kuśniewicz, płk Kamiński, Ob. Karwański, Ob. Konwicki, Ob. W. Król, Ob. Z. Król, płk Lang, Ob. La-skowski, Dyr. Olański, Reż. Poręba, Red. Roliński, Ob. Sałian, Ob. Scibor-Rylski, Ob. Tym, Ob. Szczepkowski.

Na porządku dziennym dyskusja nad filmem "Co mi zrobisz, jak mnie zła - piesz?", zrealizowanym przez reż. St. Bareję w zespole "Pryzmat".

Przewodniczący: VMin. Wilhelmi.

X

PRZEWODNICZĄCY: Dzień dobry Państwa. Przepraszam za spóźnienie. Proszę bardzo, kto z państwa chciałby zabrać głos?

Ob. JESIONOWSKI: Oglądając ten film miałem wrażenie, że zmartwychwstał producent Lejtes, który opowiedział nam najbardziej wyświechtane dowcipy, dodał trochę nowych pomysłów i wyprodukował film, który dzisiaj obejrzelśmy. /1/ To co się dzieje na ekranie, ma tyle wspólnego z rzeczywistością, co z życiem na księżycu. Jestem pewien, że ten film znajdzie widza, bo są widzowie, którzy chcą oglądać na ekranie głupszych od siebie. Nie jestem za tym, żeby ten film nie poszedł na ekrany, ale jedna rzecz jest tutaj niedopuszczalna, o ile ją dobrze zrozumiałem. Chodzi mi o parodię Banku Miast, kiedy dochodzi do konkurencji między chirurgami i wśród tych znakomitych dowcipów jest mowa o tym, że operowani są więźniowie. Takie sformułowanie nie może się znaleźć na ekranie i dlatego proponuję wniesienie tej jednej poprawki do filmu. Nawet jeżeli będzie to film kasowy, to państwowa kinematografia nie powinna takich filmów robić i takich filmów nie lubię.

1/ Reżyser Lejtes, autor filmów "Młody las" - 1934 r., "Róża" - 1936 r., "Dziewczęta z Nowolipek" - 1937 r., "Granica" - 1938 r., uznany jest przez historyków kina /patrz J. Toeplitz "Historia Sztuki Filmowej"/ za jednego z najwybitniejszych polskich twórców filmowych okresu międzywojennego. Jego obraz "Młody las" wyróżniony został za osiągnięcia aktorskie na I Festiwalu Filmowym w Moskwie w r. 1935, a film "Dzień wielkiej przygody" uzyskał w tym samym roku na festiwalu weneckim puchar faszystowskiej federacji przemysłowej - mimo żydowskiego pochodzenia twórcy.

Ob. KUSNIEWICZ: Jeden z moich profesorów używał takiego sformułowania w języku niemieckim, z którego wynikało, że nic nam nie będzie darowana, i tutaj nam też nic nie zostało darowane, bo w filmie potrącono bardzo wiele tematów poczynając od nieuczciwości sprzedawców, poprzez rozmaite bzdury, które się dzieją na tym świecie, włącznie z tymi więźniami, którzy są używani do przeprowadzenia eksperymentu. Dla mnie to wszystko jest zrobione bez gustu /.../ dowcipy na niesłychanie niskim poziomie i przez to film jest wręcz nużący. Oglądając go, czułem się zażenowany.

Ob. SCIBOR-RYLSKI: Sprawa więźniów przez Zespół była zakwestionowana, ale tej sceny reżyser przed kolaudacją nie chciał wyciąć. W każdym razie na tę scenę nie zgadzaliśmy się,

PRZEWODNICZACY: Ten dowcip nie znalazł u Panów uznania?

Ob. SCIBOR-RYLSKI: Nie znalazł.

Ob. SAPIAN: Niestety, nie mam nic do powiedzenia na obronę tego filmu. Całkowicie zgadzam się z tym, co powiedział pan Andrzej Kuśniewicz, i nie chciałbym się powtarzać. W Rzeczypospolitej są potrzebne komedie, warto je robić, mnóstwo jest elementów w tym filmie, które dotyczą rzeczy prawdziwych, tylko, że komedia wymaga czegoś innego. /.../

Reż. POREBA: Nie chciałbym przybierać tonu Katona, co mi się ostatnio parę razy zdarzyło, ale trzeba rozdzielić sprawy realizacji i scenariusza. Scenariusz ma optykę absolutnie nie do przyjęcia, optykę, która najwięcej mówi o tym zwierzęciu, które ukazuje się na końcu filmu na ulicy Warszawy, ale trzeba chyba powiedzieć jedną rzecz, że w tym filmie nasze życie i ludzie są pokazani bez cienia życzliwości, aczkolwiek nigdzie nie jest powiedziane, że nasze życie nie nadaje się do satyry, i to nawet bardzo ostrej. Nie miałbym nic przeciwko ostrości soczewki widzenia w odniesieniu do różnych okoliczności, czy występujących postaci, ale jeszcze jest jedna rzecz, która mnie przeraża i która występuje w paru naszych filmach. Chodzi mi o brak jakiegokolwiek sympatii do człowieka. /.../ Reżyser wskazuje nam na płaskość tego świata, na płaskość ludzi i to jest najbardziej przerażające.

Red. ROLINSKI: Dowcipy trudno jest analizować, ale nie słyszałem wybuchów śmiechu na tej sali. Z tej komedii wynika, że jesteśmy bandą skończonych idiotów, a oglądający ten film też mają być idiotami i mają się śmiać z idiotów. Film jest ogromnie niekulturalny, przypomina mi on ludzi, którzy lubią opowiadać dowcipy, a nie umieją tego robić. Zawsze są pewne granice opowiadanych dowcipów i tych granic przekroczyć nie można, a tutaj zostały one przekroczone.

Ob. TYM: Ponieważ nie bardzo pana /Porębę - przyp.red./ zrozumiałem, a jako współautor scenariusza, zgadzam się z wieloma zarzutami, chciałbym wyjaśnić ten zarzut co do spraw moralnych. /.../ Powiedział pan, że nie jest w stanie zrozumieć "optyki scenariusza" w ostatniej scenie. To jest niejasne i byłoby dobrze, gdyby mógł pan jaśniej tę sprawę sformułować.

Ob. POREBA: Chodzi mi o tę świnię, która się pojawia na ulicy i z tego wynika, że wszystko jest ześwinione łącznie z ludźmi, że oni są wewnętrznie ześwinieni. Nie zgadzam się z tym.

Ob. TYM: Ja też nie.

Reż. POREBA: Jeżeli można byłoby porównać tę komedię do komedii francuskich, to Francuzi pozwalają sobie na różne pieprzności, na najbardziej skrzywione spojrzenie na zjawiska, na człowieka, sprawy te przedstawione są karykaturalną kreską, ale w każdej francuskiej komedii widzimy autentyczną sympatię do Paryża i paryżan, jest tam coś takiego, co pozwala nam na dobrotliwy uśmiech, a tutaj nie czuje się sympatii do ludzi.

Ob. SCIBOR-RYLSKI: Powiem tylko parę słów. Jeszcze nigdy żadna kolaudacja reżysera Barei nie przebiegała inaczej, niż dzisiejsza. Wszystkie filmy kolaudowane na tej sali były przyjmowane źle, wyszydzane, po czym w kinach szły przy pełnym kompletach widzów. Widać nasze poczucie humoru jest niespój-

ne z poczuciem widzów kinowych. Jestem przekonany, że ten film będzie miał duże powodzenie, że ludzie będą się śmiać w kinach, chociaż ja też oglądając ten film śmiałem się kilka razy.

Réż. BAREJA: Oczywiście nie mogę nikogo przekonywać, że to nie jest tak straszliwie marny film /.../ Ale jeżeli pan Jesionowski powołuje się na producenta Lejtesa, który wymyślał tego rodzaju wysławiechtane dowcipy, jakie znalazły się również w moim filmie, to chciałem powiedzieć, że Lejtes nigdy nie był producentem, ale reżyserem, i nigdy nie robił komedii, a więc jest to przykład typowej uwagi bazującej na pseudo-erudycji po to, aby dorzucić szpilę.

Jeżeli film ukaże się na ekranach, to wtedy być może przekonamy się, że nie jest tak źle, bo przypominam sobie kolaudację filmu "Poszukiwany - poszukiwana", która przebiegała jeszcze gorzej niż dzisiejsza, kiedy robiono więcej uwag pod adresem filmu, po czym został on zakupiony przez dziewięć krajów i miał zupełnie dobre recenzje. Wszystkie kolaudacje przypłacam swoim zdrowiem, bo to nie jest dla mnie głupstwem. Ale chyba nie bez powodu tak niewiele jest reżyserów, którzy robią komedie, a ci, którzy je robili, odpadli po pewnym czasie. Sam pan Poręba wie, bo próbował robić komedię, ale nie dobrnął do jej zakończenia. Żeby robić komedie, musi się mieć żelazne zdrowie i nerwy.

Ob. KONWICKI: Trudno wzajemnie się przekonywać. Mnie się film podobał, ja się śmiałem.

PRZEWODNICZACY: Trudno omawiać komedię bardzo serio, ale powiem otwarcie: może jestem nietypowym widzem, ale ten film troszkę mnie zdziwił, bo w swoim czasie pan Bareja zrobił dla telewizji wdzięczny film o wieczorze wigilijnym, trochę w nim trzeba było wyciąć, dlatego, że były epizody przekraczające granice dobrego smaku, natomiast ten film mnie zdziwił, bo tamten telewizyjny był jedynym filmem pana Barei, jaki widziałem, i w zestawieniu z tym filmem byłem zaskoczony, i to podównie zaskoczony, że tacy ludzie, jak pan Scibor i pan Konwicki nie mieli nic do zasugerowania twórcom tego filmu, i sądzę, że gdyby do tego doszło, to mielibyśmy mniej uwag pod adresem tego filmu i byłby on mniej straszliwy. Dla mnie jest to powodem do zastanowienia się nad rolą Zespołu, ponieważ nie mogę uwierzyć, że Panowie w swym głębokim przekonaniu uważają ten film za dowcipny, za śmieszny, w dobrym guście, bo nie wiem, czy by Panowie chcieli w taki sposób opowiadać dowcipy znajomym i czy sami chcieliby tak opowiadanych dowcipów słuchać. Po prostu w to nie wierzę.

Ob. SCIBOR-RYLSKI: Jesteśmy szczerzy, nie mamy powodu nikogo okłamywać.

PRZEWODNICZACY: Film jest okropnie płaski. Oglądałem go trzy dni temu, starałem się o nim zapomnieć i pozostało mi tylko ogólne wrażenie. Nie bardzo wiem, co można na ten temat powiedzieć poza stwierdzeniem początkowym, a już na pewno nie powinniśmy żerować na niskim stanie umysłów widzów, bo to nie jest zadaniem kinematografii, ani zespołów i tak to rozumiałem z oświadczenia Zespołu, jak i Stowarzyszenia, że nie chodzi o żerowanie na tym, że ktoś jest ciemny, że powinniśmy ludzi bawić, ale powinniśmy podnosić poziom kulturalny naszych widzów, a w żadnym wypadku nie powinniśmy tego poziomu obciągać w dół i tak w żadnym wypadku nie rozumiem naszego powołania. Tak samo uważam, że nie mamy obowiązku dogadzania naszym widzom od dołu, ale od góry.

Jeżeli film nawet ktoś kupi, to my nie jesteśmy przedsiębiorstwem handlowym i to nie jest dla nas argumentem, nie jesteśmy kioskiem "Ruchu", nie występujemy w charakterze handlowców, którzy swój towar wystawiają na sprzedaż, bo zagadnienia handlowe są w naszym wypadku wtórne.

Nie możemy mieć pretensji do pana Barei i do Pana Tyma, ale powinniśmy mieć pretensję do zespołu /2/, że w czasie produkcji nie wyperswadował pewnych pomysłów twórcom, a wtedy film byłby zrealizowany bez tych najbardziej płaskich dowcipów. Nie mam żadnej gotowej konkluzji. Film przyjąłem bardzo źle, pierwszy raz zetknąłem się z podobnym produktem. To jest straszliwe.

2/ W lutym 1978 r. wiceminister Wilhelm rozwiazał zespół filmowy "Pryzmat", którego kierownikiem artystycznym był Aleksander Scibor-Rylski, a kierownikiem literackim - Tadeusz Konwicki.

I przepraszam za szczerłość, ale trzeba się zastanowić nad pewnymi poprawkami, a może trzeba pracować od początku, bo przecież ponosimy za to jakąś odpowiedzialność. Nie uważam siebie za superintelektualistę, ale za zwyczajnego wiedzka. Nic więcéj powiedzieć nie mogę, będziemy się za stanawiać, co z tym zrobić. Dziękuję bardzo.

A.B.

"RES PUBLICA"

Ukazało się nowe czasopismo poza zasięgiem cenzury, pragnące - jak czytamy w słowie wstępnym od redakcji - "myśleć o polityce", co jest zasadniczo różne od czynnego uprawiania polityki". Rzeczywiście, polityczny charakter pisma nie ulega wątpliwości, a jednocześnie uderza pewien dystans wobec życia politycznego, postawa obserwatorsko-komentatorska. Wbrew zwyczajowi częstemu już w prasie nie cenzurowanej, autorzy występują anonimowo z wyjątkiem niezmordowanego Stefana Kisielewskiego, którego artykuł stanowi najżywszą i najbardziej zaangażowaną pozycję w numerze.

Autor zastanawia się nad ewentualnością zjednoczenia i zneutralizowania Niemiec. Mogłoby to leżeć w interesie ZSRR. Ale czy w interesie Polski? Jedni sądzą, że owszem /konsekwencją byłoby rozluźnienie w Polsce i w całym Bloku/, drudzy, że wprost przeciwnie /konsekwencją byłoby przeniesienie dywizji radzieckich z NRD do Polski i zaostrzenie kontroli nad Blokiem/. Kisielewski przyznaje słusność raczej temu drugiemu pogładowi. Może zresztą do zjednoczenia i "finlandyzacji" Niemiec wcale nie dojdzie. Ale trzeba po prostu ogarniać takie sprawy umysłem, nauczyć się na nowo "geopolityki", od której wszyscy, łącznie z naszą opozycją, odwykliśmy jako od tematu przekraczającego kompetencje Polaków.

Tymczasem - i to "Res Publica" akcentuje bardzo mocno w innym artykule, zatytułowanym "Europa i my" - nie wolno nam zapomnieć, że należymy właśnie do Europy. Przywiązanie do demokracji, parlamentaryzmu, praw człowieka, tradycji kulturalnych a zarazem nowoczesnej cywilizacji, przywiązanie połączone z krytycyzmem, to "europejskość". Otóż "europejskość leży w naszym interesie narodowym, powinniśmy utrzymywać z aktualną Europą możliwie ścisły związek i przede wszystkim nauczyć się mówić europejskim językiem".

Krótki szkic historyczny /"Spór o fundamenty"/ przypomina, co myślano o demokracji zaraz po wojnie. /"Tygodnik Powszechny", dyskusja z roku 1945, Jerzy Turowicz: "Trzeba zastąpić anarchię demokracji liberalnej ładem demokracji kierowanej". Jakże to trafnie ilustruje ówczesne horyzonty!/"

Bardzo wnikliwy i obiektywny opis powstawania i ewoluowania poglądów "warszawskiej szkoły historyków idei", do której zaliczone Leszka Kołakowskiego, Bronisława Bączkę, Jerzego Szackiego i Andrzeja Walickiego, znajdujemy w eseju "W pół drogi". /"Ich krytyka stalinizmu była przede wszystkim krytyką umysłu uprawiającego filozofię stalinowską". Też bardzo trafnie podpatrzone !/"

Z dominującego nad całym numerem solidnego obiektywizmu wyłamuje się chyba tylko złośliwa filipika "Bohater naszych czasów". Chodzi o film "Bez znieczulenia", ściślej zaś o to, że bohater filmu Wajdy, dziennikarz Michałowski to fałszywa wielkość i moralna nicłość, a w gruncie rzeczy reprezentant całego pokolenia, które zawdzięcza "kariere" systemowi i albo przejęło władzę w państwie albo "bierze rząd dusz" - znova ten rząd dusz! - natomiast kompleksów pozbywa się "w twórczości niezależnej", gloryfikując w niej nawet po trosze swoją okropną młodość. Ej, czy nie zbyt pewne siebie i bezstrokie te polemiczne stereotypy? Zwłaszcza, że ogólny poziom pisma trzeba uznać za bardzo wysoki, a styl myślenia za niemniej elegancki.

Esej o ideałach politycznych Masaryka /"Czeska szkoła demokracji"/, seria krótkich felietonów na różne tematy aktualne /wybór Jana Pawła II, my a Chiny, my a fenomen runoński/, seria recenzji m.in. z książki Aleksandra Wata "Mój wiek" i z "Dziadów" w wersji Hamuszkiewicza, oraz informacje o kilku ważnych publikacjach obcojęzycznych uzupełniają treść pierwszego numeru. Świetne pismo, otwarte, jak głosi redakcja, "dla wszystkich", lecz z przeważającą, jak poucza na razie lektura, orientacją liberalno-konserwatywną, robione fachowo i ciekawie. Życzymy mu pomyślnego rozwoju, wysokiego nakładu i powodzenia u czytelników.

Z życia TKN

Kolejny rok akademicki Towarzystwa Kursów Naukowych dobiegł końca. 25 marca 1979, a więc jakiś czas przed końcem roku Komisja Programowa TKN przedstawiła członkom-sygnatariuszom sprawozdanie za ostatni, kilkumiesięczny okres działalności. Główną jej formą są nadal wykłady publiczne, prowadzone w Warszawie w jedenastu cyklach, których tematy kiedyś podawaliśmy. Dr Irena Nowakowa rozpoczęła zajęcia na temat "Życie społeczne a scentralizowana struktura władzy" w trybie seminaryjnym. Mimo choroby pani Nowakowej, seminarium to pracowało normalnie pod kierownictwem jej asystentów.

W niektórych cyklach, poza stałymi wykładowcami, uczestniczyły osoby zaproszone, np. w cyklu ekonomicznym dwukrotnie wystąpił profesor Czesław Bobrowski i raz - dr Maria Dziewicka, w cyklu współczesnej historii Polski /cieszącym się bodaj największym powodzeniem/ skorzystano z wiedzy Władysława Bienkowskiego, Jana Józefa Lipskiego, Józefa Rybickiego, miał też wygłosić prelekcję profesor Adam Szczypiorski, ale udaremniło to najście bojówki /o czym nieco niżej/. Niektóre wykłady powtarzano w innych miastach. W niektórych ośrodkach rozpoczęto - z udziałem miejscowych członków KTK - pracę w małych grupach seminaryjnych.

W ramach TKN wystąpili z odczytami /w języku angielskim/ goście zagraniczni: profesor Wessech z Instytutu Harvard w Stanach Zjednoczonych /o problemie praw człowieka w polityce USA/ oraz profesor Stan Johansson z wydziału socjologii Uniwersytetu w Sztokholmie/ o społeczno-ekonomicznych problemach programu socjaldemokracji szwedzkiej/.

Nową inicjatywą w tym roku akademickim był cykl wykładowy pt. "Tradycja" /którego charakter już omawialiśmy/. Cykl ten zainaugurował ksiądz doc. dr Bronisław Dembowski odczytem o encyklice "Aeterni patris". Następnie Tadeusz Mazowiecki omówił losy ONZ-owskiej deklaracji praw człowieka, Marcin Król poddał analizie odwoływanie się do tradycji politycznej w wydawnictwach opozycyjnych ostatnich dwu lat, Andrzej Kijowski przedstawił problem mitu bohatera narodowego w tradycji polskiej, Adam Michnik mówił o kwestii narodowej w polskiej doktrynie komunistycznej, Zdzisław Szpakowski o tradycji ruchu spółdzielczego, Wojciech Karpiński - o czterech modelach ugody z Rosją w polskiej myśli politycznej XIX stulecia. Odbyła się także dyskusja o kwestii żydowskiej w Polsce.

Nową formą działalności TKN są również kolokwia. Uczestniczą w nich zaproszeni goście, kompetentni w danej problematyce, w znacznej części spoza TKN. Dyskusje są nagrywane i przygotowywane do druku. Materiały pierwszego kolokwium - o języku propagandy - już się ukazały. W przygotowaniu - następne: o strukturze systemów ideologicznych, o zasadzie narodowej i jej dylematach w świecie współczesnym, o micie i osobie bohatera narodowego, o tym, jakiej potrzebujemy historii literatury.

Samokształceniowa działalność TKN w omawianym okresie nadal spotyka się z utrudnieniami i szykanami. M.in. na wykładach zaczęły się pojawiać wieloosobowe zorganizowane grupy, które agresywnymi wypowiedziami i kocią muzyką przeszkadzały w zajęciach. Po niedługim czasie grupy te przekształciły się w bojówki terrorystyczne; nie poprzestawały już na hałasach, obelżywych okrzykach i wyzwiskach, ale napastowały przybywającą na wykłady publiczność, blokowały wejścia do mieszkań i wszczynały bijatyki, ze szczególną brutalnością używając przemocy w stosunku do pewnych z góry upatrzonych osób. Najdalej posunięto się 21 marca, kiedy kilkudziesięciuosobowa grupa bojówkarzy wtargnęła do mieszkania Jacka Kuronia, mimo że jego wykład z cyklu "Wychowanie a życie społeczne" został tego dnia odwołany, ponieważ zachorował właśnie ojciec wykładowcy i leżał w mieszkaniu w stanie przedzawałowym czekając na przybycie pogotowia ratunkowego. Napastnicy wiedzieli o tym, nie powstrzymało ich to jednak od pobicia m.in. żony Kuronia oraz jego syna-maturzysty, u którego lekarze stwierdzili potem wstrząs mózgu. Henryk Wujec, bity na schodach do utraty przytomności, doznał takich obrażeń, że otrzymał następnie dziewięciodniowe zwolnienie lekarskie i nakaz leżenia w łóżku. Jak się dowiadujemy, w skład bojówek, oprócz kierujących akcją funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, wchodziłi

student-aktywiści SZSP z Akademii Wychowania Fizycznego, Szkoły Głównej Płano-
 wania i Statystyki oraz innych uczelni warszawskich. Role były podzielone, mis-
 ja podaj że większość części było robienie tłoku i wznośzenie okrzyków, natomiast
 wyspecjalizowana grupa, działająca zresztą - o ile można się było zorganizować -
 pod wpływem alkoholu. W sprawozdaniach składanych przez zarządy SZSP wyznacz-
 ni na zebrań PKN w dniu 25 marca postanowiono wysłać w sprawie obrządku
 tych ekspozycji do najwyższych władz PRL i odczekać się do opinii publicznej, uch-
 walać m.in. tekst listu do uczonych, członków Polskiej Akademii Nauk, do opi-
 nie wydarzeń autorzy listu stwierdzają: "Przebieg tych zajęć, przebieg i
 bezkarności sprawców bądź najgorsze obawy co do kierunku procesów, jakie tego
 rodzaju akty mogły wywołać... Zwracamy się do Pana Profesora z prośbą, by zech-
 ciał Pan rozważyć, czy uczeni polscy mogą pozostać milczącymi świadkami -
 wywołując tak smutne wspomnienia - brutalności życia społecznego oraz depr-
 wacji i aktywistów, których przynajmniej do zeszłego czasu argumentów
 "sika piśmi". Z upoważnienia zebrania PKN list podpisał: profesor Jan Kleja-
 nowski, Andrzej Kijowski, docent Ladusz Kowalik, profesor Władysław Kunicki-
 Goldfinger i Zygmunt Mycielski.

 Anketa "Wieżi"

Redakcja "Wieżi" zwróciła się do kilkunastu osób - twórców kultury i
 działaczy społecznych, tak katolików, jak i ludzi nie związanych z katolicyzmem
 - z dwoma pytaniami: "Jak oceniam wybór kardynalskiej Wojtyły na papieża? Jakle zna-
 jątki, wraz ze związkim poskowiec Madensza Madenskiego, 75 stron Grundmowego
 Beze, Stanisław Broniewski, Wiesław Chrzostowski, ks. Thomek Gajkowski, ka-
 zimierz Czaplinski, Aleksander Gleysztor, Władysław Górb, Karol Górski, Stanis-
 ława Grabka, Stanisław Grygiel, Andrzej Grzegorzak, Artur Rutkiewicz, Jar-
 skaw Iwaszkiewicz, Anna Kujawska, Jan Klejanowski, Stefan Klejanowski, Andrzej
 Kijowski, Stefan Kiszewski, Jerzy Kkoczowski, Hanna Kokodziejka, Aleksander
 Hauke-Ligowski OP, Edward Lipiński, Stanisław Mierzwa, ks. Stefan Moysa PJ,
 Władysław Sika-Nowicki, Jacek Salij OP, Irene Skawińska, Julian Strzykowski,
 Jan Strzelecki, Stefan Swieżawski, Zdzisław Szpakowski, Władysław Tatarakiewicz,
 Józef Tischner, Br. Zdzisław Tranda, Jerzy Turwicz, Andrzej Wałda, Andrzej
 Wielowieyski, Wiktor Woroszyński, Maria Wosiek, Maciej Ziśba, Juliusz Żukowski
 Problematyka ankiety jest zbyt bogata, żeby dokończyć ją w tym
 miejscu. Jedynie tytułem przykładu przytoczymy fragment z wypowiedzi Stefana
 Kiszewskiego: "Obecny depozytariusz dziedzictwa Świętego Piotra wie dobrze,
 iż musi oddawać cesarzowi, co cesarskie, co cesarskie, wie jednak również bardzo dobrze,
 że nie może oddawać cesarzowi tu może konkretna granica, stąd zauważa, jakie doty-
 wamy, do tej strony, my, którzy obserwujemy przez lata jego bezkompromiso-
 we, a zarazem fałszywe wyważone i po zlemnieniu realistyczne działania na naszym
 terenie..."

I z Kijowskiego: "Jeśli nam odważy i wiarę, zabraknie, jeśli wierzamy
 tylko w cele małe, wszystkie przepadnie. Ale na wielkość tego politykatu musi-
 my pracować wszyscy - wszyscy, którzy się nam radujemy - wszyscy musimy go
 chronić od gwałtów i złych słów z dziełkami nacjonalizmu na czelę".
 Pięć nadesłanych na ankietę "Wieżi" odpowiedzi nie ukazało się w druku:
 czterej skoniłskowscy w całości cenzura - Stanisław Baranowski, Leonit Ja-
 zbigielowa Raszewskiego, zostali przez cenzurę tak pokiereszowana, że wycofał
 ją następnie sam autor.

Leszek Kozłowski o chrześcijańskim "Intelektualistycznym" i "Przebieganie"
 Wśród publikacji krajowych i zagranicznych, związanych z obrębami kardyn-
 naka Karola Wojtyły papieżem, wyróżniają się "Pomyślne prototy i podobne
 żywienia" Jaka na progu nowego politykatu w wiceprezji sprawle praw cesarskich
 i boskich", ogłoszone w "Kulturze" paryskiej /grudzień 1978/ przez Leszka Ko-
 zakowskiego. Młozor nie poprzedza nie wyrażeniu radości z tak doniosłego

wydarzenia, lecz próbuje się zastanowić nad pewną problematyką, z którą ma do czynienia Kościół w naszych czasach. Chodzi o spór dwóch tendencji skrajnych w chrześcijaństwie - "integrystycznej" i "progresistycznej". Ta pierwsza "wydaje się być chronionym przedłużeniem sytuacji, w której Kościół widział głównego swojego wroga w liberalizmie"; chętnie korzystałaby "z pomocy świeckiego ramienia w obronie wiary przed krytyką" i chciałaby "zapewnić Kościołowi instytucjonalne prawo do szczegółowego nadzoru nad sprawami świeckimi". Lewicowy "progresizm" z kolei "jest rezygnacją z autonomii wiary i Kościoła" i "gotów jest do przymierza czy identyfikacji z wszystkimi, którzy wyznają hasła egalitaryzmu, nawet jeśli wedle wszystkich doświadczeń muszą one zmierzać do zniszczenia chrześcijaństwa". Zdaniem Kozłakowskiego, tak integrystyczny konserwatyzm, jak i progresistyczny filokomunizm "są zgubne zarówno dla losów demokracji, jak dla tych wartości chrześcijaństwa, których ocalenie jest dla ludzkości najważniejsze. Integrystyczna identyfikacja musi być podejrzana o to, że w imię przywilejów instytucji zamyka oczy na gwałcenie praw ludzkich, identyfikacja progresistyczna nie może odeprzeć zarzutu, że przyczynia się do triumfu sił politycznych, które wszędzie i bez wyjątku, jeśli opamięta narzędzia przemocy, niszczą zarówno chrześcijaństwo, jak prawa obywatelskie i ludzkie". Obie orientacje grzeszą wadliwym rozpoznaniem komunizmu. Dla pierwszej "zło komunizmu i jego niszczyielska siła wywodzą się stąd, że jest on ateistyczny", podczas gdy naprawdę chodzi o to, że "jest totalitarny, że zatem jest jak gdyby konstrukcyjnie napędzany dążeniem do zniszczenia wszystkich form życia zbiorowego i wszystkich krystalizacji kultury nie narzuconych przez państwo"; "totalitaryzm, bez względu na kostium ideologiczny... jest w tej chwili najbardziej złowrogą groźbą dla kultury i dla wartości chrześcijańskich". Progresizm natomiast "w komunizmie nie widzi niczego złego poza tym, iż błądzi on w sprawach teologicznych", uważa go natomiast "za całkiem godziwe rozwiązanie problemów doczesnego życia". Konkluzja brzmi: "W obu wypadkach łatwo o sugestię, że zła idea chrześcijaństwa jest nawrócenie komunizmu na prawdziwą doktrynę, nie zaś opieranie się niszczyielskiej funkcji totalitarnego systemu, który zawsze, bez względu na aktualną fasadę ideologiczną, musi zmierzać do unicestwienia kultury chrześcijańskiej". Autor wyraża przekonanie, że istnieje też "stanowisko, które wśród chrześcijan czynnych i dzielnych ma wcale niemało obrońców" /a któremu też sam sprzyja/, krytyczne wobec obydwu wariantów i nie zawierające elementów żadnego z nich.

Jak się dowiadujemy, pod koniec ubiegłego roku Leszek Kozłakowski został przyjęty przez Jana Pawła II na audyencji prywatnej. Rozmowa była serdeczna i ożywiona, a na pożegnanie Papież zachęcał filozofa, by za następnym pobylem w Rzymie odwiedził go znowu.

Zbranie ogólne PEN-Clubu

Na Zwyczajnym Zebraniu Ogólnym Polskiego PEN-Clubu 31 stycznia 1979 na wakujące miejsce członka zarządu wybrano profesora Zbigniewa Raszewskiego, potwierdzając jednocześnie mandaty kilku dotychczasowych członków zarządu, wylosowanych do zwyczajowej rotacji. W sprawozdaniu zarządu za rok miniony była mowa m.in. o rozległej działalności imprezowej, o sprawach związanych z członkostwem PEN-Clubu, o sprawach finansowych. Przypomniano korespondencję i spotkania z przedstawicielami władz w związku z protestem PEN-Clubu przeciw poczynaniom cenzury /o czym donosiliśmy swego czasu/, a także z interwencjami w sprawie haniebnego zniszczenia przez organa sądowe bądź policyjne dzienników Jerzego Kornackiego /o czym również donosiliśmy/. W żadnej z tych spraw - jak wynikało z odczytanych dokumentów - adreśaci interpelacji nie wykazali dobrej woli. Nowa dla wielu obecnych była historia zeszłorocznej nagrody PEN-Clubu dla zagranicznego tłumacza literatury polskiej. Przyznano ją wielce zasłużonemu, wypróbowanemu przyjacielowi naszej kultury, profesorowi Kudo z Japonii - jednakże władze uniemożliwiły zarówno ogłoszenie werdyktu, jak wręczenie nagrody laureatowi podczas jego pobytu w Polsce, a to z powodu jakichś jego wypowiedzi politycznych w Tokio. Te elementy sprawozdania wzbudziły duże zaniepokojenie dyskutantów.

Pamięci Arnolda Słuckiego

Arnold Słucki zmarł na zawał serca 15 listopada 1972 roku w Berlinie Zachodnim. Nad jego grobem przemawiał bawiący tam wówczas Jacek Bocheński. Przyjaciele umieścili w "Życiu Warszawy" nekrolog, w którym cenzura usunęła słowo "polski" /w określeniu "poeta polski"/, a "zmarł na obczyźnie" zastąpiła przez "zmarł za granicą". Od tego czasu raz tylko - w marcu 1975 - udało się wydrukować garść wierszy Słuckiego w "Twórczości", inne próby publikacji zostały udaremnione.

Dnia 24 stycznia 1979 roku w warszawskim Domu Literatury odbył się wieczór pamięci Arnolda Słuckiego. Jego wiersze, przeważnie pozostające w rękopisie odczytał Józef Duriasz, a wspomnieniami i refleksjami o poecie podzielił się Jacek Bocheński, próbując przede wszystkim opowiedzieć i zinterpretować dziwne i dramatyczne życie przyjaciela. Dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych - zauważył m.in. Jacek Bocheński - Słucki "zaczął się objawiać jako prawdziwy poeta... wszystko, co było w jego życiu, odzywało się w poezji. Znalazła się tam ludowość znad Huczwy, folklor żydowski, Stary Testament, Rosja i dialektyka. Z czasem pojawił się antyk helleński i rzymski, gdy Arnold bardzo poszerzył swoje horyzonty i zaczął szukać związków między kulturami. W roku 1968 był dojrzałym, znanym i uznawanym poetą polskim..." Ale w tym właśnie roku poczuł się zmuszony do emigracji. Parę lat spędził w Izraelu, po czym wrócił do Europy, obierając Niemcy - "dlatego, że leżały bliżej Polski", ponieważ "chciał wrócić do Polski", a "z wszystkich jego objawień, a przede wszystkim z pragnień i tęsknot wynikało, że... lada tydzień, lada miesiąc będzie mógł do Polski wrócić... Nie widział swojej przyszłości inaczej..."

Oto zaś końcowy fragment rozważań Bocheńskiego: "Gdy dziś próbujemy odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki był sens tego dziwnego życia, złożonego z nieporozumień, błędów i poniewierki, łatwo nasuwa się myśl, że nie było żadnego sensu, był tylko tragiczny absurd. Bo przecież z wszystkich tych celów, które Arnold Słucki przed sobą stawiał, z wszystkich misji, służb, walk, poświęceń, z wszystkich formuł, kamieni filozoficznych, kabalistyk, z wszystkich cierpień, opręsi, tułaczek, z wszystkiego tego nie wynikło nic poza potwierdzeniem racji Norwida, że "co w życiu było skrzydłami, nieraz w dziejach jest ledwo piętą". Lecz Norwid mówi jeszcze, że "nikt nie zna dróg do potomności, jedno po samodzielnych bojach". Otóż czego jak czego, ale tych "samodzielnych bojów" stoczył Arnold Słucki dość. Byliśmy jego współczesnością, a już jesteśmy czymś w rodzaju potomności. I może nie zbieralibyśmy się tutaj i nie mieli powodu zajmować się jedyną rzeczą, która mu się udała, mianowicie poezją, może też poezja ta nie miałaby powodu mu się udać i może by nigdy nie przemówiła tak przejmującym tonem, gdyby życie poety nie zmarnowało się w rzekomym "bezsensie" Tyszwiec, Stalingradu, Warszawy, Tel A-vivu, Betlejem i Berlina".

Czy jeszcze jedno "wołanie na puszczy"?

"Na Zachodzie mówi się w ostatnim czasie wiele o "prawach człowieka" w krajach socjalistycznych, przy czym myśli się o prawach czysto politycznych lub moralnych /wolność słowa, swoboda podróżowania, prawo do zrzeszania się itd/, natomiast całkowicie pomija się brak wszelkich praw ekonomicznych dla jednostek czy grup" - tymi słowami zwraca się do Zachodu Stefan Kisielewski w swojej najnowszej, wydanej po niemiecku przez szwajcarskiego wydawcę /Edition Interform, Zürich 1978/ książce pt. "Polska czyli panowanie dyletantów. Socjalizm i praktyka gospodarza". /Praca ta wyszła również po polsku w londyńskiej "Odnowie", gdzie nosi tytuł "Na czym polega socjalizm?", ale kronikarz "Zapisu" rozporządza tylko wydaniem szwajcarskim i z niego cytuje, samemu tłumacząc/. Na innej stronie Kisielewski pyta: "Czy rzeczą Zachodu musi koniecznie być nierozumienie nigdy niczego?" A jeszcze gdzieś indziej stwierdza: "Musimy naszą wiedzę przyswoić Zachodowi, aby wyrobił sobie pojęcie o tym, co go ewentualnie czeka, i aby wreszcie odmitologizował magiczne słowo "socjalizm". Książka Kisielewskiego jest właśnie taką próbą perswazji i przekazania wiedzy. Autor koncentruje uwagę na chronicznej niewydolności systemu eko-

nomicznego w socjalizmie znanym z doświadczenia, na iluzoryczności założeń i absurdach realizacji, wynikających z odrzucenia gospodarki rynkowej oraz ignorowania prawa wartości, które to regulatory pozwalają na względnie pomyślne funkcjonowanie "ulepszonoego" kapitalizmu. Społeczną i polityczną, a także ideologiczną i moralną stronę zagadnienia zajmuje się Kistelewski tym razem raczej marginesowo.

"Strefa milczenia"

Taki tytuł nosi sztuka o Januszu Korczaku, pióra Andrzeja Szczypiorskiego, której premiera miała się odbyć 19 grudnia 1978 roku w warszawskim Teatrze Rozmaitości. Dzień wcześniej, tzn. 18 grudnia, już po przejściu przez cenzurę i po próbie generalnej, przedstawienie zostało zakazane przez Urząd Miasta. Ten swoisty sposób uczczenia stulecia urodzin bohatera - i międzynarodowego Roku Korczakowskiego - tłumaczy się podobno decyzją ukarania dramaturga za "przewinienie" nie mające nic wspólnego z Korczakiem ani z teatrem. Szczypiorski mianowicie, bez porozumienia z partią i cenzurą PRL, opatrzył przedmową RPN-owskie wydanie "Rozmów z katem" Kazimierza Moczarskiego, a w przedmowie tej nie zataił losów Moczarskiego za stalinizmu - jego uwięzienia i tortur, jakiej odcierpieł...

Zmarli na cenzurowanym

Cenzura dba, jak wiadomo, żeby o niektórych osobach nie było wiadomo, że żyją; nie tylko nie wchodzi w grę żadna informacja w prasie, radio czy telewizji, o tym, co robią, ale nie wolno nawet wymieniać ich skazanych na zapomnienie nazwisk. Jak się okazuje, nie mniej pilnie czuwa cenzura nad tym, żeby o niektórych osobach nie było wiadomo, że już nie żyją. Jedną z najsurowiej cenzurowanych rubryk w "Tygodniku Powszechnym" jest prowadzony od lat przez Władysława Bartoszewskiego rejestr zmarłych. Ostatnio na przykład z rejestru tego cenzor wykreślił wybitnego działacza PPS, niegdyś więźnia brzeskiego, historyka polskich ruchów socjalistycznych - Adama Ciołkosza...

Psalmi dozwolone i zakazane

W grudniowej /1978/ "Twórczości" ukazało się jedenaście Psalmów Dawidowych w pięknym przekładzie Czesława Miłosza. Początkowo cenzura wstrzymała tę publikację, ale w końcu się na nią zgodziła.

Inne Psalmi Dawidowe, w tym samym przekładzie, miały się ukazać w lutowej /1979/ "Więzi", ale tym razem cenzura okazała się nieubłagana i czytelnicy katolickiego miesięcznika Psalmów tłumaczonych przez Miłosza nie przeczytają.

Dyskusja z "Bratniakiem"

"Bratniak" /w podtytule: "pismo młodych"/ wychodzi poza zasięgiem cenzury od października 1977 roku. Redagują go Aleksander Hall i Arkadiusz Rybicki z Gdańska, Wiesław Parchimowicz ze Szczecina i Jacek Bartyzel z Łodzi /dane z nr 14, listopad-grudzień 1978/. Pismo ukazuje się nakładem Wydawnictwa Polskiego powołanego do życia przez Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela /ROPCIO/.

Dnia 21 lutego 1979, w ramach śród u Anny i Tadeusza Walendowskich, odbyło się spotkanie z redakcją "Bratniaka", reprezentowaną przez Halla, Rybickiego i Bartyzela. Zabierając po kolei głos, określili oni zasady ideowe swego środowiska jak następuje: uważają się za narodowców, naród bowiem jest najwyższą i najważniejszą formą zorganizowania społecznego. Nawiązują tutaj do tradycji endeckiej i myśli politycznej Romana Dmowskiego, ale - co podkreślili stanowczo - odrzucają zdecydowanie ksenofobię tej formacji. Widzą dla siebie - jako zadanie palące - odbudowanie w społeczeństwie poczucia godności narodowej poprzez budzenie dumy z własnej historii, która jest zakłamywana i pomniejszana przez propagandę i sterowaną naukę. Inną wartością, którą uważają za naczelną, jest Ewangelia. Opisałi też swoją drogę do zaprezentowanych poglądów: wywodzą się z kręgpw duszpasterstw akademickich; momentem przełomowym, który pchnął ich ku aktywności politycznej, był grudzień 1970. Postanowili wówczas szukać kontaktów z innymi środowiskami i zetknęli się zarówno z "pomarcowymi komandosami", jak i z ludźmi z kręgu organizacji

"Ruch", którzy później stworzyli ROPCIO. Do "komandosów" zraziło ich to, że wtedy, gdy zainicjowali oni bunt studencki w marcu 1968 roku, nie wysunęli programu niepodległości Polski, lecz jedynie postulaty korektur w istniejącym systemie, że traktując patriotyzm jako nacjonalizm posuwali się do oczerniania i deprecjonowania dziejów Polski, w szczególności międzywojennego 20-lecia. Cechy te odziedziczył, wraz z gronem aktywnych uczestników, KOR. KOR uważa walkę z opresją społeczną i polityczną za ważniejszą, niż przeciwstawianie się niewoli narodowej, a w krytycznym często stosunku do przeszłości, obiektywnie rzecz biorąc, wspiera komunistów. W tej sytuacji Hall i jego koledzy wybrali środowisko opozycji niepodległościowej, ludzi dla których naród jest wartością nadrzędną - ROPCIO.

Dyskusja przybrała charakter zasadniczego i ostrego chwilami sporu. Przede wszystkim wysunięto postulat, by "Bratniak" nie określał się jako opozycja niepodległościowa w odróżnieniu od innych, sugerując w ten sposób swój monopol na patriotyzm, nie wszyscy bowiem lubią mówić o tej sprawie głośno i bez przerywy, wielu woli wzór Kasprowicza /"Rzadko na moich wargach..."/. Nadto - patriotyzm bywa rozmaity, ale w Polsce, niestety, niezbyt częsty jest ten, który reprezentował Żeromski, ten, który kazał raczej wskazywać i zwalczać skąboci i zło u siebie niż rozdmuchiwać dumę i zarozumiałość narodową. Zebrani podjęli też sprawę "komandosów". Zarzucono "Bratniakowi" ahistoryczność myślenia. Wykazywano, że "komandosi" dostrzegali wagę sprawy narodowej - nie przypadkiem Marzec zaczął się od obrony "Dziadów" - choć faktem jest, że nie sformułowali wówczas postulatu niepodległości. Postulat ten nie został jednak wysunięty w żadnym z miast objętych wydarzeniami /w których "komandosi", wyaresztowani zaraz na początku, nie brali już udziału/, nie ogłoszono go żadne środowiska intelektualne, nie podjął Episkopat. Tę też zamiast szafować ocenami należy postawić sobie pytanie - dlaczego tak było? jaki był wówczas stan świadomości społecznej, jaka płaszczyzna konfrontacji z władzą była dopuszczalna w społecznym odbiorze?

Poruszono też sprawę odwoływania się do tradycji. Ci ze środowiska KOR-u którzy sięgają do wartości lewicy, są niezwykle uczuleni na jej deformacje, na mechanizmy degeneracji, które zaowocowały totalitaryzmem. W "Bratniaku" nie widać tej troski i czujności w stosunku do ideologii narodowej.

Usiłowano dociec, co oznacza zarzut wobec KOR-u, że przekłada walkę o demokrację nad walkę o niepodległość. Redakcja "Bratniaka" uważa, że niezależność narodowa da gwarancję demokracji. Walka o niepodległość w tej chwili powinna polegać na uświadamianiu ludziom ich zniewolenia, na budzeniu potrzeby wolności i poczucia dumy narodowej. Nie należy - jak czyni to KOR - wyciągać z przeszłości wolnej Polski stron ujemnych, jak Bereza czy pacyfikacja Ukrainy - robią to i tak komuniści, a prowadzi to do obniżenia w społeczeństwie poczucia własnej wartości. "Zresztą Polacy nie wyrządzali nigdy takich krzywd, jakich doznali od innych". Dyskutanci byli w tym miejscu zdania, że niepodległość nie jest automatyczną gwarancją demokracji. Można wskazać liczne tego przykłady. Odkłamywanie historii nie powinno być jej zakłamywaniem w drugą stronę. A budzenie uczuć patriotycznych i potrzeby wolności jest sprawą bardzo ważną, ale i niezwykle odpowiedzialną, łatwo tu rozkołysać nastroje i nie móc nad nimi zapanować, a skutki tego mogą być niesłabialne.

Dyskusja, choć w stopniowo topniejącym składzie, przeciągnęła się do późnych godzin nocnych.

Dni teatru i filmu RFW

Od 19 do 29 stycznia trwały w Warszawie dni teatru i filmu Republiki Federalnej Niemiec, zorganizowane w ramach umowy kulturalnej między rządami PRL i RFW. Występował m.in. Państwowy Teatr Wirtembergii ze Stuttgartu /który wystawił "Kasię z Heilbronn" Kleista i "Ifigenię na Taurydzie" Goethego/, balet Opery Hamburgskiej, Teatr Lalek z Muhlheim.

Występy te, cieszące się dużym powodzeniem, znalazły też pewne odzwierciedlenie w prasie oficjalnej: część recenzji i sprawozdań konfiskowano jednak, wyjaśniając poufnie zainteresowanym redakcjom, że wolno omawiać każde przedstawienie czy film z osobna, nie wchodzą w grę natomiast jakiegokolwiek podsumowania i w ogóle należy dbać, by nie było "zagęszczenia" informacji o kulturze RFW.

W ramach tej samej troski o właściwy politycznie obraz podzielonej kultury niemieckiej obficie pisano w tym okresie, a także później, o osiągnięciach w tej dziedzinie Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

List Jana Walca do Jarosława Iwaszkiewicza

Od krytyka i publicysty Jana Walca otrzymaliśmy odpis listu, jaki wysłał, z datą 29 stycznia 1979, do Prezesa Związku Literatów Polskich Jarosława Iwaszkiewicza. "Pragnę Pana poinformować - brzmi pierwsze zdanie listu - o wykorzystaniu przez p. Andrzeja Wasilewskiego godności przewodniczącego Komisji Interwencyjnej ZLP do celów szantażu politycznego". Dalej Walc opisuje przebieg rozmów z Wasilewskim / w obecności innych członków Komisji Interwencyjnej/, które miały za temat wydanie gotowej od kilku lat książki autora listu o Tadeuszu Konwickim. Wasilewski, jak wiadomo, nie tylko przewodniczy wymienionej komisji ZLP, ale jest dyrektorem i redaktorem naczelnym Państwowego Instytutu Wydawniczego, prezesem Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, wreszcie pierwszym sekretarzem Podstawowej Organizacji PZPR przy Związku Literatów Polskich. W rozmowie, która miała miejsce w listopadzie 1978 r., Wasilewski - jak relacjonuje Walc - "wyraził pogląd, iż obecna sytuacja w literaturze, polegająca na uniemożliwieniu części pisarzy publikowania swoich tekstów... jest niernormalna i należy ją zmienić" oraz że "lepiej, by utwory polskich pisarzy były drukowane niż powielane". Walc, którego przedstawiona sytuacja dotyczy od końca 1976 roku, zgodził się z tymi poglądami. Rozmówca zaproponował krytykowi wydanie książki o Konwickim w PIW-ie, podpisanie z tą samą oficyną umowy na książkę o Mickiewiczu, nad którą aktualnie pracuje, oraz 12-miesięczne stypendium na jej ukończenie. Wszystkie te propozycje autor przyjął. "W dalszym ciągu naszej rozmowy... czytamy w liście - p. Wasilewski zwrócił uwagę na moje publikacje w czasopiśmie niezależnym i wyraził przekonanie, że jeżeli sytuacja literatury zostanie znormalizowana, nie będą miały potrzeby uciekania się do korzystania z tego rodzaju środków przekazu". Walc i z tym się zgodził, dorzucając, że "samo istnienie czasopiśm niezależnych spowodowane jest li tylko nienormalnością obecnej sytuacji", a zatem "w wypadku normalizacji życia literackiego nie będą one miały racji bytu".

Miesiąc po tej sympatycznej rozmowie doszło do następnej, w której zabrzmiwały nieco inne tony. Tym razem Wasilewski - pisze Walc - "uzależnił realizację wszystkich złożonych mi propozycji od złożenia przeze mnie deklaracji politycznej polegającej na zobowiązaniu się do natychmiastowego zaprzestania współpracy z czasopismami niezależnymi i do niepodpisywania w przyszłości żadnych listów do władz". Prezes Komisji Interwencyjnej stwierdził przy tym, iż "1 punkt statutu ZLP stanowi, że członek Związku stoi na gruncie podstawowych zasad ustrojowych PRL", współpracownicy zaś prasy niezależnej "tym samym punktem tego nie wypełniają i stawiają się poza Związkiem". Wskazując w odpowiedzi, że "w żadnym akcie prawnym, od Manifestu PKW po Konstytucję Lutową, cenzura nie jest określana jako podstawowa zasada ustrojowa naszego kraju" - i odmawiając podporządkowania się żądaniom Wasilewskiego - Walc stwierdza w konkluzji, że Związek Literatów dobrowolnie zrzesza pisarzy dla obrony ich interesów i jeżeli nawet jakieś inne organizacje dla realizacji swoich celów uciekają się do szantażu, to w każdym razie "należy kategorycznie zaprotestować przeciw wykorzystywaniu Forum Związku do tego rodzaju machinacji".

O ile nam wiadomo, Komisja Interwencyjna ZLP przeprowadziła analogiczne rozmowy z jeszcze kilkoma pisarzami dotkniętymi zakazem druku. Nie zawsze wysuwano tak atrakcyjne propozycje jak wobec Walca, ale zawsze usiłowano wymóc wstępną rezygnację z udziału w niecenzurowanym życiu literackim.

Jeszcze jedna instytucja

"Życie Literackie" z dnia 4 marca 1979 roku doniosło w kronice i apetyku-le wstępnym redaktora naczelnego, że "zostaje uruchomiona Rada Literacko-Wydawnicza przy Ministrze Kultury i Sztuki". Powołanie takiej rady zapowiadał swego czasu jeszcze Janusz Wilhelm, następnie na zeszłorocznym zjeździe literatów w Katowicach mówił o niej sekretarz KC PZPR Łukaszewicz i inni dygnitarze: sugerowano, że będzie to ciało, za którego pośrednictwem społeczność literacka uzyska wgląd w politykę wydawniczą i cenzuralną, a nawet wpływ na

właściwe rozstrzygnięcia kwestii konfliktowych. Literaci rychło zorientowali się jednak, że postulowana rada może być jedynie czymś w rodzaju pseudospołecznego parawanu dla poczynania biurokracji kulturalnej i cenzury, a samych praktyk tego typu bynajmniej nie zamierza się ukrócić. Ani Związek Literatów Polskich, ani Polski PEN-Club nie delegowały swoich przedstawicieli do rady: wejścia do niej odmówili również pisarze, do których zwrócono się indywidualnie, np. Ravek Hertz. Jakie osoby mianowano w końcu członkami rady - nie wiadomo, "Życie Literackie" i pozostała prasa zachowują na ten temat dyskrecję. Na inauguracyjnym posiedzeniu anonimowego ciała "przyjęto - czytamy - regulamin rady, plan pracy na rok 1979 i zapoznano się z tytułowym planem wydawniczym z zakresu literatury pięknej, przewidzianym do realizacji w roku bieżącym oraz z wykonaniem analogicznego planu w ubiegłym roku".

"Jeśli nie nauczymy dzieci czytać..."

Pod takim tytułem ukazał się w "Polityce" z 24 marca 1979 artykuł krytyka literatury dziecięcej Haliny Skrobiszewskiej /w przygotowaniu materiału udział wzięło jeszcze sześć autorek: Barbara Byssmont, Irena Jurgielewiczowa, Maria Kowalewska, Krystyna Siesicka, Marta Tomaszewska, Stefania Wortman/. "W ciągu ostatnich kilku lat nastąpił wyraźny regres w zaspokajaniu potrzeb czytelniczych dzieci i młodzieży - czytamy w artykule, - ...Na rynku księgarskim brak lektur szkolnych, brak wznowień wielu pozycji klasyki, brak książek wielu pisarzy współczesnych". Nakłady książek spadają, nie zaspokajają nawet bibliotek szkolnych i publicznych. Zmniejsza się ilość papieru przydzielanego wydawnictwom, np. "Nasza Księgarnia" w latach sześćdziesiątych /aż do 1967 włącznie/ otrzymywała 3400 ton papieru rocznie, a w roku 1977 - już tylko 1867 ton czyli niespełna 55%, czym dysponowała dziesięć lat wcześniej. "Jednocześnie rysuje się niebezpieczny wzrost na rynku tytułów i nakładów literatury rozrywkowej, niepełnowartościowej w sensie wychowawczym..." Od roku 1976 ukazuje się np. magazyn komiksów "Relax" w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy, w cenie 20 zł za zeszyt, oraz "Alfa" w takim samym nakładzie, w cenie 35 zł. /O treści i poziomie "Relaxu" pisał w "Zapisie" nr 8 Stanisław Barańczak/. "Poza tym ukazują się w równie wysokich nakładach liczne zeszytowe powieści milicyjne". Skrobiszewska nie wypowiada się przeciw obecności tego typu pozycji na rynku, ale zwraca uwagę, że zalały one masowo rynek w latach "kryzysu papierowego", wypierając wartościową literaturę. "Trudno to zjawisko tłumaczyć względami ekonomicznymi, gdyż książki dobre nie rozchodzą się gorzej od złych". Dopowiedzmy to, czego autorka "Polityki" nie może głośno sformułować: chodzi o swoiste rozumiane względy wychowawcze, o rozmyślnie kultywowanie najprymitywniejszych mechanizmów odbioru, podsuwanie młodocianym czytelnikom właśnie takiego obrazu świata, jaki przekazują komiksy i powieści milicyjne.

Redakcja "Świerszczyka" - dowiadujemy się dalej - chciała pomóc szkołom, drukując w określonych terminach krótkie teksty, należące do programu nauczania i lektury klas najmłodszych. Okazało się to niemożliwe do zrealizowania, bo np. pod koniec lutego br. druk pisma spóźniony był o pięć numerów. Opóźnienia wynikają z priorytetów w drukarniach: "Świerszczyk", "Płomyk", "Płomyczek", "Miś" są notorycznie zdejmowane z maszyn na czas nieokreślony, gdy do drukarni przysyła się pisma "ważniejsze" /domyślamy się, jakie/.

"Książka nie przeczytana w dzieciństwie - wskazuje Skrobiszewska - jest bezpowrotnie stracona jako bardzo istotny czynnik rozwoju uczuć, wyobraźni, intelektu, moralności. Powoduje to także w kulturze ogólnej społeczeństwa szkody nie do naprawienia... Jeśli nie nauczymy dzieci korzystać z książek - społeczeństwo dorosłych nie będzie umiało korzystać z literatury i nie potrafi się uczyć".

Nagrody Jurzykowskiego

Nowojorska Fundacja Alfreda Jurzykowskiego przyznała w roku 1978 - jak co roku - liczne i wysokie nagrody dla polskich uczonych i twórców kultury, zamieszkałych w kraju i zagranicą. Nagrody przyznano m.in. w zakresie medycyny, biologii, matematyki i rozmaitych dziedzin humanistyki. Z pisarzy wyróżniono nagrodą Jana Józefa Szczepańskiego, z tłumaczy - Allana Kosko /Pa-

ryż/ i Juliana Rogozińskiego, z historyków - profesora Stefana Kleniewicza, z filologów klasycznych - Aleksandra Turyna /USA/, z zasłużonych budowniczych instytucji kulturalnych - profesora Stanisława Lorentza.

Nagroda "Wiadomości" dla Barańczaka

"Wiadomości" londyńskie co roku przyznają nagrodę za najlepszą książkę pisarza polskiego wydaną na emigracji. Numer tygodnika datowany 4/11 marca 1979 przyniósł obszerną relację z obrad jury, które przyznało nagrodę za książkę roku 1977. Spośród piętnastu stałych członków jury obecni byli: Stanisław Baliński, Wacław Iwaniuk, Stefania Kossowska /redaktor pisma/, Henryk Paszkiewicz, Bronisław Przyłuski, Edward Raczyński, Zofia Romanowiczowa, Tymon Terlecki i Ignacy Wieniewski. Listy nadeszły: Józef Mackiewicz /który zakwestionował kandydatury pisarzy z kraju wydających na emigracji/, Maria Daniłowicz-Zielińska i Włodzimierz Odojewski. Ogromną większością głosów nagrodę przyznano Stanisławowi Barańczakowi za książkę "Ja wiem, że to niesłuszne", wydaną przez Instytut Literacki w Paryżu. Sędziwy poeta - skamandryta Stanisław Baliński powiedział: "W moim przekonaniu jest to najbardziej przejmujący i wspaniały tom wierszy, jaki został napisany nie tylko przez poetę w kraju, ale w ogóle przez poetę polskiego w latach powojennych". Z tomem Barańczaka współzawodniczyły m.in. następujące książki: "Kronika życia Józefa Piłsudskiego" Wacława Jędrzejewicza, "Kompleks polski" Tadeusza Konwickiego, "Ziemia Ul'ro" Czesława Miłosza, "Zródła niepodległości" Wojciecha Wasilutyńskiego i "Literatura" Wiktora Woroszyńskiego.

Nowa książka Barańczaka

Nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu ukazał się tom esejów Stanisława Barańczaka pt. "Etyka i poetyka". Książka ta, złożona przed trzema laty w "Czytelniku", nie została wydana w kraju wskutek represji zarządzonych przez KC PZPR w stosunku do pisarza. Wyszło to jej na dobre; obecny wariant jest znacznie obszerniejszy i bogatszy treściowo, zawiera bowiem liczne nowe eseje, ogłoszone przez Barańczaka m.in. w pierwszych ośmiu numerach "Zapisu".

Nowa książka Madeja

Zamieszkały w Lublinie pisarz Bogdan Madej, znany m.in. z powieści "Piękne kanale" i tomu opowiadań "Maść na szczury", wydanych przez Instytut Literacki w Paryżu, spróbował ostatnio pióra publicysty politycznego i napisał ponad dwustronicową książkę pt. "Polska w orbicie Związku Radzieckiego". Książka składa się z trzech części: "Przeszłość i teraźniejszość", "Perspektywy zmian", "Niebezpieczeństwa agresji". Pierwsze jej wydanie ukazało się poza obrębem cenzury, nakładem "Spotkań".

Zmiany w redakcji "Kina"

Nowym redaktorem naczelnym miesięcznika "Kino" Komitet Centralny PZPR mianował Janusza Skwarę, dziennikarza związanego z grupką "prawdziwych komunistów i patriotów" w środowisku filmowym. Podobno pierwszym zobowiązaniem, jakie podjął nowy redaktor, jest rezygnacja ze współpracy wybitnego krytyka Bolesława Michałka. Inny znany krytyk Rafał Marszałek na znak protestu wycofał się z zespołu redakcyjnego "Kina". Rada redakcyjna "Kina" /ciężko raczej reprezentacyjnie niż realnie współdecydujące o obliczu pisma/ sprzeciwiła się nowej nominacji; m.in. Andrzej Wajda oświadczył na zebraniu, że po zapoznaniu się z tekstami opublikowanymi przez Skwarę odmawia temu dziennikarzowi jakichkolwiek kwalifikacji do pisania o filmie i redagowania pisma filmowego; sprzeciwu te nie wywołały jednak wielkiego wrażenia ani na KC, ani na Skwarze.

Kto się boi STS-u

"25 lat temu, jeżeli dobrze przysłuchać się niektórym głosom, miał rze- komo jakoby powstać teatr, który podobno był studencki, satyryczny i prekursorski" - takim zdaniem rozpoczął Stanisław Tym 15 marca br. przemówienie na otwarciu "izby pamięci" czyli wystawy "teatr STS w latach 1954-1972" w warszawskim Staromiejskim Domu Kultury.

STS /Studencki Teatr Satyryków/, który odegrał wielką rolę jako katali-

zator nastrojów, ewolucji, wyzwalania się duchowego młodej i nie tylko młodej inteligencji, zwłaszcza w okresie między Październikiem 1956 a Marcem 1968, i z którym związało się swego czasu wiele znanych później ludzi teatru i ludzi pióra, praktycznie przestał istnieć w roku 1972, kiedy w sztuczny sposób połączono go ze sceną o zupełnie innym charakterze - warszawskim Teatrem Rozmaitości. Niedługo potem - lokal zamknięto na "remont", trwający po dzień dzisiejszy. W "Zapisie" nr 7 ogłosiliśmy rozmowę Andrzeja Drawicza i Jerzego Markuszewskiego, zawierającą wspomnienia i refleksje o teatrze, którego byli współzałożycielami.

Wystawa, zorganizowana staraniem grona byłych STS-owców w ówczesnym powstaniu STS, składała się z afiszy, plakatów, fotografii, wycinków prasowych i garści sentymentalnych rekwizytów. Na otwarciu Ryszard Precz powołał na mistrza ceremonii Henryka Malechę, a ten udzielił głosu - dla przemówienia serio - Ziemowitowi Fedeciemu, dla takiego zaś, które przypominało stylem dawne STS-owskie parodie tępych i zadufanych działaczy - Stanisławowi Tymowi.

Wcielając się w taką właśnie postać, mówca wyraził powątpiewanie, w to, czy STS naprawdę kiedykolwiek istniał. "Bywali w nim - teatryku znaczy - jakoby widzowie. Nikt jednak nie wie, jacy. Niewiadomo, gdzie oni są. W żadnym oddziale żadnego krajowego PKS-u nie ma żadnych raportów, nie ma żadnego, ani jednego kierowcy, który by zaświadczył, że chociaż raz przywiózł widownię na przedstawienie do STS. Wniosek jest jasny - nikt tam nie chodził. Fanatycy zaślepieni wiarą w istnienie jakiegoś mitycznego STS-u rzucają jednak nazwiskami. Jak to - krzyczą - przychodzili: Słonimski i Kott, Rüdski, Kożakowski, Konwicki, Woroszyński, Bocheński, Brandysowie, Bieńkowski, Dygat... Sprawdziliśmy. Większość z tych osób już nie żyje, a pozostałych osób o takich nazwiskach w ogóle nie ma i nie było. Kłamstwo ma krótkie nogi - koledzy Satyrycy!... Historyk bada i stwierdza: teatryku STS nie było i czy to jest dla kogoś wygodne, czy nie - dla nas jest to wygodne".

W końcowej partii przemówienia kreowany przez Tyma bohater wypływał na szersze wody: "Wiadomo, że wolny czas najlepiej spędzić z uśmiechem i wesoło, a nie z kwaśną miną myśleć o tym, co będzie jutro. Człowiekowi należą się bowiem dowcip i humor. Te wartości możemy czerpać wprost z naszej rzeczywistości. Mamy poważne osiągnięcia: huty, fabryki, PGR-y, szpitale, szkoły i eksperymentalne placówki badawcze. Gdy myślimy o tym wszystkim - śmiać nam się chce. Chce nam się śmiać szczerze i wesoło - i mamy do tego prawo. Zadowoleni z tego, co już mamy, dumni z kreślonych planów, spędzamy wolny czas w atmosferze wesołego śmiechu, pamiętając przy tym, że ten śmiech jest naszym sprzymierzeńcem w walce. Są bowiem tacy /np. w Anglii, Hiszpanii czy USA/, którzy naszego śmiechu boją się jak ognia. Wiedzą oni bowiem bardzo dobrze, że z ogniem nie ma żartów. Tę właśnie jaskną i prostą ścieżkę, po której dzisiaj tak śmiało kręcimy twarzą w przód - tę właśnie ścieżkę opisał nam zawalił kłębami własnego wyrobu pewien teatryk, który na szczęście nie istniał, a w dodatku siedem lat temu został zamknięty i jego wernisaż teraz jest otwarty".

Cenzura usiłowała napierw doprowadzić do usunięcia z wystawy afiszów, na których widniały "niewłaściwe" nazwiska, jak Elżbieta Czyżewska, Anna Prucnal, Barbara Nawratowicz i inni; następnie przystano na otwarcie wystawy pod warunkiem, że nie będzie o niej żadnych ogłoszeń ani plakatów na zewnątrz, nawet przy wejściu do Domu Kultury, w którym się mieściła; wreszcie - mimo że pierwotnie udzielano zezwolenia na tydzień - w dwa dni po otwarciu wystawę w trybie nagłym zamknięto. Potwierdzając intuicję satyryka, władza woli, jak widać - siedem lat po likwidacji teatru - utwierdzić siebie i innych w przekonaniu, że nigdy nie istniał.

Dlaczego profesor Burda wystąpił z partii

Profesor Andrzej Burda, wybitny prawnik, urodzony na wsi podkrakowskiej, już przed wojną, w czasie studiów, związany był z lewicą, a podczas wojny należał do organizatorów podziemnej Polskiej Partii Robotniczej w ojcowskich stronach. Po wojnie doktoryzował się na UJ, był profesorem, a przez jakiś czas rektorem UMCS, w latach 1956-1961 Prokuratorem Generalnym PRL. Napisał wiele prac z dziedziny prawa, m.in. "Demokracja i praworządność", "Praworządność w systemie demokracji socjalistycznej", a w roku 1971 ogłosił

w Wydawnictwie Literackim I tom pamiętników pt. "Lata walki i nadziei". W styczniu 1976 roku prof. Burda był autorem jednego z listów przeciwko poprawkom do Konstytucji, a 11 listopada 1978 roku wystąpił z PZPR odsyłając komitetowi miejskiemu w Lublinie legitymację wraz z listem, którego najistotniejsze fragmenty podajemy:

"Świadomość społeczna ludzi pracy zatruta została - zwłaszcza w ostatnich latach - nieufnością do władzy państwowej, gruntującą się głównie na długim doświadczeniu, że obywatele poddani są niczym nie skrupowanej arbitralności elity rządzącej i w tej sytuacji nie mogą władzy kontrolować i przeciwstawić się jej nadużyciom oraz szerzącemu się złu społecznemu. Wbrew konstytucyjnym zasadom i oklepanym deklaracjom podstawowe prawa człowieka i obywatela nie są rzetelnie i konsekwentnie urzeczywistniane, te zaś, które w szczególności dotyczą określenia granic władzy państwowej i wolności osobistych, są enigmatycznie sformułowane i tym zasadniej przez organy państwowe naruszane. W szczególności w ostatnich latach poszerza się przepaść między rządzącymi a społeczeństwem, między nabożnymi słowami a realiami społecznymi i politycznymi /.../ Oraz drastyczniejsze są naruszenia praworządności, zaś miejsce wychowawczej roli prawa zajęła wszechwładna dominacja organów służby bezpieczeństwa, podobnie jak miejsce rzetelnego i racjonalnego wychowania obywatelskiego zajęła tania propaganda, natrząsająca się ze zdrowego rozsądku obywateli, oraz sztywna tresura. Na przekór chlubnym tradycjom tolerancji i wolności myśli naszego społeczeństwa - tego niczym nie dającego się zastąpić źródła wszelkiego postępu - cenzura rozrosła się do pęczających rozmiarów, stając się głównym źródłem upadku kultury i nauk humanistycznych. /.../ Podjąłem więc powyższą decyzję, by pozostać wiernym do końca dni moich ideałom, które od wczesnej młodości prowadziły mnie i postawiły w postępowym ruchu społecznym, wciąż nakazując służyć żywotnym interesom Narodu".

Kolejne "Spotkania"

Z opóźnieniem dotarł do nas numer 5 /datowany: październik 1978/ "Spotkań" - pisma młodych katolików, które tak cenimy. W pierwszej części numeru zwracają uwagę m.in. materiały 164 i 165 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski, żarliwa homilia księdza Stanisława Małkowskiego, wygłoszona na KUL-u wykład księdza biskupa dra Ignacego Tokarczuka "Perspektywy rozwoju Kościoła w Polsce", list Włodzimierza Maksimowa /redaktora paryskiego "Kontynentu"/, skonfiskowany przez cenzurę w "Tygodniku Powszechnym" artykuł Jerzego Turowicza pt. "Dialog, pluralizm i jedność", stanowiący odpowiedź na wcześniejszy artykuł Mieczysława Rakowskiego w "Polityce" - "Podstawy współdziałania i dialogu".

Obecność katolików w życiu kraju - wskazuje Turowicz - "ilościowo ani jakościowo nie odpowiada potrzebom, ani temu, do czego wierzący obywatele powinni mieć prawo". Nie istnieją formalne organizacje młodzieży katolickiej, katolicy jako katolicy nie mają dostępu do środków masowego przekazu, "Tygodnik Powszechny" musi się ograniczać do nakładu 40 tysięcy egzemplarzy /podczas gdy "Polityka" ma 300 tysięcy/, działalność cenzury zaś "wielokrotnie uniemożliwia tak katolikom, jak i wyznawcom innych światopoglądów, niezależnie myślącym, zabieranie głosu w najważniejszych nieraz dla życia narodu sprawach". Problem jest szerszy niż wzajemne stosunki pomiędzy Kościołem a Państwem, katolikami a marksistami - "i nie tylko w uznaniu praw Kościoła i katolików można znaleźć jego rozwiązanie. Rozwiązania tego trzeba szukać na drodze realnej demokratyzacji naszej rzeczywistości społeczno-politycznej, tworzenia warunków zapewniających większą niż dotychczas wolność osoby ludzkiej w dziedzinie prawdy, wyrażania własnych przekonań, możliwości wywierania realnego wpływu na kształt zbiorowego życia. W tym celu niezbędne jest uznanie faktu pluralizmu światopoglądowego, istniejącego w społeczeństwie polskim. Pluralizm ten obejmuje znacznie szerszy wachlarz postaw, niż by na to wskazywał podział na katolików i marksistów". Nie pluralizm też jest przeszkodą w osiągnięciu jedności narodu, lecz "nieuznanie go, niedostrzeganie, lekceważenie i - w konsekwencji - tłumienie, niedopuszczanie do głosu. Przeszkodą jest chęć stwarzania pozorów ideologicznego uniformizmu, nieistniejącego w rzeczywistości".

Ksiądz Henryk Szareyko pisze o tzw. Ruchu Światło-Życie /oazach rekolek-

cyjnych młodzieży/, dalsze zaś materiały dotyczą dramatycznej walki niewidomych ze Spółdzielni im. Sękowskiego w Lublinie o prawo do nadawania przez radiowęzeł audycji religijnych, prześladowania przez władze niewygodnego proboszcza parafii Najświętszego Serca Jezusowego w Gdyni i in. Rozważania Marii Winowskiej o "Człowieku" całym w obliczu dziejów" korespondują z tłumaczeniem "Filozofii nierówności" Mikołaja Bierdiajewa. Wrażliwe, jak zwykle, na sprawy sąsiadujących z nami narodów, tym razem "Spotkania" zamieszczają artykuł Bohdana Sahajdacznego "Jak widzę przyszłość stosunków polsko-ukraińskich" oraz dwa obszernie teksty o sytuacji religijnej w Czechosłowacji. Najnowszej historii Polski dotyczy artykuł Janusza Kaliniaka o procesie arcybiskupa Cieplaka w 1923 roku w Moskwie, artykuł generała Mieczysława Boruty - Spiechowicza o kolejach minionej wojny! - w cyklu "Byli wśród nas" - sylwetka ostatniego dowódcy Armii Krajowej - Leopolda Okulickiego.

Podwójny "Puls"

Ostatni "Puls" ukazał się jako numer podwójny 4/5, datowany: jesień-zima 1978/1979. Numer otwiera przemówienie Jacka Woźniakowskiego "Kultura polska w pierwszych latach niepodległości", wygłoszone w PEN-Clubie; inne materiały to m.in. referat Krystyny Starczewskiej "Wychowanie ku zniewoleniu", wygłoszony w Polskim Towarzystwie Socjologicznym, oraz wykład Adama Michnika /wygłoszony w ramach TKN/ "Intelektualiści i komunizm w Polsce po 1945 roku". Obfita porcja przekładów: opowiadanie Singera, fragmenty "Przepastnych wyżyn" Zinowiewa, wiersze Gorbaniewskiej, "Skowyt" Ginsberga, trzy teksty czeskie - Hartela, Jirousa i Havela. Prozę polską reprezentuje kolejny fragment "Dyska" Sułkowskiego, poezję - "Jazda na konie" Dymarskiego i fragmenty "Faetona" Wirpisy. Leszek Kołakowski napisał specjalnie dla "Pulsu" humorystyczną autobiografię pt. "Moje życie".

Zapowiedź jeszcze jednego pisma literackiego

Znani czytelnikom "Zapisu" Jarosław Broda z Wrocławia i Leszek Szaruga z Warszawy w podpisanym przez siebie oświadczeniu zapowiadają utworzenie nowego niecenzurowanego pisma "Logos". W dotychczas istniejących pismach, zdaniem autorów, brakuje "rozbudowanego i planowo prowadzonego działu krytyki literackiej". Nowe pismo ma ambicję wypełnienia tej luki. "Nie jesteśmy ani polityczni, ani apolityczni - deklarują Broda i Szaruga - podejmujemy walkę o duchową niezawisłość. Jak bowiem zauważył Gombrowicz, nie chodzi o to, byśmy byli komunistami lub antykomunistami, lecz o to przede wszystkim, byśmy byli".

Czy moskiewski "Zapis"?

W Moskwie, poza zasięgiem cenzury, powstało czasopismo literackie /czy też almanach/ "Metropol". Nazwa pochodzi bodaj od kawiarni przy hotelu "Metropol", w której nastąpiło miało publiczną prezentacja pierwszego numeru. Imprezę tę udaremniono, nie zdołano jednakże udaremnąć samego wydania numeru, przepisane na maszynie w ośmiu egzemplarzach. Dwa egzemplarze, jak słychać, wydostały się za granicę - do Francji i USA, gdzie zainteresowały się nimi poważne domy wydawnicze. Jeden - złożono w Związku Pisarzy Radzieckich.

Do nas "Metropol" jeszcze nie dotarł i wszystko, co o nim wiemy, oparte jest na doniesieniach prasy zagranicznej oraz informacjach osób, które wróciły ostatnio z Moskwy. Mówi się więc, że numer jest bardzo obszerny - kilkaset stron - i zawiera teksty poetyckie, prozatorskie bądź krytyczne dwudziestu sześciu autorów. Redaguje zespół pięcioosobowy: Wasilij Aksionow, Andrzej Bitow, Wiktor Jerofiejew, Fazil Iskander i Eugeniusz Popow /wszystko znani autorzy średniego lub młodszego-średniego pokolenia/. Wśród autorów publikacji wymienia się Bellę Achmadulinę, Andrzeja Wozniesińskiego, Włodzimierza Wysockiego. Jedyne cudzoziemce to John Updike. Strona graficzna jest dziełem Borysa Messerera /męża Achmaduliny/. Iwina część zamieszczonych tekstów - to takie, które autorzy usiłowali uprzednio ogłosić w oficjalnych czasopismach lub wydawnictwach, jednakże nie przeszły one przez ucho igielne cenzury. Pod tym względem narzuca się podobieństwo do formuły "Zapisu" nr 1, której, jak wiadomo, w dalszych numerach nie utrzymano: "Zapis" w sposób

naturalny przekształcił się w czasopismo, otrzymujące i organizujące nowe materiały powstałe już z myślą o nim, nie zaś o prasie cenzurowanej. Czy w tym kierunku pójdzie też ewolucja "Metropolu"?

Pięciu winowajców kilkakrotnie wzywano do sekretarza oddziału moskiewskiego Związku Pisarzy Radzieckich, gdzie bezskutecznie, o ile wiadomo, usiłowano ich skłonić - perswazjami i pogrózkami - do wycofania się z niecodziennej na moskiewskim gruncie inicjatywy. Kuszono tym, że "część" inkryminowanych utworów będzie się mogła ukazać w prasie oficjalnej; zarzucano "Metropolowi" rozpowszechnianie fałszywego obrazu rzeczywistości radzieckiej, wybujały erotyzm, lanie wody na młyn wrogów ZSRR, a nawet - zagrożenie rekowań SALT. Redaktorzy "Metropolu" odrzucili te oskarżenia i rozśleśli listy do różnych osóbistości oficjalnych - w tej liczbie do samego Breżniewa - tłumacząc konieczności, które pchnęły ich do niepodporządkowania się cenzurze. Odpowiedzią władz był artykuł sekretarza oddziału moskiewskiego Związku Pisarzy Radzieckich, Feliksa Kuzniecowa, na łamach pisma "Moskowskij Litierator". Powtarzając poprzednie zarzuty i powołując się na obietnicę wydrukowania części tekstów, Kuzniecowa twierdzi, że redaktorzy "Metropolu" postawili ultimatum - drukować wszystkie teksty i bez jakichkolwiek ingerencji cenzury - "czego nie zaakceptowałby żaden dom wydawniczy na świecie". Ogólny poziom literacki i moralny "Metropolu" - twierdzi Kuzniecowa - jest skrajnie niski. Autorów proponuje podzielić na trzy kategorie: "prowodyrów", "oszukanych" i "niepoprawnych". Do tych ostatnich zalicza Jurija Oleszkowskiego, autora popularnej piosenki satyrycznej "Towariszcz Stalin, wy bolszoi uczonej", który został już usunięty ze Związku Pisarzy i "wyemigrował do Izraela".

W Moskwie powstało jeszcze jedno pismo: "Poiski" /Poszukiwania/, o charakterze chyba nie wyłącznie literackim, lecz społeczno-publicystycznym. Do redaktorów jego należy krytyk i badacz idei, 73-letnia Raisa Lert. Jak się wydaje, do rozpowszechnienia pisma dotąd nie doszło, wskutek rewizji, podczas której skonfiskowano przygotowane materiały.

"Uniwersytet wyprowadzany w pole"

Pod takim tytułem profesor Bogdan Suchodolski opublikował w "Kulturze" warszawskiej z 11 marca 1979 uwagi krytyczne o częściowo już zrealizowanym i mającym postępować dalej przenoszeniu niektórych wydziałów UW na odległe tereny w rejonie Pola Wyścigowego. "Uniwersytet istnieje jako zintegrowana całość lub w ogóle nie istnieje naprawdę" - stwierdza uczoney. Tymczasem "już prawie nie ma uniwersytetu jako zintegrowanego zespołu profesorów i studentów wielu różnych wydziałów; są tylko specjalistyczne szkoły wyższe typu zawodowego... Czy jedyną wizją przyszłości ma być kilkanaście specjalistycznych wyższych szkół zawodowych rozrzuconych po całym mieście?" Autor przestrzega przed taką wizją i proponuje powrót do niegdysiejszej idei rozbudowania pięknego i funkcjonalnego ośrodka studiów wyższych u stóp tradycyjnego kompleksu gmachów Uniwersytezu na Krakowskim Przedmieściu, tzn. na Skarpie i Powiślu. Argumenty profesora Suchodolskiego wydają się istotne, ale czy ci, którzy decydują o wszystkim, zechcą ich wysłuchać?

Dlaczego nie będzie sympozjum biologii molekularnej w Warszawie

Z okazji 25-lecia Instytutu Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk /IBB PAN/ miało się odbyć w dniach 30-31 maja br. międzynarodowe sympozjum na temat współczesnych trendów w biologii molekularnej. Impreza ta przygotowywana była od kilku lat. Organizatorem udało się uzyskać zgodę wielu wybitnych twórców w tej dziedzinie nauki na przyjazd i wygłoszenie referatów. Wobec panujących w nauce polskiej trudności materiałowych, aparaturowych oraz ograniczeń w podróżowaniu, skupienie kilkudziesięciu naukowców, którzy wniosli i wnoszą znaczący wkład do współczesnej biologii molekularnej, zostało uznane przez polskie, a zwłaszcza warszawskie środowisko biochemików, biofizyków i genetyków za wyjątkową okazję do przedyskutowania nurtujących je istotnych problemów.

Dwa miesiące przed imprezą organizatorzy dowiedzieli się jednak, że przynajmniej trzech spośród zaproszonych naukowców nie uzyska polskich wizyjazdowych. Są to: prof. W. Szer /New York University Medical Center, USA/,

prof. F. Chapeville /CNRS, Institut de Recherche en Biologie Moléculaire Paris/ oraz prof. Piotr Słonimski /CNRS, Centre de Genetique Moléculaire, Cif-sur-Yvette, doktor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego/. W obawie przed bojkotem sympozjum przez pozostałych uczonych, a w szczególności przez liczną grupę zaproszonych z Francji, organizatorzy odwołali imprezę, powiadamiając przy tym niedoszłych gości, że nastąpiło to z przyczyn od organizatorów niezależnych.

Z paszportami i bez

Swego czasu donosiliśmy o niewypuszczeniu Marii i Jerzego Zagórskich do Izraela, dokąd zostali zaproszeni za szczególne zasługi w ratowaniu Żydów podczas okupacji niemieckiej. Z radością zawiadamiamy, że państwo Zagórscy w końcu uzyskali paszporty, dotarli drogą okrężną do Jerozolimy i posadzili symboliczne drzewka oliwne w Alei Sprawiedliwych.

Również doktor Marek Edelman, któremu - jak podawaliśmy - przez wiele lat uparcie odmawiano paszportu, od pewnego czasu może już podróżować. W tym wypadku pomogła interwencja najwyższych czynników francuskich.

Wyłomy te nie świadczą jednak o zmianie polityki, która z udzielenia lub nie udzielenia należnego obywatelowi paszportu zagranicznego czyni środek nacisku i represji.

Ostatnio Jackowi Bocheńskiemu odmówiono paszportu na wyjazd do Austrii, gdzie między 26 a 28 marca miał wziąć udział w sympozjum na temat: "Świadomość historyczna w powieści współczesnej". Do udziału w sympozjum zorganizowanym staraniem Europahaus Wien zaproszono około 25-ciu pisarzy i naukowców z różnych krajów. Byli to m.in.: Francois Bondy, Italo Calvino, Pierre Emmanuel, Lars Gustafsson, Golo Mann, Miklós Meszöly i Christa Wolf. Polacy świecili w Wiedniu nieobecnością.

74-letniemu poecie Janowi Wyce, byłemu "dąbrowszczakowi" odmówiono paszportu na wyjazd do Hiszpanii. Władysław Bartoszewskiego nie wypuszczono na zaproszenie Fundacji Kościuszkowskiej do Stanów Zjednoczonych. Notorycznie porusza się też odmowę paszportu dla Stanisława Barańczaka, Jacka Biereżina, Barbary Toruńczyk, Wiktora Woroszyńskiego, Jacka Woźniakowskiego i wielu innych niemile widzianych osób.

V Tydzień Kultury Chrześcijańskiej w Warszawie

W dniach 20 - 30 kwietnia 1979 odbyły się w warszawskich kościołach imprezy związane z dorocznym, piątym już, Tygodniem Kultury Chrześcijańskiej /właściwie Dekadą, ale zachowano tradycyjną nazwę Tygodnia/. Należały do niego rozmaite wystawy, a więc: sztuki sakralnej, szat liturgicznych, misyjna, rysunków dzieci /na dwa zaproponowane tematy: "Przyjazd Ojca Świętego do Polski" i "Jak chciałoby być kochane"/, rzeźby Alfonsa Kannego, malarstwa księdza Jerzego Wolfa, fotograficzna. Odbywały się koncerty organowe i instrumentalne, występowały chóry i zespoły młodzieżowe, wystawiano misteria i sztuki teatralne, m.in. w Katedrze wystawiano fragmenty "Nieboskiej komedii" Krasińskiego, wyświetlano też filmy. Największy bodaj rozmach przybrały wieczory poezji - z wierszami wystąpili w kościołach sami autorzy, a także wybitni aktorzy scen warszawskich, jak Zofia Małynicz, Zofia Mrozowska, Maja Komorowska, Andrzej Szczepkowski i inni, także z najstarszego pokolenia - Joanna Szczepkowska i Mirosław Konarowski. W kościele na Żoliborzu w wieczorze poezji Jana Pawła II udział wzięli Halina Mikołajska i Maciej Rayzacher.

Ukoronowaniem tych imprez poetyckich stał się wieczór jednego wiersza w kościele akademickim św. Anny 30 kwietnia 1979. Po mszy świętej, celebrowanej przez księdza biskupa Władysława Miziołka, zebranych powitał organizator wieczorów poezji, ksiądz Wiesław Niewęglowski, a słowo wstępne wygłosił współorganizator z ramienia pisarzy - Jerzy S. Sito, przypominając m.in. zdanie dwa lata temu wygłoszone w tym miejscu przez księdza Prymasa: "U stóp ołtarza dość jest miejsca dla wszystkich". Interpretując te słowa, Sito mówił o katolicyzmie polskim, który "przerósł" naszą kulturę tak organicznie i ściśle, że nie da się go wydzielić bez jej zupełnego zniszczenia. Jak długo ta podstawowa struktura pozostaje nienaruszona, wszelkie wynaturzenia, skazy, pęknięcia czy plamy, jakkolwiek haniebne, jakkolwiek odrażające, traktować można spokojnie, a nawet wyrozumiale: być może to, co w danym momencie przyskania nam niemal

horyzont, w odległej perspektywie okaże się drobnym zaledwie punkcikiem..." I dalej: "Nie jesteśmy społeczeństwem doskonałym. Jeśli odwaga cywilna przesuwa się coraz wyraźniej do rzędu cnót heroicznych; jeśli tradycyjna nasza tolerancja wyraża coraz to częściej zubożenie i umysłową apatię; zaś bezinteresowność - ta zwykła, zauważalna w życiu codziennym życzliwość - i ta od wielkiego dzwonu, braterska i bohaterka, romantyczna i porywająca, ta, która na swoich sztandarach wypisała najpiękniejsze z polskich haseł "za naszą i waszą wolność", twarzą zwrócona jest w przeszłość - niedość jest o nich pamiętać, należy walczyć o nie, w tym najtrudniejszym boju, toczonym w głębi serca, w głębi własnego sumienia. Te treści muszą stać się częścią nas samych, tak jak są częścią najlepszych naszych tradycji. Dlatego tak ważnym jest akces, którego manifestacją jest już sam udział w Dekadach Kultury Chrześcijańskiej".

W kościele św. Anny wiersze swoje czytali m.in.: Stanisław Barańczak, Flora Bienkowska, Mikołaj Bieszczadowski, Mieczysława Buczkówna, Julia Hartwig, Mieczysław Jastrun, Anna Kamińska, Anka Kowalska, Zygmunt Kubiak, Zdzisław Łączkowski, Artur Międzyrzecki, Jerzy Narbutt, Anna Pogonowska, Aleksander Rymkiewicz, Jerzy Sito, Wacław Tkaczuk, Wiktor Woroszyński i Jerzy Zagórski.

Ksiądz Kardynał Wyszyński nie domagał i nie mógł tym razem osobiście uczestniczyć we wzruszającym finale Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej, ale zgromadzeni wysłuchali w skupieniu jego krótkiego słowa pasterskiego, nagranych na taśmę magnetofonową.

Polonica w "Kontynencie"

Numer 17 paryskiego "Kontynentu" /najbardziej reprezentatywnego pisma rosyjskich emigrantów i dysydentów/ przynosi m.in. prozę dokumentalną Lecha Dymarskiego pt. "Co było w maju", znaną czytelnikom polskim z "Krytyki" nr 2.

W "Kontynencie" nr 18, w widocznej części poświęconych 60-leciu urodzin Aleksandra Sołżenicyna - wśród autorów nierosyjskich, wypowiadających się o roli tego wielkiego Rosjanina naszych czasów, znajdujemy Jerzego Giedroycia i Wiktora Woroszyńskiego. Z dwóch esejów Gustawa Herlinga-Grudzińskiego pierwszy dotyczy również Sołżenicyna, a ściślej - jego "Iwana Denisowicza" drugiego - Silonego. W przeglądzie prasy umieszczono obszernie sprawozdanie z nr 34 francuskiego kwartalnika "Recherches", który ukazał się pod hasłem "Nous, dissidents"; spośród opublikowanych tam tekstów sprawozdawca uważa za szczególnie pouczającą "Kampanię" Anny Chmielewskiej, zaczerpniętą - podobnie jak "W kościele św. Marcina" Joanny Szczęsnej - z "Zapisu" nr 4; obok tych dwóch pozycji, z uznaniem wymienia również "Dlaczego nie całkiem jestem chrześcijaninem" Stanisława Barańczaka, "Cienie zapomnianych przodków" Adama Michnika i "Obleżonych" Bolesława Sulika.

Wielki dziennik szwajcarski o "Zapisie"

W "Neue Zürcher Zeitung" z 23 lutego 1979 ponad kolumnę druku zajął artykuł pt. "Literatura bez cenzury w Polsce", z podtytułem "Czasopismo Z a p i s". Autorka, Jeannine Luczak-Wild, zaczyna od powtarzalności pewnych zjawisk w Polsce: kryzysu władzy, krótkotrwałej odwilży, ponownego przykręcania śruby i bezskutecznych protestów intelektualistów. Nawet postacie dramatu wydają się te same: Gierek zaczyna bliźniaczo przypominać Gomułkę, ich oponenti zaś - często są rzeczywiście ci sami... A jednak, kontynuując, coś się zmieniło: po protestach w sprawie Konstytucji na przełomie 1975 i 1976 roku oraz buncie robotniczym w czerwcu 1976 ukształtowała się jawna, rozległa opozycja, ogarniająca różne warstwy społeczne, a w jej sferze oddziaływanie - rozbudowany system prasy i wydawnictw nie podporządkowanych cenzurze. Autorka wymienia dwa kwartalniki literackie: "Zapis" i "Puls", po czym dokładniej zajmuje się "Zapise" jako fenomenem solidarności i wspólnej samoobrony pisarzy różnych pokoleń i o różnej przeszłości przeciw totalitarnej presji. Trzeba tu zaznaczyć z uznaniem, że - inaczej niż wielu piszących o nas zachodnich dziennikarzy - pani Luczak-Wild doskonale orientuje się w materiale, nie tylko nie przekręca nazwisk /a przytacza ich wiele - od kierownika Niezależnej Oficyny Wydawniczej, Mirosława Chojeckiego do przebywającego na emigracji autora "Polaku, kim jesteś", Witolda Wirpszy/, lecz wie,

co kto kiedy napisał i o co w tym, co napisał, chodziło. Omawiając siedem pierwszych numerów "Zapisu", recenzentka kolejno charakteryzuje różnych autorów pisma, może nie zawsze po ich myśli oceniają c i interpretując teksty, ale trzymając się tego, co naprawdę napisali, dość gruntownie streszczając i obficie cytując. Takie mini-portrety mają w artykule najpierw pisarze, których łącznie zalicza do "starszej generacji" /przy czym pomija w tej grupie dość znaczne różnice wieku/: Jerzy Andrzejewski, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Tadeusz Konwicki i Wiktor Woroszyński, dalej "pokolenie 1956": Marek Nowakowski, Kazimierz Orłoś, Zbigniew Herbert, Jerzy Ficowski /dwaj ostatni, prawdę mówiąc, są rówieśnikami niektórych wymienionych uprzednio/, wreszcie liryczne "pokolenie 1968": Ryszard Krynicki, Stanisław Barańczak oraz związany z "Pulsem" Jacek Bierezin. Autorka przytacza fragmenty wierszy tych poetów, a wierszem Barańczaka z "Zapisu" nr 1 /i z tomu "Ja wiem, że to nieskuszone" / - "W zasadzie niemożliwe" - pointuje cały artykuł, w którym wspomina jeszcze /ale bez egzemplifikacji/ o debiutującym w czasopiśmie niezależnych "pokoleniu 1976". "W zasadzie niemożliwe" więc, by się pojawił, a jedna-k jest" - tymi słowami wiersza /bardzo dobrze przetłumaczonego na niemiecki/ Jeannine Luczak-Wild zdaje się za zdumieniem i prawie niedowierzaniem mówić o niezależnej prasie literackiej w Polsce.

Kronikę zamknięto 1 maja 1979.

PODZIĘKOWANIE DLA SAULA BELLOWA

Znakomity pisarz amerykański, laureat nagrody Nobla, Saul Bellow, przekazywał mi kilkakrotnie w ciągu ostatnich dwu lat swoje honoraria autorskie za książki wydawane w Polsce, z życzeniem, aby pieniądze te zostały użyte na cele społeczne, i z intencją okazania w ten sposób poparcia ludziom dyskryminowanym oraz ich działaniu. W sumie pobrałem z tego tytułu około 25.000 złotych. Mam nadzieję, że rozporządziłem tą kwotą wedle wskazówek ofiarodawcy, przekazując ją w całości na fundusz Niezależnej Oficyny Wydawniczej i "Zapisu".

Obecnie chciałbym w imieniu tych niezależnych wydawnictw i swoim własnym wyrazić Saulowi Bellowowi serdeczne podziękowanie za okazaną nam pomoc i solidarność.

Jacek Bocheński

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADEŚLANE

Paweł Jasienica, "Rozważania o wojnie domowej", Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1978, str.61. Wydanie bez wiedzy posiadaczy praw autorskich, na podstawie nieautoryzowanego maszynopisu. Esej.

Piotr Wierzbicki, "Cyrk", Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1979, str.152. Powieść.

George Orwell, "Polwark zwierzęcy", przełożyła Teresa Jeleńska, Niezależna Oficyna Wydawnicza 1979, str.104. Tytuł oryginału angielskiego "Animal Farm". Przedruk z wydania wydawnictwa "Odnova", Londyn 1974. Powieść.

Józef Czapski, "Wspomnienia starobielskie", Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1979, str.52, 2 nlb.

"Język propagandy", Zeszyty Towarzystwa Kursów Naukowych, Warszawa 1979, Niezależna Oficyna Wydawnicza, str.106. Materiały z kolokwium TKN opracowane przez Stefana Amsterdamskiego, Aldonę Jawłowską i Tadeusza Kowalika.

"Śpiewnik warchoła"; Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, 1979, str.74. Zbiór piosenek /teksty i nuty/.

"Res Publica", rok 1979, nr 1, redaguje zespół, Str.127. Czasopismo.

"Wiadomości naukowe", Wrocław - Warszawa 1979, nr 1. Redaguje Kolegium, Pismo Niezależnego Zespołu Współpracy Naukowej, wydawane przez Niezależne Wydawnictwa Naukowe w Polsce. Str.38.

"Merkuryusz krakowski i światowy", nr 2, 1979, wydawca nie podany, str.24. Czasopismo.

NOTY O AUTORACH

STANISŁAW BARANCAK

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, tłumacz, teoretyk literatury. Już czwarty rok, objęty zarządzonej centralnie represjami, nie może wydawać swoich książek w żadnym z oficjalnych wydawnictw krajowych. Współtwórca i autor wszystkich numerów "Zapisu".

PAWEŁ BODNAR

Pseudonim. Urodzony w roku 1950. Publicysta, historyk idei. Drukował m.in. w "Archiwum Historii Filozofii" i "Tygodniku Powszechnym".

KAZIMIERZ BRANDYS

Urodzony w roku 1916. Prawnik, eseista, dramaturg. W "Zapisie" nr 1 ogłosiliśmy obszernie fragmenty książki pt. "Nierzeczywistość", która następnie ukazała się w całości nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej w kraju /dwukrotnie/ oraz Instytutu Literackiego w Paryżu. Powieść "Rondo", złożona w "Czytelniku", nie może się ukazać, podobnie jak /w wydawnictwach oficjalnych/ żadna inna książka tego autora, dotkniętego obecnie całkowitym zakazem druku.

TOMASZ BUREK

Urodzony w roku 1938. Badacz literatury i krytyk literacki. W "Zapisie" publikuje poczynając od numeru pierwszego.

HANS MAGNUS ENZENSBERGER

Urodzony w roku 1929. Wybitny poeta niemiecki, publicysta, tłumacz poezji angielskiej i hiszpańskiej, autor antologii poezji światowej /"Muzeum der Modernen Poesie"/. W Polsce wybór poezji Enzensbergera ukazał się w roku 1968, nakładem PIW-u, w opracowaniu Jana Prokopa. Wiersze, które Ryszard Krynicki przełożył dla "Zapisu", pochodzą z tomu: "Gedichte 1955-1970", Frankfurt am Main 1971, Suhrkamp Verlag. "Portret pewnego rencisty" z czasopisma "Text + Kritik" nr 9/9a. 1973. "Zwiedzanie miasta" z "Text + Kritik" nr 49, 1976.

ANNA FREY

Pseudonim.

STEFAN KISIELEWSKI

Urodzony w roku 1911. Prozaik, publicysta, kompozytor, stały felietonista "Tygodnika Powszechnego". W poprzednich numerach "Zapisu" drukowaliśmy zarówno jego felietony skonfiskowane przez cenzurę w "Tygodniku Powszechnym", jak artykuły napisane specjalnie dla nas.

JERZY KRECZMAR

Urodzony w roku 1902. Reżyser, pedagog, publicysta. W latach 1949-1966 i od roku 1968 kierownik literacki Teatru Współczesnego w Warszawie. W latach 1949-1973 - profesor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Wystawił m.in.: "Przy drzwiach zamkniętych" Sartre'a /Teatr Młody, 1947/, "Czekając na Godota" Becketta /Teatr Współczesny, 1957, polska prapremiera/, "Dożywocie" Fredry /Teatr Współczesny, 1963/, "Kto się boi Wirginii Woolf" Albyego /Teatr Współczesny, 1965/, "Dziady" kowieńskie /Teatr Współczesny, 1968/. Wydał m.in. "Pamiętniki teatralne" /1956/, wybrał i opatrzył przedmową eseje Edwarda Csato "Paradoks o reżyserze" /1970/, ogłosił liczne artykuły w prasie teatralnej.

RYSZARD KRYNICKI

Urodzony w roku 1943. Poeta, tłumacz, krytyk poezji. Od dłuższego czasu objęty zakazem publikowania w wydawnictwach oficjalnych. Ostatnią książkę pt. "Nasze życie rośnie" ogłosił w Instytucie Literackim /Paryż 1978/. Wiersze Krynickiego drukowaliśmy w "Zapisie" nr 1, nr 2, nr 5 i nr 8.

TADEUSZ MAZOWIECKI

Urodzony w roku 1927. Działacz społeczny, publicysta, od ponad 20 lat redaktor naczelny katolickiego miesięcznika "Więź". Autor tomu esejów "Rozdroża i wartości" /1971/, uważanego za reprezentatywny dla środowiska "Więzi" i Klubów Inteligencji Katolickiej. "Druga twarz Europy" ukazała się po francusku w miesięczniku "Esprit" /kwiecień 1979/; po polsku ukazuje się po raz pierwszy w "Zapisie".

ANDRZEJ MICEWSKI

Urodzony w roku 1926. Publicysta, historyk, działacz katolicki. Wydał: "Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej" /1965/, "W cieniu marszałka Piłsudskiego" /1968/, "Postawy i poglądy" /1969/, "Roman Dmowski" /1971/. Ostatnia książka, poświęcona dziejom PAX-u i ZNAK-u pt. "Współrzędzić czy nie kłamać?" - ukazała się w Paryżu, w wydawnictwie "Libella". "Narodowy i uniwersalny wymiar polskiej niepodległości" został skonfiskowany w numerze "Twórczości" poświęconym 60-leciu odzyskania przez Polskę niepodległości /11.1978/.

CZESŁAW MIŁOSZ

Urodzony w roku 1911. Poeta, prozaik, eseista, historyk literatury. Od roku 1951 na emigracji. Wydał przed wojną dwa tomy poezji w Wilnie, po wojnie jeden w Krakowie /"Ocalenie"/, następne ukazywały się już za granicą, przeważnie nakładem Instytutu Literackiego /Paryż/, ostatnie zaś niektóre z nich wznowiła Niezależna Oficyna Wydawnicza w kraju. Ponadto tomy prozy lub esejów: "Zniewolony umysł", "Zabycie władzy", "Dolina Issy", "Rodzinna Europa", "Widzenie nad Zatoką San Francisco", "Prywatne obowiązki" i "Ziemia Ullo" /ten ostatni recenzował w "Zapisie" nr 6 Stanisław Barańczak/. W "Zapisie" nr 7 ogłosiliśmy nowe wiersze Czesława Miłosza, które otrzymaliśmy od autora, podobnie jak esej "Sześć albo czystość rozpaczy", który publikujemy w tym numerze. Esej ten został napisany po angielsku na zamówienie pisma "Tri-Quarterly" i ukazał się w nr 28, 1973; na polski przekłożył go obecnie sam autor.

JAN PROKOP

Urodzony w roku 1931. Poeta, krytyk literacki, eseista, tłumacz. Wydał tom szkiców "Euklides i barbarzyńcy" /1964/ i kilka innych. W "Zapisie" nr 6 ogłosiliśmy jego esej polemiczny pt. "Polska znięcona albo lodowiec z gówna". Wiersze, które zamieszczamy w tym numerze, zostały usunięte przez wewnętrzną cenzurę Wydawnictwa Literackiego ze zbioru pt. "Moja ziemna podróż" /1978/.

WITOLD WIRPSZA

Urodzony w roku 1918. Poeta, prozaik, eseista, dramaturg, tłumacz. Od wiosny 1970 przebywa za granicą; niedługo potem objęty w Polsce całkowitym zakazem druku. W "Zapisie" nr 5 ogłosiliśmy fragmenty książki "Polaku, kim jesteś?" /wydanej następnie w całości przez Niezależną Oficynę Wydawniczą/, a w "Zapisie" nr 7 - fragmenty powieści "Sama niewinność".

ADAM ZAGAJEWSKI

Urodzony w roku 1945. Poeta, prozaik, eseista. Współredaktor wszystkich poprzednich numerów "Zapisu" /w trakcie przygotowywania obecnego numeru wyjechał na dłuższy pobyt za granicę/, w "Zapisie" nr 2 drukowaliśmy jego wiersze, a w "Zapisie" nr 9 - esej "O naszych strojach".

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazały się:

Stanisław Barańczak
Władysław Biełkowski
Kazimierz Brandys

Josif Brodski
Tomasz Buřek
Józef Czapski
Jerzy Ficowski
Władysław Gnomacki
Witold Gombrowicz
Gunter Grass
Bohumil Hrabal
Paweł Jasińnica
Zdzisław Jaskuła
Wieniedikt Jerofiejew
Andrzej Kijowski
Tadeusz Konwicki
Tadeusz Konwicki
Jacek Kuroń

Antonin H. Liehm
Osip Mandelstam
Adam Michnik
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
George Orwell
Maria Ossowska
Józef Piłsudski
Dominique de Roux
Jan Strzelecki
Marek Tarniewski
Marek Tarniewski
Piotr Wierzbicki
Kazimierz Wierzyński
Witold Wirpsza
Wiktor Woroszyłski
Stefan Żeromski

JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE
SOCJALIZM PO 60 LATACH
NIERZECZYWISTOŚĆ
WIERSZE I POEMATY
JAKIEJ HISTORII LITERATURY POTRZEBUJEMY
WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE
GRYPS
TOW. SZMACIAK
WSPOMNIENIA POLSKIE
BLASZANY BEBENEK
ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ
ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ
DWA POEMATY
MOSKWA - PIETUSZKI
NIEDRUKOWANE
KOMPLEKS POLSKI /Zapis nr 3/
MAŁA APOKALIPSA /Zapis nr 10/
ZASADY IDEOWE, MYŚLI O PROGRAMIE, UWAGI
O STRUKTURZE RUCHU DEMOKRATYCZNEGO
NOWA UMOWA SPOŁECZNA
PÓZNE WIERSZE
CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW
TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORALNY
KRÓL POPIEL I INNE WIERSZE
MIASTO BEZ IMIENIA
GDZIE SŁOŃCE WSTAJE I KĘDY ZAPADA
ZNIWOLONY UMYŚŁ
FOLWARK ZWIERZĘCY
O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI
BIBUŁA
ROZMOWY Z GOMBROWICZEM
ZAPISKI 1950 - 1953
POCHODZENIE SYSTEMU
DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ
CYRK
CZARNY POLONEZ
POLAKU, KIM JESTEŚ?
JESTEŚ I INNE WIERSZE
NA PROBOSTWIE W WYSZKOWIE

ANTYSEMITYZM /wybór/, DWIE ROZMOWY - MOSKWA 1960 /stenogramy rozmów Polsko-Chińskich, UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU, EUROKOMUNIZM /wybór/, NOCNE ROZMOWY Z JOSEFEM SMRKOVSIM, Z KSIĘGI ZAPISÓW GUKPPIW, SPIEWNIK DOMOWY I ULICZNY, SPIEWNIK WARCHOLA, DOKUMENTY BEZPRAWIA /opracowanie KSS KOR /, PAKTY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA, OPRACOWANIA ZESPOŁÓW PROBLEMOWYCH PPN, JEZYK PROPAGANDY /zeszyt TKN/, KULTURA /wybór z rocznika 1978/ TPABAA /wybór artykułów z września 1939/, RAPORT O STANIE RZECZYPOSPOLITEJ /opracowanie DiP/

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazują się kwartalniki literackie PULS i ZAPIS oraz ZESZYTY NAUKOWE TOWARZYSTWA KURSÓW NAUKOWYCH

Druk:

Wolna Wałkowo-Bębnowa Drukarnia Polowa im. J.P.
Warszawa, październik 1979, Zlec.nr 101/79



ZBIORY OŚRODKA KARTA